

PRZYWRÓCIĆ DOM KORFANTEMU

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

ŚLĄSK



Śląskie. Pozytywna energia

Nr 12 (170) • ROK XV • GRUDZIEŃ 2009

_____**Z powieści „Piąta strona świata” KAZIMIERZA KUTZA**

_____**„Polskie drogi i bezdroża – rozmowa z prof. MARCINEM KULĄ**

_____**MARIA LIPOK-BIERWIA CZONEK – Barbórka i górniczy świat**



_____**STEFAN
SZLACHTYCZ**

– Trzy sznury
Pstrowskiego

_____**Jubileuszowa**

rozmowa
z **FELIKSEM
NETZEM**

_____**KRYSTIAN
GAŁUSZKA –
Sławna jak Otylia**

_____**Nowe wiersze
ks. JERZEGO
SZYMIKA**

ISSN 1425-3917



9 771425 391905



W tym roku, podczas 40. Rybnickich Dni Literatury, została wręczona 25. Złota Honorowa Lampka Górnicza. Z rąk prezydenta Adama Fudalego, za ogromną wrażliwość i troskę, z jaką traktuje życie duchowe mieszkańców archidiecezji katowickiej, otrzymał ją ksiądz arcybiskup Damian Zimoń. – *Z wielką radością wręczam tę nagrodę osobie, która zawsze troszczy się o nasze miasta i na pewno będzie dalej się troszczyła* – powiedział Fudali.



W Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu zostały wręczone nagrody im. Karola Miarki. W tegorocznej edycji uhonorowani zostali: prof. Grażyna Szewczyk (na zdjęciu) – germanistka, której działalność naukowa koncentruje się wokół kultury niemieckiej, skandynawskiej oraz śląskiej, Marek Trombski, profesor nauk technicznych – założyciel Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, obecnie rektor Wyższej Szkoły Zarządzania Ochroną Pracy, wybitny naukowiec i społecznik oraz dr Dariusz Złotkowski, historyk badający przeszłość Częstochowy. Z województwa opolskiego nagrody otrzymali: Krystyna Heller – wychowawca wielu pokoleń młodych pianistów oraz ks. bp Jan Marian Kopiec, popularyzator dziejów Śląska.

*Pogodnych,
w radosnym nastroju
i rodzinnej atmosferze
Świąt
Bożego Narodzenia*

*życzy
Przyjaciółom,
Współpracownikom
i Czytelnikom
Redakcja „Śląska”*



Podczas XII Gali Budownictwa, która odbyła się w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, tytuł honorowy „Osobowość budownictwa śląskiego” wraz z medalem otrzymał wielce zasłużony dla Politechniki Śląskiej, dziś 102-letni prof. dr inż. Antoni Rosikoń. Organizatorem Gali była Śląska Izba Budownictwa.

Na zdjęciu Laureat prof. Antoni Rosikoń w otoczeniu znakomitych gości i gospodarzy (od lewej): Tadeusz Wnuk prezydent Śląskiej Izby Budownictwa, Małgorzata Handzlik posłanka do Parlamentu Europejskiego, wicewojewoda śląski Adam Matusiewicz i przewodniczący Sejmiku Województwa Śląskiego Michał Czarski.



lie a zajmuje się wspieraniem kobiet odnajdujących czynne miejsce w życiu, przede wszystkim poprzez aktywizację zawodową umożliwiającą powrót na rynek pracy. Założycielką Dress for Success Poland w naszym kraju jest Dorota Stasikowska-Woźniak, prezes Polskiego Domu Kreacji, która perfekcyjnie przygotowała tę widowiskową galę, podczas której nadano także tytuł Damy i Gentelmana Roku, przyznane profesor Magdalenie Środzie i wybitnemu pisarzowi, dwukrotnemu laureatowi Literackiej Nagrody Nike – Wiesławowi Myśliwskiemu (przypomnijmy także – honorowemu członkowi Gómośląskiego Towarzystwa Literackiego).

Jego przenikliwe wystąpienie z tej okazji daleko wykraczało poza ramy okolicznościowego przemówienia. Wiesław Myśliwski scharakteryzował postawy i wartości, które wiążą się z pojęciem dżentelmena – człowieka honoru, wysokich walorów etycznych, nienagannyh zasad, taktu i zaufania. Jego pogłębiona diagnoza związana z deprecjacją tych cech i walorów w życiu polskim dotyczyła wielu sytuacji i kontekstów, które doprowadziły do regresu pozycji autorytetów i upadku obowiązujących norm współżycia. Jaka szkoda, że nie dysponujemy nagraniem tego wystąpienia, które miało format traktatu wygłoszonego na ten ważny temat.

W Auli Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach odbyła się 16 października br. uroczystość inaugurująca działalność Dress For Success Poland Silesia – organizacji, która ma już 94 filie



Podczas „Dni Luksemburskich na Śląsku”, 27 października 2009 r., w Centrum Sztuki Filmowej w Katowicach, gdzie odbywał się przegląd kinematografii z Luksemburga, wielki reżyser, Ślązak – Kazimierz Kutz – został odznaczony orderem Officier de l'Order du Mérite Rządu Wielkiego Księstwa Luksemburg. Przeglądowi towarzyszyła wystawa „Kazimierz Kutz w obiektywie”.

SLASK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 12 (170). Rok XV. Grudzień 2009 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel. 032 253-62-21

e-mail: slask@neostrada.pl

www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 032 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrówki 15/12, tel. 032 354-09-88,
032 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Dele-
gatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpo-
średnio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach po-
cztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – re-
dakcja miesięcznika „Slask”, PKO PB SA I O/Katowi-
ce 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata rocz-
na – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest
dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.
Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

Tadeusz Kijonka PRZED PROGIEM PRZEŁOMU	3
Rozmowa z Tadeuszem Wnukiem, prezydentem Śląskiej Izby Budownictwa BUDOWANIE JEST SZTUKĄ... ..	5
Rozmowa z prof. dr. hab. Marcinem Kulą POLSKIE DROGI I BEZDROŻA	6
Bogdan Widera KULTURA, PIENIĄDZE, REGION	11
Eugeniusz Knapik CELE I GŁÓWNE STRATEGIE	12
Maria Lipok-Bierwiazek BARBÓRKA I GÓRNICZY ŚWIAT	14
Rafał Działach LUDZIOM WSTĘP WZBRONIONY	18
Barbara Szmatoch PRZYWRÓĆMY KORFANTEMU JEGO DOM	22
Jan Cofalka NASI W WARSZAWIE	27
Kazimierz Kutz PIĄTA STRONA ŚWIATA (fragment powieści)	28
Rozmowa z Feliksem Netzem MIEĆ TRZYSTU CZYTELNIKÓW	34
Sławomir Matusz WIERSZE	39
Stefan Szlachtycz TRZY SZNURY PSTROWSKIEGO	40
Ks. Jerzy Szymik WIERSZE	44
Krystian Gałuszka SŁAWNA JAK OTYLIA	46
Józef Wycisk ŚLĄSKI PITAVAL RETRO	50
Jan F. Lewandowski NASZE KINO GÓRNICZE	52
Oswald Guziur UCIECZKA PRZED ŚMIERCIĄ	56
Ewa M. Walewska POJEDNANIE NAUKI I SZTUKI	64
Rozmowa z prof. Tadeuszem Grabowskim PRZEPISYWAŁEM PARTYTURY FITELBERGOWI	65
Rozmowa z Maciejem Meleckim LITERACKA DELTA	67
Wiesława Konopelska FOTOOBRAZY GADOMSKIEGO	80
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY	81
Marcin Jarząbek REQUIEM DLA KOPALNI	96
ŚLĄSKI MIESIĄC	2
LISTY	4
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA Marek S. Szczepański ZAWÓD RYZYKA I RYZYKO W ZAWODZIE	10
POZA KADREM Feliks Netz REWERS	43
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA Jan Miodek DWIESTA ZŁOTYCH I PÓŁ JEDNEJ	61
EKOLOGIA Jolanta Matiakowska PODZIEL SIĘ... ZIEMIĄ!	62
KRYTYKA Jan F. Lewandowski NETZ FILMOWY	68
TEATR Aneta Głowacka W STRONĘ BELLMERA	69
OPERETKA Marek Brzeźniak CHARLESTON „WYSKAKUJĄCY” Z KANKANA	70
Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI	71
KSIAŻKI Tadeusz Kijonka CZTERY WIEKI OPERY	72
Maciej Dęboróg-Bylczyński HEIMAT RAZ JESZCZE	73
Ilona Kula BEZ MIODU	74
Jan Kwaśniewicz O CIEMNOŚCI, DWORCU I... ..	74
Izabela Mikrut MOZAIKA	75
Bogdan Nowicki W CAŁOŚCI ŚWIATA	76
Anna Kołodziejska W KOLEINACH ŻYCIA	77
Bogdan Widera KRÓTKO O KSIAŻKACH PODKOPKI	78
NOTATNIKI KULTURALNE Wiesława Konopelska KATOWICE	90
Jan Picheta BIELSKO	92
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	93
Janusz Wójcik OPOLE	94
Jacek Sikora ZAOLZIE	95

Pismo wspierane finansowo
przez ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO

oraz dotowane
przez
URZĄD MIASTA
KATOWICE

Zrealizowano w ramach
PROGRAMU
OPERACYJNEGO
PROMOCJA
CZYTELNICTWA
ogłoszonego przez
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

W kolorze:

• e-MobilArt – Rondo Sztuki,
Katowice (str. A) • Tadeusz
Grabowski – plakaty (str. B) •
Stanisław Gadomski – foto-
grafia (str. C) • Znaki i Twarze
Miasta Katowice. Kościół
Ewangelicki p. w. Zmartwych-
wstania Pańskiego (str. D).

Na okładce:

Szopka w bazylice pw. św.
Ludwika Króla i Wniebo-
wzięcia NMP w Katowi-
cach-Panewnikach.

Fotografia:

Zbigniew Sawicz

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.

Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.

www.ruch.com.pl

C-93393

351666 III

■ ZA pacjenta z nadciśnieniem lub cukrzycą lekarz rodzinny dostaje trzy razy więcej niż za innych chorych. Problem w tym, że sami chorzy nic z tego nie mają. Tymczasem Śląski Narodowy Fundusz Zdrowia na potrójnych stawkach straci w tym roku ponad 100 mln zł!

■ ŚLĄSKA policja rozbiła gang, którego członkowie ukradli tysiąc aut. Dzięki elektronicznemu wyposażeniu grasowali od 1999 r.

■ GMINY naszego regionu tylko w tym roku przekazały policji 6 mln zł! Kupują radiowozy, komputery, alkomaty, a nawet meble i latarki. Finansują też dodatkowe patrole. Policja jest państwowa, ale bez naszej pomocy prawdopodobnie musiałaby pozamykać komisariaty – mówią samorządowcy.

■ KOLEJNY, dwudziesty już, górnik zmarł 3 października w Centrum Leczenia Oparzeń w Siemianowicach Śląskich. Odniósł bardzo ciężkie obrażenia podczas wybuchu metanu w rudzkiej kopalni „Wujek-Śląsk”, 18 września.

■ ZNÓW wypadek w kopalni. Połamane ręce i nogi, potłuczenia oraz urazy głowy – takie obrażenia odniosło pięciu górników, którzy zostali 5 X ranni po wstrząsie w kopalni „Bielszowice” w Rudzie Śląskiej.

■ ZWIĄZANY z PiS-em były prezes Radia Katowice Wojciech Poczachowski znów będzie pracował dla publicznych mediów. Tym razem jako prokurent (pełnomocnik) Zarządu Polskiego Radia SA.

■ OGROMNE garaże, komora dymowa do ćwiczeń, sala gimnastyczna, siłownia, sauna – bielscy strażacy przeprowadzili się 5 X do najnowocześniejszej strażnicy w Polsce. Czekali na nią ponad 70 lat.

■ DWIE kliniki przeniesione z Zabrza do katowickiego szpitala przy ul. Ceglanej od 7 X miały zacząć przyjmować pacjentów. Tymczasem Ministerstwo Zdrowia uznało, że ich przeniesienie było nielegalne. Brak jest odpowiedniej uchwały Senatu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

■ AKADEMIA Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej rozpoczęła 6 X nowy rok akademicki. Dla jedynej na Podbeskidziu samodzielnej uczelni państwowej zaczął się on od dużej unijnej dotacji na inwestycje.

■ WDOWY po górnikach, którzy zginęli w pracy, zanim ich żony skończyły 50 lat, nie będą miały górniczych rent. Mają jednak dostać wsparcie ze spółek górniczych – ustalili politycy, wojewoda i szefowie spółek węglowych.

■ SKARB Państwa odrzucił propozycję ugody ze 165 ofiarami katastrofy Międzynarodowych Targów Katowickich. – Nie ponosimy odpowiedzialności za zawalenie się hali – twierdzą jego przedstawiciele. Pełnomocnik poszkodowanych zapowiada, że zasypie sąd lawiną wielomilionowych pozwów. Budynek MTK runął 28 stycznia 2006 r. Pod gruzami zginęło 65 osób, a 144 zostały ranne.

■ BYTOMIANIE uczcili pamięć i dzieło bohaterańskiego kapłana. 25 lat temu kapelan „Solidarności” odprawił jedną ze swoich ostatnich mszy w kościele Podwyższenia Krzyża Świętego. 8 października w tym samym miejscu odsłonięto pomnik księdza Jerzego Popiełuszki.

■ UNIWERSYTET Śląski dostał 24 mln zł na wyposażenie nowoczesnych laboratoriów dydaktycznych.

■ SIEDEM cudów architektury województwa śląskiego. Głosami internautów na to miano zasługują: Spodek, Muzeum Zamkowe w Pszczynie, Browary Tyńskie, bytomski Rynek, cmentarz Mater Dolorosa, szyb „Krystyna” w Bytomiu i Elektrociepłownia Szombierki.

■ DOBRA wiadomość dla wszystkich, którym marzy się schowanie torów w centrum Katowic pod ziemię: pomysł spodobał się spółce PKP Polskie Linie Kolejowe. Wkrótce go przeanalizują.

■ WŁADZE Gliwic chciały uruchomić miejski pociąg między Łabędami a Sośnicą. Sprzeciwia się marszałek województwa, choć niczym nie ryzykuje. Władze Gliwic liczą też, że na budowę hali sportowej dostaną 140 mln zł z Unii Europejskiej. Urząd Marszałkowski uważa, że Gliwicom tak duża dotacja się nie należy. Pisma krążą a szanse na dotrzymanie zakładanych terminów są znikome.

■ KOŚCIÓŁ Świętej Trójcy w Będzinie, jeden z najstarszych zabytków w regionie, jest w fatalnym stanie. Pękają ściany, podłoga i stropy. O pomoc w ratowaniu świątyni apeluje ordynariusz diecezji sosnowieckiej bp Grzegorz Kaszak.

■ PREZYDENCI 19 miast podpisali 13 X umowę w sprawie wprowadzenia na Śląsku i w Zagłębiu elektronicznej karty, którą zapłacimy za przejazd autobusem, wstęp do teatru, muzeum czy za parkowanie. KZK GOP obiecuje, że stanie się to już za trzy lata.

■ STAŁOWĄ figurę mężczyzny, który stoi na głowie na otwartej księdze, odsłonięto 12 X w parku za bielskim ratuszem. Kilka metrów przed Akrobatą – tak brzmi oficjalna nazwa rzeźby – znajduje się dru-



ga, stalowa księga, w której możemy przeczytać o czasach, gdy całe miasto „stało na głowie”, rozpoczynając swój marsz do nowoczesności i rozwoju gospodarczego.

■ 22-LETNI złodziej otworzył wagon z węglem, ale nie ukradł ani jednej bryty, bo zasypał go zwały urobku. Uwieszonego mężczyznę zatrzymała policja.

■ STADION Śląski, który może pomieścić ponad 45 tys. kibiców, wypełniony był 14 X w niecałych 10 procentach. W fatalnej otoczce skończyli polscy piłkarze eliminacje mistrzostw świata. Na prawie pustym Stadionie Śląskim przegrali ze Słowakami. Kibice zbojkotowali mecz, protestując przeciw złej działalności PZPN.

■ EKOŁODZY z Podbeskidzia Sabina Pierużek-Nowak (Stowarzyszenie dla Natury „Wilk”) i Jacek Bozek (Klub Gaja) weszli w skład nowej Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

■ NIESPODZIEWANY atak w połowie jesieni. Zima uderzyła nagle i dała się mocno we znaki mieszkańcom województwa: powalone drzewa, nieprzejezdne drogi, domy bez prądu.

■ HARCERZ, żeglarz, nauczyciel, inżynier Jerzy Teper, długoletni pracownik Górnośląskiego Centrum Kultury, zmarł 14 października w wieku 83 lat.

■ SKLEPY obuwnicze przeżywają oblężenie. Zima nas zaskoczyła – wyjaśniają klienci.

■ GANGSTER, 33-letni Mariusz S., handlujący przemycanymi papierosami, zarobił ponad 1,3 mln zł. Ukryte w słoikach pieniądze znalazła Śląska Straż Graniczna. To był ostatni przebywający na wolności członek gangu, który wpadł w ręce oficerów SG.

■ DOKTOR Michał Świerszcz z Wojewódzkiego Pogotowia Ratunkowego w Katowicach, który koordynował medyczną akcję ratunkową w kopalni „Wujek-Śląsk” otrzymał z rąk minister Ewy Kopacz odznakę „Za Zasługi dla Ochrony Zdrowia”.

■ SPECJALNY fundusz wypadkowy oraz zatrudnianie w kopalniach dzieci i żon górników, którzy zginęli pod ziemią – to tylko niektóre z propozycji pomocy rodzinom górniczym po tragedii w kopalni „Wujek-Śląsk”.

■ KAPITAN inżynier Franciszek A. Ranošek, urodzony w 1920 r. w Wierzbju na Śląsku, zmarł nagle 20 października 2009 r. Przeszedł szlak bojowy od Francji przez Anglię po Niemcy. Został pochowany w kwatrze PSZ na Zachodzie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

■ ŚLĄSKO-dąbrowska „Solidarność” ogłosiła 19 X pogotowie strajkowe. Powód? Pogarszająca się sytuacja finansowa szpitali i poradni w województwie śląskim. Wszędzie kontrakty są na wyczerpaniu.

■ BYŁY pracownik Urzędu Wojewódzkiego na wielu odpowiedzialnych stanowiskach mgr inż. Józef Patuszyński zmarł 16 października. Żył 101 lat.

■ TEATR Rozrywki w Chorzowie, Ośrodek Sportów Wodnych w Łące, remiza strażacka w Szopienicach i pokazowa Zagroda Żubrów w Pszczynie – oto największy zwycięzcy rozstrzygniętych 21 X dwóch najważniejszych konkursów architektonicznych w województwie śląskim.

■ DO kościoła w Leśnej na Żywiecczyźnie trafiły już relikwie stu osób wyniesionych na ołtarze. Ostatnio – szczątki św. Jacka Odrowąża.

■ NAJCIEKAWSZĄ kolekcję plakatów z czasu górnośląskiego plebiscytu zabrał w swym warszawskim mieszkaniu Jarosław Bełdowski, Zagłębiak z Będzi-

na. Kupuje je nie tylko w Polsce, ale także w Niemczech, a nawet w USA. Ma już ich kilkanaście i przymierza się, żeby pokazać je publicznie. Doskonałym pretekstem mogłaby być 90. rocznica plebiscytu na Śląsku.

■ LOTNISKO w Pyrzowicach będzie miało bezpośrednie połączenie z Kanadą. Choć nie pasażerskie, a towarowe, to i tak mamy powody do satysfakcji.

■ JOGA, aerobik i taniec nowoczesny to dyscypliny, które w Żorach będą uprawiać nawet trzylatki. Miejskie przedszkola dostały ponad 2 mln zł na organizację nietypowych zajęć dla dzieci.

■ ROBIN Heart, robot skonstruowany w zabrzańskiej Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii. 24 X podczas specjalnej videokonferencji pokazał specjalistom z całego świata, co potrafi. W rezultacie konstruktorzy Robina dostali 2 mln zł, by poprawić system wizyjny i dołożyć robotowi ramion.

■ PODCZAS XIX finału konkursu „Po naszymu – czyli po śląsku”, tytuł Honorowego Ślązaka Roku 2009 otrzymała urodzona w Katowicach i przez lata związana z Opolszczyzną profesor Dorota Simonides.

■ NOWYM dyrektorem Wojewódzkiego Urzędu Pracy został Mieczysław Płaneta.

■ PRZEBUDOWANY węzeł Murkowska kosztował 281 mln zł. I nadal są korki! Słabym punktem okazał się zjazd w stronę Sosnowca.

■ OKULIŚCI ze Szpitala św. Barbary w Sosnowcu otrzymali jeden z najnowocześniejszych w Europie aparatów do operacji oczu. Ma tyle funkcji, że lekarze nazywają go kombajnem.

■ MIMO obietnic Centrum Leczenia Oparzeń w Siemianowicach Śl. nie dostało żadnych dodatkowych pieniędzy na leczenie górników poparzonych w katastrofie w kopalni „Wujek-Śląsk”. Szpital ma już 3 mln zł strat.

■ NA Śląsku brakuje szczepionek dla niemowląt. Zdenerwowani rodzice szturmują poradnie, awanturując się o szczepionki na różyczkę, świnkę i odrę. Pielęgniarki i lekarki bezradnie rozkładają ręce: zamówiliśmy sto, ale przyszły tylko trzy.

■ MOZAIKI zdobiące ściany Stadionu Śląskiego kupił magistrat w Radzionkowie i Eugeniusz Lerch, legendarny napastnik „Ruchu” Chorzów. Do kupienia są jeszcze krzeselka, reflektory, a nawet tablica, na której wyświetlano wyniki meczów.

■ SPRAWA byłego szefa MSW gen. Czesława Kiszczaka, oskarżonego o przyczynienie się do śmierci dziewięciu górników z kopalni „Wujek” w 1981 r., wraca do sądu I instancji – uznał 29 X Sąd Apelacyjny w Warszawie. Oznacza to, że proces gen. Kiszczaka rozpocznie się już po raz czwarty.

■ LOTNISKO w Pyrzowicach wzbogaci się o dodatkowe 24 hektary gruntów należących do Agencji Mienia Wojskowego. Powstanie tam nowoczesna baza paliw, która ma przyciągnąć nowe linie lotnicze.

■ TO mit, że górnicy są przeciwko prywatyzacji kopalni! Z ostatniego badania TNS OBOP wynika, że zwolenników takiego rozwiązania jest na Śląsku więcej niż w innych regionach kraju. Górnicy przekonali się, że kopalnie potrzebują pieniędzy na inwestycje – tłumaczą eksperci. Prywatyzacji boją się związki zawodowe, zwłaszcza te niszowe.

■ KANDYDACI na studia matematyczno-przyrodnicze mają problemy z matematyką i fizyką! Do organizowania przyszłym inżynierom zajęć wyrównawczych z tych przedmiotów zmuszone są niemal wszystkie uczelnie.

■ STADION Śląski w Chorzowie zamienia się w potężny plac budowy. Przez najbliższe 21 miesięcy zmieni się nie do poznania. Nowe będzie zadaszenie (o powierzchni 4 ha), poszerzona zostanie bieżnia wokół murawy (ma być dziewięciorowa); jedna z trybun zostanie rozbudowana, a niebieskie siedziska zastąpi 55 tysięcy krzesełek w odcieniach czerwieni.

■ MŁODZI naukowcy z całego regionu niecierpliwie czekają na Śląskie Międzyuczelniane Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych. Będą mogli w nim korzystać z nowoczesnych laboratoriów.

■ STALEXPORT Autostrada Małopolska chce ściągać motocyklistów, którzy płacą na bramkach jednogroszówkami i blokują tym samym ruch samochodów na autostradzie A4. Motocykliści protestują, bo za przejazd A4 muszą płacić tyle samo co właściciele samochodów – 13 zł w jedną stronę. A grosze to też pieniądze.

■ MUZEUM „Wujka” ma wielkie kłopoty. Nie dość, że krucho z finansami, to jeszcze firma sfuszerowała prace budowlane i mimo gwarancji nie kwapi się do wykonania poprawek. Pomożemy załatwić ten problem – obiecuje Katowicki Holding Węglowy.

■ PIĘCIU górników poparzonych w katastrofie w kopalni „Wujek-Śląsk” opuściło 30 X siemianowickie Centrum Leczenia Oparzeń. W szpitalu pozostaje jeszcze 17 górników.

KRONIKARZ

Od jakże ważnego dnia 11 września, gdy podczas uroczystej sesji Rady Miasta Katowice podjęta została oczekiwana już od dłuższego czasu decyzja w sprawie rozpoczęcia działań o przyznanie Katowicom prestiżowego tytułu Europejskiej Stolicy Kultury (ESK), problemy kultury – raczej przez długie lata drugorzędne na tym naszym coraz bardziej chamiejącym Śląsku – zyskały nagle na znaczeniu i zaczynają być dostrzegane w innej, nie tylko lokalnej konfiguracji i perspektywie. Nie ma nawet co wypominać skali zaległości narastających przez całe dziesięciolecie, a już szczególnie w sferze inwestycji, gdzie nawet najbardziej nadęte słowa nie mogły zastąpić wymowy faktów dokonanych.

W ostatnich czasach coś niewątpliwie wreszcie drgnęło i są symptomy dokonujących się zmian. Żeby jednak nadrobić dystans w stosunku do ośrodków, które wyraźnie umocniły się w sferze kultury, gdy Katowice degradowały się, choć nie zawsze z własnej winy, trzeba czasu a także wyzwolonej energii społecznej oraz pokątnych środków. Przede wszystkim jednak nowej wizji oraz zdefiniowanych do końca strategicznych funkcji stolicy województwa śląskiego jako wielkiego ośrodka kultury, a więc na miarę ambicji metropolitalnych i zadań wynikających nie tylko z pozycji administracyjnych stolicy regionu. To temat na zasadniczą, oczekiwaną od dawna dysputę, skoro minęło już 11 lat od Kongresu Kultury na Górnym Śląsku, który obradował w Sali Sejmu Śląskiego w dniach 26-27 kwietnia 1998 roku. Przypomnę tedy, że ostatnie zdanie Uchwały przyjętej w głosowaniu na zakończenie obrad zawierało zobowiązanie przygotowania następnego spotkania o tym charakterze, jako iż Kongres – co uznano za rzecz konieczną – „powinien stać się instytucją stałą”.

Na pytanie: kto miał się tym w przyszłości zająć jako instytucja zobowiązana do tego moralnie, też można odpowiedzieć w miarę jasno, odwołując się do Uchwały Kongresu, gdzie zostało stwierdzone, iż „Kongres powierza pieczę nad realizacją tego przedsięwzięcia i dorobku Kongresu uformowanej z początku bieżącego roku Społecznej Radzie Kultury Województwa Katowickiego, reprezentującej środowiska i instytucje kultury”. Rzecz w tym, że ta utworzona wówczas Rada w atmosferze zbiorowej nadziei weszła z czasem w fazę postępującej agonii aż w końcu zaprzestała działalności. Doszło bowiem wkrótce do tego, że nie mogła wypełnić swojej społecznej misji na miarę przyznanych przez Kongres uprawnień, pomijana i wręcz bojkotowana, bo też stała się natrętnym a i coraz bardziej trudnym partnerem.

Jako główny inicjator tamtego Kongresu, autor pierwszego raportu: „Kultura na Górnym Śląsku – sytuacja i dylematy” (dane mi było też przygotować „Raport o stanie kultury i sztuki w województwie katowickim. Rok 1981”, który miał zostać ogłoszony na niedoszłym Sejmiku Kultury 19 grudnia 1981r.), mam swoją utwierdzoną opinię, z jakich to powodów tamta Społeczna Rada Kultury nie spełniła swoich zamierzeń, no i dla kogo mogła okazać się uciążliwa. W każdym

razie 12 grudnia 2005 roku, w 7 lat po Kongresie, pod szyldem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i miesięcznika „Śląsk”, przy współpracy Biblioteki Śląskiej doprowadziłem do całodziennego konferencji w Sali „Parnassos”, z udziałem przedstawicieli środowisk twórczych, artystycznych i naukowych oraz animatorów życia kulturalnego w nawiązaniu do Kongresu Kultury na Górnym Śląsku w 1998r. W obszernym wystąpieniu, który stanowił wstęp do wielowątkowej debaty, starałem się odpowiedzieć i na to pytanie: dlaczego „z upływem czasu kapitał i dorobek społeczny Kongresu na Górnym Śląsku tracił na znaczeniu, aż stał się jedynie świadectwem zbiorowego porywu i dokumentem zmarnowanych szans”.

Co do tego nie mam wątpliwości, że sprawy kultury mogły się potoczyć w naszym regionie zdecydowanie inaczej zaś stopień uspołecznienia wypra-

Przed progiem przełomu

cowanych i realizowanych programów mógł mieć inny, znacznie okazalszy format oraz dynamikę rozwojową. Także sytuacja Katowic, które podjęły działania zmierzające do udziału w konkursie o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016, byłaby dziś znacznie korzystniejsza, chociażby ze względu na stopień uspołecznienia działań i pozycję kultury jako istotnego czynnika integracji i promocji, co znacznie wcześniej uświadomiono sobie nie tylko we Wrocławiu czy Łodzi – miastach, które z ogromną dynamiką podjęły ofensywę kulturalną o międzynarodowym zasięgu, a teraz z wielkim impetem przystąpiły do rywalizacji w Konkursie o tytuł ESK bo na długo zanim 9 listopada mijającego roku minister kultury ogłosił oficjalnie konkurs dla miast, które rozpoczną rywalizację o ten tytuł.

O realnych szansach Katowic nie ma na razie sensu dyskutować, skoro rozpoczęliśmy zaledwie wstępne przygotowania i to mierząc siły na zamiary, co jest podstawą skądinąd chwalebna. No bo realnie biorąc, jeśli w roku 2016 – zgodnie z postanowieniem UE – tytuł ten mają zdobyć dwa miasta – po jednym z Polski i Hiszpanii, zaś do konkurencji w Polsce stały się: Warszawa, Gdańsk, Wrocław, Poznań i Łódź, lecz także Szczecin, Toruń, Białystok, Lublin – a na tym nie koniec... – jakie szanse mają w tym gronie konkurentów Katowice, przede wszystkim spośród miast wymienionych z grupy największych centrów polskiej kultury, na czele ze stolicą kraju? ...Jakie – i czy w ogóle?... Lecz takiej kunktatorskiej kalkulacji nie wolno nawet zakładać, bo nic bardziej nie unieściwa niż wyrachowana asekuracyjna postawa. Już samo przystąpienie do rywalizacji oznacza przewyciężenie zastanego, wręcz chronicznego momentu bezwładności. A prze-

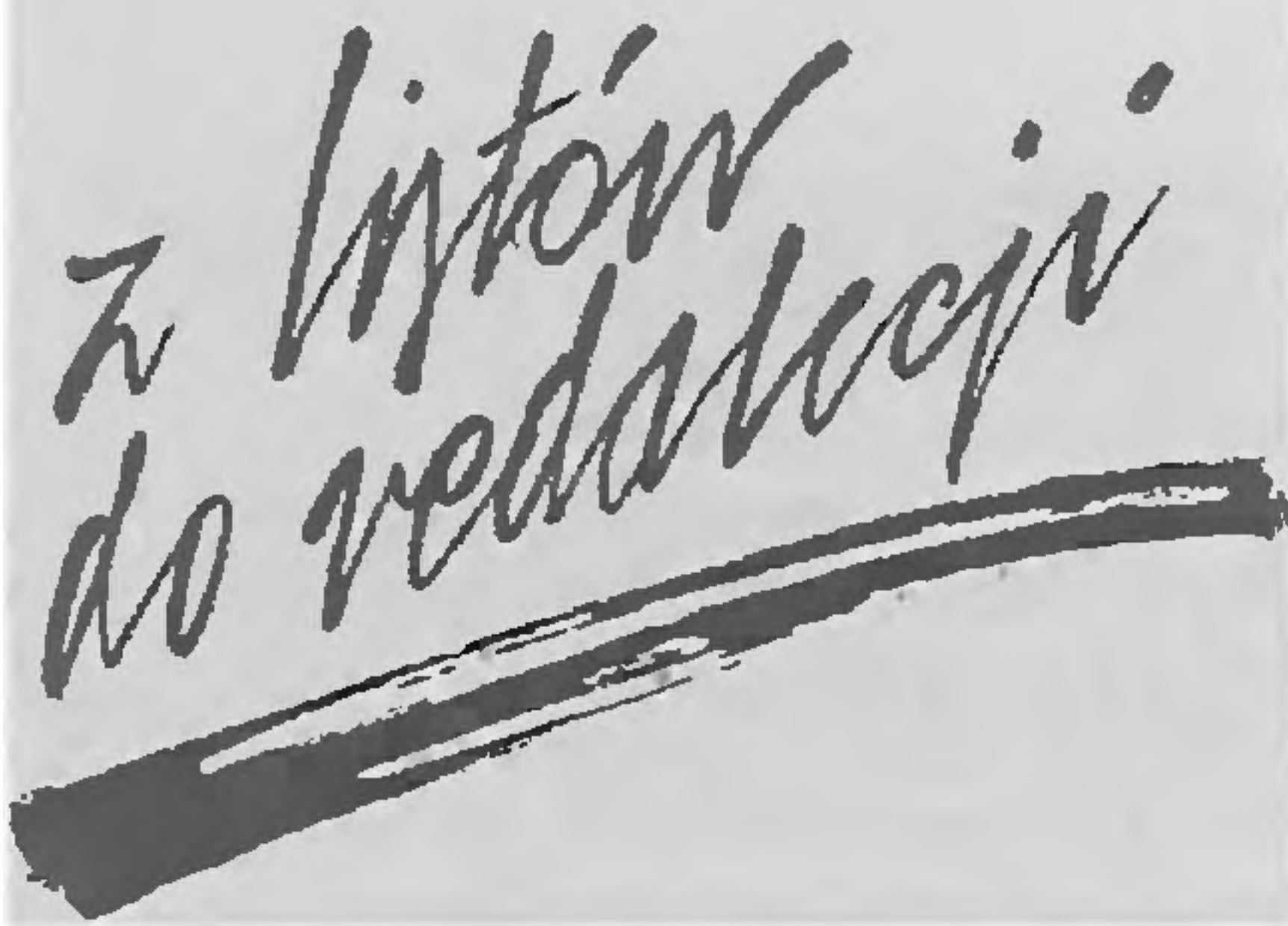
cież o to właśnie chodzi – o podjęcie wyzwania i przygotowanie konkurencyjnego programu w oparciu o niepowtarzalne własne atuty, stanowiące o tożsamości miasta i regionu a wyrażone w skrócie przez sugestywne hasło „kopalnia kultury”, które należy rozumieć „jako wydobywanie na jaw, na światło, tego” co przyczyni się „do stworzenia nowego, dalekiego od dotychczasowego stereotypu o tym wizerunku Śląska”.

To oryginalne hasło i gruntowne uzasadnienie przedstawił w swoim wstępnym, programowym artykule zamieszczonym w październikowym numerze „Śląska” profesor Tadeusz Sławek, przewodniczący Społecznej Rady Programowej i dyrektor ESK 2016 z nominacji prezydenta Katowic. I jeszcze jedno zdanie z jego wystąpienia: „Jako kandydat do tytułu ESK chcemy uruchomić nową energię i nowy kierunek zmian zachodzących od wielu lat na Śląsku”. A przypada to akurat na czas, gdy Katowice rozpoczęły budowę Muzeum Śląskiego, wprowadziły do planu wspaniały projekt Tomasza Koniora siedziby Narodowej Orkiestry Symfonicznej PR. Znalazł wreszcie także odpowiednią lokalizację Teatr Wielki Opery i Baletu, który ma stanąć w sąsiedztwie gmachu NOSPR. Te trzy kluczowe inwestycje w sferze kultury dla Katowic i regionu mogą zasadniczo zmienić dotychczasowy wizerunek stolicy województwa. Sam napęd energii i aspiracji związanych z przystąpieniem Katowic do batalii o tytuł ESK 2016, to już poważny zysk, który może okazać się trwałym kapitałem niezależnie od ostatecznego rezultatu w tej prestiżowej konkurencji.

Bez względu na rezultat – nadchodzące 6 lat zapowiadają się jako czas przełomu w sytuacji kultury – przede wszystkim Katowic, ale i wszystkich miast w zasięgu nie tylko ich bezpośredniego oddziaływania. Program, który powstanie oraz uruchomione w związku z tym decyzje, będą miały zasadnicze znaczenie także dla społecznych aspiracji i zbiorowej świadomości. Kultura w hierarchii wartości – w co należy wierzyć – znajdzie nareszcie godne miejsce. Ten proces jej nobilitacji będzie zarazem aktem przywrócenia jej rangi, której nigdy nie mogła się doczekać na tej spracowanej, zdegradowanej ziemi, skazanej na bezwzględna eksploatację od bez mała 200 lat.

A więc sukcesem może okazać się już sam start oraz opracowanie programu wyznaczającego strategię rozwoju kultury nie tylko na okres najbliższych lat. To zaś oznacza pełne uświadomienie stanu braków i zaległości a także zapaści duchowej, która w ostatnich kilkunastu latach jeszcze się pogłębiła: wszędzie tam gdzie po likwidacji kopalń, hut i zakładów przemysłowych, często z XIX wiecznym rodowodem pojawiły się strefy dziedzicznego wręcz bezrobocia i społecznego wykluczenia. Podjęcie skutecznej konkurencji w walce o Europejską Stolicę Kultury wymaga uruchomienia wysokich aspiracji i energii zbiorowej na optymalną skalę. A czasu nie ma wiele, bo inni już ruszyli z impetem i są w pełnym biegu.

TADEUSZ KIJONKA



ZWIĄZEK GÓRNOŚLĄSKI BRACTWO GWARKÓW

Szanowny Pan
DONALD TUSK
Prezes Rady Ministrów RP
Al. Ujazdowskie 1/3 00-583 Warszawa

List Otwarty w sprawie
górnictwa węgla kamiennego

Szanowny Panie Premierze,

Związek Górnośląski jest regionalną organizacją Górnoślązaków powstałą w okresie gorących przemian 1989 roku. Bractwo Gwarków Związku Górnośląskiego wśród swoich członków skupia zarówno byłych i obecnych członków władz kopalnianych, jak również ludzi nauki związanych z górnictwem. Bractwo Gwarków już od dłuższego czasu z niepokojem i z troską obserwuje zmiany zachodzące w polskim górnictwie węglowym, które w sposób zasadniczy oddziałują negatywnie na sytuację gospodarczą oraz degradację tożsamości kulturowej naszego regionu. A przecież praca w podziemiach kopalń jest szczególnie niebezpieczną i ciągłą walką z nieprzewidywalnymi siłami przyrody.

Branża górnicza od lat boryka się z polityką władz centralnych, która doprowadziła do zapaści w wielu jej segmentach. Polityka ta bowiem często bywa kształtowana przez ludzi niekompetentnych w sprawach górnictwa. Pragniemy zasygnalizować tylko niektóre problemy, które od wielu już lat generują dramatyczną sytuację w górnictwie.

Polska ok. 95% energii elektrycznej wytwarza z węgla (1. miejsce w świecie). W związku z tym jesteśmy na 2. miejscu w Unii Europejskiej, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo energetyczne. Tylko w ok. 18% jesteśmy uzależnieni od zagranicznych dostaw nośników energii. Podejmowane próby zmian pozyskiwania źródeł energii elektrycznej – energetyka jądrowa, odnawialne źródła energii to perspektywa najbliższych 20-30 lat. Tak więc następne pokolenia Polaków będą nadal wydobywały węgiel na Śląsku.

Nasze rodzime górnictwo węgla kamiennego w latach 2000-2007 odprowadziło ogółem 45.029.266 tys. zł danin publiczno-prawnych, przy przychodach ogółem w wysokości 140.201.120 tys. zł. Wsparte zaś zostało dotacjami wysokości 7.376.369 tys. zł (w całości jak już sygnalizowano na likwidację fizyczną kopalń

i restrukturyzację zatrudnienia). Z przykrością należy podkreślić, iż w bieżącym roku decyzją Ministra Finansów nie uwzględniono, mimo dopuszczonej unijnymi regulacjami w budżecie państwa wsparcia finansowego na tzw. inwestycje początkowe w górnictwie. Jest więc naszą statutową powinnością zabranie głosu w sprawie górnictwa, szczególnie po ostatniej jakże tragicznej katastrofie w kopalni Wujek-Śląsk.

W związku z tym pojawiają się następujące bardzo ważne pytania:

- Dlaczego od roku 1994 zostały zatrzymane wszystkie wcześniej planowane inwestycje w górnictwie? Polskie górnictwo węglowe, aby utrzymać potencjał produkcyjny, ale także by go móc rozwijać oraz utrzymać konkurencyjność w wymiarze globalnym, wymaga finansowego wsparcia ze strony państwa. Chroniczny brak środków finansowych, wyraźnie widoczny w górnictwie węgla kamiennego, doprowadził do znaczącego ograniczenia inwestycji, co doprowadziło między innymi do znacznego wzrostu eksploatacji podziemowej (katastrofogenicznej) i obserwowanej od kilku lat coraz bardziej się pogłębiającej zapaści produkcyjnej. Skutkuje to nie tylko obniżającą się konkurencyjnością cenową polskiego węgla kamiennego, czego przejawem jest, między innymi, szybko wzrastający import węgla (w 2008 roku po raz pierwszy w historii Polski import węgla do naszego kraju był większy od eksportu).

- Dlaczego w latach 1990 do 1997 roku praktycznie zlikwidowane zostało zawodowe szkolnictwo górnicze? W 2006 roku odeszło z kopalń najwięcej doskonałych fachowców na tzw. wcześniejsze emerytury. W wielu przypadkach zdobyte przywileje stały się obowiązkiem.

- W tym momencie rozpoczęła się ogromna „luka pokoleniowa”, która trwa do dzisiaj i której nie da się szybko uzupełnić. Wprowadzenie ustawy o restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego w latach 2008-2015 spowodowało odejście licznej grupy kwalifikowanych pracowników w wieku od 42-50 lat, zatrudnionych bezpośrednio w produkcji. Nie załatwiono tym samym, jak się później okazało, problemu obniżenia zatrudnienia, a drenaż dotyczył wyłącznie pracowników zatrudnionych bezpośrednio w produkcji. Nastąpiły bardzo niekorzystne przeobrażenia strukturalne w zatrudnieniu, które nie spowodowały wzrostu wydajności, a zatrudnienie bezpośrednio w produkcji znacznie się obniżyło. Sytuacja ta spowodowała, że w dość znaczącym czasie nie było kim obkładać frontów eksploatacyjnych i towarzyszących robót górniczych. Wobec powyższego posilkowano się pracownikami niedoświadczonymi o bardzo krótkim stażu pracy oraz pracownikami firm obcych. Zbyt wczesne, często wymuszane przejścia na emeryturę dodatkowo powodowały frustrację oraz rodziły patologię społeczną wśród Braci Górniczej.

- Przy nielicznych kopalniach w 2008 roku powstały pierwsze klasy szkolnictwa zawodowego. Ich pierwsi absolwenci, i to w niewielkiej liczbie, zasilą brygady dołowe najwcześniej w 2011 roku. Gdy nie ma odpowiedniej edukacji można zadać następujące pytanie: kto ma nauczyć tych młodych ludzi właściwej oceny ryzyka zawodowego, ryzyka, które obok rutyny jest naj-

częstszą przyczyną wypadków w polskim górnictwie?

„Sabotaż Kadrowy” znacznie gorszy i trwalszy w skutkach od sabotażu gospodarczego kolejno realizowany przez poszczególnych „decydentów” górnictwa z Warszawy nie był i nie jest przez nikogo rozliczany. Kto odpowiada za skutki rządów w górnictwie przez polityków bez stosownych kwalifikacji?

- Dlaczego w przygotowywanej nowelizacji „Prawa geologicznego i górniczego” (art. 167) zlikwidowano obecnie obowiązujący zapis o nadzorze organów górniczych nad ośrodkami szkoleniowymi dla górnictwa? Dla porównania, w innych branżach polskiej gospodarki narodowej stosowne jednostki nadzoru kontrolują ośrodki szkoleń.

- Dlaczego przepisy zezwalają na zatrudnienie pod ziemią w najtrudniejszych wyrobiskach eksploatacyjnych ludzi „z ulicy”, bez odpowiedniego doświadczenia? Dramatyczny przykład młodego górnika, który zginął w kopalni „Halemba” mając za sobą 5 dni pracy w górnictwie.

- Likwidacja Biur Projektów Górniczych powoduje, że projektowaniem często wielkich inwestycji zajmują się osoby bez uprawnień i rośnie liczba zbędnych a często sprzecznych ze sobą wszelakiego rodzaju „ekspertyz”.

- Park maszyn, tj. maszyny na dole, jest stary i wyeksploatowany: np. obudowy zmechanizowane tylko w 23 procentach to obudowy nowe (nowe – tzn. kilkuletnie), pozostałe mają po 20 i więcej lat. Od czasu do czasu jakaś kopalnia zakupuje nowe kompleksy ścianowe, lecz w skali całego górnictwa to dramatycznie mało.

- Wyższy Urząd Górniczy jako najwyższy i jedyny organ kontrolny górnictwa ze swoimi agendami OUG powinien podlegać wprost Premierowi RP oraz działać w oparciu o stabilne prawo, umożliwiające w pełni przeprowadzenie stosownych kontroli, mających na celu pełne bezpieczeństwo pracy górników. Wielkim nieporozumieniem można nazwać wprowadzoną w bieżącym roku ustawę o swobodzie działalności gospodarczej (z dnia 9.03.2009 r.), która praktycznie zamyka możliwości przeprowadzenia właściwej kontroli przez ten urząd.

- Zakupy wszystkich materiałów i usług dla kopalń odbywają się w oparciu o przetargi, w których jedynym i decydującym elementem wyboru oferty jest jej cena. Oznacza to, że kopalnia może stosować tylko najtańsze, (czyli najgorsze) materiały dostępne na rynku. W przypadku usług świadczonych dla kopalń przez firmy zewnętrzne skutkuje to zatrudnianiem przez te przedsiębiorstwa niedoświadczonych pracowników, którzy pracują w warunkach występujących w kopalni zagrożień.

Powyższe dezyderaty należą do podstawowych warunków bezpiecznej pracy w górnictwie. Dalsze ich lekceważenie może doprowadzić do jeszcze tragiczniejszych wypadków, których z całą pewnością ani rząd, ani społeczność górnicza nie chce. Górnictwo wymaga podjęcia wielokierunkowych działań jak również racjonalnych i mądrych zmian dla poprawy efektywności ekonomicznej, ale także do uspokojenia nastrojów społecznych na Górnym Śląsku.

Związek Górnośląski
Bractwo Gwarków
Związku Górnośląskiego

Zarząd Główny

Prezes Zarządu
Józef Buszman

Prezes Zarządu
Zygmunt Pawłowski

Do wiadomości:

1. Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa – Zarząd Główny
2. Związki Zawodowe
3. Górnicza Izba Przemysłowo – Handlowa
4. Media

Sprostowanie

Do podpisu pod zdjęciem na str. 52 (u góry) opublikowanym w listopadowym numerze „Śląska (nr 11/169/2009) wkraśl się błąd dotyczący daty wizyty papieża Jana Pawła II w Sosnowcu. Oczywiście podpis powinien brzmieć: Sosnowiec. 14 czerwca 1999 r. Przepraszamy. Redakcja

ZMARŁA ELŻBIETA PIETRZOK

W niedzielę 29 listopada, po wielu miesiącach postępującej choroby, w godzinach porannych gdy zapadła w ostatni sen, zmarła w wieku 82 lat Elżbieta Pietrzok – nasza kochana Ela... Od blisko 60 lat – po objęciu sekretariatu Oddziału Związku Literatów Polskich w Katowicach – związana była dożgonną służbą z życiem literackim na Śląsku. W roku 1992 podjęła się także trudu prowadzenia biura Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, które współtworzyła od pierwszych dni z cechującą ją bezinteresowną ofiarnością i organizacyjną zaradnością.

Jej zasługi dla rozwoju życia literackiego na Śląsku są ogromne, bo też była osobą pod każdym względem wyjątkową, ujmującą taktem i serdecznością, zawsze gotową do przysług i pomocy nie licząc sobie lat. Jej jubileusz z okazji 80. rocznicy urodzin, gdy została uhonorowana Medalem na Zasługi dla Kultury Polskiej, stał się radosną okazją do złożenia dowodów zbiorowego szacunku i wdzięczności oraz życzeń dalszej służby.

Jeszcze w październiku, choć zwolna już gasła udęczona chorobą, uczestniczyła w kolejnych czwartkach literackich, które współorganizowała.

Elżbieta Pietrzok, rodowita katowiczanka, spoczęła na cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. Elu, dziękujemy za wszystko świadomi, że na naszych oczach przeszła do literackiej legendy. Z Twoją śmiercią odchodzi żywa pamięć 60 powojennych lat śląskiego życia literackiego, instytucji i ludzi, którym służyłaś do ostatnich dni.

Zarząd, członkowie i przyjaciele
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego,
oraz Zespół Redakcji Miesięcznika „Śląsk”.

Wspomnienie poświęcone Elżbiecie Pietrzok ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

Budowanie jest sztuką...



Rozmowa
z **TADEUSZEM
WNUKIEM**,
prezydentem
Śląskiej Izby Budownictwa
w Katowicach

– Podczas XII Gali Budownictwa, jaka odbyła się w listopadzie br. – po raz pierwszy uhonorowano osobowości budownictwa śląskiego....

– Gala Budownictwa jest podsumowaniem kolejnego roku działalności firm członkowskich samorządu gospodarczego, skupionych w naszej Izbie i ich promocją. Jest też okazją do wyróżnienia najlepszych przedstawicieli branży budowlanej, firm o znaczącej pozycji rynkowej i osób o ponadprzeciętnych osiągnięciach zawodowych, prawdziwych autorytetów.

Ale dzisiejsze budownictwo ma swoją tradycję, historię, w którą wpisane są dokonania ludzi tworzących tę branżę. Tych, którzy kładli pod nią, dosłownie i w przenośni, solidne fundamenty. Ich twórczy udział we współczesnym obliczu branży budowlanej jest niezaprzeczalny. To oni pokazali, że projektowanie i budowanie jest sztuką!

Dlatego Prezydium i Rada Śląskiej Izby Budownictwa ustanowiła zaszczytny, honorowy tytuł „Osobowość Budownictwa Śląskiego”.

Tytuł ten wraz z pamiątkowym medalem otrzymali wybitni architekci. Henryk Buszko – od 60 lat w zawodzie, dwukrotny prezes ZG SARP, współtwórca m.in. gmachu Okręgowej Rady Związków Zawodowych w Katowicach oraz osiedli Tyśiąlecia i Gwiazd w stolicy Śląska. I Adam

Czyżewki – szczególnie zasłużony dla rozwoju architektury, urbanistyki i budownictwa woj. śląskiego, uczestniczył m. in. w projektowaniu i budowie Tychów i jako fotograf z zamyłowania udokumentował budowę nowo powstającego miasta.

Wśród uhonorowanych tym tytułem znaleźli się: Wincenty Drapała – długoletni dyrektor Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich w Katowicach oraz Kombinatoru Budownictwa Węglowego-Fabud; Władysław Jamrocha – dyrektor generalny Śląskiego Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego; Zygmunt Lorentz – wieloletni prezes zarządu PRINŻ PW, współtwórca wielu przedsiębiorstw; Mieczysław Józef Piotrowki – honorowy prezes oddziału katowickiego PZITB.

Wyjątkową postacią w tym gronie jest prof. dr inż. Antoni Rosikoń.

– To przecież nie tylko wybitny specjalista i ekspert budownictwa, związany przez lata z Politechniką Śląską...

– Tak, to przede wszystkim wielki pasjonat swojego zawodu, inżynier i humanista, który w wieku ponad 102 lat nadal służy swoją wiedzą jako ekspert w dziedzinie fundamentowania i mechaniki gruntów. Profesorowi zawsze powierzano najtrudniejsze problemy do rozwiązywania. Jest autorem kilkuset opinii i ekspertyz dotyczących budownictwa kolejowego oraz budownictwa na terenach górniczych. Opiniował również płocki przypadek usuwającej się od kilkuset lat, zabudowanej obecnie nadwiślańskiej skarpy.

Profesor jest aktywny do dziś. W wieku 100 lat wydał książkę „O obrotach podpór i prześle mostu”. Aktualnie opracowuje do niej aneks, dotyczący tego zagadnienia... na terenie odkształconym przez wpływ eksploatacji górniczej. Książka ta wraz z aneksem będzie podstawą do aktualizacji wytycznych projektowania obiektów inżynierskich na terenach objętych szkodami górniczymi.

Jemu i wszystkim, największym osobowościom budownictwa śląskiego chcemy poświęcić specjalną monografię. Pierwsza jej część ukaże się już w 2010 roku.

– Środowisko budowlanych integruje się od lat, są tego rezultaty?

– Budownictwo jest bardzo wrażliwą częścią gospodarki. Najszybciej reaguje zarówno na jej boom jak i wszelkie zakłócenia oraz patologie. Trzeba czuwać na jego rozwojem, korzystać z doświadczenia i zbiorowej mądrości ludzi, związanych z tą branżą, mieć na nią wpływ.

Dlatego na początku ub. roku przedstawiciele samorządów zawodowych i gospodarczych oraz organizacji pozarządowych

wych tej branży z naszego regionu utworzyli Forum Budownictwa Śląskiego. Forum, skupiające dziś ponad 40 tys. członków indywidualnych oraz blisko 300 przedsiębiorstw, funkcjonuje w szeroko rozumianym obszarze budownictwa, nieruchomości, ekologii i górnictwa.

Śląska Izba Budownictwa przewodniczy obecnie temu Forum. Stara się zapewniać jego członkom warunki dla wspólnego tworzenia najbardziej optymalnego modelu funkcjonowania branży budowlanej w dobrej i gorszej sytuacji gospodarczej kraju. W razie potrzeby, żywo na nią reaguje.

– Które z problemów budownictwa są obecnie w centrum uwagi?

– Jednym z nich jest zjawisko nieuczciwej konkurencji. Spowolnienie wzrostu gospodarczego ograniczyło inwestycje komercyjne aż o 70 procent. To z kolei nasiliło rozstrzyganie przetargów na podstawie kryterium rażąco zaniżonych cen na wykonanie określonych przedsięwzięć inwestycyjnych.

Praktyka ta jest groźna dla jakości budownictwa. Jest też patologicznym pojmowaniem ustawy „Prawo zamówień publicznych”. Dlatego szansą dla kondycji przedsiębiorstw budowlanych będzie miało kreowanie nowych inwestycji i remontów na zasadach partnerstwa publiczno-prywatnego. Także na podstawie ustawy o koncesjach na roboty budowlane i usługi oraz w oparciu o nowe rozwiązania finansowe w sferze termoizolacji budynków.

Zanim te problemy stały się tematem październikowej konferencji pn. „Śląskie Forum Inwestycji, Budownictwa, Nieruchomości”, debatowaliśmy o nich z parlamentarzystami. Uporządkowanie ich wymaga bowiem nowelizacji niektórych ustaw. Z udziałem parlamentarzystów odbyła się również debata, poświęcona pilnej konieczności przywrócenia możliwości nadawania w ograniczonym zakresie uprawnień budowlanych – technikom budownictwa.

– Śląska Izba Budownictwa oraz Forum... szczególnie dużo uwagi poświęcają kształceniu młodzieży...

– System kształcenia kadr dla budownictwa na poziomie średnim i wyższym jest naszym przysłowiowym „oczkiem w głowie”. Chcemy, by w większym zakresie włączyli się do niego pracodawcy. Poprzez sprawdzoną w przeszłości pomoc w postaci dobrze zorganizowanych praktyk dla uczniów, szkoleń dla nauczycieli, doposażania pracowni i warsztatów w szkołach budowlanych. Nie chcemy ponownej zapaści szkolnictwa zawodowego i niedoboru prawdziwych fachowców w budownictwie.

– Czego życzy się ludziom budownictwa na Nowy Rok?

– Z całą pewnością boomu budowlanego, jaki mieliśmy jeszcze przed kilkunastu miesiącami, znakomitych projektów, mistrzowskiego wykonania i przede wszystkim bezpiecznej pracy.

Rozmawiała:
JOLANTA MATIAKOWSKA

Z profesorem drem hab. MARCINEM KULĄ,
historykiem z Uniwersytetu Warszawskiego
i Akademii Leona Koźmińskiego
rozmawia LECH NIJAKOWSKI



O podobieństwach i odmiennościach II i III Rzeczypospolitej

Polskie drogi i bezdroża

– Rozmawiamy w roku pełnym ważnych rocznic. Z jednej strony siedemdziesiąta rocznica wybuchu II wojny światowej, z drugiej – dwudziesta rocznica Okrągłego Stołu. Wojna zamknęła krótki żywot odrodzonego państwa polskiego, podobnie jak wy-

darzenia 1989 roku otworzyły nowe polskie dwudziestolecie, które teraz jest często podsumowywane. Czy widać pan profesor jakieś podobieństwa między tymi okresami? Czy takie porównania są w ogóle pana zdaniem uprawnione?

– Po pierwsze pragnę powiedzieć, że choć jestem historykiem, to nie rozumiem mechanizmu rocznic. Jest to bez wątpienia prymitywny mechanizm świętowania okrągłych cykli życia rodzinnego i zbiorowego. Nie widzę jednak uzasadnienia dla świętowania akurat w tym roku, a nie innym.

Po drugie powstaje zasadniczy problem, czy można dokonywać porównań diachronicznych, między różnymi okresami historii? Przyznaję, że kiedyś próbowałem to robić i byłem przekonany, że to płodna metoda. Porównywałem na przykład styl władzy Piłsudskiego i Wałęsy. Teraz jestem znacznie mniej przekonany co do możliwości takich porównań. Zmienia się bowiem zbyt wiele rzeczy. Można oczywiście porównać wojnę trojańską i II wojnę światową, ale wartość poznawcza tej operacji jest nikła.

Choć jestem już ostrożny w kwestii porównań diachronicznych, to jako historyk jestem za nazwaniem różnych zjawisk i rozpatrywaniem ich w całym ich chronologicznym występowaniu. Nie ma sensu porównywać wojen starożytnych i współczesnych, ale można napisać sensowną książkę o wojnie jako zjawisku właściwym ludzkości. Można zatem zastanowić się, czy pewne zjawiska z okresu międzywojennego nie wchodzą w zakres tego samego megazjawiska, co zjawiska w naszym dwudziestolecu. Podobnie, przekonani o wspólnocie biologicznej natury ludzkiej w okresie historycznym, możemy rekonstruować stany psychiczne w odległych okresach, na przykład radość, ból czy rozpacz starożytnych w ramach naszych dzisiejszych kategorii. W odniesieniu do omawianych dwóch dwudziestolecia można zatem zadać pytanie, czy poziom satysfakcji z odzyskania niepodległości w 1918 roku był taki sam, jak poziom satysfakcji z odzyskania swobody w 1989 roku. Podobnie można się zastanawiać, czy satysfakcja ludzi po upływie dwóch dekad była podobna.

Trzeba wszakże zauważyć, że przed II Rzeczpospolitą stanęły wyzwania, z którymi nie musieliśmy się mierzyć w 1989 roku. Dwadzieścia lat temu nie trzeba było jednoczyć kraju, a zatem dokonywać homologacji różnych rozwiązań społecznych, sieci dróg i kolejowych itd. Nie istniał problem odzyskania narodowego państwa – mówię to z pełną świadomością kontrowersyjności tego sądu. W 1918 roku trzeba było rozebrać w Warszawie sobór, zrzucić szyldy po rosyjsku, wrócić do języka polskiego, itd. Oczywiście, można powiedzieć, że w 1989 trzeba było zburzyć Pałac Kultury i Nauki – z czym ja się akurat nie zgadzam, ale jednak posługiwaliśmy się językiem polskim (nawet jeśli ktoś powie, że był to „komunistyczno-polski”), istniała armia polska, choć była „armią ze skazą” – i tak można długo kontynuować. Problem modernizacji stanął i przed II, i przed III Rzeczpospolitą. Dziś jednak ta modernizacja w czym innym się wyraża, co innego trzeba robić w ramach modernizowania.

Moim zdaniem odejście od komunizmu było większym wyzwaniem gospodarczym dla państwa, niż reformy po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Na-

wet za czasów zaborów własność była własnością, a pieniądź był pieniądzem. Oczywiście, jakiś Polak mógł być pozbawiony swojej własności za działalność polityczną, ale jako zjawisko własność prywatna nie była naruszona. Komunizm uderzył natomiast i we własność, i w pieniądź, co pokutuje do dziś. Skądinąd, warto pamiętać, że w wielu wypadkach własność została już wcześniej wyeliminowana przez okupanta. Porównuje się czasami demokratyzację Polski i Hiszpanii. Tam jednak własność i pieniądź zachowały swą pełną wartość, a zatem ich reformy były łatwiejsze.

– Skoro rodzi się tyle problemów metodologicznych, to jakie są według pana funkcje debaty publicznej, która skupia się na porównywaniu „dwóch dwudziestolecí”? Wspomniał pan o mechanizmie rocznicowym, który zawsze działa w świecie dziennikarskim, ale czy widzi pan profesor jakieś głębsze funkcje? Czy można wskazać jakieś cele polityczne czy naukowe?

– Nie uważam, żeby te porównania były aż tak modne. W myśleniu rocznicowym widzę działanie na rzecz umacniania spójności społecznej, najczęściej podświadome. Widzę trwałość pewnych wątków debaty, na przykład powiedzenie, że Polską rządzą dwie trumny – Dmowskiego i Piłsudskiego. Podziały polityczne zdają się przebiegać wzdłuż ustalonych „pęknięć” sprzed dekad. Ale w ostatecznym rachunku w każdym kraju znajdziemy trwałość głównych nurtów politycznych.

W okresie schyłkowym komunizmu istniał – pierwotnie w formie utajonej – kult Polski międzywojennej. Jawiła się ona w tej interpretacji jako niezależna; Polska Ludowa zaś była – jak wiadomo – umiarkowanie niezależna. Ta druga kończyła w klęsce gospodarczej i głębokim poczuciu bezsensu wszystkiego. Ludziom wydawało się zatem, że Polska międzywojenna miała wspaniałe osiągnięcia. Ponieważ trzeba było znaleźć jakichś bohaterów, jakieś pozytywne postaci, wobec tego kult Piłsudskiego – zwłaszcza dlatego, że komuniści go hamowali – rozwijał się. Wszystko to było w dużym stopniu podświadomie instrumentalne – czymś się trzeba było wspomóc, jakąś protezę znaleźć.

Wrażenie, że II Rzeczpospolita była krajem sukcesu brało się bez wątpienia także z tego, że w 1920 roku przodkowie odnieśli zwycięstwo nad Armią Czerwoną. Wydawało się, że Polska była krajem potężnym. Zwłaszcza w czasie, gdy sukcesy późnego PRL okazały się bardzo względne, potrzebne było wsparcie w wizji silnej Polski z przeszłości. W przypomnieniu Jagiellonów także.

Czy Polska międzywojenna była rzeczywiście państwem tak silnie zmodernizowanym? Osobiście wątpię. Była zmodernizowana wyraźnie wyspowo. Są oczywiście sukcesy, takie jak Gdynia – nie spotkałem się z tym, aby ktoś to podważał. Ale gdy po śmierci Piłsudskiego jego następcy zrobili bilans państwa, to wyszedł on bardzo źle. To wtedy wprowadza się w życie projekt Centralnego Okręgu Przemysłowego. Dąży się do wypro-

wadzenia państwa na prostą. Nie wiem, czy osoba Piłsudskiego nie powstrzymywała modernizacji wcześniej na tej zasadzie, że dopóki on żył, to wszyscy czuli się spokojnie.

Na marginesie warto zauważyć, że zarówno w II, jak i w III Rzeczypospolitej występowało śmieszne przypisywanie sobie zasług – przez prawie wszystkich – za odzyskanie niepodległości. Warto w tym kontekście przywołać znaną obserwację Piłsudskiego, że liczba uczestników sprawy uznanej za słuszną rośnie w miarę oddalania się od zwycięstwa. Podobnie „wszyscy” walczyli z komunizmem, tylko nie można zrozumieć skąd się wzięły 3 miliony członków PZPR. Sami Wallenrodzi?

– Śląsk był dla II Rzeczypospolitej nieocenionym „silnikiem gospodarczym”. Czy uważa pan, że ten region miał w państwie polskim dobre warunki do rozwoju, czy też był wykorzystywaną „wewnętrzną kolonią”?

– Odpowiem na to w następujący sposób. We wszystkich krajach spóźnionego i peryferyjnego kapitalizmu, państwach nierównomiernie zmodernizowanych, pojawia się dyskusja, który region jest lokomotywą, a który jest wyzyskiwany. Ze względu na swoją drogę zawodową trochę więcej wiem o Brazylii. Większość tego kraju mówi, że stan São Paulo – położony w południowo-wschodniej części kraju – wyzyskuje inne stany. I głosy takie pojawiają się od kilkudziesięciu lat. Z kolei stan São Paulo mówi, że jest lokomotywą, która ciągnie wiele pustych rupieci i wszyscy powinni mu być wdzięczni. Różnice rozwoju są bowiem ogromne. W stanie São Paulo pojawiały się kiedyś tendencje secesyjne i autonomiczne. Reszta kraju boi się potęgi tego stanu. Nieprzypadkowo stolica Brazylii nigdy nie została zlokalizowana w mieście São Paulo, choć stolica wędrowała i znajdowała się kolejno w trzech miastach. Podobnie można przywołać napięcia między północnymi i południowymi Włochami. Śląsk z tendencjami autonomicznymi nie jest tu zatem wyjątkiem.

Widzę tu jeszcze jedną ciekawą sprawę historyczną. W 1918 roku rozpoczął się proces integracji ziem trzech zaborów. Można podziwiać, że się on powiódł. Jednak zarówno w okresie międzywojennym, jak i dziś jeszcze, konsekwencje podziału zaborowego widać w różnych wskaźnikach. Ziemie zaboru pruskiego – czy szerzej ziemie polskie pod władztwem pruskim, gdyż Śląsk formalnie nie był przedmiotem zaboru – rozwinęły się znacznie lepiej. Socjologowie pokazali, że różnice te nadal ujawniają się w zachowaniach wyborczych mieszkańców miejscowości, których nie różni prawie nic, poza przynależnością do odmiennych państw zaborczych.

– Mówiąc o odzyskaniu niepodległości podkreśla się polski czyn zbrojny, w tym powstania (na Śląsku oczywiście trzy powstania śląskie, z których trzecie uznać należy za zwycięskie). Inni wskazują na sprzyjające okoliczności i grę dyplomatyczną. Dlaczego Polska odzyskała niepodległość?

– Odpowiedź standardowa jest następująca: Polacy nie pogodzili się z poddaństwem i stale walczyli o niepodległość. Jest to nawet wizja w znacznym stopniu zaakceptowana na świecie. Wizerunek Polaka jako buntownika i patrioty upowszechnił się w wielu krajach, nawet w odległej, już wspomnianej Brazylii. Mam pełen szacunek dla powstańców. Mogę przejść do porządku dziennego nad sporami o sens powstań czy rozpaczą po każdym powstaniu (dodajmy, że po Powstaniu Warszawskim też – gdy po upadku powstania warszawiacy trafiali do Krakowa, to tam ludzie pukali się w czoło). Chcę wszakże zwrócić uwagę, że Czesi i Słowacy nie zrobili żadnego powstania, a też uzyskali wspólne państwo po I wojnie światowej. Popularna w Polsce wizja, że Polacy wywalczyli niepodległość – z „kropką nad »i«” w postaci legionów Piłsudskiego – jest wizją niehistoryczną. Skupia się na objawach i nie jest adekwatna do rzeczywistości. Pominę zresztą, że w Michałowicach nikt nie czekał na legiony, czego refleksem było powstanie znanej piosenki „Nie chcemy od was uznania...”.

Przywołam w tym miejscu zabawną opowieść. Gdy ostatnio byłem w Korei Południowej, ministerstwo oświaty zwracało uwagę nauczycielom szkolnym, że za dużo mówią o klęsce Japonii jako warunku wyzwolenia się Korei z kolonialnej okupacji, a za mało o czynie samych Koreańczyków. To, że Japonia przegrała, że jej przegrana została wymuszona przez spuszczenie dwóch bomb atomowych, jakoś nie niepokoiło piewców koreańskiego czynu niepodległościowego.

Polska odzyskała niepodległość przede wszystkim dlatego, że świat się zmienił. Ze względu na dominujące prądy ideologiczne miała powstać Europa narodów. Oczywiście, było to związane także z polityką osłabiania przegranych mocarstw centralnych, ale to nie jedyny powód. XIX wiek był brzemienny ideą narodową, która choć w tym czasie przegrała, to po I wojnie światowej zwyciężyła, stając się zasadą odbudowy zdruzgotanej Europy.

Na tym generalnym tle jest kilka spraw bardzo ciekawych. Pierwsza to wojna 1920 roku. Możemy bez końca dyskutować o przyczynie, która pchnęła Sowieców do inwazji na Polskę, dlaczego ponieśli klęskę (chyba Stalin Trockiemu niespecjalnie chciał pomóc...), kto wymyślił polski plan strategiczny (a nie sposób nie wspomnieć o podsłuchiowaniu przez polski wywiad depeesz sowieckich, dzięki czemu doskonale znano ruchy wojsk), ale pozostaje faktem, że ogromna część narodu chciała bronić niepodległości. To jest zdumiewające zjawisko. Gdy możliwość niepodległości już się pojawiła, to ryzyko jej utraty zrodziło bardzo szeroki front społeczny.

Rozmawiamy na Uniwersytecie Warszawskim. Za Pałacem Kazimierzowskim – siedzibą rektoratu – stoi armata. W 1920 roku w tym miejscu została uformowana bateria dział, które miały atakować bolszewików, gdyby przeszli przez Wisłę i zdobywali skarpe wiślaną (swoją drogą, gdyby się przeprawili, to prawdopodobnie

bateria nie zdołałaby nawet wystrzelić). Później na pamiątkę jedną z tych armat pozostawiono. Przetrwiała także II wojnę światową. Po wojnie zniknęła. I nic dziwnego – była przecież skierowana na wschód. Na zachód jej nie można było skierować, bo celowałyaby prosto w okno rektora. Jej istnienie zatarło się w pamięci, ale ktoś przechowywał tę informację i po 1989 roku ustawiono nową, taką samą (choć oczywiście nie tą samą) armatę, którą ofiarowało Muzeum Wojska Polskiego. To ciekawy przykład przerzucenia mostu nad społeczną niepamięcią.

Kolejną ciekawą sprawą są rozliczne lokalne powstania. Nie wielkie armie i dowódcy, ale zwykli ludzie, którzy mieszkali na Śląsku czy w Wielkopolsce chcieli żyć w Polsce. Jest to nie tylko bardzo wzruszające i ciekawe – ale przede wszystkim bardzo ważne.

– Mówiliśmy o jasnej legendzie II Rzeczypospolitej, powszechnie wykorzystywanej do legitymizacji różnych działań. A co z czarną legendą rozpowszechnianą w PRL? Twierdzono na przykład, że II Rzeczpospolita była od zamachu majowego 1926 roku państwem autorytarnym, które na dużą skalę gwałciło prawa człowieka.

– Z tą czarną legendą jest tak, jak z wieloma twierdzeniami komunistów. One były już tak przesadzone, że stawały się śmieszne. II Rzeczypospolitej można zarzucić bardzo dużo rzeczy, poczynając od pozakonstytucyjnej roli marszałka Piłsudskiego. Nie chcę pomniejszać jego zasług, które niewątpliwie ma, ale przecież to był „ojciec narodu” – osoba ponad prawem. Uprawiano jego kult polityczny, który był ogólnie organizowany. Starano się na przykład, aby każda grupa zawodowa miała jakieś wspomnienie związane z Piłsudskim. Produkowano zatem odpowiednie broszurki, na przykład dla kolejarzy, w której opisywano jak to Piłsudski nocował w jakiejś budce dróżnika. Dbano o wrażenie, że marszałek jest bliski masom. Zresztą, mianowanie Piłsudskiego pierwszym marszałkiem Polski było odejściem od zasady, był to swoisty tytuł *ad personam*. Szczególna rola wojska, zwłaszcza oficerów z otoczenia marszałka, też nie zasługuje na pochwałę. Dodajmy do tego proces brzeski, Berezę Kartuską, wpływanie na wyniki wyborów, pacyfikację Małopolski Wschodniej w 1930 roku, szczególne uprawnienia Rydza-Śmigłego, zamach majowy – to wszystko sprawia, iż można powiedzieć, że międzywojenna Polska była krajem autorytarnym.

Z tego nie musi wynikać od razu potępienie. Istniały różne rodzaje autorytaryzmów – w Polsce można mówić o autorytaryzmie paternalistycznym. Piłsudski nie był przecież jakimś strasznym satrapą. Można także porównać Polskę z innymi krajami regionu, gdzie pojawiały się różne formy autorytaryzmu (nie wspominając o nazistach) – państwa te nie były przecież izolowanymi naczyniami. Na tym tle Polska nie wypada aż tak źle. Niejeden z takich „półautorytarnych” przywódców – aby to łagodniej powiedzieć – Europy Wschodniej czy niektórych krajów Ameryki Łacińskiej (to nie-

przypadkowe zestawienie), nawet jeśli miał tendencje faszystujące (nie dotyczy to Piłsudskiego) to niejednokrotnie zatrzymał postęp rodzimych faszystów – Ion Antonescu zatrzymał przecież Żelazną Gwardię, Miklós Horthy zahamował ruch Strzałokrzyżowców. Nie ma zatem pewności, czy gdyby nie zamach majowy 1926 roku, sytuacja w Polsce nie stałaby się mniej sympatyczna.

– Wspomniał pan o „dwóch trumnach”. Jak zatem ocenia pan postać Romana Dmowskiego oraz endecję?

– Endecję oceniam źle. Jest to swoiste wyznanie wiary. Natomiast Dmowski wydaje mi się bardzo sprzeczną postacią. Z jednej strony nie sposób mu odmówić zasług na konferencji wersalskiej. Był to człowiek, który lepiej niż Piłsudski rozumiał wagę mas w historii. Europa wchodziła bowiem w zupełnie nowy okres masowej polityki. To naturalnie nie musi być jeszcze powód do zasługi – Hitler też rozumiał wagę mas i z tego powodu nie stawiamy mu pomników. Piłsudski pozostał spiskowcem niczym konspiratorzy powstania styczniowego, był „szlacheckim rewolucjonistą” – na tym tle Dmowski był nowocześniejszy. Jednak Dmowski masy te wciągnął w radykalny nacjonalizm, który mi całkowicie nie odpowiada. Mogę docenić, że Dmowski kazał się pochować na Cmentarzu Bródnowskim, który wtedy był miejscem pochówku biednych, a nie pochowano go na Wawelu, jak Piłsudskiego. Kluczowym jest jednak pytanie, czy jest się demokratą, aby realizować system demokratyczny, czy po to, aby wprowadzać niedemokratyczne, populistyczne projekty społeczne.

– Rozmawiamy w przededniu rocznicy nocy kryształowej (9 listopada 1938 r.). Swym zasięgiem objęła ona także dzisiejsze ziemie państwa polskiego, o czym nie zawsze się pamięta. Z tej okazji warto zapytać o ciągłość i ewolucję antysemityzmu w Polsce. Profesor Ireneusz Krzemiński twierdzi na przykład, że współczesny antysemityzm polski jest silnie osadzony w kodach symbolicznych endecji. Jak pan patrzy na zjawisko antysemityzmu w II i III Rzeczypospolitej?

– O ciągłości antysemityzmu można mówić przynajmniej od średniowiecza. Ma on zdumiewająco podobne przejawy w ciągu minionych wieków. Chcąc zrozumieć antysemityzm trzeba się jednak pochylić nie tylko nad stosunkami chrześcijańsko-żydowskimi, ale nad znacznie szerszymi zjawiskami konfliktów etnicznych. Nie uważam, że antysemityzm jest jedynym zjawiskiem tego typu na świecie. Wystarczy przywołać Chińczyków w Azji Południowo-Wschodniej, Hindusów w Afryce Południowo-Wschodniej czy narody socjalistycznej Jugosławii po upadku ustroju. To dramat II wojny światowej nadał antysemityzmowi koloryt zjawiska niepowtarzalnego.

W Polsce międzywojennej mieszkało parę milionów Żydów, a mniejszości ogółem stanowiły 1/3 społeczeństwa. II Rzeczpospolita nie poradziła sobie z ułożeniem stosunków interetnicznych.

Można oczywiście powiedzieć, że w Polsce było lepiej niż w wielu innych krajach, na przykład że istniała sejmowa reprezentacja mniejszości narodowych. Wzajemne animozje jednak nie osłabły, czego dramatyczne skutki dały o sobie znać później. Nie oznacza to naturalnie, że większość polsko-katolicka oraz mniejszości narodowe i religijne nieustannie toczyły krwawe boje. Niemniej istniał ogromny dystans tych grup między sobą i to jest sprawa podstawowa. To była zapewne dominująca przyczyna, która sprawiła, że Żydzi w okresie II wojny światowej umierali osobno, choć okupant dołożył do tego swoje działania. Ten dystans silnie wzmocnił mury getta. Nie ma co pytać, czyja to była wina – w takich sprawach można mówić o rosnącym dystansie z obu stron.

W 2007 roku wydałem książkę *Autoportret rodziny X. Fragment żydowskiej Warszawy lat międzywojennych*. Rodzina, która jest bohaterem tej książki, nie odczuwa jakiegos znaczącego antysemityzmu. Nikt nie napada ich na ulicy, nie wybija im szyb w sklepie. Oni po prostu wiedzą, że stanowią zupełnie odrębny świat i do świata polsko-katolickiego nie wejdą. Oczywiście powstaje pytanie, co by było, gdyby to oni musieli się otworzyć na innych, na przykład zaakceptować małżeństwo syna z chrześcijanką. Prawdopodobnie z obu stron byłoby przeciwdziałanie.

Antysemityzm, tak jak wszystkie nienawiści narodowościowe, jest zjawiskiem długiego trwania, a takie zjawiska są nadzwyczaj odporne na wszelkie wstrząsy. Zmieniają się ustroje, ludzie migrują, a nienawiści trwają. Antysemityzm przetrwał zatem upadek II Rzeczypospolitej, PRL i teraz przejawia się w pewnych sytuacjach w III Rzeczypospolitej.

– Wspomniał pan o Dmowskim, który nie spoczął na Wawelu, w odróżnieniu od Piłsudskiego. Co interesujące, grobowiec Piłsudskiego przetrwał niemiecką okupację, co budzi dziś niejednokrotnie emocje. Niszczono symbole polskości, mordowano polską inteligencję, a Piłsudski pozostał na Wawelu.

Nawet wartę honorową mu wystawili! Jest to pozornie coś zdumiewającego. Hitler uderzając na Polskę podkreślał, że winna jest Polska. Gdyby II Rzeczpospolita prowadziła inną politykę, wojna nie byłaby konieczna. Gdyby Piłsudski żył – zdawał się mówić Polakom Hitler – prowadziłby inną politykę. Chyba ten aspekt chciano wygrać propagandowo tak silnie honorując grobowiec Piłsudskiego. Tym samym dowodzono, że ci, którzy walczą z Niemcami prowadzą złą politykę, której nie pochwaliliby marszałek. Od tego łatwo dojść do demagogicznych historii, na przykład że Polska wchodziła w sojusz z Hitlerem, co się podnosi teraz w Rosji. Mogę przywołać jeszcze bardziej skandalizującą historijkę – wystarczy pokazać telegram kondolencyjny podpisany przez Hitlera po śmierci marszałka Piłsudskiego. Oczywiście, był to urzędujący kanclerz, który wykonał rytualny, dyplomatyczny gest, ale dla prasy brukowej historia jak znalazł.

Wydaje mi się, że Piłsudski prowadził od początku politykę chodzenia na linie. Dokonał cudu w momencie, w którym Polska odzyskiwała niepodległość – postawił na Niemcy, w odpowiednim momencie dał się zamknąć i wyszedł jako bohater. Aby tego dokonać trzeba mieć wyczucie polityczne. Później ani na chwilę nie zapomniał, że Polska jest między Niemcami a Rosją. Był nieufny wobec obu krajów. Jest pewna historyjka, tak ładna, iż podejrzewam, że nieprawdziwa. W sztabie generalnym (na dzisiejszym Placu Piłsudskiego w Warszawie) odbywała się gra wojenna. Najpierw zakładano, że atakują Sowieci. Później generałowie przedstawiają chorągiewki na mapach – oczywiście zwycięża Polska. Po przerwie gra z drugim założeniem – atakują Niemcy. Znowu zwycięża Polska. I nagle ktoś z generałów odzywa się: „Panie Marszałku, a może zrobimy jeszcze trzecią grę z założeniem, że atakują i Niemcy, i Sowieci?”. Na co Piłsudski miał powiedzieć: „Nie. Tego wariantu nie będziemy ćwiczyć. Jeśli coś takiego się stanie, to panowie będą bronić się szablami na placu przed gmachem sztabu”. I tak się stało.

Czy to było do uniknięcia? Przypuszczam, że nie. Nie uważam jednak, aby Polska była do II wojny światowej dobrze przygotowana – sądzę raczej, iż źle. Podobnie nie wydaje mi się, aby kampania wrześniowa była prowadzona dobrze. Polska padła bardzo szybko. Paradoksalnie fakt, że również Francja szybko skapitulowała, poratował samopoczucie Polaków, które po klęsce było bardzo złe.

W tym kontekście nie sposób nie podkreślić, że otoczenie Polski w okresie międzywojennym i w III Rzeczypospolitej jest zupełnie odmienne. Wtedy w wielu krajach panował autorytaryzm, dziś jest moda na demokrację. Wtedy stosowano powszechnie nacjonalizm gospodarczy, także w krajach demokratycznych, dziś stawia się na wolność handlu. Nikt nie chwali się obecnie tendencjami nacjonalistycznymi. Wreszcie, III Rzeczpospolita weszła do zjednoczonej Europy i NATO – II RP była częścią podzielonej, pełnej napięć Europy, choć oczywiście uważała się za mocarstwo.

– **Zwykle w dyskusjach o dwudziestoleciu 1989-2009 nie mówi się już o II wojnie światowej. Czy dostrzega pan długofalowe skutki II wojny światowej, określające w jakiejś mierze porządek III Rzeczypospolitej?**

– Oczywiście, skutki wojny w pierwszej kolejności określiły kształt PRL, a dopiero wtórnie III RP. Po pierwsze, zniszczenie elity kraju, albo jej emigracja na Zachód. Po drugie, masowe migracje, nie tylko przesunięcie Żabuzan i wysiedlenie Niemców, ale także migracje do miast. To gigantyczna liczba ludzi, którzy zrywają poprzednie więzi społeczne. Wtedy pojawia się społeczeństwo, które Stefan Nowak określał „kupą piasku”. Po trzecie, w wyniku wojny i migracji Polska stała się de facto krajem jednego narodu, a zatem – paradoksalnie – ideał endecki został zrealizowany. Po czwarte, w PRL – która powstała na skutek wojny i ustaleń aliantów – nie kształtowały się nurty polityczne i debata publiczna. Zamiast konfrontowania przeciwstawnych opinii mieliśmy

do czynienia z kształtowaniem się opozycji „my-oni”, „Polacy-zdrajcy”. Umocnieniu uległ stereotyp Polaka-katolika. Została wyniszczona całkowicie tkanka organizacji pozarządowych, społeczna samoorganizacja. Komunizm wykańczał wszelkie próby samoorganizacji ludzi, nawet jeśli dotyczyły one tak przyziemnych czynności, jak wywożenie śmieci z osiedlowych kubłów. To wszystko nadal silnie rzuca na III RP.

Pewnym zanegowaniem skutków wojny jest obecnie tworzenie się społeczeństw lokalnych. Minęły migracje powojenne i doby PRL. Społeczności lokalne zaczęły się stabilizować. W Warszawie widać na przykład kształtowanie tożsamości dzielnic czy osiedli. Jednym z większych sukcesów rządu Mazowieckiego jest wprowadzenie samorządu terytorialnego (gmin). Polska samorządowa to duży sukces. Odradzaniu się tożsamości towarzyszy dbałość o materialny wyraz tradycji i tożsamości, w tym włączanie małej tradycji (nawet poszczególnych spółdzielni mieszkaniowych) w tradycję ogólnonarodową. Szczególnie ciekawie ten proces przebiega na ziemiach zachodnich. Na początku starano się wyciąć w zupełności tradycję niemiecką. Potem przyszedł pomysł, aby wyciąć tradycję Polski Ludowej. Ale jeśli na ziemiach zachodnich usunąć materialne ślady tradycji niemieckiej i PRL, to nie zostanie prawie nic prócz trawy. Dlatego obecnie często poszukuje się korzeni w tradycji niemieckiej, czego przykładem jest Uniwersytet Wrocławski. Podobnie garnizon w Jeleniej Górze w 2002 roku świętował 200-lecie swego istnienia, co raczej trudne jest w przypadku polskiego wojska na ziemiach zachodnich. Także tradycja Polski Ludowej jest kultywowana. Na przykład w katedrze w Kamieniu Pomorskim znajdują się upamiętnienia gehenny syberyjskiej Polaków, odbierane jako jednoznacznie antykomunistyczne, a obok świeżo ufundowana tablica poświęcona pamięci żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, którzy wyzwolili miasto (podkreślam, że użyto terminu „wyzwolenie”).

– **A czy dostrzega pan jakieś niebezpieczeństwa związane z upamiętnianiem tradycji lokalnych? Niektórzy w tym kontekście mówią o pomnikach poświęconych żołnierzom Wehrmachtu na Śląsku.**

– Jest to bardzo trudna sprawa – nie tylko w Polsce. Nieraz zdarza się, że społeczność mniejszościowa należy do narodu zza miedzy, z którym naród większościowy pozostawał w przeszłości w konflikcie. To rodzi problemy z upamiętnianiem spornej przeszłości, czego przykładem mogą być pewne inicjatywy symboliczne mniejszości ukraińskiej w Przemyślu. Oczywiście, Ukraińcy mogą na polskie zastrzeżenia odpowiedzieć, że nie wszyscy Polacy zostali dobrze zapamiętani na ziemiach ukraińskich.

Nie czuję się uprawniony do dawania recept. Generalnie moim zdaniem powinna decydować lokalna społeczność poprzez swoich przedstawicieli, w demokratyczny sposób. Wydaje mi się rozsądne stanowisko, że upamiętnienie bliskich i ofiar jest naturalne, zaś upamiętnianie akcji przeciw Polsce jest niedopuszczalne. Rozsąd-

ne jest upamiętnianie ludzi, którzy padli w różnorodnych akcjach, za które najczęściej sami nie odpowiadali, natomiast nie stosowne stawianie pomników (nie grobów) ludzi, którzy znani są jako pacyfikatorzy i oprawcy. W takich sprawach jestem zwolennikiem samodzielności lokalnych wspólnot. Dlatego uważam działania IPN, mające na celu odgórne ustalanie niedopuszczalnych nazw ulic, za bzdurę. To nie jest rola historyka, który raczej na prośbę lokalnej społeczności powinien dostarczyć wyczerpujących informacji o danej osobie czy zdarzeniu niż narzucać własny światopogląd.

Czasami dochodzi do porozumienia w sprawie spornej tradycji. Przykładem może być Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu. Upamiętniono tam obóz, w którym po II wojnie światowej więziono Ślązaków i Niemców, także zresztą inne grupy ludzi. Dotychczas, o ile wiem, był tylko jeden akt wandalizmu przeciwko temu obiektowi.

– **Wiem, że pojęcie „białej plamy” jest bardzo kontrowersyjne, ale czy pan jako historyk dostrzega tematy czy postaci z lat 1918-1939, które są nieobecne w dyskursie publicznym, a zasługują na to, żeby polskie społeczeństwo o nich wiedziało?**

– Przede wszystkim przypominałbym społeczeństwu polskiemu różne niezbyt chętnie pamiętane fakty negatywne z historii. Nasze społeczeństwo, jak każde, które było w historii poniewierane, wypracowało sobie rozbudowaną ideologię kompensacyjną, zakładającą, że zawsze byliśmy szlachetni i dobrzy, a przy tym ze trzy razy ratowaliśmy Europę. Nie chodzi o rysowanie tylko czarnego obrazu, ale trzeba w tym kontekście przypominać o procesie brzeskim czy Berezie Kartuskiej. Podobnie wiele było ciemnych spraw Polaków w czasie II wojny światowej.

Generalnie inaczej widzę rolę historyka. W moim przekonaniu historyk nie powinien być popularyzatorem prezentującym społeczeństwu gotowe, atrakcyjne obrazki z przeszłości. Historyk nie może też być prokuratorem czy też „wagowym” zasług i zbrodni narodowych. Bardzo bym chciał, aby historycy byli po prostu naukowcami. W tym celu historia musi być nauką, a nie tylko poszukiwaniem faktów. W historii przyjęte są określone metody poszukiwania danych o faktach, krytyki źródeł itd. Natomiast gdy od konkretnych faktów przechodzimy do obrazu określonej epoki, to wtedy najczęściej naukowość się kończy. Chciałbym, aby sprawy historyczne rozpatrywane były jako casusy wiedzy o społeczeństwie, weryfikujące ogólne twierdzenia. Należy uogólniać wiedzę zdobytą w badaniach historycznych. Nie wystarczy opowiedzieć o rządach Piłsudskiego, ale należy ten materiał wykorzystać jako element wykładu o typach autorytaryzmu. Staram się zachęcać młodych naukowców do takiego uprawiania historii. Samemu też chciałbym tak ją badać, ale drogowskazowi na ogół nie jest łatwo iść drogą, którą wskazuje.

– **Dziękuję bardzo za rozmowę.**

Wstęp, czyli śmierć jak kromka chleba

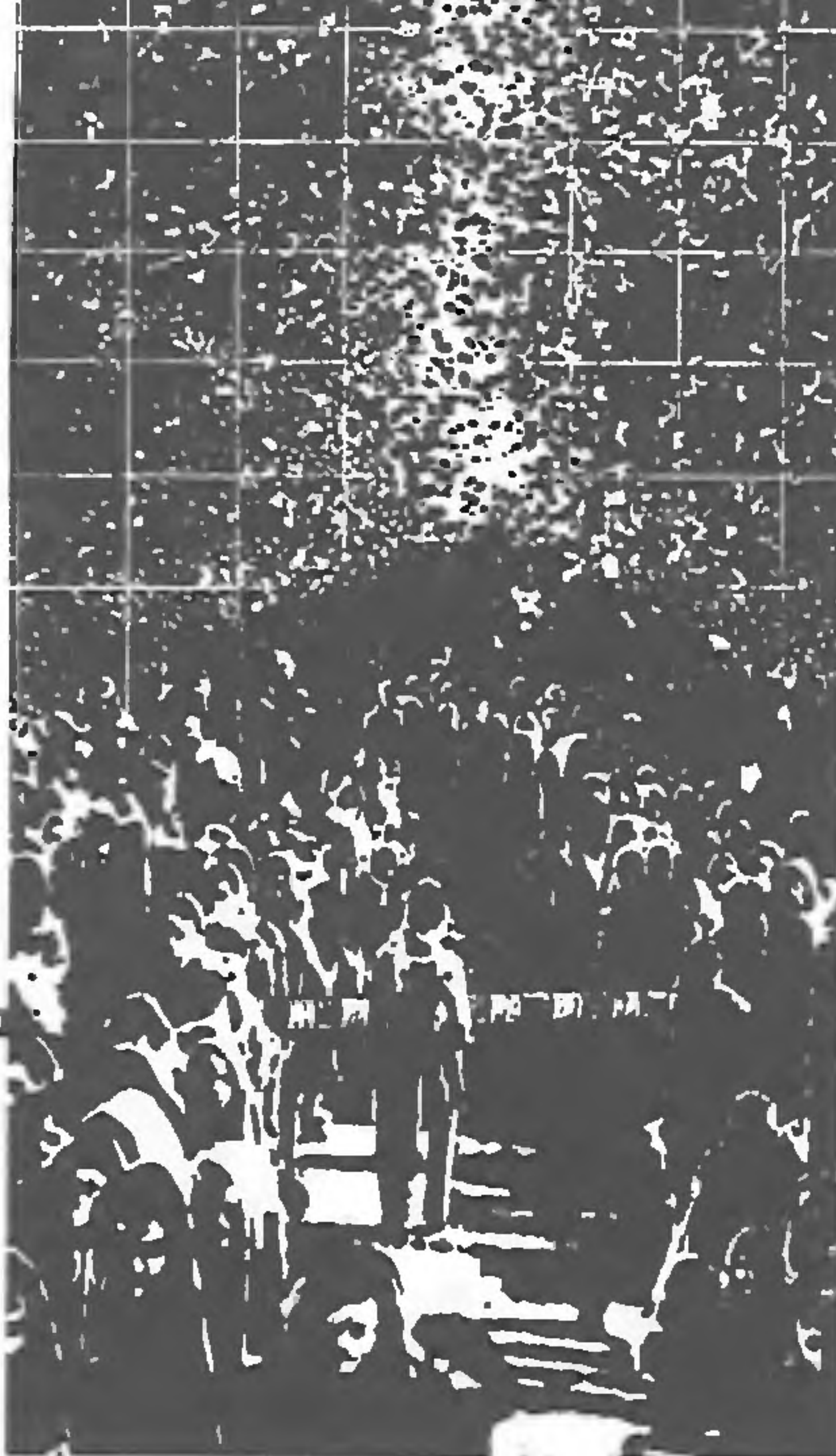
Felieton, który przedstawiam poświęcony został, ze względu na grudniowe święto, problemom bezpieczeństwa w górnictwie, postrzeganego jednak w trojakiej perspektywie: pracowniczej, rodzinnej i wreszcie w odniesieniu do lokalnej społeczności. Już na wstępie odrzucam powszechne myślenie, że praca w górnictwie wiąże się z nadzwyczajnym ryzykiem, a praca w kopalni zakłada ryzyko śmierci, traktowanej normalnie jak kromka chleba, gdyby odwołać się do tytułu filmu Kazimierza Kutza. Sugeruję zupełnie inny typ rozumowania. Śmierć winna być tragicznym incydentem, związanym z nieprzewidywalną naturą i sytuacją, której nie można było w najmniejszym stopniu zapobiec. Zaś w codziennym życiu kopalni winno towarzyszyć przekonanie, że zrobiono wszystko, aby taki incydent się nie pojawił. Odnosi się to do kompetencji pracownika i samoświadomości towarzyszących mu zagrożeń. Do jego poczucia wspólnotowości pracowniczej, do pewności i fachowości nadzoru i wreszcie do osób odpowiedzialnych za kontrolę bezpieczeństwa i nadzoru nad jakością sprzętów zapewniających taki stan.

Porzuć rutynę, bądź asertywny

O bezpieczeństwie pracownika decydują przede wszystkim trzy elementy wymienione w przypadkowej kolejności, gdyż wszystkie one w konkretnych sytuacjach mogą mieć fundamentalne znaczenie. Po pierwsze, kluczowe staje się formalne wykształcenie, eksponujące rejestr zagrożeń, pożądanych zachowań w przypadku ich pojawienia się, poczucie odpowiedzialności za własny i zespołowy los. Edukacja tego typu winna być ustawiczna i nie omijać nawet najbardziej doświadczonych pracowników. Po wtóre, nieodzowne staje się codzienne odrzucanie rutyny i rutynizacji, zwłaszcza w sytuacjach, w których pojawiają się elementy niestandardowe. I wreszcie, po trzecie, niezwykle istotna jest pracownicza wyobraźnia pozwalająca przewidywać, choćby w ograniczonym stopniu, przebieg zdarzeń, zwłaszcza niosących zagrożenia. Oczywisty jest też w tym przypadku bezwzględny rygoryzm w przestrzeganiu norm i reguł związanych z bezpieczeństwem pracy. Asertywność pracownika kierowanego do prac wiążących się z zagrożeniami jest kolejną dyspozycją psychiczną trudną do przecenienia. Najbardziej niebezpieczna jest w takich sytuacjach postawa konformistyczna, uległościowa, wymuszona przez współpracowników czy przełożonych. Jeśli nie pojawia się wówczas w świadomości pracownika mechanizm alarmowy, a zamiast niego rozpoczyna się proces adaptacji do sytuacji, to ryzyko zagrożenia radykalnie rośnie.

Potykać się ze stresem

Kluczowym elementem zagrażającym życiu czy zdrowiu pracownika kopalni i każdego innego zakładu pracy jest stres. Na jego intensywność wpływ mają roz-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Zawód ryzyka i ryzyko w zawodzie

liczne czynniki, pośród których szczególne miejsce przypada przeciążeniu pracą. Z jednej strony chodzi tutaj o zwykłe przeforsowanie fizyczne i wykonywanie pracy nieadekwatnie ciężkiej do możliwości, z drugiej – atmosfera pośpiechu, niezrealizowanego planu i gwałtowna presja czasu. Budowaniu stresu sprzyjają nadzwyczajne warunki pracy, a zwłaszcza zanieczyszczenie hałasem, wilgoć i wysokie temperatury, niska widoczność, klaustrofobiczne przestrzenie. Dla socjologa szczególnie istotny jest klimat pracy, a zwłaszcza relacje między pracownikami, zarówno poziome, jak i pionowe związanie z hierarchią stanowisk. Brak wspólnotowości, konflikty, napięcia emocjonalne, podsycanie rywalizacji to proste drogi do pomnożenia pracowniczego stresu. Sprzyjają mu także poczucie odpowiedzialności za innych, a z drugiej zaś strony – za sprzęt często wielkiej wartości. Równie istotne są w tym przypadku nieprzejrzyste zadania i role, których pracownik nie ogarnia. Jeśli nakłada się na tę sytuację zjawisko nazwane w socjologii presjami krzyżującymi, a zatem zróżnicowane i sprzeczne oczekiwania współpracowników i przełożonych, to egzystencjalne zagrożenie pracownika wzrasta radykalnie. Dodatkowym zagrożeniem są również stałe zmiany funkcjonowania firmy, ciągłe reformy, reorganizacje i po-

czucie braku pracowniczej stabilizacji. Szczególnym stresorem, gdyby użyć tutaj określenia psychologicznego, jest praca przy zadaniach poniżej możliwości i kwalifikacji pracownika, szczególnie deprymująca i wywołująca poczucie niezawinionego upośledzenia, zwłaszcza jeśli odnosi się do prostych repetycji i mechanicznych czynności.

Rodzinę kochać trzeba i szanować

Odrębnego potraktowania w ocenie uogólnionego ryzyka związanego z pracą w górnictwie wymaga rodzina pracownika, zwłaszcza w kontekście wydarzeń tragicznych. Warto podkreślić, że na specjalnej skali sporządzonej przez psychologów śmierć współmałżonka uzyskała maksymalne 100 punktów na stu-stopniowej skali stresorów. Odejście górnika winno być postrzegane nie tylko poprzez pryzmat dramatu najbliższych, ale także bezpieczeństwa egzystencjalnego rodziny, zwłaszcza niepracujących żon i uczących się dzieci. Część z nich z uwagi na relatywnie zmniejszające się zarobki górników w stosunku do zatrudnionych w innych branżach podejmuje działania w szarej strefie ekonomicznej, nie podlegającej rejestracji i fiskalizacji. Przede wszystkim pracują jako pomoce domowe, opiekunki do dzieci czy sprzątaczk. Mówiąc inaczej śmierć górnika, pomijając traumę związaną z dramaturgią tego zdarzenia, zagraża pewności egzystencjalnej całej rodziny, zwłaszcza wtedy gdy był on jedynym żywicielem rodziny. Szczególnie trudna sytuacja czeka te rodziny, w których dominuje poczucie bezradności i opuszczenia, górnicza wdowa nie jest w stanie podjąć wyzwaniom pojawiającym się przed rodziną zdekompletowaną w dramatycznych okolicznościach. Te właśnie rodziny, a zwłaszcza najmłodsi ich członkowie, wymagają zaplecza psychologicznego i społecznego, definiowanego w długim planie, nie związanym z bieżąco definiowaną tragedią. Tutaj szczególnie istotne są fundusze stypendialne, pozwalające osieroconym dzieciom podjąć wysiłek edukacyjny zwłaszcza na poziomie wyższym.

Bilans ekonomiczny i bilans społeczny: próba oceny

Śmierć górników i dramatyczne zdarzenia w kopalniach śląskich skłaniają do naturalnej refleksji nad dwojakim rachunkiem: ekonomicznym i społecznym. Jest oczywiste, że jeśli skala kosztów społecznych związanych z wypadkami i śmiercią pracowników, zwłaszcza przez nich niezawinionych i wynikłych ze zdarzeń nadzwyczajnych, jest wysoka, to należy w sposób naturalny rozważyć dalsze funkcjonowanie kopalni. Odwaga utopii zarządzających polegać będzie wówczas na przeniesieniu zatrudnionych do innej, bezpieczniejszej gruby-dobrodziejki lub wprowadzeniu takich urządzeń i procedur, które ograniczą niebezpieczeństwo, bo zazwyczaj nie mogą go wyeliminować.

Felieton powstał we współpracy
z Anną Śliz z Uniwersytetu Opolskiego.

XIII Śląskie Forum Małej i Średniej Przedsiębiorczości w chorzowskiej Górnośląskiej Wyższej Szkole Przedsiębiorczości im. Karola Goduli zwróciło moją uwagę intrygującym tematem „Ekspansja rynkowa śląskich firm i instytucji sektora kultury i rozrywki”, zgłosiłem się więc do organizatorów, aby posłuchać rozpoczynającej to naukowe spotkanie dyskusji panelowej. Jeszcze przed panelem zapytałem doradcę Marszałka Województwa Śląskiego Łucję Ginko, czy w przyszłym roku będzie więcej pieniędzy na kulturę i dowiedziałem się, że nie. Stwierdziłem zatem, że w czasach kryzysu należy szukać śląskich Medyceuszów, co jest zadaniem dość trudnym, bo tak się składa, że finansowi potentaci wolą sponzorować grającą kompromitująco piłkarską kadrę niż powstawanie jakiegoś arcydzieła. Forum zainaugurował profesor Andrzej Klasik. Jego wystąpienie programowe ilustrowane wyświetlanymi na ekranie tabelami i modelami wyznaczyło ramy panelowej dyskusji, przy okazji zaś mnie – laikowi ekonomicznemu uporządkowało relacje występujące dziś między kulturą a rynkiem. Twórcy i pięknoduchy odbierające ich dzieła koncentrują się jedynie na wartościach (moralnych, filozoficznych, estetycznych i jakich tam jeszcze) ignorując wszystko, co „po drodze”, zwłaszcza zaś zagadnienia związane w jakikolwiek sposób z pieniędzmi. Tymczasem są to sprawy bardzo istotne, ponieważ nie będzie „konsumpcji” bez „dystrybucji”. Niby proste, jednak dziś oznacza to wykorzystanie nowych technologii do produkcji i upowszechniania, towarzyszącą temu infrastrukturę oraz tak ważny w naszych czasach marketing. Sama terminologia może razić wrażliwe ucho czytelnika, widza, słuchacza, zwłaszcza zaś słowa „produkt/wydarzenie” dla określenia tego, co stworzył artysta, jednak w dobie nowych nośników, „cyfry”, internetu tylko uwzględniając wszystkie te rynkowe aspekty można dotrzeć do odbiorcy. I... zarobić – bo firmy oraz instytucje inwestujące w kulturę muszą z czegoś żyć.

W panelu prowadzonym przez Włodzimierza Majera, prezesa zarządu Business Consulting Sp. z oo. uczestniczyli: wspomniana już doktor Łucja Ginko, Adam Hajduga – zastępca dyrektora Wydziału Promocji i Współpracy Międzynarodowej Urzędu Marszałkowskiego, Mariusz Wróbel – dyrektor Bytomskiego Centrum Kultury, Andrzej Kotala – prezes Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie i Andrzej Matysik – redaktor naczelny pisma *Twój Blues*. Nie było w tym gronie poetów, malarzy, kompozytorów, wypowiadali się natomiast „fachowcy”, czy

– może lepiej – „praktycy”, którzy borykają się na co dzień z „materią”, aby nie ginał „duch”. Nie mam zamiaru referować poszczególnych wystąpień, byłoby to zresztą niemożliwe ze względu na wielość i różnorodność poruszanych zagadnień i wątków, natomiast chciałbym skoncentrować się na kwestiach, które zwróciły moją uwagę. Zarówno w czasie panelu jak i późniejszej dyskusji nawiązywano do niedawnego Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie, przypominając jaki opór w śro-

Kultura, pieniądze, region

dowiskach twórczych wzbudziły profesorskie głosy Leszka Balcerowicza i Jerzego Hausnera uważających, że kultura powinna sobie radzić sama, praktycznie bez mecenatu państwowego. Myślę, że na sali było wielu zwilenników takiego liberalnego stanowiska, co wynikało po trosze z bardzo szerokiego zakresu samego pojęcia „kultura”. Wypada się zgodzić z Adamem Hajdugą, że warto korzystać z wzorów zagranicznych, aby na wydarzeniach kulturalnych zarabiać. Prelegent przytoczył konkretny przykład – Ekstra szychtę – imprezę organizowaną w Nadrenii-Westfalii, która gromadzi miliony turystów zainteresowanych zabytkowymi obiektami przemysłowymi. W ciągu jednej nocy wypełnionej różnymi kulturalnymi inicjatywami wspomniany land zarabia ogromne pieniądze. Zysk mają też biznesmeni (restauratorzy, hotelarze, wytwórcy pamiątek itd.) zaangażowani w to przedsięwzięcie. Pomysł, żeby coś podobnego zorganizować na Śląsku, gdzie mamy przecież „Szlak zabytków techniki” jest na pewno godny uwagi. Byłe prywatny biznes dojrzał w tym przedsięwzięciu szansę dla siebie. Na razie tego nie widać, bo np. w „perle architektury” – Nikiszowcu nie ma kafejek, sklepików z pamiątkami itd. Promocją miast śląskich mogą być festiwale. Mówił o tym, posługując się przykładem imprez bluesowych Andrzej Matysik. Szansą województwa śląskiego jest też Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku. Jego prezes, Andrzej Kotala bardzo chce, żeby na terenie parku organizować ambitniejsze imprezy, bo

taka misja zawarta już w samej nazwie tego miejsca. Jednak żeby do tego doszło konieczne jest zainteresowanie prywatnych inwestorów. Jak widać te głosy dotyczyły raczej kultury masowej, czy – jak kto woli – popularnej. W tym kontekście ważne było dla mnie wystąpienie Łucji Ginko, która stwierdziła, że „kultura wysoka” musi być subsydiowana, ponieważ przynosi zysk nie tylko ekonomiczny, ale i społeczny. Poruszyła przy tym niezwykle ważną kwestię, mianowicie konieczność przeznaczania funduszy publicznych na kształcenie odbiorców kultury. Niby to oczywiste, bo bez publiczności wszelka twórczość traci rację bytu, warto jednak o tym mówić, ponieważ w polskich warunkach nie poświęca się tej sprawie dostatecznej uwagi. Nie zapełnią się teatry ani koncertowe sale jeśli nie będzie się kształcić przyszłych widzów i słuchaczy od najmłodszych lat. Lista poruszanych tematów była długa, wszystkich nie omówię, nie mogę się jednak oprzeć pokusie drobnego dokuczenia zwolennikom wolnego rynku w każdej dziedzinie. Otóż Andrzej Matysik – redaktor *Twojego bluesa* – opowiadając o dziesięcioletniej historii pisma wspominał o tym, że złożył wniosek o grant do władz samorządowych, kiedy był tego periodykiem zagrożony. Dowiedział się wówczas, że „prywaciarzom” dotacji się nie daje. Również Ministerstwo Kultury nie wspiera „prywatnej inicjatywy” (dotyczy to m.in. wydawców) żadnymi środkami. Rodzi się pytanie, skąd bierze się opinia, że żyjemy w kraju nadmiernie liberalnym. Tezę, że „prywaciarze” nadal nie są lubiani poparł też Tadeusz Donocik, szef Regionalnej Izby Gospodarczej, który stwierdził, że od przedsiębiorców wymaga się odpowiedzialności społecznej, w żaden jednak sposób nie ułatwia się im działalności. Powołał się przy tym na skomplikowane przepisy dotyczące partnerstwa publiczno-prywatnego, które właśnie w dziedzinie kultury mogłoby przynieść wiele pożytku.

Forum poświęcone ekspansji rynkowej śląskich instytucji i firm sektora kultury i rozrywki było ciekawe i – taką mam nadzieję – inspirujące dla jego uczestników. Jednak reguły ekonomiczne, prawa rynku i mechanizmy związane ze sferą przedsiębiorczości nie mogą kultury zdominować. Dlatego bliskie mi jest zdanie profesora Marka S. Szczepańskiego, który w rozmowie zamieszczonej w poprzednim numerze *Śląska* stwierdził, że twórcy „charyzmatyczni, ci z darem od Boga – ci właśnie powinni mieć wsparcie ze strony państwa”.

BOGDAN WIDERA

Zarówno posiadana wiedza, jak też – co ważne przy prognozowaniu przyszłości – intuicja podpowiadają, że stoimy dziś przed wyjątkową szansą głębokiej przemiany oblicza tej ziemi, szansą wykreowania nowych powiązań i relacji społecznych, twórczego ukształtowania modelu społecznego zgodnego z aspiracjami oraz potencjałem mieszkańców jednego z największych regionów Europy. Wizja ta umocowana jest na silnych fundamentach cech kulturowych właściwych mieszkańcom tego regionu: bogatej tradycji i przywiązaniu do niej, umiłowaniu kultury i czynnego uczestnictwa w niej, szacunku dla pracy i realizacji zadań powierzonych oraz wielu innych. **Mamy przed sobą ogromne zadanie, czy nawet więcej: wyzwanie, jak ujawnionej historycznej szansie, wspartej na fundamencie najlepszych cech tradycji, nadać kształt wizji – i w celu jej skutecznej realizacji opracować właściwą strategię.**

Przedstawiona i przyjęta przez Sejmik „Strategia Rozwoju Województwa Śląskiego na lata 2000-2020” wraz z nowelizowanym obecnie projektem kolejnej wersji strategii są ciekawymi i wielce pouczającymi dokumentami opisującymi sytuację społeczno-ekonomiczną województwa. Jako taki, materiał ten jest dobrym punktem wyjścia, ale tylko punktem wyjścia do dyskusji nad wytyczeniem drogi do osiągnięcia celu głównego: stworzenia śmiałej wizji przyszłości regionu niepowtarzalnego w swej specyfice i ofercie, bogatego w różnorodności odmian życia społecznego, a jednocześnie gwarantującego wysoką jakość świadczonych usług każdego rodzaju, będących magnesem zarówno dla mieszkańców, jak też potencjalnych gości i turystów.

Główną wadą przedstawionej strategii wydaje się jej życzeniowy charakter, ujawniający się

Kultura jako czynnik rozwoju województwa

Kultura, pojmowana w aspekcie jej wpływu na kształt i kierunki rozwoju województwa śląskiego, to zagadnienie kluczowe dla wypracowania wizji przyszłości Śląska.



Foto: Zbigniew Sawicz

Cele główne – i strategię

EUGENIUSZ
KNAPIK

wówczas, gdy na etapie tworzenia podobnego dokumentu przyświeca cel „konsultacji społecznej i szerokiej publicznej debaty”. Nie można negować znaczenia tej ostatniej, jednak dopiero w chwili poddania gotowego dokumentu publicznej ocenie. Strategia może być spójna i efektywna wówczas, gdy opracowywana jest na bazie dogłębnej analizy całości zjawisk, uwzględniającej realia, potencjał i przewidywane procesy, i gdy tworzy ją wąski sztab ludzi, zarządzany jednoosobowo. Dopiero w chwili, gdy jest ona pełna i komplementarna, przed-

stawia się ją, i broni jej podstawowych tez w konsultacji społecznej.

Na płaszczyźnie rozpoznania priorytetów i celów strategicznych regionu, dokument wydaje się bez zarzutu. Jest dla nas wszystkim oczywistym pragnieniem, by Województwo Śląskie było regionem „nowej gospodarki”, kreującym i skutecznie absorbującym nowoczesne technologie, by było regionem o powszechnej dostępności do usług publicznych o wysokim standardzie, a także by było znaczącym podmiotem kreacji kultury i nauki w przestrzeni europejskiej. Ale samo wytyczenie pożądanego celu, a nawet realizacja przedstawionych w projekcie kierunków działań bynajmniej nie gwarantują, że postawione cele zostaną osiągnięte. Istnieje wręcz niebezpieczeństwo, że w obecnej strukturze społecznej i administracyjnej województwa ich wdrożenie będzie spowolnione, częściowe i mało skuteczne. **Właściwie sformułowana wizja to coś znacznie więcej niż lista zadań, do których wykonania już dziś przecież powoływane są wyspecjalizowane instytucje i zespoły. Potrzebne jest działanie na miarę wyzwań czasów, w jakich wizja taka powstaje, działanie spektakularne: coś, co sprawi, że mieszkańcy Górnego Śląska uwierzą w moc sprawczą wielkich idei, niepowtar-**

zalnych szans na jakościową zmianę warunków życia oraz w spełnienie oczekiwań, związanych z zaspokojeniem słusznym ludzkich aspiracji osób zamieszkujących ten wielomilionowy region europejski.

Za główne cele strategii rozwoju Województwa Śląskiego do roku 2020, warunkujące skuteczną przebudowę mechanizmów funkcjonowania struktur administracyjnych i społecznych uważać dziś należy:

1. utworzenie metropolii śląskiej
2. wykreowanie centrum metropolii na miarę najbardziej nowo-

czesnego centrum europejskiego – odpowiednika city, tj. obszaru centralnego grupującego główne instytucje życia publicznego i kulturalnego, promieniujące swym zasięgiem na cały region

3. rozwój nauki i kultury

Trzy elementy-warunki, dokładnie rozpoznane co do swej istoty, wypełnione treścią o maksymalnych jakościowych oczekiwaniach, są jedynym gwarantem prawdziwości i głębokości przemian ustrojowych regionu. Bez tego gwaranta wszelkie inicjatywy i podejmowane działania grzęznąć będą w zakamarkach rozczłonkowanych struktur administracyjnych i – co gorsze – staną się zakładnikami ambicji władz poszczególnych miast. Wszystkie zapisy w projekcie strategii mają szansę pełnej realizacji dopiero po spełnieniu powyższych trzech warunków fundamentalnych. Po przyjęciu takich założeń i wdrożeniu ich w życie niezbędne będą korekty planów komunikacyjnych, spraw związanych z ochroną środowiska, opieką zdrowotną, miejscami wypoczynku, centrami kultury i nauki itd – szczegółowe rozwiązania w tym zakresie muszą zostać podporządkowane celom strategicznym.

Dziś nie czas, by dyskutować o kształcie, jakości i strukturze powiązań miast tworzących metropolię śląską. Im dłużej będziemy odwlekać w czasie rozwiązanie tej kwestii, tym więcej będziemy ponosić strat i tym częściej spotykać nas będą podobne zawody, jak choćby w przypadku Euro 2012. Posługując się dalej metaforą sportową, zadajmy pytanie: kiedy wystawimy jedną drużynę, reprezentującą nas pośród najlepszych drużyn europejskich – uczestników europejskiej Ligi Mistrzów, zamiast kilku drużyn o miernym poziomie, grających w prowincjonalnej III lidze. Ludzką słabością jest, że trenerzy i zarządy owych klubów nie kwapią się, by takie wyższe cele osiągać, bo to i ogromny wysiłek, i niepewność, i odpowiedzialność. Tak zaś jest wygodniej.

Czy jednak na takim fundamencie można budować wizję rozwoju regionu? **Przygotowanie podwalin pod utworzenie metropolii śląskiej jest dziś prawdziwym egzaminem dla elit politycznych oraz elit ludzi kultury i nauki** tu funkcjonujących. Porażka tej idei prze-

kreśliłaby w gruncie rzeczy szansę regionu na odegranie znaczącej roli w przyszłej Europie regionów i zniwelowałaby ambicje mieszkańców na powstanie znaczącego ośrodka nauki i kultury.

Utyskujemy często – i słusznie, że nie stworzony został do tej pory organizm miejski, pełniący funkcję centrum, tętniącego życiem do późnych godzin nocnych – miejsca bogatego w ofertę z zakresu kultury wysokiej i ambitnej rozrywki, miejsca spotkań i życia towarzyskiego wraz z całą infrastrukturą kulturalną: klubami, galeriami, kawiarenkami, restauracjami itd. Aglomeracja nasza jest niezwykle uboga w tego typu przestrzenie publiczne, stąd też nie dziwny się, że nie można w niej wykreować stylu spędzania wolnego czasu. Jednak to nic innego właśnie, lecz kultura jest owym spoiwem, łączącym, identyfikującym i organizującym we wspólnotę społeczność regionalną. Bez stworzenia takich miejsc i takich przestrzeni nie powstanie forum wymiany poglądów i jednoczenia się elit wokół spraw istotnych dla życia intelektualnego, kulturalnego i duchowego reprezentowanej zbiorowości. Nie wykreuje się charakterystycznego stylu bycia właściwego dla specyfiki jej mieszkańców, wreszcie nie powstanie silny ośrodek opiniotwórczy, tak niezbędny dla prawidłowego funkcjonowania organizmu miasta i regionu.

Wielką nadzieją napawa fakt, że zręby takiego centrum o znaczeniu regionalnym powstają już w Katowicach. **Zgromadzenie na małej przestrzeni szeregu instytucji kultury o zasięgu międzynarodowym: NOSPR, Muzeum Śląskiego, Sali Kongresowej, Gmachu Teatru Opery i Baletu, obok istniejących już w niewielkiej odległości Teatru Śląskiego, Filharmonii Śląskiej i dwóch uczelni artystycznych: Akademii Muzycznej i Akademii Sztuk Pięknych, wraz z przygotowywaną przebudową ścisłego centrum miasta i wyposażenie go w obiekty małej infrastruktury kulturalnej, są zapowiedzią stworzenia w niedalekiej przyszłości city na miarę wizji, aspiracji i znaczenia regionu śląskiego.** W żadnym wypadku nie wolno nam już odwlekać decyzji zmierzających do nadania temu miejscu oczekiwanej roli. To może być prawdziwa dusza tętniącej życiem

– również nocnym – metropolii śląskiej.

Organizowane przedsięwzięcia kulturalne, przedstawienia, koncerty, festiwale w obsadzie międzynarodowej będą przyciągać publiczność całego regionu oraz osoby zainteresowane turystyką kulturalną. Zaprogramowana na najwyższym możliwym poziomie działalność kulturalna instytucji i związków twórczych w centrum stanie się kołem zamachowym rozwoju kulturalnego i społecznego całej metropolii i regionu. Pamiętać trzeba, że tworzenie różnorodnych form udziału w kulturze oraz form spędzania czasu wolnego jest także magnesem przyciągającym kapitał inwestycyjny.

Na krótko przed śmiercią jeden z ojców-założycieli Unii Europejskiej Robert Schuman powiedział, że gdyby przyszło mu jeszcze raz rozpoczynać proces integracji unii, zacząłby ją tworzyć na bazie kultury, a nie wspólnoty węgla i stali. Znaczące i znamienne to słowa! Niedoceniana i nierozumiana, traktowana jako sposób na wyrażanie świata emocji przez wąskie grono specjalistów i swych apologetów, kultura stanowi jedyny prawdziwy i trwały fundament rozwoju życia i więzi społecznych. Będąc nośnikiem wartości, wywiera bezpośredni wpływ na jakość życia nawet tych jednostek, które osobiście nigdy nie uczestniczyły w żadnym przedsięwzięciu kulturalnym.

Dlatego tak ważne jest, aby w opracowywanej strategii rozwoju województwa nie postrzegać kultury wyłącznie przez pryzmat jej konsumpcji i zwiększenia udziału jednostek w kulturze, lecz przez pryzmat istotnego wpływu na jakość wszystkich mechanizmów życia społecznego. Bowiem kultura nie istnieje sama dla siebie, ani nie jest wyłączną sprawą osób ją tworzących i wąskiej elity osób nią zainteresowanych. Decyduje ona o kształcie życia społecznego oraz jakości życia jednostki w większym stopniu niż powszechnie się sądzi. Poprawa tej jakości, rozwój duchowy i materialny mieszkańców regionu, spełnienie ich aspiracji należą do fundamentalnych zadań stawianych przed autorami strategii rozwoju Województwa Śląskiego – rozwoju na miarę ogromnego potencjału jego mieszkańców.

Barbórka

MARIA
LIPOK-BIERWIACZONEK

i górniczy świat

Fot. Krzysztof Bierwiazzonek



Orkiestra kopalni Murcki na rynku w Tychach.

*O Barbórko, panno święta,
o górnikach ty pamiętaj,
bo to stan jest użyteczny,
honorowy i konieczny.*

Zacytowane jako motto słowa pieśni ludowej zapisane zostały przez Adolfa Dygacza, wybitnego znawcę folkloru muzycznego Śląska (zmarłego w 2004 roku). We wstępie do zbioru „Pieśni górnicze” prof. Dygacz zwrócił uwagę, że przywołaną pieśń śpiewano na melodię starej pieśni kościelnej, znanej od kilku wieków. To charakterystyczna koincydencja.

Słowa cytowanej zwrotki skłaniają do refleksji. Brzmi w uszach „*bo to stan jest użyteczny, honorowy i konieczny*” – a tu obok mnie na stole piętrzy się stos artykułów prasowych z jesieni tego roku, których tytuły wołają: „*Śląsk nie potrzebuje węgla*”, „*Pustka po kopalniach*”, „*Zróbmy porządek z kopalniami*”. Te artykuły to fragmenty wielkiej dyskusji o sytuacji górnictwa, jaka przetoczyła się po katastrofie w kopalni Wujek-Śląsk w Rudzie Śląskiej

w dniu 18 września tego roku, w której zginęło kilkunastu górników. Podobnie dyskutowano po poprzednich wielkich katastrofach. Gorące dysputy toczyły się też dziesięć lat wcześniej, gdy realizowano program restrukturyzacji górnictwa i zamykano kopalnie.

Nie jest zatem łatwo dzisiaj, w atmosferze przygotowań do świętowania Barbórki 2009, która niekoniecznie będzie radosna, pisać o naszych śląskich tradycjach górniczych. Trudne zadanie. Ale może sięgnę do pieśni górniczych, których Adolf Dygacz zebrał tak wiele – wiekowe wersy ich tekstów niech posłużą jako przewodnik i klucz porządkujący refleksje „wokół Barbórki”.

***Graj oberka, graj mazurka,
bo to dzisiaj jest Barbórka
– czyli upaństwowianie Barbórki***

S tarsi mieszkańcy Śląska, zwłaszcza ci zaliczani do średniego pokolenia, z dzieciństwem przypadającym na lata PRL-u, dobrze pamiętają ze swoich młodych lat wizyty górnika w galowym

mundurze w przedszkolu w dniu 4 grudnia bądź w przeddzień i coroczne akademie barbórkowe w szkole. Każde śląskie dziecko w tamtym czasie chociaż raz w życiu kleiło górnicze czako z kartonu z papierowym pióropuszem, każde uczyło się śpiewać „*Górnice skarby pod ziemią...*”. Kiedy zatem mieszkało się na Śląsku, nie trzeba było nawet mieć górnika w rodzinie, żeby odczuwać szczególny nastrój Barbórki. Górnicze święto wplatanie do programu edukacyjnego i wychowawczego szkół, w prasie i telewizji pełno było relacji z uroczystości barbórkowych z udziałem „najwyższej władzy”. Pracownicy górnictwa mieli dzień wolny od pracy. Barbórka nabrała cech oficjalnego, państwowego ceremoniału. Awansowała bardzo wysoko, wychodząc poza rolę święta jednej grupy zawodowej. To była ważna nobilitacja górniczego środowiska. Ale zarazem to upaństwowienie zawodowego święta odbywało się ze szkodą dla głębszych, kulturowych treści Barbórki.

W czasach PRL-u władza nie przyjmowała do wiadomości, że w tym święcie, obchodzonym 4 grudnia, ważna jest religijna patronka górników czyli św. Barbara, ważne są modlitwy i prośby o opiekę do niej zanoszone. Ba, wszyscy starsi pamiętają z tamtych czasów uporczywe używanie w prasie – nie tylko ogólnopolskiej, także w gazetach katowickich – nazwy „Barburka”, z takim właśnie zapisem: przez „u” zwykle. Wywoływało to irytację Ślązaków świadomych, że tylko forma „Barbórka” jest prawidłowa, bo wszak nazwa święta pochodzi od Barbory – śląskiej, gwarowej formy imienia Barbara. „Świyn-to Barbórko” – zwracali się górnicy w modlitwie i pieśni do swojej świętej patronki (tak też w cytacie będącym mottem niniejszego eseju). Ta forma ze zdrobnieniem imienia, trochę może familiarna, charakterystyczna jest dla śląskiej ludowej religijności: nasze babki wzdychały pobożnie do „świyn-tej Maryjki” lub „świyn-tego Antonika”, a na Najwyższego mówiły „Pónbó-czek”. Święci, do których można się było zwracać pod zdrobnionym na miarę ludzką imieniem, stawali się bliżsi, relacja z nimi bardziej osobista. Nic dziwnego, że podobnie zwracali się do swej patronki górnicy, którym z racji pełnej niebezpieczeństw pracy szczególnie zależało na bliskiej opiece „Barbórki, panny świętej”.

Forsowanie w latach komunistycznych wspomnianej pisowni „Barburka” było przejawem ignorancji, ale także próbą zatarcia śladów religijnego pochodzenia istoty górniczego świętowania. Miało sens i wymiar symboliczny – to był jeden ze sposobów zeświecczania święta,

którego głównym akcentem miały być akademie, wręczane podczas nich odznaczenia państwowe – a nie nabożeństwa w cechowniach kopalń przy figurze św. Barbary (które w owym czasie w większości zdemontowano i zesłano do magazynów) czy uroczyste msze w kościołach śląskich parafii. „Barburka” pisa-
na przez „u” była także przejawem lekceważenia gwary śląskiej, uznaniem jej za wstydlivy archaizm, odwróceniem się od śląskich korzeni święta.

W czasach przedkomunistycznych Barbórka była w sposób oczywisty świętem górniczej patronki, świeckie elementy górniczego świętowania były dodatkiem – jak chociażby zabawy taneczne, o których wspominają słowa piosenki, zacytowane jako śródtytuł. Ten stary porządek starano się wielkim nakładem sił odwrócić w czasach Polski Ludowej. Najbardziej ceremonialne świeckie świętowanie Barbórki miało miejsce w latach 70. XX wieku, na gigantyczne ówczesne akademie państwowe (organizowane m.in. w „Spodku”) przyjeżdżał do Katowic I sekretarz KCPZPR Edward Gierek z liczną świtą.

Wtedy też rozwinął się niebywale i utrwalił zwyczaj organizowania tzw. karczmy piwnej dla męskich załóg kopalń i innych firm związanych z górnictwem. Wypracowano ich specyficzną obrzędowość, dodano do tego rekwizyty w postaci firmowych kufli do piwa, udekorowanych datą i nazwą kopalni, na produkcji których dobrze zarabiała zakłady ceramiczne. Te pamiątkowe kufle, często o wątpliwej estetyce (czasem wręcz koszmarni), panoszą się w dużej liczbie na półkach meblościanek w wielu górniczych mieszkaniach. Moda na męskie karczmy piwne wyeliminowała dawne zabawy taneczne, na które górnicy chodzili z żonami. Ale sami górnicy karczmy piwne lubili – trudno nie lubić darmowej biesiady, której koszty pokrywała kopalnia, zaczynającej się od obiadu, a wypełnionej konsumpcją dowolnej ilości piwa. Organizatorzy przygotowywali też na te wielogodzinne biesiady powielane śpiewniki, żeby każdy uczestnik mógł się włączyć w zbiorowe śpiewanie. Wodzireje proponowali różne konkursy i zabawy, przyjmowali do kamrackiego grona młodych, którzy rozpoczęli pracę na kopalni w ciągu ostatniego roku.

Przez wszystkie lata PRL-u istniał jednak w obchodach Barbórki nurt równoległy – zwyczaj świętowania rodzinnego. W wielu górniczych rodzinach 4 grudnia przygotowywano świąteczne obiady (rosół z *nudlami*, kluski, rolady i *modro* kapusta), pieczono ciasto. W *gościń* przychodzili krewni. Ten zwyczaj jest żywotny – trwałość przez dziesięciolecia do dziś takiego wzoru rodzinnego

święta poświadczają przeprowadzone rok temu badania Agnieszki Szymuli z Muzeum Miejskiego w Tychach.

W sposobie oficjalnego świętowania duże zmiany przyniósł rok 1989. Barbórce przywrócono właściwy porządek kulturowy. Zniknął dawny ryt partyjny, który zresztą negatywnie oceniali sami górnicy jako przejaw zawłaszczania ważnej części ich zawodowej tradycji. Zamiast zewnętrznej celebracji i ceremoniału państwowego Barbórka ma znów charakter święta grupy zawodowej. Figury i obrazy świętej patronki wróciły do cechowni kopalń. Orkiestry górnicze mogą bez przeszkód grać na uroczystych mszach barbórkowych w kościołach, przy ołtarzach stają kopalniane poczty sztandarowe. Trudne lata branży wydobywczej ograniczyły jednak rozmach oficjalnego świętowania. Obchodzona jest ciszej, a często z refleksjami zaprawionymi gorczyzą i smutkiem. W tym roku nieuchronnie będzie wracać wspomnienie katastrofy na kopalni Wujek-Śląsk.

Miłośnikom dawnych tradycji najbardziej żal porannych, barbórkowych marszów orkiestr górniczych w przykopalnianych osiedlach. Orkiestr jest bowiem mniej niż kiedyś, kopalnie coraz mniej chętnie finansują ich utrzymanie. Kto chce utrwalić na fotografiach poranne barbórkowe koncertowanie – musi dobrze poszukać miejsca, gdzie się takie odbywa. Najlepiej pojechać do katowickiego Nikiszowca. Wszędzie tam jednak, gdzie na kopalni uchowała się górnicza orkiestra – pełni ważną rolę w grudniowym świętowaniu. Chociażby w Kostuchnie, południowej dzielnicy Katowic: orkiestra kopalni Murcki prowadzi poranny pochód z kopalni do kościoła na uroczystą mszę świętą.

*Czy rudy, czy węgle, kruszce,
dolomity, w ciężkiej pracy
łamię górnik pracowity
– czyli nie tylko węgiel*

Zacytowane jako śródtytuł słowa pieśni przypominają historię śląskiego górnictwa. Kiedy dzisiaj toczy się o nim rozmowa – dość pospolicie myślimy wówczas tylko o kopalniach węgla kamiennego. Tymczasem historia górnictwa na Śląsku rozpoczyna się od znacznie starszego kopalnictwa rud. Ziemia okolic Tarnowskich Gór i Bytomia zryta była przez gwarków wydobywających kruszce (rudy srebra i ołowiu) zanim odkryto zastosowanie węgla kamiennego. Rozkwit kopalnictwa srebrnonośnych kruszców w okolicach Tarnowskich Gór przypadł na XVI wiek. Rudy ołowiu kopalano na Górnym Śląsku dłużej i intensywniej. W zebranych przez Adolfa Dygacza pieśniach górniczych wielokroć po-

jawiają się wątki związane właśnie z tym dawnym wydobywaniem: górnicy „*rwą kruszczowe skały*” (profesor zanotował taki tekst w Mysłowicach w 1948 roku), czy „*łamią ruda, łamią węgle, wózki je odwożą ciagle*” (zapisane w Świętochłowicach w 1960 roku). A sto lat przed Dygaczem, w 1843 roku, Józef Lompa zapisał takie słowa pieśni: „*O górniku, ciesz się tym, żeś jest człkiem pożytecznym [...] bo skądżeby brał świat cały złoto, srebro, minerały, kieby nie ludzie górnicy*”.

Warto zatem o starej, kruszczowej historii górnictwa śląskiego pamiętać.

Nie miejsce tu na obszerną opowieść o dziejach śląskiego górnictwa węglowego. Jego początki to między innymi nieznaczne wydobywanie z płytkich pokładów na terenie lasów na północ od Tychów, tam, gdzie później powstała kopalnia i osada Murcki (za czasów niemieckich nazywana Emanuelssegen). W 1657 roku pan na Pszczynie, do którego lasy te należały, nakazał kopać tam węgiel, położony płytko pod ziemią, i wykorzystywać go do opalania kuźnicy w niedalekich Jaroszowicach (dziś dzielnica Tychów). Jaroszowicka kuźnica (pracująca nad wielkim stawem piętrzącym wody rzeki Mlecznej) produkowała sławne wówczas lufy strzelb. Jak wiemy, na dobre zainteresowanie czarnym węglem rozpoczęło się dopiero w połowie XVIII wieku, ale i wtedy pierwsze kopalnie dawały niewielkie wydobywanie, siłami skromnych liczebnie zespołów robotników, drążących tylko płytkie pokłady. Właściciele swoje kopalnie otwierali, zamykali po wybraniu tych pokładów, podejmowali wydobywanie w innym miejscu.

Wreszcie w drugiej połowie XIX stulecia, a zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku zaczęły rosnać patronackie osiedla przykopalniane. Zamieszkałe zwarcie przez rodziny powiązane z jednym pracodawcą – były homogeniczne zawodowo, ale homogeniczne także poprzez pochodzenie z chłopskich rodzin śląskich, z niedalekiej z reguły okolicy.

Ukształtował się specyficzny świat społeczny górniczych osiedli, z ich własnym rytmem życia w ciągu dnia i roku, z wspólnotowym uczestnictwem w zajęciach codziennych i w świętowaniu.

*Kiedy górnik wczas wstaje,
do pracy się zbiera,
żona lampkę podaje,
synek drzwi otwiera
– czyli tradycyjny wzorzec rodziny*

Przez całe dziesięciolecie w modelowej górniczej rodzinie działało się tak, jak u Jasia i Wichty, bohaterów filmu Kazimierza Kutza „Perła w koronie”. On zarabia, chodzi „do roboty na gruba”, ona zajmuje się domem i dziećmi, cze-



Kopalnia Piast w Bieruniu. Tablica upamiętniająca strajk w grudniu 1981 r.

ka na męża z gotowym obiadem. Zmianowa praca mężów górników, komplikująca rytm dnia, a także powszechna przed 1939 mała aktywność zawodowa kobiet, utrwalały ten wzorzec. W czasach Polski Ludowej na taki model rodziny pozwalały dobre zarobki górników, brak ekonomicznego przymusu podejmowania pracy przez górnicze żony.

Dziewczęta, podejmujące po ukończeniu szkoły pracę, rezygnowały z niej zazwyczaj, jeśli wychodziły za mąż za górnik. Status górniczej żony im wystarczył. Od kilkunastu lat ta sytuacja bardzo się zmienia, jak dowodzą badania socjologiczne, przywoływane przez prof. Marka Szczepańskiego.

Przypomnijmy funkcjonowanie tradycyjnej rodziny górniczej.

„Zygor śtyry bije, żona męża budzi, śniadanie mu daje i ku dźwiyrzom kłodzi” – opowiada pieśniczka zanotowana przez Dygacza w Świętochłowicach. Kto pracował na pierwszą zmianę – tak właśnie wstawał do pracy. Słowa pieśni przypominają wszakże, że budziła się o tej wczesnej porze najpierw żona – musiała wszystko „przyrychtować” mężowi do pracy. Kawalerów wyprawiała matka: „Wiele. mój synocku, nakroć dzisiaj chleba? Tyla, mamulicko, co na szychta trzeba”. Przywoływanie w tekstach pieśni tego uświęconego porannego porządku pokazuje, jak bardzo on był ważny. Poza przygotowaniem śniadania do pracy żona (czy matka) była uczestnikiem rytuału pożegnania wychodzącego do pracy – ważny był pocałunek, znak krzyża, słowa „idź z Bogiem” i „zostańcie z Bogiem”. Sakralne elementy pożegnania były nieodzowne, bo wszak w swej podziemnej pracy górnik nieustannie obcował z niebezpieczeństwem i trzeba go było polecić opiece boskiej. Obrzędowe formy pożegnań i powrotów w górniczej rodzinie obecne są w przypominanym już filmie „Perła w koronie”. Jego autor, Kazimierz Kutz, pokazał między innymi rytuał zakładania na palec obrączki ślubnej mężowi górnikowi po jego powrocie z pracy (do pracy „na dole” obrączki się nie zabiera) i umyciu się – to symboliczny znak włączenia do kręgu rodzinnego, do życia w domu „na wyrychu”, gdzie „słoneczko łśni”.

Specyficzny był rytm życia całej społeczności dawnego górniczego osiedla. Świetnie scharakteryzował go Tomasz Nawrocki w swej książce poświęconej społeczności Murcek („Trwanie i zmiana lokalnej społeczności górniczej na Górnym Śląsku. Na przykładzie Murcek”, Katowice 2006). Socjologiczną analizę Nawrockiego dobrze uzupełniają obrazy życia mieszkańców Nikiszowca i Giszowca, odmalowane przez Małgorzatę Szejnert w jej „Czarnym ogrodzie”.

Takie zespoły górniczych osiedli patronackich, jak Murcki, Nikiszowiec czy Giszowiec, projektowane były i realizowane z założeniem, żeby zabezpieczyć nie tylko dach nad głową, ale także wszystkie potrzeby ich mieszkańców. Zaplanowano *piekarnioki* (wspólne piece do wypieku chleba i ciasta) i pralnie, uwzględniono komórki na węgiel i chlewiki umożliwiające chów drobnych zwierząt. Przewidziano pomieszczenia na sklepy, warsztaty usługowe i restauracje, wybudowano szkoły, szpitalki i domy noclegowe dla robotników-kawalerów (*schlafhausy*). Zaplanowano przestrzeń centralną w postaci pla-

cu (rynku). Z czasem tę infrastrukturę mieszkaniową, socjalną i usługową uzupełniał kościół. Przykłady tych trzech osiedli robotniczych pozwalają na zrozumienie fenomenu ukształtowania się wspólnot społeczno-kulturowych – silnie zintegrowanych społeczności lokalnych, żyjących według tych samych wzorów, tym samym rytmem życia codziennego, przeżywających ten sam cykl świętowania. Przede wszystkim zaś – związanych w większości z jednym pracodawcą-patronem. Inne zespoły osiedli robotniczych funkcjonowały pod względem społecznym podobnie, chociaż nie zaspokajały potrzeb mieszkańców tak kompleksowo. Wszędzie jednak, gdzie powstawały *familoki*, domom mieszkalnym towarzyszyły usytuowane w podwórzu rzędy komórek na węgiel i chlewików – każde z mieszkań musiało mieć takie uzupełniające wyposażenie. Podwórze – długi plac między domem a chlewikami – to przestrzeń społeczna, integrująca, pojawiająca się we wspomnieniach starszego pokolenia jako ważny teren zabaw dziecięcych i miejsce na sąsiedzkie *klachy* (rozmowy, plotki).

Przez całe dziesięciolecie rodziny górnicze często wspomagały się uprawiając pola i ogrody. Nawet mieszkańcy Nikiszowca dzierżawili poletka, na których uprawiali zboże i kartofle. To było dobre zabezpieczenie dla rodzin, chroniące przed niedostatkiem. Krystyna Badura, która spędziła dzieciństwo w Murckach, tak wspomina początek lat pięćdziesiątych XX wieku: „Babka [...] zabierała [mnie] w drewnianym wózku z dyszlem na pole na Dolince. Tam była w swoim żywiole, bo pochodziła ze wsi, z gospodarstwa. Pole było nieduże, ale zawsze dzielone na żyto i ziemniaki i stosowany był płodozmian. Trzeba było mieć i to, i to, bo w chlewiku była koza, świnia i kury i wszystko trzeba było zaopatrzyć – no i musiała być śrutka na żur”. Podobnie brzmią dotyczące tego samego okresu wspomnienia Anny Lysko z innej górniczej dzielnicy, z Bogucic: „Moji rodzice [...] urodzili się w Bogucicach [...]. Na parceli, którą mama otrzymała od swoich rodziców, wybudowali dom i obok w chlewiku hodowana była świnia, koza, kury, kaczki. Znajdował się tam jeszcze ogródek, w którym były posadzone warzywa”.

Na poletkach i w ogrodach pracowały nie tylko kobiety, również mężczyźni po powrocie z kopalni. Wielu górników po szychcie wykonywało różne prace polne i ogrodowe, hodowlane, np. przy królikach, ale także różne naprawy domowe. Informator z Nikiszowca opowiadał mi, że jego ojciec po pracy na kopalni szedł jako grabarz na cmentarz, a potem jeszcze na działkę. Nie-

mniej w górniczych rodzinach uznawano prawo mężczyzny, zwłaszcza ciężko pracującego fizycznie, do spędzania wolnego czasu w gronie kolegów, w gospodzie przy piwie i grze w skata. Z tego zresztą powodu sposób spędzania czasu wolnego w dzień powszedni zależny był od płci – kobiety bowiem również spędzały go częściej na rozmowach i wspólnej pracy z sąsiadkami, np. przy wspomnianych *piekarniokach*, przy maglowaniu bielizny itd.

Wszystkie prace domowe należało wykonać w dni powszednie, w niedziele można było pracować tylko przy przygotowaniu posiłków. Z tego rygorystycznego nakazu wynikała zasada, że w sobotę trzeba było posprzątać dom, zamieść podwórko, wyprasować (*wybigłować*) koszule i ubrania potrzebne na niedzielę do kościoła, wyczyścić buty (to ostatnie zadanie przypadało w udziale dzieciom). Te prace wypełniały całe sobotnie popołudnie. Potem należało zagrzać wielki sagan (*kastrol*) wody na piecu, żeby wszyscy członkowie rodziny mogli się po kolei wykąpać. Toteż nie do pomyślenia było, żeby w sobotnie popołudnie mógł przyjść do dziewczyny kawaler *na zolyty*. Wiza *zolytnika* była natomiast mile widziana w niedzielne popołudnie. Był to najlepszy czas na odpoczynek i różne przyjemności: rodzinny spacer, wycieczkę do lasu czy na lotnisko w Muchowcu.

Po codziennej krzątaniu i pracy przychodził czas świętowania, który był czasem wspólnie spędzanym przez całe rodziny. Wyraziste rozdzielenie czasu świątecznego od czasu zwykłego, umiejętność celebracji święta jest silnym rysem śląskiej kultury, który przetrwał do dziś.

Odmalowany obraz tradycyjnej śląskiej górniczej rodziny z lat dawnych wydać się może trochę wyidealizowany. Była wszak też bieda, były choroby, alkoholizm, bezrobocie. I bywały momenty buntu, strajku, protestu.

***Robota stanyła, koło już nie idzie,
wszyscy już strajkują,
bydźcie koniec bydźcie
– czyli o protestach***

W pieśniach górniczych zebranych przez Adolfa Dygacza bardzo liczne są wątki narzekania na biedę, niesprawiedliwe stosunki, wyzysk. Pochodzą one z czasów przedwojennych. W katowickiej Załęskiej Hałdzie zapisał Dygacz takie np. słowa pieśni: „*Dzieci nasze zgłodniałe, na pół obdarte, żony wiecznie schorowane, na pół umarte. Jeno rób, robotniku, śląski niewolniku, a pon będzie popijot i z ciebie się naśmiewot*”.

Po wojnie, w latach zdecydowanie lepszych dla górnictwa, można było zapomnieć o takich tekstach pieśnierek. Sytuacja górniczych rodzin kojarzyła się z dostatkiem, dostępem do specjalnych sklepów z poszukiwanymi towarami, z różnymi przywilejami socjalnymi. Dziś sytuacja się zmieniła, a tamte złote czasy obrosły mitem.

Jest jednak także inny mit – heroiczny. Od wprowadzenia stanu wojennego minęło już 28 lat, ale dla wielu dramatyczne wydarzenia tamtego czasu pozostają niezmiennie ważne. Zwłaszcza na Górnym Śląsku, zwłaszcza w środowisku górniczym. Protest górników Wujka, zbrojne starcie z ZOMO i śmierć dziewięciu górników. Długi strajk pod ziemią w kopalniach Piast i Ziemowit. Ten na Piaście trwał dwa tygodnie – od 14 do 28 grudnia. Te wydarzenia wtopiły się mocno w historię śląskiego górnictwa, a wspomnienie o nich stale odżywa każdego roku w grudniu, wpisując się w atmosferę kolejnych Barbórek.

Nie znajdziemy odbicia tych dramatycznych chwil w pieśniach ludowych – te powstały wszak znacznie wcześniej. Ale znajdziemy ich refleks we współczesnej tym wydarzeniom poezji, w tym w wierszach stanu wojennego z tomu „Czas zamarły” Tadeusza Kijonki, gdzie w utworze „Powiastka” pojawia się postać patronki górników w „dżinsach, kurtce z demobilu”:

*Barbara co noc sypia
w innym familoku.
Ma pewne dokumenty,
jednak twarz Barbary
Každy z miejsca rozpozna,
bo któż nie zna wokół –
Starczy rozwinąć stare górnicze
sztandary.*

.....
*Wszędzie szpicle: w markowni,
przy bramach i w biurach,
W stołówce i kolejkach,
choć ni kroku bliżej,
Przepadła – lecz wciąż nowe napisy
na murach,
radiostacje i druki, czyli trwa
w konspirze. [...]*

Grudzień na Śląsku. Górnicy w mundurach galowych, w pocztach sztandarowych w czasie kopalnianych, kościelnych i gminnych uroczystości. Haftowane sztandary, czerwone pióropusze orkiestr. Atmosfera świąteczna – ale ileż wywołuje różnorodnych refleksji.

Cytaty w śródtytułach zaczerpnęłam ze zbioru: Adolf Dygacz, „Pieśni górnicze”, Katowice 1995.

Na miejscu trwa akcja ratownicza, prowadzona pod nadzorem Okręgowego Urzędu Górniczego w Katowicach i Wyższego Urzędu Górniczego...

Sześć godzin trwała akcja ratownicza uwalniania dwóch górników...

Ratownicy po 111 godzinach akcji dotarli do górnika...

– tyle media. Nic poza tym. A ratownikiem jest się na co dzień, jednak docenianym – od święta. Są więc trochę rozgoryczeni, że o ich pracy mówi się mało i tylko w obliczu tragedii. Bo kiedy nic się nie dzieje, to tak, jakby ich nie było. Tymczasem codzienność mówi sama za siebie...



Ludziom wstęp wzbroniony

Tekst i zdjęcia:
RAFAŁ
DZIAŁACH

Na trasie z Chorzowa do Bytomia już z daleka widać oświetlony budynek Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu. Podjeżdżają samochody. Wkrótce zmiana.

Od 6 do 18, od 18 do 6, jak co dzień. Nie wita mnie niczyje „Szczęść Boże”, a jedynie szczekanie psa Maksa, o którym mówią, że to główny ratownik.

To nie jest szynk, że trzy piwa zamówisz i wszystko jasne

Ratownicy zbierają się w szatni, gdzie za chwilę rozpocznie się codzienny felezunek. Siadają przy szarym stole. Wokół pomieszczenia ustawione są szafki na ubrania, na których położone są worki z ekwipunkiem do akcji. Pod oknem tablica, na stole rzutnik. Mija godzina 6. Dziś przepinka butli tlenowych w aparatach oddechowych i wykład o stężeniu metanu. Wpierw ćwiczenia. Kierownik Pogotowia Specjalistycznych mgr inż. Zenon Jerzyk siada wśród ratowników. Od kilkunastu lat pracuje w CSRG w Bytomiu. Brał udział w licznych akcjach w Polsce, jak i poza granicami kraju. Jest odpowiedzialny nie tylko za ratowników, ale także za wyszukiwanie najlepszego sprzętu do ratownictwa, bo jak podkreśla *czynnikiem ludzki, to nie wszystko. Ratownicy muszą dysponować najnowocześniejszym sprzętem. To jest przyszłość ratownictwa. Sam kilof i łopata, to za mało.*

Na początek podział zastępów. Kto, gdzie i co. Jerzyk szybko przechodzi do konkretów. Dobór w pary. Ratownicy zakładają aparaty z butlami powietrznymi. Jeden gra rolę poszkodowanego, którego butla uległa awarii. Drugi przychodzi z pomocą i ma dokonać tzw. przepinki. Start. Już po chwili słychać głos kierownika: *Panowie! To jest skandal. Szkoda na was patrzeć! Obaj już nie żyjecie. Sytuacja wyjściowa. Kolejna para.* Po ratownikach widać zdenerwowanie: *Panie redaktorze, proszę to wyciąć – próbują rozładować atmosferę.* Kolejna para, ta sama sytuacja. Jeden drugiemu podpowiada: *Mów do niego, nie wstydź się do niego mówić, nie denerwuj się, chłopie, co przerywa Jerzyk stanowczym: Co nie denerwuj? Tu się wkurza, a co dopiero na dole. Nie podpowiadaj im. Sami muszą to przejść.* Ratownicy próbują dalej. Szarpiąc się z butlami powietrznymi na plecach, starają się dobrze wykonać dzisiejsze ćwiczenie. Bez efektów. *10 minut, to jest skandal, panowie! I końcówka w błoto. Chłopie! Na dole nie masz krzeselka, tylko ręce. Gdzie to kładziesz?* – upomina Jerzyk. Poprawiają się. Kolejna zmiana i powtórka. *Niech ktoś to w końcu zrobi, jak należy. Albo chłopą wykończysz, albo nie. I nie ma, że ja was stresuję. Kiedy będzie stężenie na dole, to dopiero zobaczycie, co to znaczy stres.* – Jerzyk nie przerywa. Jest prawie dobrze. Ratownicy znów próbują podpowiadać kolegom. Ale kierownik urywa: *Matka Teresa, sam schrzaniłeś robotę, to siedź cicho. Nie odzywaj się. Panowie! Tak nie można. Jak tak będzie na dole, to czeka was kryminał. Chłopie! Co ty powiesz dzieciom i żonie, jak wyjdiesz z kopalni? Że zabiłeś kolegę?! Ćwiczenia zakończone. Jerzyk podsumowuje: „Panowie, wstyd mi*

za was. Dziś trenować do oporu. To nie szynk, że trzy piwa zamówisz i wszystko jasne”. Ciska. Tyle praktyki na dziś.

paragraf 19

Ratownicy zasłaniają żaluzje, gaszą światła, a z rzutnika pojawia się materiał dotyczący stężeń metanu w kopalniach. Jerzyk tłumaczy ratownikom stopnie zagrożenia. Zadaje pytania. Zmusza ich do samodzielnego myślenia, bo jak podkreśla: *Dobry ratownik, to trochę cwaniak. Jak kłamie, to do końca. Nie wymięka w sytuacjach stresowych, a co najważniejsze – myśli.* Wywiązuje się dyskusja, każdy próbuje przekazać to, co już wie na ten temat. Tak wygląda codzienność. Ratownicy śmieją się, że *jak już przejdzie się felezunek, poranne ćwiczenia, a co najgorsza odpytywanie, to potem szychta jakoś leci.* Mają świadomość tego, że tu na stacji więcej muszą się uczyć, aniżeli pełniąc dyżury przy kopalniach. I wciąż mają w pamięci „Paragraf 19”, który mówi o tym, że ich praca jest dobrowolna, że nikt ich nie zmusza do bycia tutaj. Każdego ratownika obowiązuje w ciągu roku 6 szkoleń: 3 w CSRG w Bytomiu, 3 przy kopalni, w tym 2 na dole, jedno na powierzchni. Po zakończonej odprawie, ratownicy próbują się wytłumaczyć: *Dziś było, jak było, ale na dole, kiedy zjeżdżamy do akcji nie jest tak. Każdy wie, co ma robić. Każdy odpowiada za każdego.* W rozmowach na korytarzu, pomiędzy zakończonym porannym szkoleniem, a podjęciem pracy przez ratowników dowiadują się, że poziom ratownictwa górniczego doceniany jest nie tylko w Polsce. Ratownicy ze Śląska byli proszeni już o pomoc w akcjach w kopalniach w Czechach, na Ukrainie, na stałe współpracują z górnictwem w Meksyku, Argentynie, USA, czy nawet w Chinach. Jerzyk stanowczo podkreśla, że szkolenia są szalenie istotne. Trzymana przez niego dyscyplina, przynosi efekty: *Po czasie wracają ratownicy i mówią, że czegoś się tu nauczyli – zaznacza i dodaje, że tu w Centralnej, jeżeli nie ma akcji, to mniej się robi, za to więcej trzeba się uczyć. Na kopalni jest inaczej.*

Ratownicy po skończonym felezunku udają się do swoich zajęć. Każdy wie, co ma robić. Tak jest również na pozostałych okręgowych stacjach ratownictwa, które podlegają CSRG: w Wodzisławiu, Bytomiu, Jaworznie i Zabrzu. Oprócz tego, każda kopalnia ma swoje punkty ratownictwa górniczego. Kiedy zastępy ratowników nie potrafią poradzić sobie z zaistniałymi zagrożeniami w ich kopalniach, wtedy wzywają na pomoc służby z CSRG w Bytomiu. Ratownicy podkreślają, że bycie ratownikiem na kopalni, a w CSRG, to zupełnie inna praca. Każdy jednak, zanim trafił do Bytomia, swoje musiał przeżyć na kopalni. Jerzyk sta-



Kierownik Pogotowia Specjalistycznych CSRG w Bytomiu mgr inż. Zenon Jerzyk.

nowczo podkreśla, że właśnie tutaj w CSRG *powinni pracować ludzie najlepsi*, dlatego taki nacisk kładzie się na szkolenia ratowników i wpajanie im wiedzy. Podstawowy warunek, by zostać ratownikiem górniczym, to ukończony 21 rok życia i 1 rok pracy w kopalni na dole. Ale to nie wszystko.

Głupcy, którzy są tylko do łopaty

Udajemy się na zewnątrz, do sąsiednich budynków. Ratownicy już sprawdzają wóz pomiarowy, mieszczący się w nim sprzęt, który podnosi ich bezpieczeństwo podczas akcji oraz ułatwia likwidację zagrożeń, służący głównie do gaszenia pożarów. Jedyne takie w polskim górnictwie. Każdego dnia tak samo. Sprzęt, którym dysponują musi być codziennie sprawdzany. Ratownik Krzysztof Achtelek wraz z kierownikiem prowadzą mnie do wyrobisk, w których odbywają się ćwiczenia. Korytarze stworzone są na wzór kopalnianych. Tutaj ratownicy budują tamy, testują różne urządzenia, które później wykorzystuje się do akcji ratowniczych. Przechodzimy przez wyrobiska, gdzie znajduje się baza, taka sama, jaką zakłada się podczas akcji na dole, w kopalni. Jest to miejsce, gdzie muszą meldować się nie tylko ratownicy, ale wszyscy ludzie pracujący w rejonie zagrożenia. Ławy, stoły, nad którymi tabliczki: lekarz, zastęp, sprzęt, centrala telefoniczna, kierownik akcji. Tutaj uczą się schematów, według których przeprowadza się akcje. Z Ukra-

iny ściągnięto specjalne namioty, które rozbija się na dole w kopalni. Przez turbiny tłoczone jest do nich zimne powietrze, co pozwala na stworzenie w nich specjalnych warunków klimatycznych. Tam można odpocząć, a także na spokojnie udzielić pomocy poszkodowanym. Mijamy kolejki do transportu, aż w końcu natrafiamy na wyrobisko przeznaczone do wytwarzania kontrolowanych pożarów. Stosuje się wtedy różne metody gaśnicze i na ich podstawie przeprowadza analizy. Znajduje się też kilkunastometrowy korytarz, zasypany, zawalony rurami, metalem, przez który ratownicy muszą się przedrzeć na sam koniec, wykorzystując ku temu potrzebny sprzęt. Śmiejąc się, Jerzyk mówi: *Jak ratownicy zbyt szybko się nudzą, to posyłamy ich w to miejsce. I pracują tutaj, aż do przebicia się na koniec chodnika.* Wychodzimy z wyrobisk, by udać się do kolejnych budynków, w których znajdują się m.in. klatki do ewakuacji ludzi z szybów – na 3 lub 4 osoby. Dzięki nim możliwe jest uratowanie poszkodowanych, którzy znajdują się nawet 1300 m pod ziemią. Jerzyk podkreśla, że *denerwujące jest to, że ludzie myślą, że my zjeżdżamy na dół, kilof, łopata i koniec. A to tak nie jest. Do tego, żeby ratownicy mogli zjeżdżać na dół i udzielać pomocy, potrzebny jest nowoczesny sprzęt oraz prace profilaktyczne i tym głównie zajmują się ratownicy.*

Na zewnątrz stoją potężne kontenery, w których znajduje się specjalistyczny sprzęt – membranowe generatory azotu,



które pozyskują azot z powietrza atmosferycznego. To zaś pozwala na zmniejszenie zagrożenia wybuchem. Wykorzystuje się je również do gaszenia pożarów. Przy okazji Jerzyk zauważa, że *tu mamy do czynienia z pełną automatyką. I denerwuje mnie to, jak z górników, czy ratowników robi się głupców, którzy są tylko do kilofa i łopaty. A oni się uczą, na okrągło szkolą i muszą dysponować odpowiednią wiedzą.* Chwilę jeszcze dyskutujemy o ostatniej tragedii w KWK „Wujek Śląsk” w Rudzie Śląskiej. Padają słowa pełne goryczy, że górnictwo traktuje się często jak zlepek niedouczonej prymitywów.

Delikatnie, to nie jest kilof!

Około godziny 9 na Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu rozpoczyna się szkolenie ratowników z kopalni „Wieczorek”. Kilkunastu mężczyzn w bazie umieszczonej w wyrobisku czeka na wytyczne. Jednak na początek udają się do Sali Aparatowej. W tym miejscu pracują mechanicy, którzy są odpowiedzialni za aparaturę wykorzystywaną podczas akcji ratowniczych. Ich obowiązkiem jest konserwacja urządzeń, uzupełnianie, przygotowanie do użycia. Pełniący dzisiaj dyżur mechanik Piotr Michalik pokazuje także kamerę, którą wykorzystuje się do znajdowania poszkodowanych: *Kamera działa podobnie, jak noktowizor. Pozwala znaleźć człowieka np. w dymie, po temperaturze ciała* – mówi.

Ratownicy wkraczają na szkolenie. Dziś umiejętność korzystania z aparatów tlenowych. Zakładanie masek, podłączanie do aparatury. Mężczyźni zbyt ostro podchodzą do zadania. *Chłopy! To nie jest kilof! Delikatniej!* – upomina przeprowadzający szkolenie Zbigniew Gil. Od samego początku instruktorzy wpajają ratownikom zasadę ograniczonego zaufania. Każdy z nich,

pomimo że mechanicy sprawdzają sprzęt, musi przed akcją zrobić to samo. Po chwili, kiedy już są wyposażeni w aparaty tlenowe, udają się do sąsiedniego budynku, gdzie znajdują się wyrobiska. Tutaj odbywają się typowe ćwiczenia dla zastępów. W nich tworzy się atmosferę przybliżoną do takiej, jaka istnieje w kopalniach. Począwszy od temperatury powietrza, która niejednokrotnie sięga 40-50°C, przez zadymienie korytarzy, aż po przeszkody, na które ratownicy mogą natrafić w kopalni. Stworzone korytarze są wąskie. Szkoleni ratownicy czołgają się z ekwipunkiem, który w zależności od akcji waży od 40 do ponad 60 kg. W ramach ćwiczeń budują też tamy, które mają chronić podczas wybuchów. Warianty ćwiczeń są bardzo urozmaicone. Po chwili na sygnał ratownicy przedzierają się przez schody, wchodzą w zadymioną salę, by wreszcie wśliznąć się w wąski i niski korytarz.

Kiedy ratownicy ćwiczą, pozostali wykonują prace konserwatorskie, sprawdzają sprzęt, a w głównym budynku CSRG trwają inne prace. Wyszukuje się najnowocześniejszy sprzęt, dyskutuje o korzystnych rozwiązaniach dla ratownictwa i górnictwa. W laboratorium przeprowadzane są analizy, np. gazów. Monitoring kopalnianych gazów prowadzony jest non stop. To właśnie stąd kopalnie biorą tzw. gazy wzorcowe. Na dwóch piętrach, w licznych pomieszczeniach znajdują się specjalne piece, w których przeprowadza się także badania próbek węgla. Podczas akcji w kopalniach ratownicy instalują dodatkowy sprzęt pomiarowy, tzw. chromatografy, które monitorują atmosferę kopalnianą i oceniają stopień zagrożenia. Na podstawie tych badań, analitycy próbują także odpowiedzieć na pytania dotyczące przyczyn tragedii w kopalniach. Jerzyk stanowczo podkreśla, że *Oni wszyscy pełnią funkcje nie mniej ważne, niż ci co zjeżdżają*

na dół. Ratownicy to pierwsza linia frontu, ale nie byłoby ratownictwa bez całego zaplecza i sztabu ludzi. To właśnie naukowcy wspierają nas swoją wiedzą, kiedy przeprowadzamy akcję.

W koszulce z Reeboka na dół nie zjedziesz

Na podwórku, między budynkami stoją karetki oraz autobusy wykorzystywane do akcji. Pełniący dziś dyżur Krzysztof Szołtyś pokazując mi wóz ratowniczy, opowiada o ludziach, którzy trafiają na szkolenia: *Wśród ratowników są różne osoby, ślusarze, elektrycy, wiertacze. To pozwala na wykorzystanie ich umiejętności przy różnych akcjach.* Dziś on odpowiada za autobus, który w każdej chwili musi być gotowy do wyjazdu na akcję. Oprócz niego odpowiedzialność ponosi główny mechanik. W autobusie znajdują się przygotowane butle tlenowe, nosze, worki na zwłoki, sprzęt, aparatura. Podczas alarmu ratownicy z workami, w których znajduje się ich osobiste wyposażenie do akcji, wsiadają do autobusu, gdzie się przebierają i przygotowują do akcji. Każdy ma swoje określone miejsce. W worku, który ratownicy zabierają podczas wezwania, znajduje się hełm, odzież robocza, gumowce, lampka. Ratownik Zbigniew Mazur śmieje się, mówiąc: *W koszulce z Reeboka na dół nie zjedziesz. Wszystko musi mieć swój atest.*

Chłopie, tyś nie jest człowiek

Są zagrożenia, które kopalnie likwidują własnym sumptem. Ale, jeżeli zagrożenie jest większe i nie potrafią temu zapobiec własnymi zastępami, to wtedy proszą nas o pomoc. My z centralnej jesteśmy wzywani do największego syfu. My jedziemy tam, żeby to wszystko połapać – podkreśla Szołtyś. Podczas jednej z akcji pewien młody, niedoświadczony ratownik natrafił na tabliczkę z napisem „Ludziom wstęp wzbroniony”. Kiedy chciał się wycofać z akcji usłyszał od kolegów: *Chłopie, tyś nie jest człowiek, tylko ratownik, idź dalej!* Jeden z ratowników ze smutkiem podchodzi do mnie i pyta: *A jakby się pan czuł, kiedy cała kopalnia jest ewakuowana, a my musimy zjechać na dół i jesteśmy tam zupełnie sami?*

Gołębie cierpiały, a biskup podawał deskę

Po chwili Jerzyk wraz z Szołtysem wspominają zawalenie Hali Targowej w Katowicach podczas wystawy gołębi. Oburzony mechanik opowiada o konferencji prasowej po akcji w Katowicach: *Tam był biskup, który w pewnym momencie powiedział mediom, że pomagał, że podawał jakąś deskę. A ja się pytam – Człowieku, co ty mó-*

wisz? Tam nie było żadnych desek! Jerzyk przytakuje i wspomina, jak również podczas tej konferencji, w obliczu tragedii, kiedy zginęło 65 ludzi, jakiś profesor wygłosił wykład o cierpieniu gołębi. Nie kryją swojego oburzenia, bo do podobnych paradoksalnych sytuacji, kiedy inni próbują wybić się na ich plecach, dochodzi często. Ratownicy nie kryją też swojego zażenowania, kiedy podczas tragedii na kopalniach, czy przy okazji Barbórki pojawiają się politycy: *Niech ich wezmą tam, gdzie jest błoto, brud, gdzie się coś dzieje, a nie zwożą ich na dół i pokazują wymalowane chodniki. Złożą arbajty, zjadą z ochroną, pokazówka zrobiona i potem taki jeden z drugim z rzędu myśli, jak ci co pracują na kopalni, jak oni mają się dobrze. I jakby mogli to by im rozwinęli czerwone dywany* – mówią.

Po Halembie kupiłem sobie nowy samochód

Pomoc w ratowaniu ludzi w Hali Targowej w Katowicach to nie jedyna pozakopalniana akcja, w której brali udział ratownicy górniczy. Wykorzystywani są do akcji m. in. wraz ze Strażą Pożarną. Ratownicy wspominają akcje w zawalonych budynkach, podczas zaszczepień ludzi, a także z roku 1997, podczas powodzi stulecia. Jednak codzienność wydaje się inna. Kiedy nie ma tragedii, to tak, jakby ratowników nie było: *Jak się nic nie dzieje, to nam zazdrozczą. Wy to się macie dobrze. Ale kiedy jest tragedia, kiedy wszyscy uciekają, a my musimy zjechać na dół, to wtedy milkną. Nie ma już zazdrości* – mówi jeden z ratowników, a inny stanowczo dodaje: *Kiedy jest cisza i spokój, to jesteśmy zerem.* Jerzyk wspomina jedną z rozmów ze znajomym, który po jednej z akcji powiedział do niego: *Wy tylko czekacie na akcję, żeby coś się stało, bo wtedy to możecie zarobić*, na co mu z ironią odpowiedział: *Tak, po Halembie kupiłem sobie nowy samochód.* Ratownicy przywołują inne zdarzenia. Mówią: *wśród nas nie ma bohaterów, ale wspominając uratowanie górnika Zbigniewa Nowaka, który spędził pod ziemią 111 godzin, z żalem podkreślają, że to z niego zrobiono bohatera, podobnie, jak wcześniej z Alojzego Piątka, który uwięziony pod ziemią przeżył 9 dni: Oni mieli szczęście, była wola walki o życie, ale czy są bohaterami? Nikt nie mówi o tym, co my musimy zrobić, żeby uratować człowieka. Media milczą, a myśmy musieli drapać paznokciami, żeby się do nich dostać.*

Bo kochanki martwią się najbardziej

Każdy z nich udając się na akcję, przeżywa chwile zagrożenia własnego życia. Ale nie myślą o tym: *Nie*



Pomnik potomków Górniczych użytkowany w Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu.

jesteśmy wariatami. Mamy swoje rodziny, żony, dzieci i też się boimy. W domu milkną, nie mówią, co przeżyli, bo nie chcą martwić bliskich: *Po co ma się martwić moja żona? Żony bardziej się denerwują niż my, a inny dodaje żartobliwie: A kochanki jeszcze bardziej.* Jan Gaura wspominając swój udział w akcji na KWK „Halemba” mówi: *My musimy żyć dalej, nie możemy tego roztrząsać. Jak po Halembie, wyjechałem na powierzchnię, wróciłem do domu, wykopałem się i poszedłem na ogródek skosić trawę. Trzeba żyć dalej.* A na koniec jeden z ratowników puentuje: *Jednym słowem – bohaterów wśród nas nie ma.*

Banan jest największą zapłatą

Zbliża się godzina 13. Ktoś przyniósł Zgrzyby z lasu, są jajka, ratownicy smażą jajecznicę. Chwila przerwy, kawa, papieros, posiłek. Maks biega między ratownikami, którzy go głaszczą. Robi się sentymentalnie. Na pytanie – dlaczego wybrali taki zawód – ciężko im jednoznacznie odpowiedzieć: *Tak się stało. Dla jednych to rodzinna tradycja, dla innych ciekawość, wezwanie.* Wezwaniem jest każdy dzień, który nigdy nie wiadomo, co z sobą przyniesie. Gaura wspomina: *Chłopie, ty nie możesz sobie tego wyobrazić, jak idziemy ratować i kiedy docieramy do górników, jaką oni mają radość na twarzach. Pamiętam takiego górnika, któremu musieliśmy uciąć rękę, bo byśmy go nie wydostali. I do dzisiaj pamiętam, jaki on miał banan na twarzy, jak on się cieszył,*

że będzie żył. To jest do nas największa zapłata. Nie pieniądze.

Jednogłośnie mówią, że zawsze idą po żywego. Bo, *tak samo, jak nie ma się pewności, czy ktoś przeżył, tak samo nigdy się nie wie, czy wszyscy zginęli. Zawsze jest nadzieja.* Jerzyk wspomina zdarzenie, jak po jednej z akcji w kopalni wyjechał na powierzchnię, podbiegł do niego ojciec czekający na swojego syna. Zaczął go dusić i krzyczał: *oni kłamią, powiedz mi, co tam na dole się stało! Nikomu nie wierzę!* Takich sytuacji ratownicy boją się najbardziej. Twarzy rodzin czekających na górników. Unikają konfrontacji. To rozbraja.

Na koniec Jerzyk podkreśla: *Mogę ich ochrzaniać podczas ćwiczeń, ale co im trzeba oddać, to trzeba. W akcji potrafią się sprężyć i za to im chwala. A tego, co robią nie podnoszą do żadnej rangi. W akcji to hieny. Należą się im ciepłe słowa.* Za chwilę ratownicy zagrają między sobą mecz piłki nożnej. To dosyć częste. Pozwala na utrzymanie kondycji, a także na uczenie się pracy zespołowej. Za kilka godzin zakończą swoją dniówkę. Dziś nie było wezwania do akcji. Wrócą spokojnie do swoich rodzin, zajęć. Być może spotkają się poza pracą wraz ze swoimi rodzinami. Znają się nie tylko z akcji, ale także ze spotkań towarzyskich, bo *niejedną wódkę trzeba razem wypić, spotkać się poza pracą, pobyć ze sobą, żeby potem w akcji stworzyć dobry zespół, który będzie potrafił uratować innym życie.*

Na rogu ulic Powstańców i Sienkiewicza, z rozległym ogrodem w głębi, zwraca uwagę willa o charakterystycznej, stylowej sylwetce, zbudowana przed stu laty. To dom, który był własnością Wojciecha Korfantego, o czym informuje niepozorna tablica umieszczona na frontonie. Dom, którego losy okazały się równie dramatyczne co rodziny wielkiego trybuna i przywódcy Ślązków, którzy wybrali poprzez powstańcze zrywy drogę do Polski. Czas już najwyższy, by dom Korfantego służył jego pamięci i społeczeństwu poprzez zmianę jego przeznaczenia i funkcji, ze względu na swoją historię i symboliczne znaczenie.



Elżbieta i Wojciech Korfante na schodach swojej willi w Katowicach.



Foto: Zbigniew Sawicz

gdyby nie było Jasnej Góry czy piekarskiego sanktuarium. W każdym kraju są obiekty, które przyjezdni muszą zobaczyć, a mieszkańców napawają dumą. Jedni mają pałace, inni cuda przyrody. Miasta też szczycą się miejscami magicznymi, kultowymi. Krakowski Wawel, wrocławską Panoramę Racławicką czy warszawski Zamek Królewski zna cały świat. A w Katowicach miejscem magicznym i wizytówką miasta stał się sławny Spodek – i...

W cieniu Hansa Klossa

Katowice to miasto młode, mało sentymentalne, kojarzone z ciężką pracą i familokami ze szczernej cegły w cieniu kopalnianych szybów i hutniczych pieców. Ale przyszedł czas, że w nieczynnych kopalniach urządzono muzea i zaczęli zjeżdżać turyści, by choć przez chwilę poczuć się jak górnicy dołowi na szczybie. Zaczynamy chwalić się szlakiem zabytków techniki. Ale Śląsk to nie tylko skansen wspomnień po wielkim przemyśle.

Każda, nawet najmniejsza miejscowość, szczyci się ludźmi wybitnymi, którzy się w niej urodzili lub mieszkali. I stawia im pomniki lub tworzy muzea. Nie tak daleko, w Bystrej, w willi zwanej „Fałatówką” znajduje się Muzeum Juliana Fałata. W Górkach Wielkich jest Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej. W Istebnej mamy Izbę poświęconą Jerzemu Kukuczce, w Złotym Potoku – Muzeum Zygmunta Krasińskiego, a w Częstochowie Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej. W zakopiańskiej Atmie jest Muzeum Karola Szymanowskiego, a na Harendzie Muzeum Jana Kasprowicz. Lipce mają Muzeum Władysława Reymonta, Obłęgorek Muzeum Henryka Sienkiewicza, zaś Żelazowa Wola – muzeum Dom Urodzenia Fryderyka Chopina. Muzeum ma też Maria Skłodowska-Curie w warszawskiej kamienicy gdzie przyszła na świat. Mało tego, Maria Konopnicka ma swe muzea w Żarnowcu i w Suwałkach, a Maria Dąbrowska w Russowie i Warszawie.

Tymczasem w Katowicach, przy ul. Powstańców stoi okazały dom, którego

Przywróćmy Korfantemu jego dom

BARBARA SZMATLOCH

Miejsca magiczne. Każdy ma swoje, prywatne – z dzieciństwa czy młodości, związane ze wspomnianymi ciepłymi przeżyciami i bliskimi ludźmi. Tęsknimy

do nich, odwiedzamy, idealizujemy. Najczęściej jest to dom rodzinny, z którego wyszliśmy w świat. Są też miejsca kultu religijnego – bo o ile bylibyśmy ubożsi,

czasy świetności i zasługi byłego właściciela przypomina jedynie skromna tablica pamiątkowa na frontonie. Dom, który mógłby stać się dla miasta miejscem magicznym i powodem do dumy z naszej historii. Tym bardziej, że nie mamy nawet muzeum powstań śląskich, bo nie doszło do budowy zaplanowanego obiektu, który miał stanąć w sąsiedztwie Trzech Powstańczych Skrzydeł. Gdy brakło Jerzego Ziętka, nie było już nikogo, kto zrealizowałby nagrodzony w konkursie projekt takiego muzeum. Katowice, stolica województwa śląskiego, miasto gdzie żył i spoczął Wojciech Korfanty, nie zdobyło się dotąd na taki obiekt i stałą ekspozycję poświęconą tamtym wydarzeniom. A teraz, gdy już ostatni powstańcy śląscy pomarli, także pamięć ich historycznych czynów coraz bardziej przygasa; a bywa nawet poddawana interpretacjom, które mają podważyć narodowy charakter powstań śląskich.

Tymczasem dom Wojciecha Korfante- go nadal nie może zostać przekazany na instytucję w służbie jego pamięci i historii Śląska. Słowem: niemoc i bezradność. Czy najwybitniejszy Ślązak XX wieku, człowiek, który przywrócił Polsce Górny Śląsk, nie zasługuje na swoje muzeum? I czy jest, może być odpowiednie miejsce niż dom, w którym żył i z którego 20 sierpnia 1939 r. odprowadzany przez 50-tysięczną rzeszę Ślązaków, udał się w swoją ostatnią drogę, na cmentarz przy ulicy Francuskiej. Został wyniesiony w trumnie?

Wreszcie swój dom!

Willa, o której mowa, usytuowana na rogu ulic Powstańców i Sienkiewicza, została zaprojektowana w 1907 r. przez mistrza budowlanego Paula Frantziocha, który zamieszkał w niej przed I wojną światową. Wcale obszerna, zbudowana z czerwonej cegły i otynkowana tylko w górnej części, z założenia piętrowa, miała cztery kondygnacje – piwnice, wysoki parter, piętro z tarasem wychodzącym na ogród i strych pod spadzistym dachem. Na początku 1923 r. właścicielem domu zostały Polskie Kopalnie Skarbowe na Górnym Śląsku – Spółka Dzierżawna Spółka Akcyjna w Katowicach, a 16 lipca 1923 r., poprzez przewłaszczenie, kupił ją – jak zapisano w księdze wieczystej – poseł Wojciech Korfanty. Do tej pory on i jego rodzina, w zależności od sytuacji politycznej, często zmieniali miejsce pobytu. Mieszkali, nierzadko rozłączeni, w Katowicach, Bytomiu, Berlinie i Poznaniu. Korfanty zaraz po zakupieniu domu zlecił przebudowę jego wnętrza. 10 maja 1924 r. uzyskał od policji budowlanej „zezwoleń na przebudowę domu na nieruchomości przy ul. Sienkiewicza 41”. Zajął się nią jego szwagier, budowniczy Jan Szprot. Wówczas to przeniesiono do sułtereny większość pomieszczeń gospodarczych, dzięki czemu mieszkanie na wysokim parterze zyskało większą przestrzeń. W przyziemiu, oprócz piwnicy, znalazły miejsce także trzy pokoje dla służby, pralnia, dwie spiżarnie, lodownia oraz kuchnia połączona windą z jadalnią.

Głównym wejściem, od strony ul. Powstańców, wchodziło się po kamiennych schodach do holu. Według projektu w przebudowanym domu z 1924 r., na wysokim parterze znajdowały się salon, pokój mieszkalny, kredens, jadalnia, gabinet oraz biblioteka. Nieżyjący już Kazimierz Golus, syn siostry Elżbiety Korfantowej bywał w domu przy ul. Powstańców jako 17-letni chłopiec. Pamiętał, że między gabinetem męskim (tam też było sporo książek umieszczonych w szafach) a jadalnią, mieścił się pokój z książkami. Biblioteka ta mogła liczyć według niego do 3 tys. pozycji, a regały sięgały samego sufitu. Także wnuczka Wojciecha Korfantego, Maria Rupp, nie potrafi dziś ocenić, ile tomów mieściła biblioteka dziadka. – *Była spora. Na środku stał duży, bibliotekarski stół, gdzie odkładało się książki wyjęte z półek. Wokół ścian stały wysokie na dwa metry regały i szafy na książki – wspomina. Na I piętrze oraz na poddaszu usytuowane były sypialnie i łazienka.*

Raut na cześć Paderewskiego

W domu tym Elżbieta i Wojciech Korfantowie podejmowali wielu znanych gości – polityków, artystów i przyjaciół. A jednym z pierwszych był Ignacy Paderewski, który 20 listopada 1924 r. zawitał do Katowic. *Wygłosił przemówienie pełne wielkich akcentów głębokiego patriotyzmu, podnosząc wybitną rolę swego obecnego gospodarza Wojciecha Korfantego w odrodzeniu Śląska.* Na oficjalnym bankiecie powiedział: *Cieszę się serdecznie, że jestem w stolicy polskiego górnictwa. Raduję się z tego całym sercem. Proszę Boga gorąco codziennie, by w przyszłości na niekorzyść Śląska nie zaszła żadna zmiana. Z życzeniami niezmqconego szczęścia dla Śląskiej Ziemi, ku czci zasłużonego ludu waszego wnoszę okrzyk: Niech żyje Lud Śląski. Polska niech żyje.* Wieczorem w domu posła Korfantego został podany obiad, na który zaproszeni zostali także wojewoda śląski Mieczysław Bilski, gen. Kazimierz Horoszkiewicz i przewodniczący Górnośląskiej Komisji Mieszanej Feliks Calonder. Górnoślązaczki w ludowych strojach wręczyły państwu Paderewskim bukiet z napisem na szarfie „Wiernemu Synowi Ojczyzny i Orędownikowi Śląska”. Na wieczornym raucie w domu pp. Korfantych śpiewali Loda Rogińska oraz chór kolejowy. Raut przedłużył się do godziny 1 w nocy.

Dom ten był miejscem wielu poważnych rozmów, ale i radosnych zdarzeń. Jednym z nich był na pewno dzień 5 października 1928 r., gdy gospodarze obchodzili srebrne gody, a przed udekorowaną willą gromadziły się tłumy z orkiestrą i sztandarami. Ale też z tego domu we wrześniu 1930 r. wyprowadzono Wojciecha Korfantego by osadzić go w twierdzy brzeskiej, a na początku kwietnia 1935 r. udawał się na przymusową emigrację. Zaś pod koniec kwietnia 1939 r., gdy wrócił na Śląsk zatroskany o losy Polski w obliczu niemieckiego zagrożenia, w tym domu został aresztowany, a następnie przewieziony do warszawskiego więzienia. A potem wró-

cił raz jeszcze, 18 sierpnia 1939 r. w podwójnej, metalowej i dębowej trumnie. Do domu, który stał się domem żałoby, wnieśli go przyjaciele i członkowie warty honorowej. W urządzanej tam kaplicy przedpogrzebowej, złożono na katafalku, ciało Wojciecha Korfantego i zapalono świece. Ludzie oddawali hołd i wpisywali się do ksiąg kondolencyjnych. Przybyli także, by pomodlić się przy trumnie, księża biskupi Stanisław Adamski i Juliusz Bieniek.

Do rąk własnych obywatela ministra

We wrześniu 1939 r., pozostawiony przez rodzinę, która szukała schronienia poza Śląskiem, dom zajęli Niemcy. Całe wyposażenie wywieziono prawdopodobnie do Berlina (książki, które dziś znajdują się w Bibliotece Śląskiej jako Księgozbiór Wojciecha Korfantego, pochodzą z zakopiańskiej willi „Elżbiecina”). Nowi właściciele przebudowali wnętrze domu. Jak wynika z korespondencji budowlanej, w 1941 r. z dwóch mieszkań wydzielono trzecie i urządzono dodatkową łazienkę. Dokonano też, ze względu na ich zagrzybienie, wymiany drewnianych elementów wewnątrz domu. W piśmie skierowanym 14 czerwca 1941 r. do policji budowlanej znajduje się też dopisek – *że – jeśli chodzi o użytkowanie domu – został on przyznany przez kierownictwo partii hitlerowskiej do dyspozycji doradcy ekonomicznego dr. Mittelstedta.* A w piśmie, które 18 lutego 1942 r. Oberschlesische Bauunternehmung Dipl. Ing. Wolfgang Dronke skierował do policji budowlanej w sprawie odbioru wykonanej przez niego instalacji w domu przy Bernhardstrasse 41, znajduje się adnotacja: kiedyś „Korfanty-Villa”.

Ostatni zapis w starej księdze wieczystej domu widnieje pod datą 16 sierpnia 1946 r. i brzmi: *Elżbietę Korfantową wprowadzono w posiadanie. Na podstawie postanowienia Sądu Grodzkiego w Katowicach z dnia 29 maja 1946 r.*

Powszechnie uważa się, że gdy Elżbieta Korfantowa po II wojnie światowej wróciła do Katowic, willę przy ul. Powstańców sprzedała (z początku dom od niej wynajmowano). Ale jak było naprawdę i czy zrobiła to dobrowolnie? Trochę światła na tę sprawę może rzucić pismo, jakie wdowa po Wojciechu Korfantym skierowała „do rąk własnych ministra górnictwa ob. inż. Jana Mitreği w Katowicach”:

Aktem notarialnym z dnia 17 czerwca 1963 r. nr rep. 8563/63 notariusza Czuba w Katowicach sprzedałam swoje nieruchomości położone w Katowicach przy ul. Powstańców i Sienkiewicza Przedsiębiorstwu Robót Górniczych w Katowicach ul. Lompy 17. Cena kupna została przez rzeczoznawców ustalona na kwotę 455.831 zł. Mimo że się na tę cenę nie zgadzałam, podpisałam akt notarialny. Przy podpisaniu umowy wyraźnie się zastrzegłam, że nie jest to cena ostateczna i że w tej sprawie zwrócę się do Obywatela Ministra o rozstrzygnięcie. Dyrektor Przedsiębiorstwa zgodził się na takie załatwienie dając zapewnienie, że w postę-

powaniu uzupełniającym nie będzie zarzucał, iż cena kupna – sprzedaży która została umówiona w akcie notarialnym, jest ostateczna i wiążąca.

Wobec tego zwracam się do Obywatela Ministra z prośbą o rozstrzygnięcie.

Rzeczoznawcy stanęli na stanowisku, że dom który sprzedałam, jest mieszkalnym. Stosownie do tego ustalili odszkodowanie z art. 8 ustęp 1. O prawa wywłaszczeniowego, czyli odszkodowanie w wysokości odpowiadającej przeciętnym kosztom wybudowania domku jednorodzinnego.

Dom był wprawdzie kiedyś mieszkalnym, ale od 1939 r. zmienił ten charakter i służył wyłącznie celom niemieszkalnym. Gdy w 1956 r. Wydział Kwaterunkowy chciał przeznaczyć dom na cele mieszkalne, Przedsiębiorstwo Transportowe Budownictwa Węglowego które dom użytkowało, wniosło odwołanie i sprawę wygrało. W odwołaniu Przedsiębiorstwo podało, że posiadając 10-letnią dzierżawę przystosowało budynek całkowicie do celów wyłącznie biurowych, którego koszty wynosiły około 100.000 zł. Również poprzedni użytkownicy dokonali odpowiednich przystosowań budynku do celów niemieszkalnych.

Rzeczoznawcy przyjęli więc, iż budynek ma charakter mieszkalnego wbrew oczywistym faktom, a ponieważ dom sprzedałam nie w drodze wywłaszczenia lecz dobrowolną umową, przeto o cenie decydują ostatecznie kontrahenci, tym więcej, że rzeczoznawcy nie są powołani do rozstrzygania o kwestiach prawnych.

Odszkodowanie za budynek niemieszkalny powinno odpowiadać kosztom odtworzenia budynku. Według operatu szacunkowego rzeczoznawcy inż. Górnego z dnia 22 czerwca 1962 r. str. 12 wynosi to 879.629 zł. Jako wdowa po śp. Wojciechu Korfantom zwracam się z całym zaufaniem do Obywatela Ministra z prośbą o ustalenie ceny na powyższą kwotę lub wydanie odpowiedniego zarządzenia wzgl. rozstrzygnięcia.

Czy Elżbieta Korfantową doczekała się odpowiedzi i jaką kwotę za sprzedaż domu ustalono, trudno dziś dociec. Wiadomo jedynie, że nie otrzymała gotówki do ręki – miała wyznaczony roczny limit i do śmierci nie wykorzystwała wszystkiego. Ile – nikt tego nie wie. A co jeśli okaże się, że w księgach wieczystych nadal widnieje nazwisko Wojciecha Korfantego, czy Elżbiety Korfantowej jako właścicieli? To także należy teraz pilnie wyjaśnić, by stan prawny nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Siemieniotka i Bitwa pod Grunwaldem

Wnuczka Wojciecha Korfantego, mieszkająca w Bostonie pani Maria Rupp, tak dziś wspomina dom dziadków:

Gdyby ten dom mógł mówić, ile radosnych chwil i historii by nam opowiedział. Był to dom rodzinny w każdym tego słowa znaczeniu. Wychowywały się tam dzieci Wojciecha Korfantego i jego wnuki, odbywały się posiedzenia i spotkania polityczne o znaczeniu historycznym oraz przyjęcia rodzinne. Wojciech Korfanty nie rozdzielał życia rodzinnego, pracy i zajęć politycznych. Zbieraliśmy się tam często na obiad w niedzielę po mszy św. w kościele Mariackim. Obchodziliśmy tam wszystkie święta, imieniny i inne rodzinne okazje. Boże Narodzenie zawsze obchodziliśmy uroczyście. Piękna choinka, ubrana krakowskimi ozdobami, stała w dużym salonie przed fortepianem i widoczna była przez oszklone drzwi do jadalni. Nie mogliśmy się doczekać aż „aniołek” zapali świeczki. Wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdy na niebie. Wigilia była zawsze wspaniała, a na stole znajdowała się, wśród innych dań, tradycyjnie śląska zupa, którą Dziadek bardzo lubił – siemieniotka. Nam ona nie smakowała i męczyliśmy się przy stole, więc czasem służba się nad dziećmi litowała i talerz z niedojedzoną potrawą sprzątała jak Dziadek nie wi-

dział. Po Wigilii śpiewaliśmy kolędy, były prezenty i dużo radości. Wielkanoc też obchodziliśmy bardzo tradycyjnie.

W tym domu dzieci zawsze były traktowane poważnie, jak dorośli, i brały udział w życiu tego domu. Starsza wnuczka Teresa często towarzyszyła Dziadkowi gdy pisał i pracował w swoim gabinecie. Do dziś wspomina jak bawiła się maszyną do pisania. W bibliotece czytaliśmy, rysowaliśmy przy wielkim stole i bawiliśmy się. Na wielkich przyjęciach kręciliśmy się wśród gości nie zdając sobie sprawy, jakie to były ważne historycznie zdarzenia. Pamiętam też piękny, duży ogród, który był dla nas rajem. Pod oknem dużego salonu kwitły róże, dalej były cieplarnie, ogród warzywny, trawniki, inne kwiaty i dużo ścieżek na zabawy i gonitwy oraz jazdę na rowerze i hulajnodze.

Dom był obszerny, wygodny, z antycznymi meblami, a na ścianach wisiało dużo obrazów i fotografii. Na dole, z wyjściem od ogrodu, znajdowały się mieszkanie szofera, pokoje dla służby i duża kuchnia której używano tylko z okazji specjalnych przyjęć. Do domu od ulicy wchodziło się po schodach do obszernego holu. Po prawej stronie była biblioteka z wielką liczbą książek. Stamtąd wchodziło się do gabinetu Wojciecha Korfantego. Drugie wejście do gabinetu prowadziło przez salonik Babci. Na wprost jadalnia, po prawej salonik Babci obwieszony miniaturkami, po lewej duże oszklone drzwi do sali balowej. Stamtąd mały balkonik i zejście do ogrodu. Na ścianie wisiał wielki obraz „Bitwa pod Grunwaldem”. Druga kuchnia, z wejściem do jadalni, była połączona małym dźwigiem z dolną. U góry trzy duże sypialnie i łazienka, a na poddaszu dwie małe.

Po emigracji Wojciecha Korfantego życie w domu zrobiło się bardzo spokojne. Święta i wakacje, jak się udało, spędzaliśmy odwiedzając Dziadka w Czechosłowacji. Zamiast niedzielnych obiadów zbieraliśmy się po mszy w niedzielę u Otta



Manifestacyjny pogrzeb Wojciecha Korfantego. Tłum u bram domu Wojciecha Korfantego w Katowicach.

na kawę. W willi dalej mieszkali Babcia i najmłodszy syn Witold, choć miał też swoje mieszkanie. Odwiedzałam ją dość często gdy mój ojciec chorował i mamusia spędzała dużo czasu w szpitalu w Krakowie i również jak Dziadek był w więzieniu w Warszawie. Ostatni raz widziałam Dziadka wieczorem jak wrócił do Katowic i w momencie Jego aresztowania. Przyjechałam żeby się z Nim pobawić, a tu straż na schodach przy wejściu, tyle że pozwolili nam się pożegnać.

Następnym razem widziałam Go już w trumnie jak spoczywał w sali balowej z wejściem od ogrodu.

Dom pracy naukowej i muzeum

W 1963 r. dom został przejęty przez skarb państwa i przeszedł na własność gminy Katowice. Obecnie znajduje się w nim przedszkole (rzekomo zgodnie z życzeniem samego Korfanteo, który zmarł w 1939 roku!). Podczas przeprowadzanego w 1992 r. remontu, jak napisano w policyjnym protokole, „w murze budynku” odnaleziono skrytkę. Był w niej pistolet CZ model 27 nr 241813 kaliber 7,65 z dwoma zapasowymi magazynkami. Komenda Wojewódzka Policji w Katowicach złożyła go do depozytu w Muzeum Historii Katowic. Model ten znajdował się w okresie międzywojennym na uzbrojeniu czechosłowackiego wojska i policji. Sądząc jednak po nazwie producenta (Bohmische Wattenfabrik A. G. In Prag) i numerze seryjnym można domniemywać, że został wyprodukowany w czasie II wojny światowej. Kto go umieścił w tajnej skrytce, prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy.

Wojciech Korfanty, po latach przemilczania i zapomnienia jego historycznych zasług, po roku 1990 powraca z politycznego wygnania. O jego miejscu w pamięci Śląska świadczy zdecydowane zwycięstwo w plebiscycie „Gazety Wyborczej” na najbardziej zasłużonego i popularnego Ślązaka minionego wieku. W prawie każdym śląskim mieście ma teraz ulicę swego imienia, a wiele szkół obrało go na swego patrona. Jednak inni polscy politycy mieli po śmierci i mają dużo więcej szczęścia. Choćby emigracyjny przyjaciel Korfanteo Wincenty Witos. W Wierchosławicach znajduje się, utworzone staraniem działaczy ludowych, jego muzeum biograficzne. W domu, w którym ocalało niemal całe wyposażenie – sprzęty, książki, dokumenty i fotografie, przetrwał kompletnie umeblowany gabinet w którym pracował i przyjmował gości. Zaś obok zachowano jego dom rodzinny – dziewiętnastowieczną chałupę. Czy ten przykład nie powinien stać się wezwaniem dla władz samorządowych Katowic i województwa?

Powołano także do życia Muzeum Józefa Piłsudskiego. Obejmować ono będzie nie tylko dworek „Milusin” w Sulejówku, ofiarowany Marszałkowi przez legionistów, w którym marszałek mieszkał w latach 1923-26, ale także dwa sąsiadujące z nią obiekty. A wśród eksponatów zgromadzono nie tylko mundur, buławę i odznaczenia, ale nawet karty którymi ukła-



Wyprowadzenie trumny ze zwłokami Wojciecha Korfanteo z domu w Katowicach.

dał pasjansa. Za rewitalizację terenu, odnowienie zabytków, a także budowę nowego budynku muzealnego zapłaci Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Będzie nawet sala kinowa i kawiarnia. Dla jasności – w dworku Piłsudskiego też znajdowało się przedszkole, lecz bez lęku przed presją jego administratorów poradzono sobie ku chwale Naczelnika Państwa i w służbie historii. A u nas!

Wielcy ludzie dostawali jeszcze za życia, w podziękę za swe dokonania, różne nagrody. Były dworki jako dary od narodu, odznaczenia od władz i wyrazy hołdu przy każdej okazji. Dla Korfanteo były jedynie poniewierka na emigracji oraz zakratowane cele w twierdzy brzeskiej i warszawskim więzieniu. Pod koniec trwającego Roku Wojciecha Korfanteo, podczas którego wydarzyło się wiele, ale nic istotnego, podejmijmy starania o przywrócenie pamięci Wojciecha Korfanteo przynajmniej jego odzyskanego domu. Oczywiście nie zapełni się on od razu eksponatami i pamiątkami. Choć podczas moich październikowych wykładów w pszczyńskim Ratuszu spotkałam sympatycznego pana którego dziadek pracował w Polskim Komisariacie Plebiscytowym i widnieje na zdjęciu przedstawiającym jego kierownictwo i pracowni-

ków (tym samym, na którym u stóp Korfanteo siedzi pies Moryc). Powiedział, że ma w domu zdjęcia i dokumenty z tego okresu które chętnie przekazałby w dobre ręce. A jedna z pań przyniosła pocztówkę wysłaną w 1914 r. z Rewala z adnotacją „siostry Korfanteo”. I choć najprawdopodobniej chodzi tutaj o siostry Elżbiety Korfanteo, ważne są intencje i pamięć. Ludzie mają w swych domach wielkie skarby naszej historii i chcą się nimi podzielić. Ale chcą też wiedzieć, z kim się dzielą i że nie spoczną one w muzealnych magazynach.

Gwarancją takiego zabezpieczenia i właściwego wykorzystania mogłby stać się – znów powołany od podstaw – Instytut Badań nad Śląskiem z siedzibą w Katowicach, zgodnie z uchwałą podjętą podczas uroczystej Sesji Sejmiku Województwa Śląskiego 20 kwietnia br inaugurującej obchody Roku Korfanteo. Należy wierzyć, że okaże się ona wiążąca i do powstania takiej placówki prowadzącej rozległe badania śląskoznawcze dojdzie. A gdyby jeszcze nosił imię Wojciecha Korfanteo i znalazł swą siedzibę w willi przy ul. Powstańców!... (nawet nazwa ulicy jest stosowna). Mogłby też stać się jednocześnie miejscem stałej ekspozycji poświęconej przywódco



Willa Korfantego u zbiegu ulic Powstańców i Sienkiewicza w Katowicach.

powstań śląskich łącząc dwie funkcje – siedziby Instytutu i muzeum biograficznego jako miejsca pamięci Wojciecha Korfantego.

Wbrew wrażeniu z zewnątrz willa Korfantego jest obiektem sporym i liczy ponad 20 pomieszczeń, w tym kilka wcale obszernych lokali o reprezentacyjnych funkcjach (np. obszerna jadalnia to lokal o powierzchni 56 m). Jeśli zliczyć pomieszczenia obejmujące wysokie piwnice, a właściwie przyziemie (z dziennym światłem) oraz pokoje na 3 i 4 kondygnacji, to okaże się, że willa Korfantego to ponad 500 m² powierzchni użytkowej, możliwej do zaadaptowania do nowych funkcji.

Jest rzeczą trudną do usprawiedliwienia, że choć mija już 20 lat od przełomu ustrojowego i odzyskania przez Polskę pełnej wolności politycznej, zaś Wojciech Korfanty po latach politycznej zsyłki w historyczną niepamięć z wolna odzyskuje swoje godne miejsce w dziejach naszego kraju – jako że wciąż jakże wiele jeszcze zaległych spraw związanych z jego historycznymi zasługami i dorobkiem czeka na podjęcie, poczynając od gruntownych badań naukowych i inicjatyw wydawniczych. Jest natomiast sprawą wręcz niepojętą – kwestia odzyskania willi Korfantego przy ulicy Powstańców to sprawa wciąż nietykalna. Odpowiedź zawsze pada ta sama: tam jest przedszkole i nie można go odbierać dzieciom. To zapewne miejsce na takie cele znakomite, ale mimo wszystko dla przedszkola można znaleźć inny budynek, natomiast dom Korfantego jest ten i tylko ten związany z jego dramatyczną biografią w okresie międzywojennym i tragiczną śmiercią. To tu wrócił w trumnie, tu go opłakiwano i pożegnano

w dniach żałoby i stąd wyruszył na cmentarz przy ulicy Francuskiej kondukt pogrzebowy.

Ten dom ma wyjątkową wartość historyczną i symboliczną, toteż musi ponownie stać się domem pamięci Korfantego. w służbie historycznej Śląska i nauki jako takie prestiżowe miejsce stałej ekspozycji prezentującej życie i dokonania w służbie dla Śląska i Polski największego Ślązaka. Czy nie jest to oczywiste i czy w ogóle mogą być co do tego różnice zdań? Chodzi przecież także o symboliczne zadośćuczynienie, skoro willa została zagrabiona rodzinie Korfantego w okolicznościach haniebnych.

Gdy napisałam o takim przeznaczeniu i wykorzystaniu willi wielkiego przodka mieszkającym w Stanach Zjednoczonych jego wnukom – Teresie, Marii oraz Feliksowi, odpisali, że z całego serca popierają ten projekt i cieszą się, że pojawiła się inicjatywa przekazania tego domu na ośrodek twórczej pracy naukowej i miejsca pamięci ich dziadka. Żałują tylko, że nie ma nadziei, by część umeblowania i obrazów się odnalazła, choć jakaś część ocalała jednak i może zostać odzyskana. Tylko trzeba zespolic wysiłki i uznać, jaka powinna być hierarchia celów i wartości w kontekście historii, ale i jako akt naprawienia choćby w części ogrom krzywd doznanych przez Korfantego i jego ograbionej rodziny.

Gdyby można było przyłożyć do ścian tego domu ucho jak do muszli, moglibyśmy usłyszeć wiele tajemnic, ważnych wiadomości i ciekawych zdarzeń. Ale z drugiej strony może i dobrze, że ten dom nic nam nie powie, bo usłyszeliśmyby zapewne, że gdyby Wojciech

Korfanty tak zabierał się za przyłączenie Górnego Śląska do Polski jak my teraz zabieramy się za przywracanie jego pamięci, to Polski do dziś by tutaj nie było.

OD REDAKCJI:

Czy można przystać na stan w jakim znajduje się przez wszystkie powojenne lata Dom Korfantego i uznać związaną z tym bulwersującym faktem sytuację za niemożliwą do rozwiązania. Czas wreszcie spełnić zgodnie oczekiwania wielu środowisk i organizacji, których stanowisko w tej sprawie nie znajduje od lat należytej uwagi. Kilkakrotnie zaangażował się w tę kwestię Związek Górnośląski, proponując stworzenie muzeum Wojciecha Korfantego, niestety bez skutku, choć zaangażował się w to w latach 90. wpływowy poseł Jerzy Wuttke. Również miesięcznik „Śląsk”, jeszcze w roku 1997 (nr 9/23) podjął problem przeznaczenia tego budynku, zgodnie z oczekiwaniami, tak aby mógł „służyć pamięci Korfantego nie tylko w sensie symbolicznym”. Także wniosek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego nie został rozpatrzony z odpowiednią uwagą i zrozumieniem – choć „swoje muzea posiadają przecież Józef Piłsudski, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos a także Władysław Sikorski”. Tylko Wojciech Korfanty nie może się doczekać przekazania domu, który był jego własnością, na cele związane z pamięcią jego imienia i historią wydarzeń, które współtworzył.

CO DALEJ Z DOMEM WOJCIECHA KORFANTEGO?... To pytanie stawiamy naszym Czytelnikom licząc na ich wypowiedzi. Przede wszystkim jednak odpowiedzialnym władzom, które mogą podjąć decyzję co do zmiany funkcji tego wyjątkowego dla miejsca w historii Śląska obiektu, zgodnie z argumentami, które przedstawiła Autorka artykułu Barbara Szmatoch.

Pierścień arcybiskupa

W dniu 20 września 2009 r. prymas Józef Glemp przekazał do Muzeum Powstania Warszawskiego zabytkowy masywny pierścień biskupi ze złota i srebra, wysadzany 24 brylantami, z sercem z zielonkawego minerału zwanego spinelem. Pierścień ten należał do **abp. Józefa Gawliny** (urodzonego w 1882 r. w Strzybniku k. Raciborza i zmarłego w 1964 roku we Włoszech), podarował on go bohatersko walczącej w powstaniu Warszawie. Nie wymienił jednak żadnej instytucji, której należało przekazać pierścień. Teraz, gdy istnieje Muzeum Powstania Warszawskiego, uznano, że jest to najlepsze miejsce dla tej pamiątki po biskupie polowym Wojska Polskiego, który przeżył gorycz klęski wrześniowej 1939 roku a następnie przeszedł szlak bojowy z armią Andersa, uczestnicząc w bitwie pod Monte Casino, a po śmierci, na jego życzenie, pochowano go na tamtejszym cmentarzu.

Warszawska Jesień

W dniach 18-26 września 2009 r. odbył się 52. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”, zdominowany przez muzykę elektroniczną.

Odnutowano kilka ważnych śląskich akcentów. Wydarzeniem festiwalu było wykonanie, po raz pierwszy w stolicy, „Pasji wg św. Marka” Pawła Mykietyna przez **Aukso Orkiestrę Kameralną Miasta Tychy** pod dykcją **Marka Mosia** z udziałem **Urszuli Krygier** mezzosopran, **Macieja Stuhra** – recytacje, **Katarzyny Moś** – głos. Kompozytor rodem z Gliwic, **Aleksander Nowak**, przedstawił prawykonanie swego utworu „Ciemnowłosa dziewczyna w czarnym sportowym samochodzie”. Na festiwalu zagrała również (25 IX br.) **Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia** w Katowicach pod dykcją **Jacka Kasprzyka**.

Bagdad Cafe w Polonii

Krystyna Janda wystawiła i wyreżyserowała w teatrze Polonia musical Percy Aldona i Boba Telsona „Bagdad Cafe”, który wzrusza i jest dobrze zagrany i zaśpiewany dlatego warto, będąc w stolicy, go zobaczyć. Jedną z dwóch głównych kobiecych ról gra **Katarzyna Groniec** (gliwiczanka). 15 października br. ukazał się w sprzedaży nowy jej album „Listy Julii”.

Zawiera on materiały z recitalu, jaki przedstawiła ta wielce utalentowana zabrzanka z pochodzenia, na tegorocznym 30. jubileuszowym Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Są to nowe aranżacje piosenek Elvisa Costello w jej tłumaczeniu. Koncert promujący płytę miał miejsce 26 października br. także w Teatrze Polonia.

Magia wyobraźni

2 października br. w Galerii Sztuki BP przy ul. Grójeckiej w Warszawie odbył się interesujący wernisaż dwóch polskich artystów żyjących za granicą, **Jacka Lipowczana** (rodem z Istebnej) i **Voytka Nowakowskiego**, których łączy *magia wyobraźni*, tak też nazwali swoją wystawę. Często mówi się o malarstwie Jacka Lipowczana, że reprezentuje ono realizm surrealistyczno-fantastyczny, według mnie jednak ze zdecydowaną przewagą fantastyki. Malarz pozostawił po wystawie

Nasi (15) w Warszawie

do sprzedaży 13 prac (ceny od 7 – 9 tys. zł) i pognął do Wiednia i Paryża gdzie będzie wystawiał w listopadzie, aby – jeszcze w grudniu br., wrócić do Polski do Sopotu, gdzie lubi wystawiać w Triada Gallery.

Moszna w Łazienkach

Z kolei 5 października 2009 roku w warszawskich Łazienkach miał miejsce wernisaż prac pochodzących z corocznego *Międzynarodowego pleneru malarzkiego* organizowanego od wielu już lat przez Związek Polskich Artystów Plastyków – Polska Sztuka Użytkowa w Opolu.

Tym razem plener *Zamek Moszna 2009*, zgromadził 31 artystów z Polski, Ukrainy i Czech. Uczestniczył w nim także były wieloletni dyrektor Łazienek prof. Marek Kwiatkowski.

Komisarzem pleneru i wystawy jest 85-letni niestrudzony, plastyk i architekt, **Zbigniew Zbiegni**.

Basia w Kongresowej

W czterdzieści lat od rozpoczęcia swojej działalności artystycznej, w dniu 6 października 2009 pojawiła się prosto z USA na scenie Sali Kongresowej w Warszawie **Basia Trzetrzelewska** (rodem z Jaworzna) ongiś śpiewająca w *Alibabkach*, potem współpracująca z grupą *Perfect*, i wreszcie nasza mega gwiazda sprzedająca swoje płyty w milionach egzemplarzy. Pani Basia przyjechała do Polski promować swój najnowszy, czwarty studyjny album *It That Girl Again*, który już stał się u nas złotą płytą, zaś w USA znajduje się na piątym miejscu listy „Billboardu” w kategorii „współczesny album jazzowy”.

Odyseja gliwicka

Od połowy października do połowy listopada 2009 roku w Galerii Asymetria przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie miała miejsce retroperspektywna wystawa fotografii **Adama Scheybala** artysty fotografika, który, jak wielu jemu podobnych przedwojennych lwowskich inteligentów, osiadł w 1946 roku w Gliwicach, gdzie oprócz pracy zawodowej realizował swoją wielką fotograficzną pasję.

Retrospektywną wystawę nazwano *Odyseją gliwicką*, bo przedstawiono na niej prace pochodzące z lat 50. XX wieku wykonane właśnie w tym mieście. Adam Scheybal zaliczany jest do grona najważniejszych przedstawicieli Gliwickiego Towarzystwa Fotograficznego, do którego, należeli również m. in. Jerzy Lewczyński, Zofia Rydet i Piotr Janik.

Ostatni z braci Ranoszków

Było czterech braci Ranoszków, synów kierownika szkoły w Wierzbii k. Koszęcina Najstarszy **Gerard** był słynnym pilotem i dowódcą 307 Dywizjonu Nocnych Myśliwców Lwowskich Puchaczy RAF-u, drugi **Joachim**, farmaceuta służył jako

oficer w służbie zdrowia na Zachodzie, trzeci **Ginter** – pilot został zestrzelony przez wkraczającą do Polski w 1939 roku Armię Czerwoną a następnie osadzony w Starobielsku gdzie został zamordowany w 1940 roku, najmłodszy **Franciszek** (ur. w 1920 r.) w 1939 roku bronił Warszawy a potem przez Francję trafił do Szkocji gdzie po przeszkoleniu obsługiwał radary sprzężone z artylerią przeciwlotniczą broniącą Anglii. Po wojnie bracia Ranoszkowie wylądowali w Afryce Południowej (RPA).

We wrześniu br., ostatni z nich kpt. inż. Franciszek Ranoszek przyjechał w siedemdziesiąt rocznicę obrony Warszawy na zjazd kombatanów i nieoczekiwanie tu zmarł nie dożywszy 90 lat. Po uroczystej mszy świętej w Katedrze Polowej Wojska Polskiego, w czasie której śpiewał bliski zmarłemu Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, jego prochy zostały złożone do grobu jego najstarszego brata **Gerarda**, w Kwaterze Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, na cmentarzu wojskowym na Powązkach.

Wieczór Korfantego w stolicy

W dniu 27 października 2009 roku o godz. 17., po wielu latach starań Towarzystwa Przyjaciół Warszawy i Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, w roku siedemdziesiątej rocznicy śmierci **Wojciecha Korfantego**, doszło wreszcie do odsłonięcia tablicy pamiątkowej na budynku dawnego szpitala św. Józefa w Warszawie przy ul. Hożej 76/78 (od ul. Emilii Plater) w którym zmarł 17 sierpnia 1939 roku ten Wielki Ślązak.

Odsłonięcia tablicy, w obecności delegacji z woj. śląskiego i woj. opolskiego, w towarzystwie inicjatorów jej ufundowania, dokonała wicemarszałek Senatu **Krystyna Bochenek** i senator **Bronisław Korfanty**, wnuk brata **Wojciecha Korfantego**.

Nieco później, o godz. 18., w Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II odbył się koncert pieśni patriotycznych, religijnych i powstańczych w wykonaniu chóru i orkiestry **Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”**, po którym promowano napisaną przez **Jana F. Lewandowskiego** pierwszą popularną biografię **Wojciecha Korfantego**.

Władze stolicy zlekceważyły te ważne dla Ślązaków uroczystości.

Jarzyna po raz drugi

W dniu 9 listopada 2009 roku w Akademii Teatralnej w Warszawie, już po raz drugi, bardzo prestiżowe wyróżnienie jakim jest nagroda im. Konrada Swinarskiego, przyznawana przez miesięcznik „Teatr”, trafiła do **Grzegorza Jarzyny**. Jury doceniło *reżyserską precyzję i doskonałe wykorzystanie narzędzi teatralnych do budowania nastroju, pięknych obrazów i twórczą wszechstronność* jaką zaprezentował w dwóch przygotowanych przez niego spektaklach: „T. E. O. R. E. M. A. T” i „Między nami dobrze jest”. Jarzyna jest trzecim reżyserem po: **Jerzym Grzegorzewskim** i **Andrzeju Wajdzie**, który tę nagrodę otrzymał dwukrotnie. Dziesięć lat temu, jako rozpoczynającemu wówczas swoją drogę reżyserowi, przyznano mu ją za „Iwonę księżniczkę Burgunda”.

JAN COFAŁKA

Piąta strona świata

KAZIMIERZ KUTZ

*(Fragment powieści „Piąta strona świata”,
która ukaze się w najbliższym czasie
nakładem Wydawnictwa Znak)*

Inadszedł dzień, który wyznaczył los Lucjana. W życiu człowieka przychodzi taki moment, kiedy nasze jestestwo wchodzi na niepowtarzalną trajektorię i leci po niej do kresu wylosowanych dni. Każdy może go w sobie odkryć, jeśli pożyje na tyle przytomnie, by dorosnąć do daru samooceny, choć łatwiej uchwycić ją w życiorysie cudzym, niż własnym. Nie mam tu na myśli przypadku mojego brata, bo wojna jest zbrodnią samą w sobie, zniweczeniem porządku rzeczy, a człowiek się staje liczbą w porządku cyfr. Przypadek ukazania się Matki Boskiej mojej babce może uchodzić za pozaziemskie poręczenie za winy jej ojca, a litościwe serce mojej matki nakazujące zająć się moim ojcem sprawiło, że jestem. Każdy ród jest nanizaniem szczególnych chwil, które płoszą ewentualnego badacza. Nie da się ich przewidzieć, a często i pojąć. Ale każdy ma w sobie moment rozstrzygający o jego życiowej koleinie.

Momentem granicznym w moim życiu była prozaiczna chwila złożenia podpisu na deklaracji przystąpienia do Spółdzielni Mieszkaniowej w Tychach. Musiałem wyprowadzić rodziców z Zadka, bo matkę zżerał reumatyzm. A teraz stawiam pytanie zasadnicze: kto poza mną będzie czynił rachuby w diariuszach Alojza i Lucjana? Sprawa Alojza jest jasna i została po nim pustka. Wojna sprawiła, że jego życie podobne było do losu zdychającego psa. Ale jego dobrowolna śmierć, owa chwila, w której postanowił odłączyć się od przyjmowania cudzej krwi, była ze-

rwaniem nitki życia, łączącej go z Lucjanem. Nitka ta jest li tylko przestrzenią emocjonalną, zwaną przyjaźnią, jest krucha, choć może unieść wymiar tragedii. Intymna przestrzeń pomiędzy nimi, najpierw pomiędzy Tychami a Miechowicami, a potem Tychami, wyspą Bornholm i Jurą Szwabską – gdzie Lucjan wybudował skromny dom – jest sferą tajemnicy, którą chciałbym rozwikłać i poznać.

Dlaczego samobójstwo Alojza pociągnęło za sobą samounicestwienie Lucjana? Choć Adela nie żyła już od trzech lat i jej odejścia nigdy nie przeboleła, miał jeszcze ukochaną Izabelę. „Dziecko Kwiatów”, tak o sobie mówiła. Wprawdzie pięć lat przed śmiercią matki Adela zamieszkała na stałe na wyspach Bahama, ale z ojcem spędzała wszystkie święta. Przyjeżdżała do domu w Szwabii, w którym umarła jej matka, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, by odwiedzić rodzinne strony ojca. I swoje własne. Kiedy Lucjan namawiał ją do wypadu w Beskidy, bo tęsknił za łąkowaniem po ich łagodnych połoninach, reakcja zawsze była taka sama: parskała wymiotnie i mówiła – „Dejcie pokój, fater!”

Nie miał z nią konfliktów, choć od dawna nie rozumiał jej poczynań, bo przepowiednie Marianny potwierdzały się. Nim ukończyła Akademię Muzyczną, była już sławna na całe Niemcy, nie tylko dzięki swoim zdolnościom, ale i dziwnym wybrykom na forum publicznym. Uwielbiała wszelkiego rodzaju demonstracje uliczne i przebieranki, a ponieważ miała przedziwną właściwość, a mianowicie potrafiła w minutę oswoić najdziksze zwierzę, często pokazywała się w miejskim parku z jednoletnim lwem albo lampartem, w stroju plażowym. Dziś żyje w środowisku nowojorskiej elity, jest żoną czarnoskórego kompozytora, tapla się w luksusach, ale jest bezdzietna.

Pytam: czy sławna Izabela Czornynoga pochyli się kiedykolwiek nad losem ojca i przeprowadzi rachubę na moją modłę? Czy zada sobie pytanie, dlaczego odszedł w tak szczególny sposób na dworcu w Hannoverze? Nie, ponieważ nosi w sobie zakalec moralny: w Polsce naruszano cześć jej ojca i jej godność, dlatego radykalnie odcięła się od pępowniny rodu. Zdefektowała się duchowo na własne życzenie, dlatego nigdy nie pozna prawdy, którą drązę, bo nie jest jej do niczego potrzebna. Wyrzekła się swoich stron i basta! A ja myszkuję po cięciwie tajemnicy śmierci jej ojca z powodu własnej prostolinijności i by dowiedzieć się, co stanie się ze mną: czy moja egzystencja samotnika z małą rentą, czy mój nul wart jest jeszcze trwania.

Robię to wyłącznie na użytek własny, bo ogarnęła mnie determinacja badacza, zmierzającego do źródeł Amazonki, ale i dla mojej Komfortowej Damy, bo w przyptywie nadchodzącej depresji opowiedziałem jej o dziwnych zbieżnościach pomiędzy śmiercią Alojza i Lucjana. Bardzo przejęła się sprawą i teraz często mnie o nich pyta. Rozmowy z matką wiele mi dają. Filozofujemy na miarę przestrzenności naszej małej kuchni, choć nie wiemy, na czym polega filozofowanie.

Jaka to wygoda mieć pod ręką swojego starszego sobowtóra! Dzięki mojej Komfortowej Damie zrozumiałem, że podpisując spółdzielczy cyrograf w Tychach, wybrałem swoją prostą drogę. Bo to ona napisała w liście do mnie, kiedy po raz pierwszy wyruszyłem na wielomiesięczną podróż w Polskę:

„Wiesz, że my w naszej rodzinie posiadamy wrodzone przeczucie sensu, stąd się nie miotamy, idziemy przez życie prosto, jakby ono było prostą drogą. Myślę, że i Ty zachowujesz się podobnie, idź więc i Ty prosto przed siebie, bo Twój cel został już wytyczony w momencie Twojego poczęcia w zygocie. Jedną rzecz uważaj sobie za transcendentny obowiązek – kształtowanie swojej osobowości na miarę tej, która określona została w Twojej zygocie. Bo tylko swoją osobowość zabierzesz ze sobą do wieczności.”

Dziś mogę powiedzieć, że jej recepta na życie jest bardzo trudna w realizacji, ale zawsze starałem się trzymać jej wodzy. Jej mądrość jest nadal moim probierzem w codziennej udręce mierzenia się z losem, a nie jest on mnie – i nam wszystkim z budki – przyjazny.

Kiedy po latach odnalazłem jej list, zdziwiła mnie ta „zygota”. Ona zawsze chciała dużo wiedzieć, żyła na obrzeżu naszej grupki samouków z budki, wysłuchiwała sporów i wiadomości ze świata, kiedy chłopcy zachodzili w niedzielę do naszego domu na Zadku. Często odwiedzał ją Alojz, a on na bieżąco śledził w „Problemach” nowinki naukowe. Przyjmowała nowe pojęcia i nazwy, co dobrze o niej świadczy, bo chciała nie tylko wiedzieć, ale i rozumieć pędzący świat.

Nie raz precedzałem życie Lucjana, by uchwycić główny ścieg i po wielu przemyśleniach intuicja podszeptowała mi, że jego wielka chwila musiała zdarzyć się blisko budki. Krążyłem wokół sprawy na poprzednich stronach mojego umysłowego wymazu i nadal krązę. Miewam sny ze stałym motywem walki bokserskiej: śni mi się ring, rozstawiony na podwórku jego ojcowizny, na którym Lucjan walczy z coraz to innym przeciwnikiem. Choć inkasuje wiele ciosów i nawet krwawi, nigdy się nie poddaje. Powoli dochodzę do pewnej hipotezy, choć brakuje mi pełnej jasności, by móc przystąpić do zaokrąglania. Pocieszam się, że pełna jasność jest niemożliwa, bo prawda zawsze kryje się w ciemnościach, jak ta o motywach samounicestwienia moich przyjaciół i nie ma jej końca, nawet kiedy wszystkie komórki sprawcy szczeną w grobowych bezkresach. Ale kto pyta, mniej błądzi i łatwiej podnosi dłonie na przywitanie śmierci, aż ona stanie się pragnieniem.

W porównaniu z Lucjanem, wola odejścia Alojza była końcem jego prostej drogi; wydajesz się być zgodna z przeznaczeniem i rachunkiem własnym. Zaś dramatyczne odejście w miejscu publicznym Lucjana, kryje w sobie pokład zła: jest wolta, która nie leżała w jego charakterze. Dlatego wycucie podszeptuje mi, że wielka chwila Lucjana ulokowana była poza nim, a nawet poza jego świadomością i co gorzej, nigdy jej nie rozpoznał. W tragicznej sytuacji uciekł w śmierć, bo nie znał filozofii prostej drogi mojej Starej Demokracji.

I tu dochodzimy do ważnej poszlaki. Za Lucjanem stała Marianna, matka przedsiębiorcza i władcza: wszystko robiła bez krzyku, ale w płaszczyźnie doczesnej. Moja Szykowna Dama była bardziej nastawiona na sprawy duszy niż ciała. Pod wpływem przeczytanych książek rzeczywiście nasiąknęła demokracją i przezwisko ojca – „Ty Staro Demokracjo!” – nie jest takie głupie, jak się wydaje. Zaś o matce Adeli świadczą tylko domniemania, bo nie dała się nikomu bliżej poznać. Jedno jest pewne: Ma-

rianna i Chrobokowa były zaradnymi wdowami i trapiły je fundamentalne troski związane z dorastającym potomstwem. Adela nadawała się tylko do rodzenia dzieci, kuchni i domu, a Lucjan po patronacie Waltera szybował w obłokach. Oboje potrzebowali wsparcia przy wyborze najważniejszej sprawy – a czy może być ważniejsza sprawa od chęci założenia rodziny? Lucjan i Adela nie postavili sobie takiego pytania, dlatego musiał je za nich postawić ktoś inny, by pomóc im w szczęściu.

Teraz ujawniam istotę rzeczy: wielką chwilą w życiu Lucjana i Adeli był dzień, w którym obydwie matki na peryferiach Roźdzenia pokumały się w trosce o ich przyszłość. I założyły przymierze. Moment ten jest możliwy do ustalenia z dokładnością do kilku dni: był to dzień, w którym do świadomości Czornynożki i Chrobokowej dotarło znaczenie urzędowego powiadomienia o przyjęciu Lucjana na studia medyczne w Rokitnicy. Wtedy ich matczyne instynkty stanęły w płomieniach i obydwie wdowy niezależnie od siebie poczuły wolę, jakiej wcześniej nie doświadczyły. Los ich wzywał! Były jak odcumowanie parostatki po długim postoju.

Pierwszy ruch należał do Chrobokowej, wszak jej sytuacja była gorsza, bo gorzej jest mieć dorastającą córkę niż syna. Nie po to wylegiwała się latami na parapecie kuchni i baczyła na świat, by nie mieć planu na szczęście córki. Była wdową na swoim majątku po przedwojennym uchodźcy z Niemiec do Polski, a uroda i zalety Adeli, plus murowany dom z cegieł pierwszej klasy, były jej kapitałem w licytacji na lepszy żywot samotnej matki z córką. Chrobokowa była dobrą żoną i jest porządną wdową, chciała, by córka była taka sama, bo wiedziała, jak to się robi. Miała to po matce, jej matka po swojej i tak dalej, w najstarsze skiby Płużnicy Wielkiej.

W owo – brzemienne w skutki – sobotnie popołudnie Chrobokowa z gotowym planem w głowie, poszła wcześniej niż zwykle oporządzić sklep Marianny. Obydwie wdowy krzątały się, klientów już ledwo co, Chrobokowa w odpowiedniej chwili podjęła temat Adeli i zaprosiła Mariannę na bonkawa do siebie, bo chciała – jak nadmieniła z płaczem – porady w sprawie córki. Marianna, czuła na ludzkie sprawy, pocieszyła ją i przystała na zaproszenie, bo lęki o Lucjana w jego odnajdywaniu się w nowym świecie stały się jej codziennym utrapieniem i też miała potrzebę rozmowy z Chrobokową, jak matka z matką. Zwłaszcza że w ostatnim półroczu Lucjan pojechał dwa razy do Katowic, a kiedy oderwał oczy od książki, zorientował się, że tramwaj stoi pod myśłowickim kościołem, w tym samym miejscu, w którym rekrut Paulek polował na niemieckiego oficera. Jego „ici ci – German w rzici!”, kiedy chlastał się w goły tyłek na oczach gawiedzi jest dawno umarłą przeszłością, ale kiedy rozmyślam nad Chrobokową, pochowaną na komunalnym cmentarzu w Hanoverze u boku swojej matki, Paulek jawi się w mojej hipotezie w roli głównej. Mam podejrzenie bliskie przekonaniu, że Weronika Chrobokowa przez lata wylegiwania się na parapecie swojego szopienickiego królestwa rozmyślała nad tym, jak nowej rzeczywistości chlasnąć w tyłek. To nie była tuzinkowa persona!

Kiedy Adela wróciła pod wieczór do domu z kąpieliska nad ewaldem, było już po ptokach. Chrobokowa przesunęła krzesło na środek kuchni i kazała cór-

ce usiąść. Wdowy patrzyły na Adelę, a ona na nie. Adeli zrobiło się głupio, myślała o grzechu, którego nie popełniła, ale nie miała odwagi otworzyć ust, oblizywała wargi spieczone słońcem i patrzyła w podłogę. Chrobokowa zapytała Mariannę:

– Musicie przyznać Marie, że mam piykno cera.

Marianna uśmiechnęła się do Adeli:

– No, Chroboczko, mocie w doma bardzo piykno cera – wstała i podeszła do niej, pocałowała ją w czoło.

Oto sekunda, w której zapadła klamka dziejowa! W chwili tej Lucjan był w centrum Katowic, trzymał studencką legitymację w kieszeni, wracał z Rokitnicy do Rożdzenia, a jeszcze godzinę temu Adela moczyła nogi w starym ewaldzie i łowiła dłońmi kijanki, w czasie, kiedy Lucjan zwiedzał toalety swojej uczelni.

Pakt matek wyznaczył prostą drogę Adeli i Lucjanowi na całe ich przyszłe, szczęśliwe życie. Przez uprawnienia, jakie sobie nadały, ich postanowienia miały dostojeństwo i wymiar: objawiły się w nich celtyckie korzenie, bo prakultura Śląska stoi na matriarchacie – na nim zbudowane jest wielowiekowe trwanie Ślązaków. Tradycja celtyckiego matriarchatu jest podłożem naszej inności, bo magiczna władza kobiet nigdzie w Europie nie przejawia się z taką intensywnością jak u naszych matek. No, może poza Irlandią.



Może Kazimierz Wielki, wyrzekłszy się Śląska, pobudził stare matriarchalne geny i one trwają po dzień dzisiejszy: sam jestem przykładem tej energii i my wszyscy z budki. Milionowy exodus Ślązaków w wojennych latach także dowodzi tej pierwotności, podobnej do ptasiego instynktu. Po amputacji narodu żydowskiego na ziemiach polskich, w Auschwitz – trzydzieści trzy kilometry od naszej budki – śląski wyciek może być umykaniem przed kataklizmem, który nadchodził od Wschodu.

U nas każdy ród od zawsze był hodowlą potomków pod władaniem matek. One były boginiami naszej codzienności – od tego są. Nie mieć ojca jest źle – ale nie mieć matki? Tego nikt nie do niczego przyrównać. Kiedy stawał się obrzęd matek, Adeli brakowało dwa lata do pełnoletniości. Tyle czasu miały do rzymskiego ślubu w kościele pod wezwaniem św. Jadwigi, patronki Rożdzenia i Śląska. W niedzielny poranek wdowy poszły wspólnie na mszę, wypowiadały się, przyjęły komunię, oczyściły swoje czyste sumienia z niepopełnionych grzechów, weszły w nisze pamięci po mężach, u nich potwierdziły zgodę na związek dzieci, a potem modliły się o ich szczęście.

Drugi ruch należał do Marianny. W sobotę upiekła u Chęcińskich – dojechały z Bydgoszczy dwie jej tęgie siostry – trzy blachy kołocza z serem, makiem i musem jabłkowym, wszystkie z grubą posypką, tak, jak nauczyła ją matka, bo zaprosiła Chroboczki na bonkawa z cykorią w niedzielne popołudnie. Cała rodzina Czornynogów ubrała się odświętnie, Chroboczki też, a Adela po raz pierwszy w życiu poszła do fryzjera. Z modenheftu wybrała fryzurę *à la* Shirley Temple i zakwitła dziewczęcymi dałerwelami, lok na lok. Mimo to wyglądała na starszą, bo wiosną spęczniał jej biust i wszystkie inne powaby kobiecości. Nie ma co mówić – była piękna! Posadzili ją obok Lucjana i tak się zaczęło ich słodkie życie.

Lucjan, co na nią spojrzał, to rumienił się, bo nigdy jeszcze nie przeżył podobnej sytuacji, choć był jej sprawcą, o czym nie miał się nigdy dowiedzieć. Byli odświętni: Adela, niczym monstrancja wystawiona przed kościół, on, jak robaczek świętojański przed godami. Siedzieli na starych krzesłach po dziadkach, kupionych swego czasu we Wiedniu przez pociotków Mieroszewskich; dziadek Lucjana znalazł je na rumowisku po ostatnim pożarze we dworze, poskładał je, pędzlem przejechał trzy razy fernajzem i są. Dobry mebel jest odpryskiem minionych dziejów, narzeczeni deseczką na kładce wieczności, a ja – w swoim mozole – literką w księdze kosmosu.

Od tamtej niedzieli rodziny oswajały się ze sobą, odwiedzały się z okazji świąt, urodzin matek, aż przyszła kolej na Adelę. Chrobokowa na siedemnastoletnie urodziny córki urządziła bums z muzyką. Przemeblowała duży pokój, posypała podłogę w kuchni startą świeczką, Adelę po raz drugi posłała do fryzjerki, pożyczyła od Chęcińskich patefon z kompletem nie tylko śląskich szlagierów, przeważnie w rytmach walców angielskich, bo są wolne, najbardziej kojące dla partnerów i mają osobliwą właściwość: jeśli ktoś nigdy przedtem nie tańczył, może uratować swój honor.

Kiedy Lucjan dojadł drugi kawałek kołocza i odłożył łyżeczkę, Chrobokowa spojrzała znacząco na cór-

kę, wtedy Adela podeszła do patefonu, nałożyła płytę i uruchomiła urządzenie. Orkiestra smyczkowa podjęła sentymentalną melodię, Adela stała z pochyloną głową nad patefonem, wdowy zastygły w oczekiwaniu, a Lucjan wyjął z kieszeni zadrukowaną kartkę, założył okulary i zaczął studiować ulotkę o zjednoczeniu partii. Adela odwróciła się od patefonu, przetarła spocone dłonie, podeszła do Lucjana i dygnęła przed nim. On zaniemówił, spojrzał w popłochu na Mariannę, ale ona odwróciła głowę, Adela sięgnęła po jego dłoń, potem po drugą i podniosła go z krzesła.

– Adela, jo niy umia tańcować – wyszeptał, a ona na to:

– Jo tyż niy, ale spróbujemy, bo kiedyś trzeba zacząć.

Pociągnęła go przez próg do kuchni i przejęła inicjatywę w tańcu, przyciągnęła go bliżej siebie, była wyższa o głowę, miał pod brodą jej rozległe piersi, pachniały lawendowo, a kiedy wprowadzała go w obrót i włożyła swoje udo pomiędzy jego nogi, zdawało mu się, że traci przytomność, poddał się jej całkowicie. Gdy odważył się podnieść głowę, zobaczył jej zmysłowe, jeszcze przez nikogo nie tknięte usta.

Kotwica osiadła na dnie, ogień na dachu, świat się zakręcił, Lucjan markotniał z dnia na dzień, jeszcze bardziej wsiąkał w książki, choć nie w domu, a bibliotece swojej uczelni. Wychodził z niej ostatni, o ósmej wieczorem, w tramwaju odnajdywał w aktentasi po Walterze matczyne sznitki z kielbasą i zjadał je, by Mariannie nie robić przykrości. W ciemnościach miał dom Chroboków, ale od drugiej strony Męki Pańskiej, tej odleglejszej, i ukradkiem, nie przystając, zaglądał w ich kuchnię, potem wspinał się na swoje poddasze i opadał na krzesło przy biurku. Kiedy słyszał kroki Marianny na schodach, zapalał lampę na biurku i otwierał książkę. Przynosiła mu kolację, pytała o to i tamto, przyglądała się synowi ukradkiem, ale nie napraszała się, choć otaczała go troskliwością większą niż onegdaj.

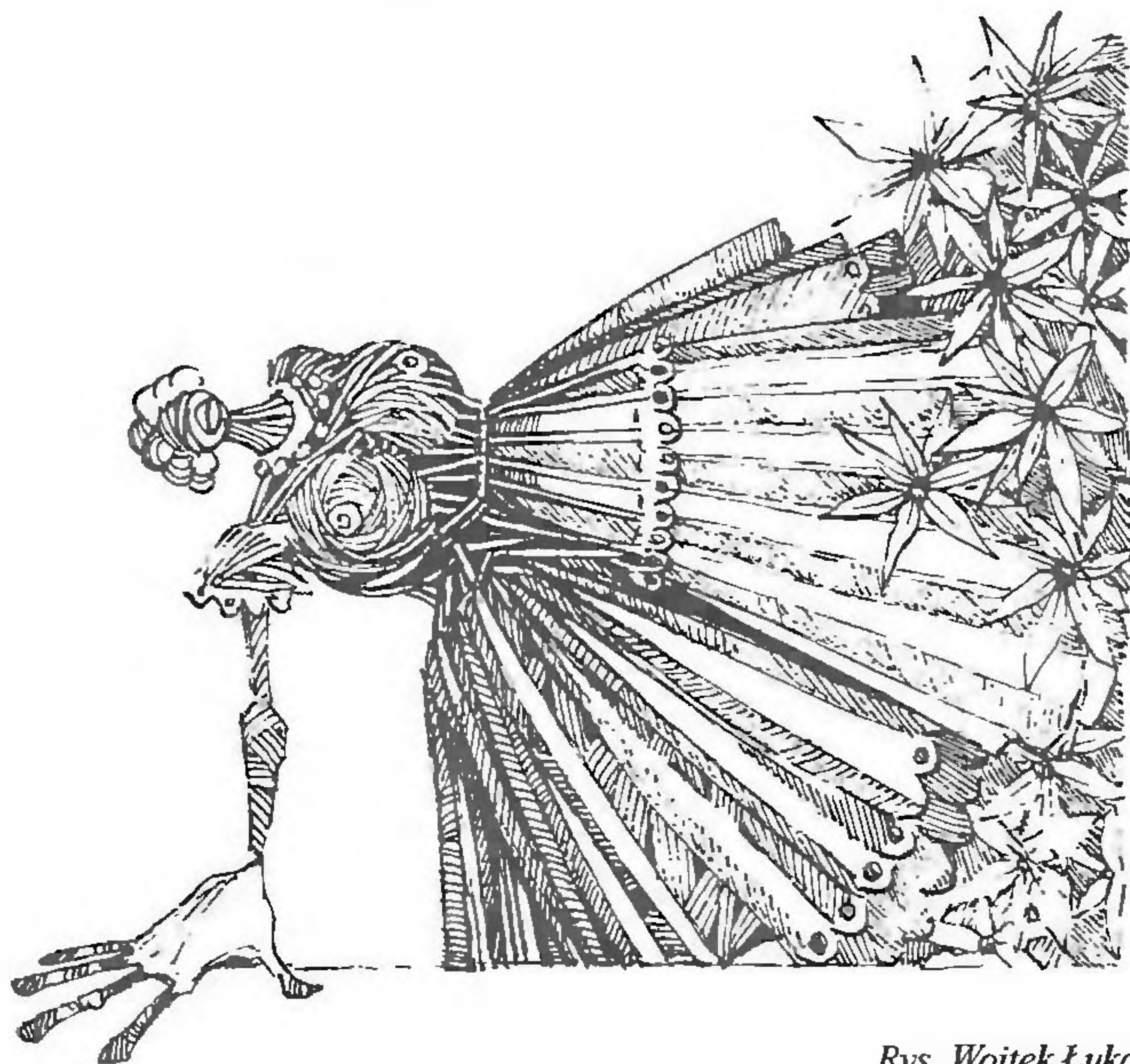
Powiem językiem ze słownika wojskowego: na zapleczu frontu następowało przemieszczanie sił sojuszników. Zaczęły wdowy pochodzenia chłopskiego posiały ziarno i czekały, aż wejdzie ozimina. Instynkt podpowiadał im, że natury nie należy popędzać, ale wyobrażenia macierzyńska też miała swoje prawa. Chrobokowa rozmyślała nieustannie nad wyposażeniem Adeli w przyszłym nowym stanie. Według wielkopłuźnickiej tradycji córka powinna mieć wszystkiego razy cztery: ręczników, pościeli, bielizny spodniej i obrusów, wszystko ze lnu, który choć twarawy, zawsze dobrze się nosi. Kiedy rozmyślała nad szczęściem córki, trzepotało jej serce, często doznawała palpacji i musiała w pośpiechu kłaść się na sofie, bo miękła w kolanach.

Marianna otoczyła syna dyskretną czułością i udawała, że nie widzi jego miłosnego utrapienia. Po zamknięciu sklepu zachodziła raz na dwa tygodnie z Chrobokową do jej domu, by poobserwować Adelę i wypić bonkawa, którą sama przynosiła w papierku, z krążkami cykorii dla dodania smaku. Adela zwykle siedziała w kuchni przy stole i przeglądała niemieckie modenhefty, panie wszczynały rozmowę o modzie, szyciu czy heklowaniu i bezwiednie przechodziły na język niemiecki. Dla Weroniki był to język matczyny – Muttersprache – pierwszy, wyssany

z piersi matki, u Marianny pół na pół, potem w nim liczyły i spowiadały się w konfesjonale, drugim językiem była gwara, a po powstaniach uczyły się polszczyzny, kiedy było już po wszystkim i Górny Śląsk przekrojono na pół.

Moim zdaniem, ci, co tego dokonali, nie mieli wszystkich w domu, dziś widać to coraz wyraźniej, a przecież nie wiemy, co nam jeszcze przyszłość wyszmergluje. „*Sie sind wie Einsatz Brigaden*, jest zicher, że nojgorsze dopiero przed nami” – mawiał studwuletni Joachim Rzepka; jego ojcowizna stałaby dziś w środku starego ewaldu, umarł niedawno na Wilhelminie u swojej wnuczki, Fridy Harbaż, która wdała się w dziadka, bo jak zdradził ją mąż, podłożyła lewą dłoń pod koła pociągu Katowice – Kraków, zaraz po ćmoku i straciła ją na zawsze. Wtedy Emil, ten istny małżonek, przestraszył się i przestał cudzołożyć.

W mojej rodzinie gwara była pierwszą mową, moje babki nie znały języka niemieckiego, a czysta polszczyzna nie była im do niczego potrzebna. Ta od ojca żyła czasem minionym, nie przyjęła dwudziestego wieku do wiadomości z jego wszystkimi paskudztwami, choć zesłała dopiero w 1946 roku, a urodziła się w 1860! Ale trzech synów zginęło po polskiej stronie w trzecim powstaniu, a wnuk Bolek, prawie ksiądz, zatracił się w Wehrmachcie. Ta od matki – droższa mi – przeciwnie, we wszystkim uczestniczyła, była społeczniką, uwiedziona książkami ks. Karola Miarki, potem przez Wojciecha Korfantego, była całym jęstwem za Polską, do Korfantego żywiła kultowe uwielbienie, znała go osobiście, toteż kiedy wtrącono go do twierdzy w Brześciu, straciła do Polski serce. Po jej osobistej tragedii z ojcem, potem z córką, rozczarowanie Polską było jej tragedią trzecią. Nie mogła w sobie stłumić złości, stąd jej głęboka religijność: w modlitwach, w różańcu odmawianym w każdej wolnej chwili, szukała ukojenia, bo nie radziła sobie z nienawiścią do otaczającego ją świata i wyrzutami sumienia po samobójczej śmierci najukochańszej córki, dlatego wieczorem, po ostatniej modlitwie, często rozmawiała z piękną Rozalką. Poświęciła wiele dla Polski: najstarszy Johan, powstaniec trzech powstań, ledwo uniknął śmierci,



Rys. Wojtek Łuka

dostał niemiecką kulę w podstawę czaszki, a Rozalka położyła się pod pociąg.

W on czas, czternastego grudnia Lucjan kończył dwudziesty drugi rok życia i wypadało zrewanżować się Czornynogom za urodziny Adeli. Marianna przejęła prym i celtyckie wdowy z dwumiesięcznym wyprzedzeniem doszły do porozumienia w sprawie przeniesienia uroczystości urodzinowej Lucjana na święta Bożego Narodzenia: postanowiły wspólnie spożyć wigilijną wieczerzę! Uzgodnienia miały miejsce w dwa tygodnie po tym, jak Lucjan przyznał się Mariannie do miłości do Adeli. Tamtego dnia, jak co dzień, przyniosła mu kolację na poddasze. Kiedy weszła do pokoju Lucjana, zastała go na krześle z odchyłoną do tyłu głową, położyła talerz i szolkę z herbatą na biurku, potem uchyliła okno, a kiedy była już na progu, usłyszała głos swojego syna:

– Mamo...

Spojrzała na niego, wtedy on zgasił lampę i usłyszała:

– Mamo... pomóż mi.

Sięgnęła po drugie krzesło i siadła przy nim. Milczeli przez chwilę.

– Mamo, ja nie mogę żyć bez Adeli. Co ja mam robić?

– Hm... Lucek zastanów się, czy jest tak na pewno, nie śpiesz się, będziesz miał w grudniu dopiero dwadzieścia dwa lata. Ale pytam cię jak matka: czy ty, jak o niej myślisz, widzisz ją przy swoim boku przez przyszłe lata? Myślałeś o tym?

– Ja..., widza ją przez całe moje życie przy sobie.

Mariannę ogarnęło silne wzruszenie, sięgnęła po chusteczkę i wysmarkała się głośno.

– Jeśli jest tak, jak ci się zdowo ...

– Mnie się nie zdowo, mamo! Chodzą z tą kołatką w sercu już sto dni. To jest miłość. Jo to czują i wiem.

Zamilkli. Lucjan jednym haustem wypił pół szolki herbaty, Marianna przetarła okulary brzegiem fartucha.

– Dobrze. Teroz zadam ci inksze pytanie: czy chioł byś jej to wyznać?

– Ja. Ino nie wiem jak to się robi, przez to prosza cie, mamo, o pomoc.

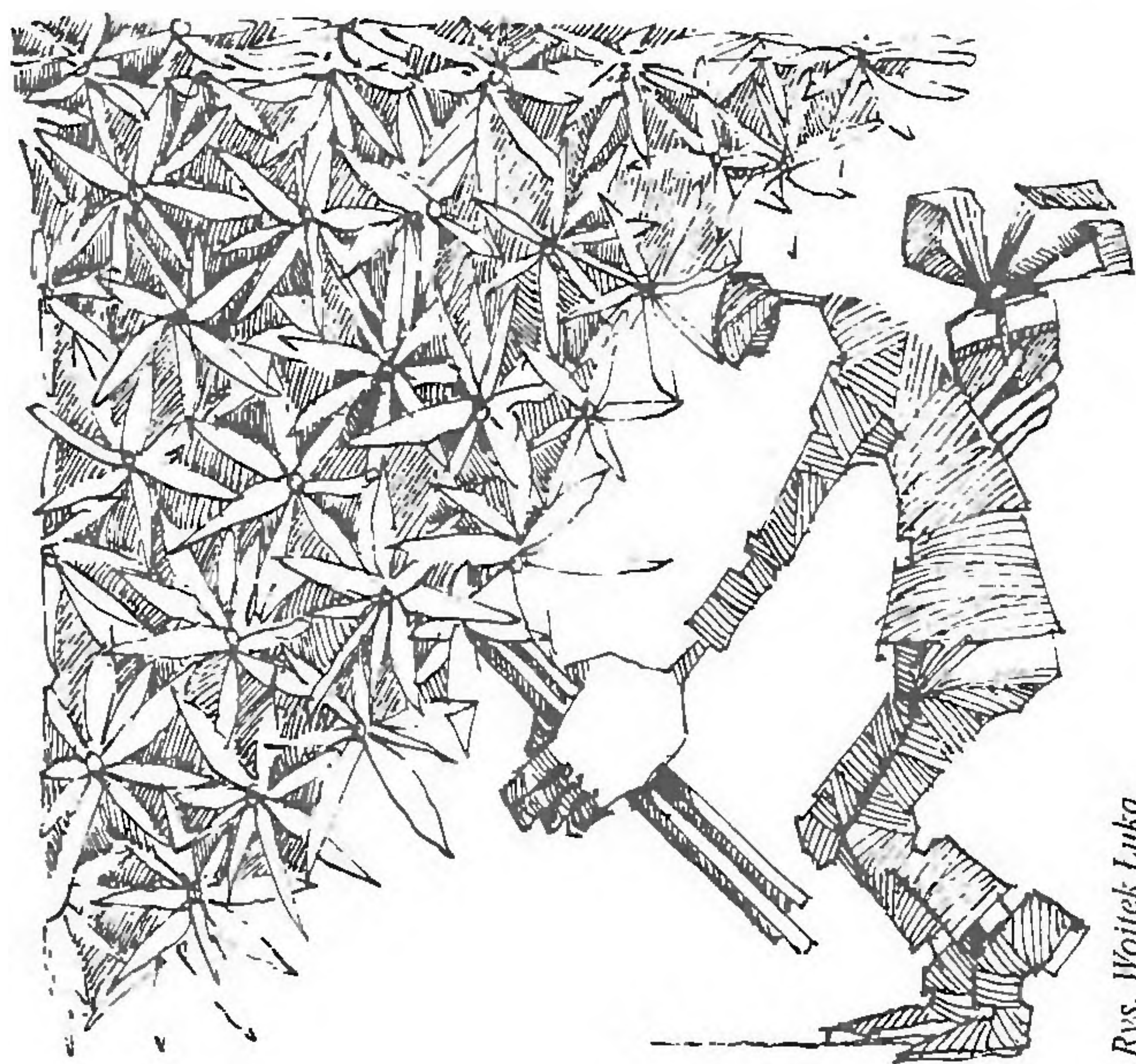
– Jak pojmują, tyś jest gotowy Adeli sie oświadczyć, ja? To mosz na myśli?

Przytaknął. Marianna zamilkła, Lucjan czekał w napięciu na jej odpowiedź.

– Dobrze. Pomyśla nad tym i jutro ci powiem, co i jak.

– Dziynkuja ci, mamo – chwycił dłoń matki i pocałował jej nadgarstek, a ona pogłaskała jego głowę.

Marianna nie przespalała pół nocy, bo słowo się rzeknie i rodzina Chroboków wejdzie w rodzinę Czornynogów. Podskórnie nie miała zaufania do Chrobokowej, która była ciągle nieoswojona z Roźdzeniem, jakaś obca, choć tyle lat tkwiła w sąsiedztwie. Dlatego nie dopuściła do spoufalenia: tu jest robota, tu jest godanie i tyła. Pomogła jej, bo została wychowana wedle zasady: pomagaj innym, to i tobie pomogą. Dwudziestu siedmiu rodzinom starszopyniom odpuściła borg, dawała elwrom datki na śluby i pogrzeby, Erice Bauer, która wpadła pod banko i straciła lewą stopę, zafundowała sztuczno nogę, mo teraz sztafno i się nie skarży. I latami



Rys. Wojtek Łuka

dokarmiała dzieci Wilimowskich. Chrobokowa też zaznała jej dobroci, ale to nie powód, żeby zaraz z nią chodzić, pararam, do kościoła. W nocnym pobudzeniu wpadło jej do głowy, by urodziny Lucjana przełożyć na święta, zaprosić Chroboczki na wspólną wigilię i wtedy, najlepiej po kołoczach, Lucjan będzie się oświadczał, ale bez uprzedziny drugiej strony; niech Chroboczki będą zaskoczone, wtedy będzie wyraźniej widać, czym kaczkę nadziana.

Z drugiej strony miała pewność, że Lucjan znajdzie w Adeli żonę, jaka mu się od Boga należy: wierną, opiekuńczą i łagodną. Lucjan będzie zawsze półdzieckiem, bo taki jest, a Adela zna od maleńkości, ostatnio przyglądała się jej bliżej i nie może o niej nic złego nawet pomyśleć. Jest czysto, dba o siebie, mało godo i jest robotno: wiy, co do kobiety należy, zwłaszcza w domu. Adela może niyma wiele w gowie, ale przemądrzałe kobiety są jak dwugarbne kamele: nie wiadomo po co majom drugi pukel. Już ślępała w półśnie, kiedy przyszło jej jeszcze do głowy, by na święta wymalować kuchnię na biało razem z yjlzoklem, całej rodzinie sprawić na święta czarne odzienia, na stole wigilijnym postawić dużo białych świeczek, zawiesić na choince anielskich włosów bez liku, bo też są białe i dają pozaziemski blask. Zgodziła się ze samą sobą oddać syna pod pieczę Adeli. Zasypiała z lżejszym sercem.

I prawie było by tak, jak Marianna chciała, gdyby nie zaplanowane zaskoczenie. Kuchnia była wymalowana, stół rozciągnięty, bielutki, bo obrus był wyszkrobkowany przez ciotkę Leokadię, choinka w anielskich włosach, Lucjan wyrychtowany, z berlińskim ślipsem po ujku Walterze, kwiatki stoły w kryształowym wazonie pod schodami w sieni i czekały na wypielęgnowane dłonie Adeli; kryształ rżnięty był wedle szkoły weneckiej z Murano i był jednym ze ślubnych prezentów Marianny od chrzestnego z Sadzawek. Teraz Marianna postanowiła dać wazon – jak przyjdzie ta godzina – Adeli na ślub z jej synem. Kuzyn chrzestnego przywiózł go z Italii po pierwszej wojnie światowej, ale skąd go miał, nie chciał powiedzieć. Co tam! Wrócił bez lewej ręki, więc coś mu się należało.

A niejaki Albin Szoltysek z Morawy przywiózł z tamtej wojny żonę z Neapolu, Carlę Ilabillę, malutką i chudą kobiecinę, jak pościelowa poszczyca, ale bardzo wesołą. Wszyscy za nią przepadali. Zajęła się pędzeniem wina, bo na tym się znała. Krzyżowała owoce dzikiej róży z czerwonymi burakami, śliwkami, jabłkami i powstawał płyn w kolorze szkarłatnym, wytrawny i dość słodki jednocześnie. Wino Carli w całej okolicy dolewano do bryny i bimbru, które przybierały szlachetny smak stocka. Ci, co popijali, byli przekonani, że Carla ma zapewnione miejsce pomiędzy aniołami.

Chrobokowa wigilijne zaproszenie przyjęła z nieukrywaną radością, i proponowała podział kosztów: Czornonogi ryby i kust, Chroboki kołocze i bonkawa, ale Marianna wybiła jej to z głowy jednym zdaniem: „*Einladung ist Einladung, Frau Chrobok*, niyma o czym godać!” Chrobokowa znała Mariannę i wiedziała, że kiedy ona miesza niemiecki z gwarą, to nie spuści na paznokcie. Nie raz była świadkiem, jak targowała się jeszcze przed wojną z dostawcami, a jak Żydzi z Sosnowca zajeżdżali furką pod sklep, wypraszała klientów. Kiedy oni wnosili towar, szła z wiadrem napoić konia, chudego jak nieboskie stworzenie, potem przekręcała klucz w zamku, stawiała za ladą, a oni w trójkę z jarmułkami na głowach po drugiej stronie. Kładli na ladzie kartkę, po którą sięgała. Ona czytała, a oni stali w trwodze. I zaczynało się:

– Powiym wom, że Boga w sercu niy mocie, bo mieć niy możecie, jak się kogoś zabijo, to w sercu na niego miejsca ni ma, jo to rozumia, ale zaś żeście zawyżyli cyna o dwadzieścia jedyn procent, co jest do diaska! Była umowa, czy niy?

– Paniusie Czornynogo kochane, już Żydzi poszli naprzeciwno pani mądrości, potargować jest żydowska przyjemność, już zechcejn procent ist erledig.

Marianna stawiała przed nimi trzy kufelki, napęniała je zeltrem, oni sięgali po nie i pili łapczywie. Wtedy przeszła do drugiej rundy:

– Koń pije, wy pijecie, ale zawsze tak niy bydzie. Kto was poi, pytom? A teroz pytom po katolicku o wasze szachrajstwa!

Żydzi odchodzili pod drzwi, obracali się tyłem do Marianny, zaciągali chałaty na głowy, szemrali pomiędzy sobą, potem stanęli przed nią i najstarszy oznajmiał:

– Jest ugoda między starozakonnymi, paniusia nasza, zeks procent ist fiume!

Marianna czytała raz jeszcze spis przywiezionych towarów, potem zaglądała im w oczy. Żydzi wstrzymywali oddech.

– Myszygene, git do pięciu procent! – wyciągnęła ku nim otwartą dłoń, najstarszy przyklepał, a kupcy z Modrzejowa radośnie zachichotali.

Na wigilię Chrobokowa i tak przyniosła swoje opolskie potrawy: siemioniotkę, moczke, makówki, żur z grzybami i struclę z miodem; były nieco inne w smakach niż nasze, ale w ogóle nie do przełknięcia. Choć żur, makówki i strucla mogły być. Lucjan siedział odsztyftowany za stołem, przez niezapalone jeszcze świeczki widział sień i drzwi na dwór. Cekał na nią, wybraną swoją. Ciotka Leokadia wyjmowała kostkę granitu z buncloka, potem płaty karpia z cebulowej bejcy, topiła je na chwilę w rozfyrlanych jawkach, obtaczała w pszennej mące i kładła na rozgrzany tłuszcz na największej patelni w domu;

skwierczało, i rozchodziło się po dwustuletnim domu wigilijne tchnienie.

W końcu, obsypane śniegiem, pojawiły się Chroboczki. Adela miała głowę założoną „Trybuną Robotniczą”, która chroniła jej dauerwele *à la* Shirley Temple; była w heklowanej, bladuróżowej sukni w duże oczka, na podbiciu z białej satyny i wyglądała, jakby przed chwilą zeszła z ekranu w kinie Helios. Lucjan znów siedział obok niej, patrzył na Mariannę *vis à vis*, jak pies na pana, choć co i rusz zerkał na Adelę, bo profil miała ładny, by nie powiedzieć, smaczny. W świetle świec weszli w koleiny starego rytuału wigilijnego, w majestacie choinki łamali się opłatkiem, składali życzenia i śpiewali za kolędą w radiu „Bóg się rodzi, moc truchleje”.

Kiedy Lucjan zbierał z obrusu okruszki kołocza, nadeszła niezapomniana chwila: Marianna umyślnie potęciła szklankę, herbata ułała się na obrus, ciotka Leokadia poleciała po ścierkę, Lucjan spojrzał z przerażeniem na matkę i wymusnął się do sieni. Po chwili stanął na progu z bukietem kwiatów w dłoniach, a gdy wszyscy skupili się na jego osobie, podszedł do Chrobokowej, skłonił przed nią głowę i powiedział cicho:

– Pani matko, prosza o ręką waszej córki Adelajdy.

Ją zatkąło, wyciągnęła ramiona do Lucjana, ale nogi zaczęły jej mięknąć i jęła osuwać się na ziemię, chwyciła się brzegu stołu, ale poleciała w dół, a za nią wszystko co na stole: całe jadło, cały bysztek, talerze i szklanki. Adela zaczęła piszczeć, Leokadia dała nura pod stół, by gasić świece, Lucjan z bratem skoczyli na ratunek Chrobokowej, omdlałej. Z największym wysiłkiem ułożyli jej stukilowe ciało na łóżku ciotki Leokadii, która sypiała w kuchni. Marianna nacierała wodą twarz Chrobokowej, Lucjan sprawdzał jej bicie serca, a kiedy poleciał na poddasze, Adela przysiadła u wezgłowia matki i pocierała matce skronie. Marianna otworzyła okno w kuchni, drzwi na dwór i luftowała dom. Kiedy Lucjan zjawił się z pigułką w palcach, Chrobokowa akurat otworzyła oczy, wsunęła jej tabletkę w usta:

– Dejcie ta tabletkę pod język i zaroz wom bydzie lepi.

Ale ona usiadła energicznie, sięgnęła po dłoń córki, podała ją Lucjanowi i dramatycznie wyrzuciła z siebie słowo przyzwolenia:

– *Sie ist deine!!!* – położyła czoło na ich dłoniach i rozplakała się rzewnie, potem wtuliła się w ramiona Marianny, bo ogarnął ją szloch. Lucjan stanął przed Adelą i pytał:

– Adela, jo cie kochom, chciałabyś zostać moją żoną?

Adela ocierała łzy nadgarstkami i potakiwała:

– Lucjan, jo jest twoja. Jo jest na zawsze twoja.

I przylgnęli do siebie, radiowe kolędy mieszały się z płaczem kobiet, tekturowy anioł w pozłotce na ukoronowaniu choinki rozpościerał ramiona nad zaręczonymi, ona nadstawiła mu swoje usta, on pocałował jej dawno wyśnione wargi, potem sięgnął do kieszeni i złożył na jej dłoni puzderko z zaręczynowym pierścieniem, ona z wszystkich sił przycisnęła go do swoich obfitych piersi, a on przestał oddychać. „*In exelsis Deo*”, powiedzieć można.

Długa nocna rozmowa
z FELIKSEM NETZEM
w przeddzień jego siedemdziesiątych urodzin



Mieć trzystu czytelników

Witold Turant: Ostatnio często na radiowej antenie pojawiają się nagrania tzw. dinozaurów rocka, a wśród nich także nagrania węgierskiego zespołu „LOCOMOTIV GT”.

Te nagrania kojarzą mi się z pisarzem, Tiborem Dérym. Tobie chyba także.

Feliks Netz: Byłem nawet na musicalu zrobionym według jego niedużej powieści, zatytułowanej *Wyima-*

ginowany reportaż z amerykańskiego festiwalu muzyki pop. Autorem muzyki był Gábor Presser, gwiazda i leader zespołu „LOCOMOTIV GT”, ten zespół w pełnym składzie grał na każdym spektaklu. Piosenki miały fantastyczne teksty. Pamiętam wiele z nich, na przykład tę: *Ha nem bírod már elviselni azt amiben vagy/ lép ki mint egy róssz cipőből, / ringosd el magad!* itd). I w teatrze i na koncertach młoda publiczność szalała: tłum powtarzał wielokrotnie: „*Ringosd el magad!*”. O co tu chodzi? Co te słowa znaczą? Znaczą tyle: Jeżeli nie możesz wytrzymać w tym, w czym jesteś (w czym tkwisz), wyskocz z tego, jak ze złych butów! Kołysz się sam! Na pozór brzmi to dość niewinnie, ale było dla wszystkich oczywiste, że owe złe, ciasne buty, to dyktatura, prawda, że kádarska, gulaszowa, z pełnym żołądkiem, ale bez wolności. „Kołysz się sam” – a więc: nie potakuj, bądź sobą, strzeż swojej indywidualności! To było ostrzeżenie na czasie, bo Węgrzy, co było widać, wybrali wtedy niekończącą się poobiednią drzemkę po sutym posiłku.

W.T.: To jest świat wczesnych lat siedemdziesiątych.

F.N.: Mam na myśli konkretny rok 1977, spędziłem wówczas na Węgrzech kilka miesięcy.

W.T.: Nie przypadkiem zacząłem naszą rozmowę od pytania o węgierskie zespoły i Tibora Déry’ego, bo był on dla ciebie postacią ważną. Przetłumaczyłeś jego książkę pt. „*Anatema*”, która w latach osiemdziesiątych ukazała się nakładem krakowskiego WL-u.

F.N.: To mój pierwszy przekład z języka węgierskiego, mówię o druku zwartym, o książce, bo już wcześniej pojawiały się moje tłumaczenia w wyborach wierszy i antologiach poezji węgierskiej. „*Anatema*” – to jest powieść historyczna – alegoria świata, w którym jest porządek, ale nie ma wolności.

W.T.: To dość obrazoburcze stwierdzenie, jak na tamte czasy.

F.N.: Tibor Déry napisał tę książkę w więzieniu, w Vácu. Otrzymał dwięcioletni wyrok, jako stary człowiek, bo przecież miał wtedy sześćdziesiąt lat, i odsiedział cztery lata. Objęła go amnestia: Kádár zaczął powoli rozluźniać żelazny uścisk. Déry miał propozycję z wielu krajów, mógł opuścić Węgry, znał kilka języków. Gdyby wyjechał, pewnie dostałby Nobla, a pozostając, w jakiś sposób legitymizował reżym Kádára.

W.T.: Przeczytałem gdzieś, nie pamiętam u kogo, że Déry czynił pewne starania wokół możliwości

azyłu politycznego w gomułkowskiej Polsce!

F.N.: To prawda! Ale mówimy o końcu roku 1957, Déry jest pewien, że lada dzień będzie aresztowany. Sta- rał się o azyl w Polsce, a o pomoc w załatwieniu tej sprawy zwrócił się do Marii Dąbrowskiej. Czy wykona- ła jakiś ruch w stronę Gomułki – nie wiem. Może i tak, ale wyobrażam so- bie fanatyczne: „Nie!” tego odrażają- cego kobolda.

W.T.: Mówisz to z taką pasją! To ważny dla ciebie pisarz...

F.N.: On za młodu ostro komunizo- wał, to go jakoś zdeformowało. Cóż to jednak znaczy przy takiej niewiel- kiej książeczce, jaką jest bezsporne arcydzieło, mówię o „Niki”. „Niki, historia pewnego psa”. Tę książkę po- znałem po angielsku, kupiłem ją w księgarni w Nowym Jorku przy 5-th Avenue. Tak daleko sięgał ów Węgier, dożywający wówczas swoich dni w Balotoffüred. W ubie- głym roku, przebywając na Wę- grzech, napisałem cykl wierszy (*Dzie- sięć sonetów spisanych na Półwyspie Tihany*). Jest wśród nich jeden w ja- kimś sensie o Dérym, a właściwie o psie Niki. Déry był dla mnie długo, by tak rzec, flagowym pisarzem węgierskim. Dopiero Sándor Márai ze- pchnął go na dalszy plan.

W.T.: Nietrudno odnieść wrażenie, iż ci węgierscy pisarze, a szczególnie Márai, są dla ciebie swego rodzaju miarą i wagą.

F.N.: Jest w tym jakaś zagadka, któ- rej sam nie potrafię wytłumaczyć do końca, że akurat ta literatura mnie pociągnęła, choć równie dobrze mo- gła to być literatura czeska, która za- fascynowała wielu innych. Mnie chy- ba pociągnęła ta potworna bariera językowa. W Pradze widząc książkę na wystawie, mniej więcej wiesz o co chodzi. A w Budapeszcie? Nie wiesz absolutnie nic. Kompletna blokada. Świetne czasopisma. Niedostępne. Teatr? No, może musical, operetka ale dramat? Możesz pójść, ale nic z tego raczej nie wyniknie. I to było szalenie kuszące. Żeby to przełamać, żeby się przebić. Ale po co? To waż- ne pytanie. Mogło się okazać, że za tą szybą nic nie ma, żadnej tajemnicy. Ale okazało się, że coś tam jednak jest.

W.T.: Jest jednak w twoim życiu pewna trochę nawet metafizyczna od- powiedź na to pytanie: wszystko po to, byś miał z czego żyć w najtrud- niejszym momencie swojego życia.

F.N.: To jest możliwe. Przez pe- wien czas, w stanie wojennym, gdy nie zostałem zweryfikowany jako dziennikarz, uczyłem języka węgier- skiego w liceum w Katowicach,

do którego zresztą przez pewien czas uczęszczałem, bodaj był to czwarty okres w dziewiątej klasie. Maturę zro- biłem w TPD nr 2 im. Wilhelma Piec- ka w Katowicach. Ale najważniejsze chyba jest to, że ta fascynacja Węgra- mi i ich literaturą doprowadziła mnie do spotkania z Máraiem. Gdyby tak się nie stało, a mam co do tego głębo- kie przekonanie, ominęłoby mnie w życiu coś niesłychanie ważnego i niepowtarzalnego, rozwijającego i inspirującego. Tak to po latach oce- niam. Gdyby Márai pojawił się wcze- śniej, prawdopodobnie głęboko by mnie przeorał i uformował wewnątrz- nie. Ale widać tak miało być, jak by- ło. Istnieje jakiś plan, w którym uczestniczymy w życiu, każdy na swój sposób.

W.T.: Mówiąc o tym, co cię ufor- mowało, wróćmy może na chwilę do twoich korzeni. Nie urodziłeś się na Śląsku, mimo że Śląsk i Katowi- ce są w twojej twórczości zawsze obecne.

F.N.: Oczywiście nie jestem Śląza- kiem, i miejsce zamieszkania niczego tu nie zmienia, ale jestem katowicza- ninem, człowiekiem tego miasta, od lat chłopięcych czyli ponad pół wieku. Jednakże to, gdzie byłem przedtem, ma także ogromną wagę. Urodziłem się nad Drwęcą, w okoli- cach Brodnicy, ochrzczono mnie w parafii Gorczenica. Potem, od poło- wy 1946, był Lubań na Dolnym Ślą- sku. I w 1955 roku pojawia się Stali- nogród.

W.T.: Co to znaczy: pojawia się?

F.N.: Mam szesnaście lat, tam mieszkam, gdzie zameldują mnie moi rodzice. Najpierw do Stalinogrodu wyjechała – i to nie z Lubania, lecz z Jeleniej Góry, a to też miasto bliskie mi bardzo – moja siostra z mężem (teraz ma osiemdziesiąt dwa lata i do- żywa spokojnie swoich dni w stanie New Jersey). Ojciec dostał robotę w kopalni „Katowice”, na powierzch- ni, w sortowni. Zamieszkaliśmy w fa- miloku przy ul. Kopalnianej nr 1, w najstarszej części Katowic, Boguci- cach.

W.T.: Jakże właściwie były te Kato- wice 1955 roku? Jaka była Polska?

F.N.: Przede wszystkim to nie były Katowice. To był Stalinogród. Po dru- gie – to nie była Polska. To była Pol- ska Rzeczpospolita Ludowa zwana Peerelem. Mąż mojej siostry, rocz- nik 1919, żołnierz Września, więzień stalagów, wbijał mi do głowy: pamię- taj, to nie jest Polska, to jest Peerel! Pięć lat stalagu mocno go rozstroiło, uważałem, że to jakaś jego fiksacja z tym peerelem. Niestety, nie zdąży- łem przyznać mu racji... Stalinogród wtedy nie różnił się specjalnie

od Wrocławia, czy Warszawy – ta sa- ma nijakość, nuda, czekanie w restau- racji (czterdzieści minut to nie było wiele!) aż przyniosą ci mielonego z ziemniakami i ogórkiem kiszonym. Bary mleczne z niezmiennie przypa- lonym mlekiem. Pytanie klienta, gło- śne: „Ruskie są?!” – chodziło o piero- gi ruskie – odpowiedź z okienka na całe gardło: „Ruskie już wyszły!” To były te chwile radości. Ale szkoła była silnie indoktrynowana, o czym za chwilę. Pamiętam – idę do kina. W *Światowidzie* film według powie- ści Ażajewa *Daleko od Moskwy*. Słu- chaj! Drugi dzień świąt wielkanoc- nych, grają sowiecki film, a do kina nie można się dostać! Jakaś potwornie nudna opowieść o budowie gazocią- gu, czy ropociągu. Pełne kino! Oczy- wiście, nie dlatego, że to sowiecki film, po prostu nic innego nie było. Ludzie chcieli wyjść z domu i dokądś pójść. Nieliczne kawiarnie z *Kryszta- łową* na czele, w centrum, pełne gości jakby przyśrubowanych do kanapek. Jak już ktoś zdobył miejsce, to sie- dział! Poszedłem do Biblioteki Ślą- skiej na odczyt słynnego już wtedy, a później jeszcze bardziej, polonisty z Uniwersytetu Jagiellońskiego. O czym pawił: Ni mniej ni więcej: „O romantyzmie socjalistycznym”! A znalazł go w powieści Borysa Po- lewoja *Opowieść o prawdziwym czło- wieku*. Czarny humor tamtych lat: fa- cet podsuwa tzw. musztardówkę w stronę kumpla, który „odbił” (ude- rzając płasko dłonią w denko butelki wybijało się korek) pół litra, i mówi: „Borys, polewaj!” W Teatrze Śląskim też komplety, kupowałem bilet na drugi balkon, z boku, najtańszy, nie pytałem, co grają, chciałem być w teatrze. A tam: *Poemat pedagogicz- ny* A. Makarenki, *Zagłada eskadry* A. Korniejczuka, *Magazyn mód* O. Kryłowa, owszem: Gorki i Czechow, ale i jakiś żaloszny A. Sofronow! Re- pertuar dobierano starannie. Człowiek był zamknięty w pewnym kręgu kul- tury sowieckiej i to było uderzające. Nawet jeśli był to film włoski, czuło się w nim oddech włoskiej partii ko- munistycznej. Filmy francuskie, ale to raczej adaptacje Maupassanta, Sten- dhała. No tak, *Fanfan Tulipan* – to by- ła rozrywka. Ale to też był człowiek z ludu, ktoś taki jak nasz Janosik. Bar- dzo jakieś czerwone były te filmy. Myśmy tę rzeczywistość rozpozna- wali, bo w jakimś stopniu zbliżona była do naszej. To był świat przedsta- wiany człowiekowi w PRL-u, który nie miał możliwości zagospodarowa- nia swojej wyobraźni i fantazji. To było budowanie tzw. nowego czło- wieka! Na przykład dla mnie było szokiem, że 17 września 1939 roku

Związek Radziecki napadł na Polskę. Tak byłem prowadzony, urabiany, od szczeniaka. Ja nie byłem w stanie zaakceptować tego rodzaju prawdy. Mówił mi to szwagier, mówi starszy o dziesięć lat brat, a ja nie jestem w stanie zrozumieć o czym oni mówią! Szkoła też była indoktrynowana, nawet podstawowa. I w szkole stalinogrodzkiej (ale to już w liceum) podpadłem od razu przewodniczącemu szkolnego koła ZMP. To spowodowało pewien konflikt, który narastał. Doniósł na mnie dyrektorce i musiałem się przenieść do innej szkoły. Był w tym otaczającym nas świecie system policyjny, były donosy. Klasę wyżej chodził syn szefa bezpieczeństwa. Nie wspominałbym go, gdyby nie poszedł w ślady ojca, po latach kilkudziesięciu portrety ich obu wystawiono na publiczny widok w centrum Katowic. Takie były te Katowice, które jeszcze wtedy były Stalinogrodem. A to ciekawe, dziwny brak konsekwencji: kopalnia, w której pracował mój ojciec, nazywała się „Katowice” (przed wojną „Ferdynand”), a jednak nie przemianowano jej na „Stalinogród”, ale TORBAT (rozgrywały się tam mecze hokeja na lodzie oraz turnieje jazdy figurowej) przemianowano na TORSTAL! To już nie czarny humor tamtych lat, to rzeczywistość: miastem, które po śmierci Józefa Stalina miało być przemianowane na Stalinogród była Częstochowa. Chytry, wredny koncept. Ten pomysł żył tylko kilka godzin, tak zwany aparat stanął przed koniecznością rozwiązania kwadratury koła, czyli przerobienia Matki Boskiej Częstochowskiej na Matkę Boską Stalinogrodzką!

W.T.: A jednak nie uciekłeś z tego miasta!

F.N.: Co więcej: zostałem tu na całe życie!

W.T.: Zastanawiałeś się czasem, że mogło być inaczej?

F.N.: Oczywiście, mogło być inaczej. W grę wchodziła Anglia. Brat pomógłby mi stanąć na nogi, opłaciłby mi studia, rozważaliśmy taką możliwość, gdy kończyłem polonistykę i pojawiło się pytanie: co dalej? Ale mnie tutaj właśnie zaczęło się wszystko jakoś organizować. Z czasem człowiek wrasta w ulice, w krajobraz miasta, w powietrze, w końcu ma już tu groby, przede wszystkim rodziców, rodzeństwa. Ale też przyjaźnie poetyckie. Ale też piękne dziewczyny! Potem wyjeżdżałem w świat i już wiedziałem, że tu będę wracał, nigdzie indziej. Olbrzymie dla mnie znaczenie, które przenosi się na płaszczyznę identyfikowania się z Katowicami, ma okres stanu wojennego,

a zwłaszcza pacyfikacja kopalni Wujek. Było to dla mnie straszliwie głębokie i osobiste przeżycie. I takie pozostało. Wróciłem do niego jako pisarz. I myślę, że tak musiało się stać: pewnego marcowego dnia 1955 wysiadłem z pociągu i zostałem tu, by napisać wiersz o kopalni Wujek, o pacyfikacji, z którego metaforę „...śmierć jak kromka chleba”, a dokładniej: „... i podniosłeś z ziemi ich śmierć, jak kromkę chleba”, Kazimierz Kutz (dedykowałem mu ten wiersz), przeniósł do swojego filmu, przeświadczony – co mi wyznał – że lepszego tytułu dla swojej opowieści o pacyfikacji „Wujka” nie znajdzie. W ćwierć wieku później powstało słuchowisko „Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską”. Pamiętam ten dzień, dzień pacyfikacji, bo poczułem wtedy, że to jest w jakiś tajemniczy sposób moja sprawa, czułem, że to jest mój ból, że to miasto we mnie wchodzi, że staję się katowiczanie. Tak to było.

W.T.: Jeszcze na moment chciałbym wrócić do twoich pierwszych miesięcy w tym mieście. Powiedziałeś, że poszedłeś do Biblioteki Śląskiej – masz szesnaście lat, nikt ci nie kazał tam pójść – żeby posłuchać odczytu o literaturze. Pisałeś już wtedy?

F.N.: Już pisałem wtedy. Bardzo dużo, chyba każdego dnia. Nawet podczas podróży, mówię o przeprowadzce z Lubania do Stalinogrodu, pisałem w pociągu podczas nocnej jazdy. Światło było słabe, pisałem wiecznym piórem w zeszycie, który miał twarde okładki.

W.T.: Co to było, wiersz?

F.N.: To była powieść, miałem dla niej tytuł: „CAPITOL”. Zeszyt studencki. Oczywiście, nie ukończyłem tej próby.

W.T.: Skąd ten tytuł?

F.N.: Tak nazywało się kino w Lubaniu w czasie, gdy Lubań nazywał się Lauban.

W.T.: To twoje pierwsze kino? Zaraz wrócimy do tej powieści w zeszycie!

F.N.: Moje pierwsze kino – to „WAWEL” w Lubaniu, tak jest! Jak to się mówiło: za Niemca zwało się Capiol. Mój pierwszy film – to *Dusze Czarnych*. Po latach ustaliłem, że pod takim tytułem wyświetlano po wojnie film Kinga Vidora z r. 1929 pt. *Hallelujah!* Rok był 1946, Lubań w siedemdziesięciu procentach w gruzach, lecz nietknięte było kino. Spod polskiej nazwy przebijała poprzednia: „CAPITOL”, wybita młotkiem litera po literze. Miałem siedem lat, wszedłem do kina bocznymi drzwiami, bo były uchylone, ktoś je otworzył przed końcem seansu. Ujrzałem

na ekranie Murzyna, który usiłował włożyć but na bosą stopę. I nagle ta czarna stopa zaczęła rosnąć. Aż wypełniła cały ekran. Pamiętam tamto moje zdumienie, trochę mój przestraszenie, ale i zachwyt.

W.T.: Film okazał się większy od życia! Znam twoją książkę *Poza kadrem*, nazwałeś ją „rzeczą o filmach”. W twojej prozie, ale i w wierszach wyczuwa się coś w rodzaju montażu filmowego, myślisz filmowo, zbliżasz, oddalas, zatrzymujesz obraz, raz sekwencje są dłuższe raz krótsze, jakbyś świadomie zmieniał rytm, żeby nie zanudzić, ale kogo, czytelnika czy widza?

F.N.: Kocham kino! Gdziekolwiek w świecie się znalazłem, szedłem do kina, na film zrealizowany w tym kraju, przez ludzi, którzy tam się wychowali, pewien, że film pomoże mi zrozumieć ten kraj i jego mieszkańców. Naturalnie, nie każdy film, ale jeśli się dobrze poszuka, znajdzie się taki, o którym da się powiedzieć: tak, to jest klucz do świata dotychczas mi nieznanego!

W.T.: Wciąż widzisz tę wielką, czarną stopę!

F.N.: Dobrze to ująłeś: film okazał się większy od życia!

W.T.: Wróćmy do owej powieści pt. „Capitol”. Czy to była pierwsza twoja proza?

F.N.: Pierwsza była czymś, co mnie zaskoczyło. Skończyłem siódmą klasę, zostałem przyjęty do liceum, bez egzaminu wstępnego, miałem same piątki, i w te wakacje przeczytałem powieść Jacka Londona *Martin Eden*.

W.T.: Której bohaterem jest pisarz...

F.N.: I ten pisarz popełnia samobójstwo. Nie mogłem przystać na tę śmierć! Czułem, że muszę to zmienić. Wydawało mi się, że jeśli napiszę inne zakończenie, to ta książka – książka, nie mój zeszyt – zmieni się całkowicie. Zapisałem tylko jedną stronę w zeszycie! Mój Martin Eden wydobywa się z morskiej toni, do której wrzucił go London, ale gdy wydostaje się nad powierzchnię wody, jest ogromny, jest wielki jak wieloryb, tak wielki, że gdy potrąca statek, statek zaczyna się kolebać. Na tym skończyłem. I nie to było najważniejsze, co napisałem, lecz stan, w jaki się tym pisanem uprawiałem.

W.T.: Poczułeś się demiurgiem!

F.N.: Poczułem się tak, jakbym, powiedzmy, wynalazł lampę naftową! Ale, jak rzekłem, cały mój pisarski wysiłek zmieścił się na jednej stroniczce. A może to było tylko kilka zdań? Natomiast ta powieść pt. „Capitol” miała opowiedzieć o tym, że zewsząd w tym mieście Lu-

bań/Lauban, przebija się na wierzchołki, co było już – zdawałoby się – pokonane. Że te zbite młotkiem litery *capitol* wyzierają spod słowa *WAWEL*. A podczas podróży z Lubania do Stalinogrodu – w przedziale było nas tylko dwoje: moja cioteczna babcia i ja – opisywałem sytuację, do której powróciłem po trzydziestu kilku latach w powieści *Urodzony w święto zmarłych*: dworzec kolejowy wypełniony ludzkim mrowiem, wysiedlani Niemcy i przesiedlani „zza Buga” Polacy. Wczesny, ciemny świt, matka zostawia mnie, bo nie ma innego wyjścia, w tej ludzkiej ciżbie na tobołkach i idzie na ulicę Łąkową, jakieś dwa kilometry, po mojego starszego brata, Wracają po godzinie z wózkiem. Ta godzina, kiedy czekałem na powrót matki, siedmiolatek, który nigdy nie widział takiej masy ludzkiej, była dla mnie tak traumatycznym przeżyciem, że nigdy jej nie zapomniłem i jej nie zapomnę. Opisywałem podczas podróży ten mój strach, moje przerażenie, i niemiecką dziewczynkę, która co jakiś czas przybiegała do mnie, przyglądała mi się, robiła zabawne miny i zniknęła.

W.T.: To ciekawe, bo wynika z tego, że zaczynałeś jako prozaik, a nie od pisania wierszy, jak to zwykle bywa.

F.N.: Nie, nie! Były też wiersze, a w rok później już także tłumaczenia. To biegło obok siebie, równocześnie. Jakie to były wiersze? W jakimś stopniu były kalką tego, co wtedy drukowano, co młody chłopak w Lubaniu mógł przeczytać na przykład w „Życiu Literackim”. Wydawało się, że to jest jakiś wzór. Że skoro to publikują, to znaczy, że jest dobre! Ale na szczęście trwało to u mnie krótko. Między czternastym a piętnastym rokiem życia. Moje wiersze nie różniły się od tego, co publikowali tacy poeci jak Woroszyński, Mandalian, Kubiak, Hołda, Gaworski – popatrz, jak ja ich zapamiętałem! Ale na lekcji polskiego przerabialiśmy *Deszcz jesienny* Leopolda Staffa. Według podręcznika była to poezja o niczym, a mój pan od polskiego, prof. Ludwik Anioł powiedział mi na boku, że „to ma swoją wartość”. Na dowód, że wiersze nie muszą być o budowie Nowej Huty i bijącym sercu partii, pokazał mi w jakimś przedwojennym cienioku tomiku wiersz o suce Sergiusza Jesienina. Spotkałem się z nim po roku, gdy wpadłem do Lubania, wtedy sprezentował mi tom poezji Józefa Czechowicza! A już w Katowicach w roku 1956, od nowego pana od polskiego, Władysława Pieczonki, otrzymałem dwa tomiki, jeden Apollinaire’a, drugi Rimbauda, jednako-



Foto: Janusz Szewczyk

Olbrzymie dla mnie znaczenie, które przenosi się na płaszczyznę identyfikowania się z Katowicami, ma okres stanu wojennego, a zwłaszcza pacyfikacja kopalni „Wujek”.

wo wydane, w jakiejś serii. To były moje – poetyckie – uniwersytety. A w kwietniowym numerze „Twórczości” w roku 1956, więc wciąż jeszcze w Stalinogrodzie, przeczytałem opowiadanie Marka Hłaski pt. *Pętla*, i to było dla mnie wielkie olśnienie! Okazało się, że literatura, dzisiejsza, polska, może zajmować się pojedynczym człowiekiem, jego wnętrzem, jego obolałą duszą. To oczywiście jest opakowane alkoholizmem, bo jedynie w takiej postaci mogło przejść przez cenzurę. Jakichś historycznych dowodów tutaj nie ma. Ale to jest jakby kontynuacja postaci Maćka Chelmskiego, którego nie zabito, który pewnie odsiedział dziesięć lat w więzieniu, stąd ta wewnętrzna ruina, stąd alkoholizm, który go prowadzi do samobójstwa. To jest utwór, który mnie niesamowicie poruszył. Do dziś Hłasko jest dla mnie wielkim pisarzem. Ale oto nadchodzi październik 1956 roku. Jest powstanie w Budapeszcie. Węgier właściwie nie znałem, choć wcześniej, oczywiście, jakieś kontakty z kulturą węgierską miałem, czytałem Jokaiego, słynną jego powieść *Poruszmy z posad ziemię*, zachwycił mnie film *Liliomfi*, czytałem *Chłopców z Placu Broni*, i nagle to wszystko wali się w gruzy. Tam jest wojna, giną ludzie, także, jak pisze prasa, aktorzy, których znałem z ekranu. Ja jestem już w nowej szkole i poruszony tymi wydarzeniami piszę poemat, który wygłaszam na szkolnym apelu. To było w liceum TPD 2 im. Wilhelma Piecka. Tak się ta szkoła nazywała. W ten sposób niejako wpisuję się w szkolną rzeczywistość i zaznaczam swoją obecność. Ktoś spośród uczniów jest piłkarzem trzecioligowego klubu, ktoś inny jeździł figurowo na łyżwach, zdobył

w Polsce trzecie miejsce, a ja w tym szkolnym pejzażu zaznaczam się jako poeta. Na polonistce i innych nauczycielach zrobiło to pewne wrażenie, miałem swoją legendę, która pomagała mi w trudnych sytuacjach, przyemykano oko na słabsze wyniki z matematyki i fizyki. Tak zapamiętałem ten proces stawania się pisarzem, czy może raczkowania pisarskiego. Ale świadomość tego, że będę pisał objawiła mi się bardzo wcześnie. I nigdy nie naszła mnie myśl, że mógłbym robić coś innego, nigdy. Wiedziałem, że będę pisał wiersze i prozę, ale także bardzo wcześnie wiedziałem, że będę tłumaczył. To jakoś tak samo przyszło. Zacząłem od wiersza *Lorelei* Heinego i dwóch jego sonetów. Zapamiętałem te tłumaczenia, i po wielu latach poprawiłem je, pokazałem Wilhelmowi Szewczykowi, który je wydrukował, a mój przekład *Lorelei* uznał za najlepszy z jedenastu już istniejących! Później w księgarni radzieckiej, bo była wtedy taka w Katowicach, kupiłem poezje Jesienina. Miałem dobrych nauczycieli rosyjskiego i byłem nieźle przygotowany do tłumaczenia.

W.T.: Ile właściwie znasz języków?

F.N.: Tłumacz literatury „zna” język w zupełnie inny sposób, niż np. tłumacz kabinowy. Pisarzowi bardzo często wystarczy, że dotknie kultury, rozpozna gramatykę i ma jakiś zasób słownictwa. I jest w stanie czytać w tym języku. Znalazł klucz do języka i literatury i może tę literaturę śledzić. Oczywiście, ja czytam i w różnym stopniu mówię takimi językami, jak rosyjski, angielski, niemiecki, hiszpański i węgierski. Czytam po słowacku i po czesku, a o ukraińskim i białoruskim już nie wspomnę, bo to oczywiste. Tłumaczyłem z hisz-

pańskiego Nerudę. Po drodze był pełny przekład *Eugeniusza Oniegina* i 25 sonetów do Marii Stuart Josifa Brodskiego, kilka książek z angielskiego, ale nie chciałem być jakimś maniakiem językowym, postanowiłem skupić się na jednym języku, na jednej literaturze, wybór padł na Węgrów. A ostatecznie skoncentrowałem się na dziele Sándora Márai.

W.T.: Ale to zainteresowanie działa w obie strony. Mam oto w rękach dwie twoje powieści, które przetłumaczono na Węgrzech. Ciekawi ich ten człowiek z Katowic, który tłumaczy Márai i ich poetów. Ale właśnie: wróćmy do Katowic, a konkretnie do katowickiego radia, z którym związałeś na lata swoje życie zawodowe.

F.N.: Trafiłem tutaj w 1964 roku jako autor felietonów, zaczynałem także tworzyć jakieś małe formy słuchowskie. W 1965 roku otrzymałem tutaj etat, od 1 stycznia. Trafiłem do redakcji literackiej. Była tam poetka, Krystyna Broll-Jarecka, siostra znakomitej malarki Urszuli Broll, był pisarz cieszący się zasłużonym uznaniem, Kalman Segal, Żyd z pięcioletnim stażem w sowieckich łagrach, bardzo ważny dla mnie człowiek; w tym samym pokoju był Aleksander Widera, który spędził pięć lat w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, i była reportażystka Agata Wojterzanka, absolwentka polonistyki, wychowanka Pigionia, Kleinera, która kilka lat wojny spędziła na robotach w Niemczech. Mając dwadzieścia pięć lat wszedłem w takie środowisko, pomiędzy ludzi takiego formatu. Krysia Broll-Jarecka była całkowicie niepodatna na jakiekolwiek komunistyczne zakusy. W czasie okupacji dostała od Niemki w twarz na ulicy za mówienie po polsku, po wojnie aresztowana, bita przez funkcjonariuszkę UB, Polkę! Redakcja Audycji Literackich była w radiu i w ogóle w ówczesnej rzeczywistości miejscem szczególnym. Związały się przyjaźnie na całe życie. To była moja radiowa rodzina. Radio było dla mnie czymś więcej, niż tylko miejscem pracy. Ale to nie znaczy, że dawano nam spokój, że nie było żadnych prób manipulowania nami. Nie było idylli, o nie! Próbowano nas indoktrynować. Zorientowano się, że my chcemy tu pracować. Bronilem się, ale musiałem zapłacić pewną cenę. PZPR polowała na młodych, zdolnych ludzi. To było bardzo niebezpieczne. Należało więc wyznaczyć sobie granicę, której nie wolno było przekroczyć, żeby nie wiem co, żeby się, mówiąc wprost, nie skurwić. Trzeba było mieć w sobie taki sygnał alarmowy! Więc w pewnym

momencie on zadziałał i odszedłem z radia. Też nie do jakiejś arkadii, ale w radiu, wśród pewnych ludzi – dawno poumierali, niech im ziemia lekka będzie – nie dało się, przynajmniej ja nie mogłem już dłużej wytrzymać. Ale wróciłem, tyle że już po roku 1989...

W.T.: Twoja działalność w radiu to były – i są do dzisiaj! – głównie felietony i słuchowiska, patrząc na to od strony form literackich. Rola felietonisty-komentatora codzienności, czy to jest coś w rodzaju pogotowia politycznego?

F.N.: Raczej społecznego! Nie chodzi tu o uprawianie propagandy, ale o patrzenie politykom na ręce, by nie rzec: na łapy! Codziennie w różny sposób rozmawiamy o tym, co się dzieje, wygłaszamy komentarze, robimy to często w formie prześmiewczej, żartując i jeśli nadamy temu formę bardziej zdyscyplinowaną, to mamy już felieton. Ale trzeba jeszcze mieć w sobie pewien rodzaj temperamentu. Gdzieś to we mnie jest, może nie to, że ja chcę uczestniczyć w tym wszystkim, ale, być może tylko tak mi się wydaje, pewne rzeczy dostrzegam nieco wcześniej i chcę przed pewnymi rzeczami ostrzec, podzielić się moim niepokojem.

W.T.: Ostrzec, na przykład, przed czym?

F.N.: Choćby przed bałwochwalstwem! Jeśli polityk mówi w mediach, że szef jego partii został przez Boga obdarowany łaską geniuszu, to już nie wystarczy powiedzieć, że to jest żenada. Trzeba rozpoznać tę chorobę. Trzeba powiedzieć, że to jest ubóstwienie w duchu kultu jednostki! Kiedy obserwuję wielu polityków przed czterdziestką, to nachodzi mnie myśl, że tacy, jakimi są dzisiaj, robiliby błyskotliwe kariery w PRL-u, w PZPR... Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. O tym mówić, przed czymś takim ostrzegam.

W.N.: To publicystyka. Ale twoim największym radiowym sukcesem jest bezspornie słuchowisko *Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską*, nagrodzone na sopockim festiwalu DWA TEATRY i wyróżnione w międzynarodowym konkursie PRIZ ITALIA.

F.N.: A jeśli mówimy o słuchowisku, to zupełnie inna sprawa. Słuchowisko jest sztuką. Słuchowiska nie pisze się często. To właściwie jest rodzaj dramatu, tylko bardziej skomplikowany. Na antenie radiowej nie mamy dwóch godzin do dyspozycji. Dawniej była to godzina, a obecnie coraz częściej pięćdziesiąt minut. Częściej pół godziny. To jest bardzo poważne przedsięwzięcie pisarskie. Ja muszę

stworzyć świat, muszę stworzyć postaci, jakiś konflikt, muszę stworzyć niebo i ziemię. I to wszystko musi żyć i oddychać, musi mieć swoją krew i swoje powietrze. Słuchowiska nie pisze się ot, tak sobie. Najczęściej pisze się na zamówienie. Ja muszę wiedzieć, że robię to dla radia i że ktoś na to czeka. Pisze się także na konkurs. Niewiele jest autorów słuchowisk. Taką rzecz można napisać raz w roku, bo to bardzo skomplikowana i wymagająca forma. Pasjonująca, ale trzeba dać z siebie bardzo dużo. Lubię takie chwile, kiedy mam już coś zrobione, wtedy biorę psa i idziemy do lasu, a słuchowisko idzie ze mną – jego konflikty, jego postaci. One wtedy rozmawiają ze sobą, ja się im przysłuchuję, w domu, po powrocie, zapisuję to, co tam w czasie łążenia z psem po lesie się wydarzyło. Zamówienie – w przypadku słuchowiska o pacyfikacji kopalni Wujek – idealnie zbiegło się z tym, co od dawna nosiłem w swojej duszy. Byłem gotowy do takiego słuchowiska. I jeszcze jedno: po zrealizowaniu tego słuchowiska poczułem się w pełni katowiczanie. Bo przedtem bywały chwile, kiedy czułem, że nie jestem tak całkiem pewien skąd właściwie jestem. Czułem się wykorzeniony. A to słuchowisko jest herbem mojej katowickiej tożsamości.

W.T.: Czy zastanawiałeś się kiedyś, kim jest twój czytelnik?

F.N.: To jest inteligent, który w każdej istotnej sprawie gotów jest zachować odrębne stanowisko. Czasem przychodzi do mnie, odnajduje mnie w redakcji. Czasem spotykam go na tzw. spotkaniu autorskim, w Katowicach, w Warszawie, w Szczecinie, w Koszycach, w Berlinie, w Budapeszcie. Ilu ich mam? Czy można powiedzieć ilu pisarz powinien mieć czytelników? Dobrze jest, jeśli mamy trzystu czytelników i dla nich należy pisać. Ale trzeba założyć, że każdy z tych trzystu czytelników jest tak wymagający jak... Sándor Márai powiedziałby: jak Goethe! A czy nie można pisać dla człowieka mniej wymagającego? Oczywiście, że można, odpowiada Márai, ale nie warto.

W.T.: Felku, kończąc już naszą rozmowę, na którą umówiliśmy się z okazji twoich siedemdziesiątych urodzin, chciałem ci życzyć, abyś jeszcze przez długie lata nie skąpił nam tego, co twoi czytelnicy, do grona których mam zaszczyt się zaliczać, tak bardzo sobie cenią, to znaczy znakomitej prozy, poruszającej poezji, atakujących wyobraźnię słuchowisk, finezyjnych przekładów i celnych komentarzy na radiowej antenie!

Rozmawiał:
WITOLD TURANT

Pieśni odejścia i powrotu

Elegia dla Babci Izabeli

pamięci Izabeli Górnik z Lisowic

1.

Widzę dużo obrazów – chociaż oczy odmawiają posłuszeństwa i czerń rozpościera się wokół. Ślub w wiejskim kościółku. Komunia. Spacer nad jeziorem i narzeczeńskie pocałunki w deszczu. Maki w zbożu i mój pierwszy raz – jaki był miły. Pierwsze karmienie po urodzeniu córki i jej płacz. Jesienne liście. Meblowanie domu, pierwsze kupione razem firany. Zapach zupy grzybowej. Nieszczelne okna, dymiący piecyk – a my wokół niego. Święta.

Obrazy których nie pamiętałam przez lata nagle ożywają. Nic złego. Nawet w czasie wojny piękne były spotkania, kiedy nocą zakradałeś się do domu. Albo spotkania, kiedy przynosiłam ci do lasu chleb i słoninę. Zbieraliśmy poziomki. Było tak niebezpiecznie. Wszystko kolorowe przed oczami. Żadnego ssania, bólu, uczucia głodu. Ciepła, kojąca ciemność. Obrazy cudowne – jak w kinie i błogi nadchodzący sen.

2.

Siostro, wziernik proszę. Podać kroplówkę. Założyć sondę. Skalpel. Pacjentka umiera. Podać adrenalinę. Dosercowo. Elektrowstrząsy. Żyje, jeszcze żyje. My żyjemy.

3.

Kiedy to boli. Moje schorowane ciało jeszcze czuje. Żal żegnać się, ale życie było piękne – teraz to widzę dokładnie, kiedy oczy ślepe, a ciało sparaliżowane. Zostawcie moje ciało, pozwólcie oglądać ten piękny film.

4.

Babciu nie umieraj. Była taka dobra. Tak samo zbierała na meble dla mnie. Zawsze coś dała. Ostatnim razem odmówiłam – kiedy chciała dać na lekcje angielskiego. Prosiłam, Babciu tobie potrzebne są pieniądze na lekarstwa. Schowała zwitek. Spojrzała tak na mnie i szepnęła: on cię kocha. To dobry człowiek. Już więcej się nie widziałyśmy.

Ten straszny telefon od brata, kiedy wsiadałam do pociągu. Dobrze że byłeś ze mną, przyjąłeś moje pierwsze łzy wiadomość o jej śmierci na swój policzek. A potem obrazy za oknem, z Babcią Izą – jakbym w drodze z nią oglądała jej ostatni film. A miałam ją odwiedzić następnego dnia. Ludzie się spóźniają, pociągi się spóźniają, ludzie się śpieszą, odchodząc na zawsze. Tylko na pogrzebie nie śpieszył się nikt, zachwycony pierwszymi kwiatami jakie zakwitły tej wiosny na jej cześć.



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Łuka

Trzy sznury Wincentego Pstrowskiego

STEFAN
SZLACHTYCZ

Wysokie Odznaczenie! No, nie był sam, w gronie otaczających go VI-Pów znalazł się też, nikomu wtedy niezany Prezes Polonii Belgijskiej – Edward Gierek.

Wincenty Pstrowski tak bardzo przejął się swoją rolą, że uwierzył w Misję i... przedobrzył. W dwa miesiące po tej „Barbórce”, ku rozpaczy władz... umarł. I to stało się początkiem końca sławetnego ruchu Socjalistycznego Współzawodnictwa Pracy, zwanego potocznie „Wyścigiem Pracy”. Co gorsza, mimo gorliwych zaprzeczeń, ten „Wyścig Pracy” był faktyczną przyczyną śmierci Pstrowskiego i źródłem niekończących się dowcipów obiegających kraj. Wkrótce jednak cała sprawa poszła w zapomnienie.

Sznur drugi

Minęło 30 lat, PRL rosła w siłę (a ludzie żyli dostatniej), Towarzysz Edward Gierek osiągnął apogeum swojej – niemal cesarskiej władzy. Jednak wśród jego najwierniejszych pretorian, bynajmniej nie panował nastrój radosnej bez troski; towarzysze, jak potrafili, podpierali tył fasady, a już najbardziej martwił ich kompletny zanik pryncypiów ideowych ustroju. Brakowało też świetlistych Wzorców-Ikon personalnych, porywających lud w dumny „marsz po szczęście, pokój i radość”. I przypomniano sobie Pstrowskiego. Był jeszcze jeden, ważniejszy powód, że Pstrowskiego, nie kogoś innego.

Ktoś bowiem odkrył niezwykłą zbieżność życiorysów Pstrowskiego i Gierka: kopalnie Zagłębia przed wojną, kopalnie Belgii potem, ta sama partia komunistyczna, te same organizacje polonijne... Prawdziwa, głęboka przyjaźń nie potrzebuje się afiszować! Tak tłumaczono sobie wstrzemięźliwość Gierka w temacie: Pstrowski.

Był wrzesień roku 1977 kiedy narodziła się koncepcja „odrodzenia socjalizmu jako masowego ruchu ideowego pod patronatem Wincentego Pstrowskiego”. Na inaugurację akcji wybrano Święto Górnika „77 a miejscem wydarzenia miało być Zabrze, 4 grudnia, w samo południe uroczystie odsłoni się pomnik Pstrowskiego dłuta Mariana Koniecznego i spod pomnika proklamuje się Apel, będący repliką historycznego apelu

Nic nie zapowiadało zawrotnej, błyskawicznej kariery Wincentego Pstrowskiego. Urodzony w 1904 roku, prosty, niepiśmienny fernal z okolic Miechowa doznał był kiedyś szczególnego upokorzenia ze strony dziedzica i ujawnił wówczas swoją najważniejszą cechę: charakter. Porzucił, i to na zawsze, wieś, przeniósł się na Ziemię Zagłębiowską i został już dożywotnio – górnikiem.

Sznur pierwszy

Kryzys, ten przedwojenny, wygnał go „na saksy” do Belgii. Pracowitość i inteligencja (wrodzona) zapewniły mu stabilną pozycję zawodową, zarobki, a nawet względny dobrobyt. Ale był patriotą, działaczem polonijnym, uwierzył agitatorom i w 46., wraz z rodziną wrócił do Polski, do Zabrza. Natychmiast pożałował decyzji: nędzne, jednopokojowe mieszkanko w obskurnym familoku, żałosne zarobki i, co budziło jego największy sprzeciw, fatalna organizacja pracy. Pracowało się w systemie trózmianowym, każda zmiana drążyła chodnik jak chciała, raz na tydzień sztygar mierzył jego długość, dzielił przez trzy i po równo wypłacał wszystkim. Pstrowski zorientował się, że sam wyrabia dwa razy tyle, co zmiennicy i, że jest okradany. Został nazwany imperialistycznym dywer-

santem, zażądali od niego dowodów. Wówczas pojawił się s z n u r.

Pstrowski wziął go na swoją szachtę, po zakończeniu jej, tymże sznurem wymierzył długość swojego chodnika, odciął i... nielegalnie ukrył się w kopalni. Przeczekał pracę następnej zmiany i w taki sam sposób zmierzył jej rezultat, a potem to samo zrobił z trzecią. I miał dowód do okazania: pierwszy odcinek sznura był wyraźnie dłuższy od sumy pozostałych. W Komitecie Zakładowym PPR przyjęli go jak najgorzej, nawet postraszyli bezpieczeństwem, ale on miał charakter, nie dał się zastraszyć i poszedł do instancji wyżej. Komitet Miejski potraktował rzecz poważniej i powiadomił Komitet Wojewódzki, a tam aż się zachłysłi: – Z nieba nam spadacie! Właśnie kogoś takiego szukamy! I tak narodził się pierwszy polski Stachanow.

Kariera Wincentego Pstrowskiego potoczyła się gładko, według scenariusza Komitetu Centralnego. Pierwszy Przodownik Pracy Socjalistycznej nie schodził z pierwszych stron gazet, jego ogromne portrety ozdabiały centralne miejsca wszystkich miast, obwożono go w paradnym mundurze po bratnich „Demoludach”, wysokość zarobków zapierała dech, dostał przydziałowy domek jednorodzinny, nawet radioodbiornik z importu na „Barbórkę „47” przyjechał do niego sam Prezydent Bierut, żeby mu wręczyć

Pierwszego Przodownika wzywający młodzież do Nowego Współzawodnictwa Pracy Socjalistycznej imienia Wincentego Pstrowskiego. Następnie złoży się kwiaty na grobie Patrona, a wszystko to pod osobistą egidą Towarzysza Pierwszego Sekretarza, transmitowane przez Telewizję Polską. Tej powierzono jeszcze jedną, arcydoniosłą rolę w dniu poprzedzającym Wydarzenie. W czasie największej oglądalności, po słynnym Wieczorze z Dziennikiem miał zostać wyemitowany fabularny film biograficzny o górniku Wincentym Pstrowskim. Ten film miał, owszem – przypomnieć, oświecić niewiedzących kim był zapoznany Bohater Pracy Socjalistycznej, ale miał zarazem spełnić ważniejszą funkcję: być PREZENTEM dla Przyjaciela Edwarda G. od Przyjaciela Wincentego P. Tyle że takiego filmu jeszcze nie było, nawet w szkicu scenariusza, a był wrzesień roku jego emisji. Zaszczyt na rola realizatora „mission impossible” przypadła piszącemu te słowa i to był drugi s z n u r Pstrowskiego nałożony pętlą na moją szyję. Propozycję nie do odrzucenia przedstawił mi Dyrektor Programowy TVP Janusz R. w imieniu samego Prezesa – ksywa: „Krwawy Maciek”. Podjąłem wyzwanie, nie tyle ze strachu, ile z próżności motywowanej ambicją. Przyznaję – miałem świadomość, że przede mną będzie się toczył ciężki pojazd opancerzony, uzbrojony w napis: KOMITET CENTRALNY! Ślad po nim pokryje czerwony chodnik, stąpanie po nim będzie męczące, ale wolne od konfliktów i udręki zwyczajnej, polskiej niemożności. Były jeszcze dwa argumenty za. Dokumentacja w postaci reportażu literackiego Janusza Roszki „Prawda o górniku Pstrowskim”, który nie był hagiografią; przyzwolenie, a nawet zachęta inwestora, by pokazać Pstrowskiego jako zwyczajnego człowieka, jednego z nas, nie celuloidowego soc-bohatera. Używając dzisiejszych stereotypów była to gra o wszystko z szansą na sukces plus owa pętla na szyi. Dodać trzeba, że sukcesem mieli się pożywić i Dyrektor R. i Prezes S, To, trochę wyjaśnia ich późniejsze zachowania.

Nie ma mnie kto pochwalić, więc muszę sam: powstał prosty, rzetelny, uczciwy film, który poza jednym kłamstwem (rolę, jaką w życiu Pstrowskiego pełniła Partia, musiały



film fabularny – opowieść o Przodowniku Pracy Socjalistycznej WINCENTYM PSTROWSKIM. W jego roli: Jan BUGŁOŁ.
scenariusz: Zygmunt WIŚNIEWSKI, reżyseria: Stefan SZLACHTYCZ, zdjęcia: Tomasz TARASIN, montaż: Zygmunt ŁUŚ. produkcja: PVP 1977. 75 min

przejąć – Bogu ducha winne Związki Zawodowe), mówił prawdę. Nawet o śmierci Pstrowskiego. A Pstrowski, który popadł w rekordomanie i zatracił instynkt samozachowawczy zignorował rygorystyczne przepisy BHP (bo ograniczały mu czas, ergo – wydajność, i zarobki!), nabawił się galopującej białaczki, która go zabiła, popełnił zatem rodzaj mimowolnego samobójstwa. Film powstał kosztem niebywałego, zbiorowego wysiłku, ale nikt tego wysiłku nie żałował (do czasu), bo to był wysiłek twórczy. I powstał na czas! Kolaudacja, czyli komisyjny odbiór pod przewodnictwem Dyrektora R. zakończył się, ależ tak: S U K C E S E M! Najwyższa ocena gwarantowała ekipie nagrodę w wysokości 100% honorarium. Prezes S. dał scenarzyście i reżyserowi ekstra-kopertowę (na razie prome-

sę). Do pełni szczęścia brakowało już tylko jednego głosu, Najważniejszego... 2 grudnia 1977 w gmachu KC nadeszła godzina ZERO. Konspiracja, jaką otoczono produkcję filmu powiodła się, Gierek (rzekomo) nie wiedział, co zostanie mu pokazane, hamowanej euforii towarzyszy przeciwstawił kamienną twarz. Ruszyła niespodzianka. I była, znacznie większa od oczekiwanej. Kiedy na ekranie pojawiła się scena balu „barbórkowego „47”, kiedy to Pstrowski został odznaczony... Pierwszy Sekretarz wstał, ciężkim krokiem opuścił salę z rozmachem zatrzaskując za sobą drzwi. Nastąpiła konsternacja, jeden odważny poszedł zasięgnąć języka i przyniósł cytaty, który wszystko zmienił... – „To nie dość, że temu s k u r w y s y n o w i stawiacie pomnik (czyli: wiedział), to jeszcze

robicie o nim film?! Kto to ze mną uzgodnił?”. W rzeczy samej? k t o?

Poszukiwanie winnego nie trwało długo. Za dzieło gatunku filmowego odpowiada reżyser, w dodatku bezpartyjny! Pętlę na szyi wciąż jeszcze miałem, drugi koniec sznura przywiązałem do gałęzi i posadziłem mnie na konia sam Krwawy Maciek, konia pogonić wystrzałem miał Dyrektor R., aż tu, na galopującym koniu wpadł zdyszany pomocnik szeryfa, strzelił! ale w ów sznur i tylko spadłem z siodła.

Osobistym sekretarzem Gierka był kolega ze studiów mojej żony, kiedy dowiedział się o skutkach dla mnie reakcji Szefa na film, przekonał go, by zadzwonił do Macieja i odwołał moje dyscyplinarne zwolnienie z pracy w TVP. Smiem twierdzić, że – wbrew opinii prezesa Kaczyńskiego – po tej stronie „gdzie stało ZOMO” była taka sama ilość tzw. przyzwoitych ludzi, co zawsze przy władzy, od starożytności.

To, że ja ocalałem nie oznaczało końca dintojry. Dyrektor R. osobiście zmienił kolaudacyjną ocenę filmu z najwyższej na najniższą, a to powodowało nie tylko likwidację nagród, ale i obniżenie honorariów do 75%. Odwołano odsłonięcie pomnika Pstrowskiego, rzecz oczywista emisję filmu też. I nie doszło do reaktywacji „Wyścigu Pracy”, który miał ratować ginący ustrój. Czy ktokolwiek podejrzewał autora zawołania: „Pomóżcie?” o aż taką moc negatywnych uczuć? I, nikt nie znał ich genezy. Dyrektor R., który później został literackim apologetą Edwarda G. nie poruszył tematu: dlaczego Pstrowski był aż takim sk... że warto było poświęcić PRL?

A jednak, szydło wyszło z worka. Przynajmniej troszeczkę. Wyjaśnił mi pisarz Roszko. – Nie wiadomo co między nimi było w Belgii, ale wtedy, w „Barbórkę „47”, kiedy Gierek znalazł się w świetle Bieruta odznaczającego Pstrowskiego, ten na widok Edwarda miał wykrzyknąć: „A co tutaj robi ten „towarzysz”, podający się za g ó r n i k a pracującego w Belgii? Górnik, ha ha ha!” Skandal szybko zatuszowano, nie przeszedł do historii, a Pstrowski później wyjaśnił, że Gierek nie pracował w kopalni. Podobno z żoną prowadzili pensjonat w Belgii, w którym Edward był kimś w rodzaju oberportiera... Pa-

mięć może Gierka zawodziła, ale pamiętliwość nie.

Ja też dobrze pamiętałem i pamiętałem wydarzenia końca roku 1977 i kiedy już można było – opisałem je. Po namyśle zrezygnowałem z tytułu: „Jak obaliłem realny socjalizm w Polsce?”, bo kto wie jakby się potoczyła historia, gdyby wystartował ten „Wyścig Pracy”? Żadna z dużych gazet nie uważała tego za ciekawy temat, opublikował regionalny miesięcznik „Śląsk” i na tym się skończyło. Tak myślałem, ale nie miałem racji...

Sznur trzeci

W ostatnich latach w Teatrze TVP zapanowała moda na tzw. scenę faktu i nie jest to przypadek... Wiem coś o tej formule jako autor (scenariusz i reżyseria) kilkunastu spektakli i filmów „teatru faktu”, o którym to gatunku mówi się również „doku-drama”. Rozumiem przez to u dramatyżowaną inscenizację autentycznego wydarzenia historycznego, w którym zarówno bieg wypadków, jak i osoby w nich uczestniczące dochowują maksymalnej wierności prawdzie.

W roku 2008 zwrócił się do mnie reżyser Janusz D. (specjalność: serial tvp) z ofertą, że rad by zrealizować spektakl wyż. wym. gatunku o mojej „przygodzie” z filmem o Pstrowskim. Moja próżność doznała podwójnej satysfakcji: raz – że ktoś to czytał, dwa – że znalazł w tym źródło inspiracji artystycznej. Zgodziłem się skwapliwie, zwłaszcza że postać mojego, przyszłego kreatora (miałem być w tym spektaklu grany przez aktora) nie budziła najmniejszych podejrzeń o to, co nazywa się: szalbierstwo. Nie włączyły się czujniki alarmowe, nawet wtedy, kiedy dowiedziałem się, że nie mogę zostać scenarzystą, bo biurokratyczny błąd sprawił, że Prezes TYP (ten na U.) omyłkowo dał zgodę na niego (Janusza D.) jako jedynego autora i za późno, by to zmienić, ale w drodze spec-wyjątku mogę zostać współautorem. Myślałem, że reżyser cieszy się, iż jego bohater żyje i wzbogaci jego wiedzę o znajomość f a k t ó w właśnie. Jakże się myliłem, i nie wietrzając żadnego podstępów wpuściłem „kolegę” na strych.

Każdy z nas ma taki swój „strych pamięci”, miejsce pod dachem, gdzie

suszy się uprana bielizna osobista, wiśsi nieszonowa lub niemodna odzież, tudzież składują się przedmioty niewyrzucone, bo kiedyś do czegoś mogą się przydać. Na moim strychu miejsce szczególne zajmuje sznur Pstrowskiego, na nim szczególnie dobrze zakonserwowane memuary. Wciąż nie zdawałem sobie sprawy, że wpuszczam cwane go amatora cudzesów. W żargonie utrzymujących się z przywłaszczania cudzej własności, najniższą kategorię – choć pracują na wysokości – zajmują szopenfeldziarze, inaczej zwani „pa jęczarzami”. Ten mój, na moim strychu nie musiał się nawet włamywać, miał ode mnie klucz, wchodził kiedy chciał i brał co chciał... Najpierw napisałem mu scenariusz, który potraktowałem jako plan sytuacyjny, w czasie plądrowania wysłałem mnie na deliberacje z IPNem. Wtedy zrozumiałem kto jest inspiratorem mody na scenę faktu. Tyle, że młodzi funkcjonariusze IPN zamiast mnie indoktrynować, z otwartymi ustami słuchali wynurzeń „świadka epoki”, o której wiedzą tyle, ile wyczytają z papierów. Reżyser należący do tych Eskimosów, którzy pouczają mieszkańców Konga o sposobach zachowania w czasie dużych upałów, nie miał potrzeby uczestniczenia. On wie wszystko o życiu, wszak robi w serialach.

Pod wpływem grymasów tzw. czynników, napisałem aż 3 wersje scenariusza, których nikt nie przeczytał. Mój rzekomy udział autorski był tylko legitymizacją zawładnięcia moim filmem, którego fragmenty, dowolnie wykorzystane, były moim jedynym wkładem w opus jakoby mnie dotyczący. Osoby, sytuacje, miejsca akcji, dialogi nie odnoszące się w żadnym stopniu do rzeczywistości, a wszystko to w poetyce, choć lepiej powiedzieć w sosie serialowym, utworzyło parodię, tym gorzej, że niezamierzona – na obraz i podobieństwo reżysera Janusza D. jak Demiurg. Nie odważył się osobiście, wersję roboczą pokazali mi jego współpracownicy. Co z tego, że wycofałem swoje nazwisko? Nikt nie zauważył tego, czego nie ma... Ostał mi się ino sznur! Jak go wykorzystać? Można zrobić (ściślej: odtworzyć) pętlę, można wykorzystać jako skakanek, można pozawiazywać w węzeł, można zwinąć w kłębek i odłożyć w kącie strychu.

Kawaler, czy żonaty? To pytanie pada w filmie Borysa Lankosza parokrotnie, a skutki jego są katastrofalne. Warszawa, rok 1952. Panna Sabina ma dwadzieścia dziewięć lat, z wykształcenia polonistka, pracuje w Wydawnictwie Nowina, w Dziale Poezji. Redaguje tom poezji wybitnego poety, cudem ocalonego spod gruzów powstańczej stolicy, który nie akceptuje panującego systemu, a wystarczyłoby, gdyby dokonał paru „zabiegów kosmetycznych”, jak konieczne cięcia nazywa szef panny Sabiny dyrektor Barski. Sugeruje, by spróbowała porozmawiać z „wielkim poetą” na prywatnej stopie. Stąd w przestronnym mieszkaniu trwają przygotowania do przyjęcia nie tyle znakomitego gościa, co mężczyzny, bowiem mama panny Sabiny i jej babcia ponad wszystko pragną wydać córkę i wnuczkę za mąż.

Panna Sabina jest zakompleksiona, nie bez powodów, jest wszak uosobieniem doskonałej przeciętności, niezdolnej poruszyć wyobraźnię mężczyzny. Wprawdzie dyrektor Barski nie skąpi jej iście męskich komplementów, jednakże seks biurowy uprawia z całkiem inną pracownicą obdarzoną powabnym biustem, atrybutem, którego niemal całkowicie jest pozbawiona panna Sabina. A więc: „kawaler, czy żonaty?”

To jedna sprężyna filmu „Rewers”. Drugą siłą napędzającą filmową opowieść jest złota jednodolarówka, którą należałoby oddać ludowemu państwu, do czego wzywa specjalny dekret. Panna Sabina wpadnie na dość niepospolity sposób ukrycia domowego złota: będzie łykać pieniądze, wydalać go, czyścić, znowu łykać, znowu wydalać...

Skąd w roku 1952 tak piękne i przestronne mieszkanie w Warszawie? Rodzinie panny Sabiny zabrano kamienicę (mieści się w niej teraz ministerstwo!) razem z ich apteką, lecz brat panny Sabiny, z zawodu malarz (pracownię ma w mansardzie), otrzymał to mieszkanie w uznaniu dla jego „sztuki w służbie ludu”: jest niezmordowanym malarzem socjalistycznych świętych powszednich, z dzielną traktorzystką na czele. Do postaci traktorzystki twarzy udziela mu siostra-polonistka-redaktorka-panna Sabina! Malarz, wie, że się sprzedał, dlatego pije, ale mieszkanie rodzina panny Sabiny ma. I nawet sama panna Sabina skłonna jest zachęcać niezłomnego poetę Wodzickiego do „pewnych zmian” w tekstach, bo przecież jest jak jest, i trzeba się dostosować, wszak inaczej nie będzie. Z jakimś zdziwieniem przyjmuje słowa poety, że nie wolno wyrzec się nadziei.

Trzeba żyć, trzeba redagować antologię poezji chłopskiej (Nudna jak flaki z olejem, ale potrzebna! – słowa dyrektora Barskiego!!!). Życie jest silniejsze od opresyjnego systemu, trzeba się kochać, trzeba rodzić dzieci. Panna Sabina zachowuje się jak większość tak zwanych zwykłych ludzi. Do czasu jednak. Bowiem dostosowanie jest na lu-



Rewers

dziach wymuszone, i w większości tli się jakiś czysty płomień. Przyzwoitość, niezłomność, przymioty na pozór zawieszone w stalinowskiej codzienności.

Panna Sabina zderza się z systemem od strony najmniej spodziewanej, zdawałoby się bezpiecznej, w której nie ma miejsca na bodaj cień podejrzenia. Oto mężczyzna, który pojawił się w jej szarym życiu jak rycerz z bajki, przy tym diabelsko przystojny, któremu oddała się bez wahania, okazał się ubeikiem, który jej proponuje współpracę, nie wykluczając realnego małżeństwa: ma tylko co tydzień napisać raport o zachowaniu, słowach, postępach dyrektora Barskiego.

Wstrząs, jakiemu ulega panna Sabina, jest wiarygodny. Jeszcze dobrze nie pozbierała się po, jak się zdaje, pierwszym w jej życiu akcie płciowym, a już to, co najświętsze zostało sprofanowane. Zabija kochanka. Od tego momentu dość pogodna opowieść o strasznych czasach stalinowskich, gdy co roku tysiące ludzi w przymusowym pochodzie pierwszomajowym pozdrawiało przywódców partii i rządu (lecz radosne uśmiechy nie były już przymusowe!), zamienia się w klasyczną czarną komedię z rozkładającymi się w wannie zwłokami przystojnego ubeka, a następnie z oryginalnym grzebaniem kości w gigantycznym wykopie pod fundamenty przyszłego Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina.

Ani to zabójstwo, ani pochówek nas nie przerażają. Czarna komedia – i w tym tkwi jej magiczna moc – zawieszona na czas spektaklu etyczne dylematy związane z zabójstwem, unieważ-

POZA KADREM

nia powagę śmierci, oddala dociekliwe pytania o wiarygodność i prawdopodobieństwo. Czarna komedia czyni to na własnych warunkach; kto ich nie przyjmuje, może wyjść z kina, nic tu po nim. Jednakże czarna komedia wykonana ze smakiem, z poczuciem miary, co winno cechować każdą dobrą zabawę, nie dopuszcza żartu tam, gdzie być go nie powinno: sekwencja aresztowania generała na oczach panny Sabiny i jej mamy ciągnących po schodach

zwłoki ubeka w malarskim kitlu Arkadiusza, zachowuje – nie wypadając z ram czarnej komedii – suwerenną godność. Podobnie rzecz ma się z aresztowaniem dyrektora Barskiego. Jego ostatnie słowa skierowane do zszokowanych współpracowników: „Dopilnujcie, aby plan wydawniczy został wykonany” – nie bardzo śmiesz, choć są śmieszne, i nie bardzo smuć, choć dyrektor pod gabardynowym płaszczem zarzuconym na ręce, kryje kajdanki.

Może też nie wypada pytać o prawdopodobieństwo takiego akurat przechowywania złotego dolara, choćby nawet z nostalgicznym napisem „Liberty”! Moim zdaniem jest równe zero! Polacy bardzo byli uodpornieni – pięcioletnią okupacją niemiecką – na wszelkie zakazy i zakazy, aby natychmiast oddać komunistom rodowe klejnoty! Zabójstwo ubeka, rozpuszczenie jego ciała w wannie i pochowanie kości w wykopie pod przyszły Pałac Kultury i Nauki – to nawet nie teatr absurdu, to bajka po prostu, a już brak następstw w postaci zaareztowania całej rodziny panny Sabiny, tu bowiem urwał się wszelki ślad po funkcjonariuszu Toporku, którego misja była jego szefom doskonale znana – to czysta fantazja. Ostatecznie można by o to i owo pytać scenarzystę (Andrzej Bart), ale nie reżysera, debiutującego w fabule Borysa Lankosza, który tę w istocie błahą (jak wydać za mąż niezbyt powabną, niemal trzydziestoletnią córkę), miejscami bardziej, miejscami mniej zabawną historię, opowiedział w sposób perfekcyjny, z absolutnym wycuciem gatunku, bez zbytecznego kadru i zbędnego słowa. Przy tym, w tej precyzji więcej jest poezji niż matematyki! Wejście planu współczesnego, w kolorze, w film czarno-biały jest nagłe i bardzo mocne! Aktorzy – z zupełnie rewelacyjną Agata Buzek! – nie grają w czarnej komedii; żyją swoim powszednim życiem, i tylko czas, tzw. epoka czyni z ich życia „opowieść idioty”.

Inteligentny, pełen wdzięku debiut! Bardzo jestem ciekaw następnego filmu Borysa Lankosza. Ten człowiek ma wrodzone poczucie stylu, a to rzadki dar!

FELIKS NETZ

Magnolia i maślanka. Pszowska opowieść

Do okna zagląda mi mokra kwitnąca magnolia.
Dygoce i rzeźi pod batem wichury.
Wilgotne, ciemnołososiowe, poszarpane płatki kleją się do szyb.
Przywiera do szkła barwą, do pamięci zapachem.

Stuletnia magnolia stała w ogródku Kanerta (teraz Owczorzy) na pszowskim Zepłociu podczas wiosen mojego dzieciństwa. Takie magnolie rosły też na dziedzińcu KUL-u, w sercu tamtego świata. To one przez kilka lat obserwowały mnie z pulpitu komputera. Potem trzeba je było opuścić bez znieczulenia i po kolei: dzieciństwo, tamten świat, i komputer.

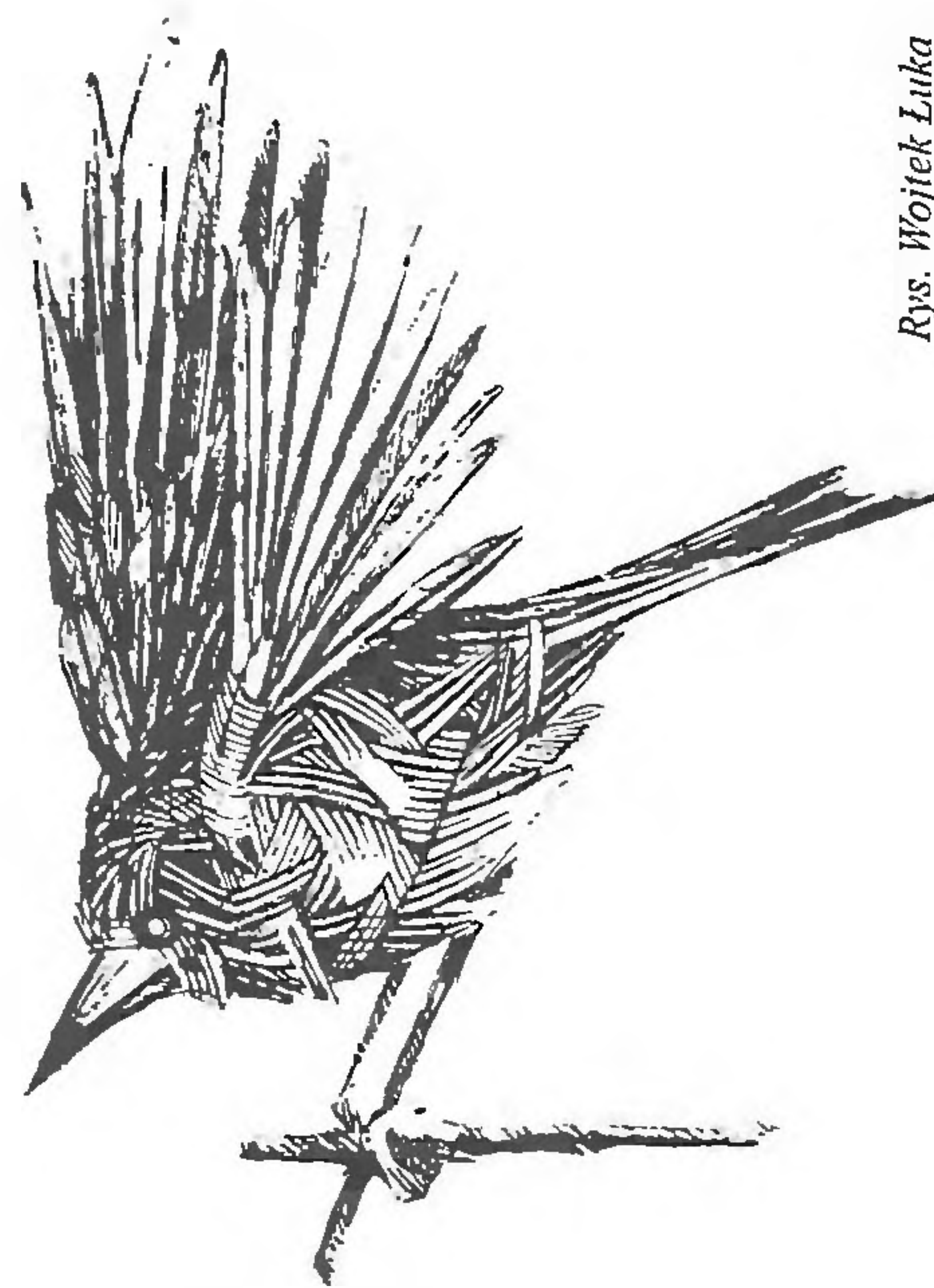
Banalny sentymentalizm, powiecie?
Nie, nie pozwolę odserdecznic tego wszystkiego.
Nie wyprę się żadnej łzy. Wystarczy mi łaski i odwagi.
Chcę czuć na wylot, do końca, za życia i po śmierci;
żadne tam quasitybetańskie sztuczki – proszę o naturalnie chrześcijańską Golgotę.

Posłuchajcie jeszcze, teraz historia jak z Ozeasza, Amosa lub Marqueza.
Otóż Mama powiedziała, że kiedy ubierała płaszcz, usłyszała, wyraźnie, choć może nie tak dosłownie:
spóźnisz się do kościoła z powodu kolejki na poczie i nie zdążysz na mszę
(nie gorsz innych spóźnieniem). Więc załatw sprawy na poczie bez nerwów, a zamiast do kościoła, idź do SAM-u i kup mojemu Synkowi maślankę mrągowską. Wiele dla mnie dziś zrobił i jest już nieco zmęczony; dam mu teraz maślankę, wśród prześladowań, a życie wieczne potem (są w tej historii i moje dodatki). Do kościoła idź jutro.

Czytam teraz, nocą,
„Pokutę” McEwana i „Żur Lagę des Glaubens” Raztingera,
Wysokie Obcasy i „Dolinę nicości”.
Piję maślankę.
Żal mi magnolii.
Straszliwie tęsknię,
Wymiękam, proszę o rozejm.

To tyle tej pszowskiej opowieści.
Jeszcze tylko:
bierzcie wszystko, dołożę jak będzie mało.
Jedynie Boga i ten wiersz mi zostawcie.

Pszów, 2009 r.



Rys. Wojtek Łuka

Wiara

„Moje zmartwienia nie mogą wyjść poza ten dzień.
O jutrze pomyśli Opatrzność”

(Jan XXIII)

Ona
zawiera ten rodzaj pewności,
który stabilizuje uczucie,
rozjaśnia umysł.
I studzi krew. I ją rozpala
*
W nocy silny, porywisty wiatr
pod niebem ciemnogrnatowym,
pod milionami gwiazd.
W nocy udręka.
Przed świtem poruszenie serca

*
Wcześniej, pod wieczór, wilgotna
łąka,
*
widziana w bladym świetle,
w gasnących zorzach zachodu,
wielkie pole parującej zieleni
*
Listopad.
Prawie grudzień.

Nie mieć Bogu za złe swojego życia.
Nie mieć żalu do ciała.
Przez wytrwałość ocalisz swoje życie
*
To wszystko razem: rozpalona krew,
poruszone serce, mokra zieleń,
wytrwałość.

Wiara

Kamień Śl., 27-28 listopada 2008 r.
Pszów, 19 kwietnia 2009 r.

Słowiki, maj/czerwiec 2009
Czy Bóg nas opuści?
(lekcje jasności; wersja 2)

Mamie

tu,
w śląskim raju, który jest kamieniem,
wonią Hiacyntów, śpiewem Eichendorffa,
zawodzeniem pól pozbawionych ojców i pasterzy

(jeżdżą wózkami widłowymi w Bayreuth
i podlewają holenderskie tulipany)
w każdą noc śpiewają słowiki, gdzieś daleko,
w dębach i lipach parku, i dzikie gołębie,

także sikorka i kos – to muzyka
naszego domowego ogrodu wspomnień.
Wzrusza nas to. Trenują też nocami świerszcze.
Ale cykad i pasikoników moja Mama nie słyszy.

Zaczyna się tak właśnie:
co drogie i czułe
osuwają się w strefę ciszy.
Ale wieje ciepły, nieznany wiatr.

Może przyszedł coś nam zabrać?
Nad ranem milczenie.
Po śniadaniu sporo tabletek
w żywych kolorach i wymyślnych kształtach.

Zielono, pusto.
I co to wszystko ma znaczyć?
Przecież wystarczał tyle lat poranek w górach,
pieśń ptaka, blask słońca, bosa stopa w rosie.

Jezus jest uwikłanym w zarośla góry Moria barankiem,
którego Ojciec przewidział,
w Nim jest szczelina, przez którą widać niebo;

do niej ulatuje nocny śpiew słowików,
wiatr, cisza i wszystkie pigułki wszystkich aptek świata.
I to jest właśnie chwałą Boga.

Wracaliśmy z kościoła, szła noc,
grały dla nas kosy i słowiki,
trzymały się za ręce
Bóg nas nie opuścił, jak nie opuścił Jezusa na drzewie

Kamień Śl., 21 maja – 2 czerwca 2009 r.

Słowiki, maj/czerwiec 2009
Czy Bóg nas opuści?
(lekcje jasności; wersja 1)

Mamie

tu,
w maju-raju, który jest śląskim kamieniem,
w każdą noc śpiewają słowiki, gdzieś daleko,
zza czarnych drzew; i ćwiczą monotonne arie
świerszcze.

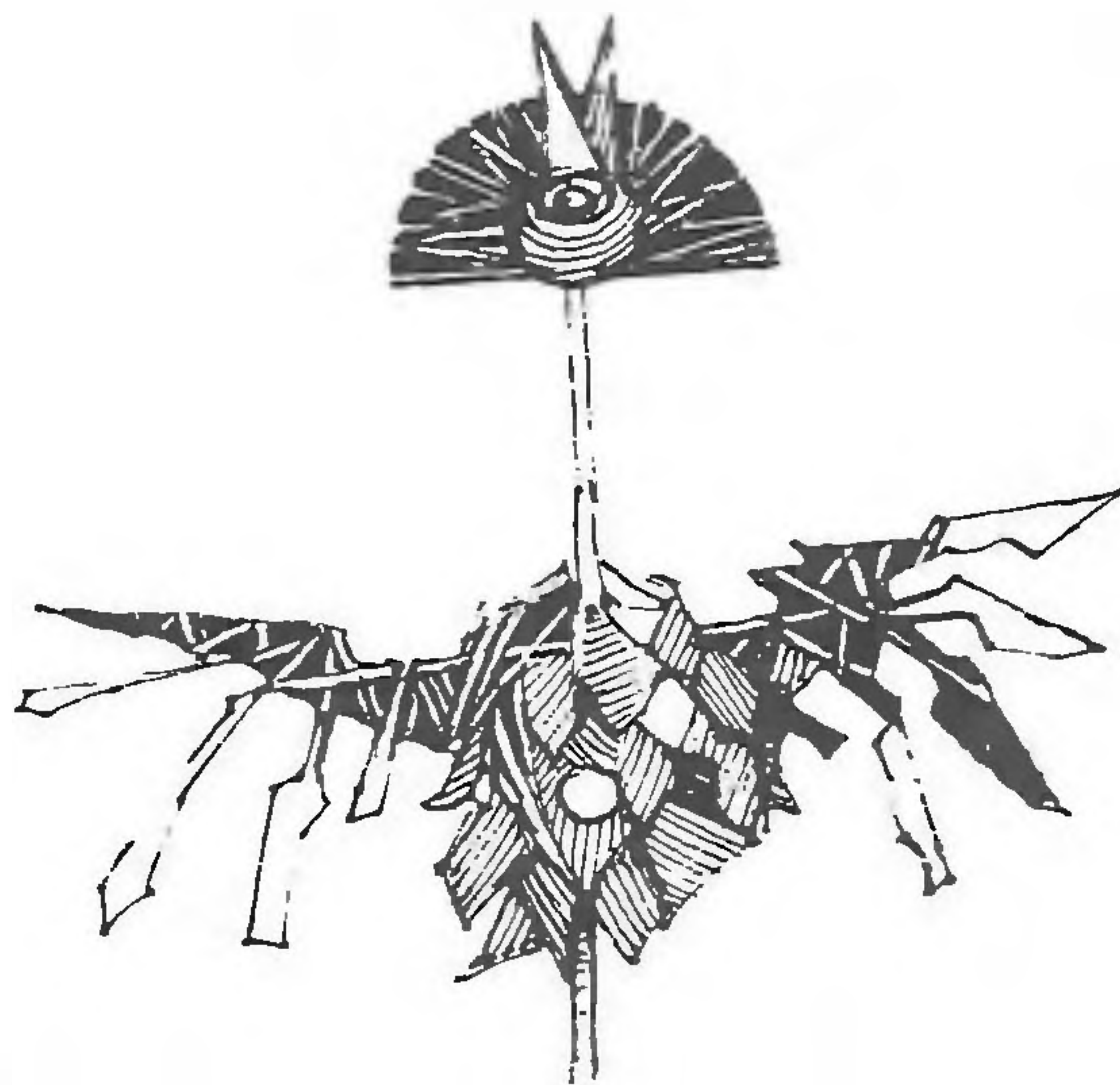
Słuchamy z Mamą, z balkonu, w piżamach, w zachwyceniu.

Ale cykad i pasikoników Mama nie słyszy.
To co najpiękniejsze i najczulsze
osuwają się w strefę milczenia pierwsze;
to ważna informacja dla estetów, katastrofistów
i laryngologów. I samych zainteresowanych.

Wieje ciepły, nieznany wiatr.
Nad ranem coraz głębsza cisza.
Po śniadaniu coraz więcej tabletek.
Ależ tu zielono, pusto...
I co to wszystko ma znaczyć?

Bóg nas opuścił, jak opuścił Jezusa na drzewie

Kamień Śl., 20 maja – 1 czerwca 2009 r.

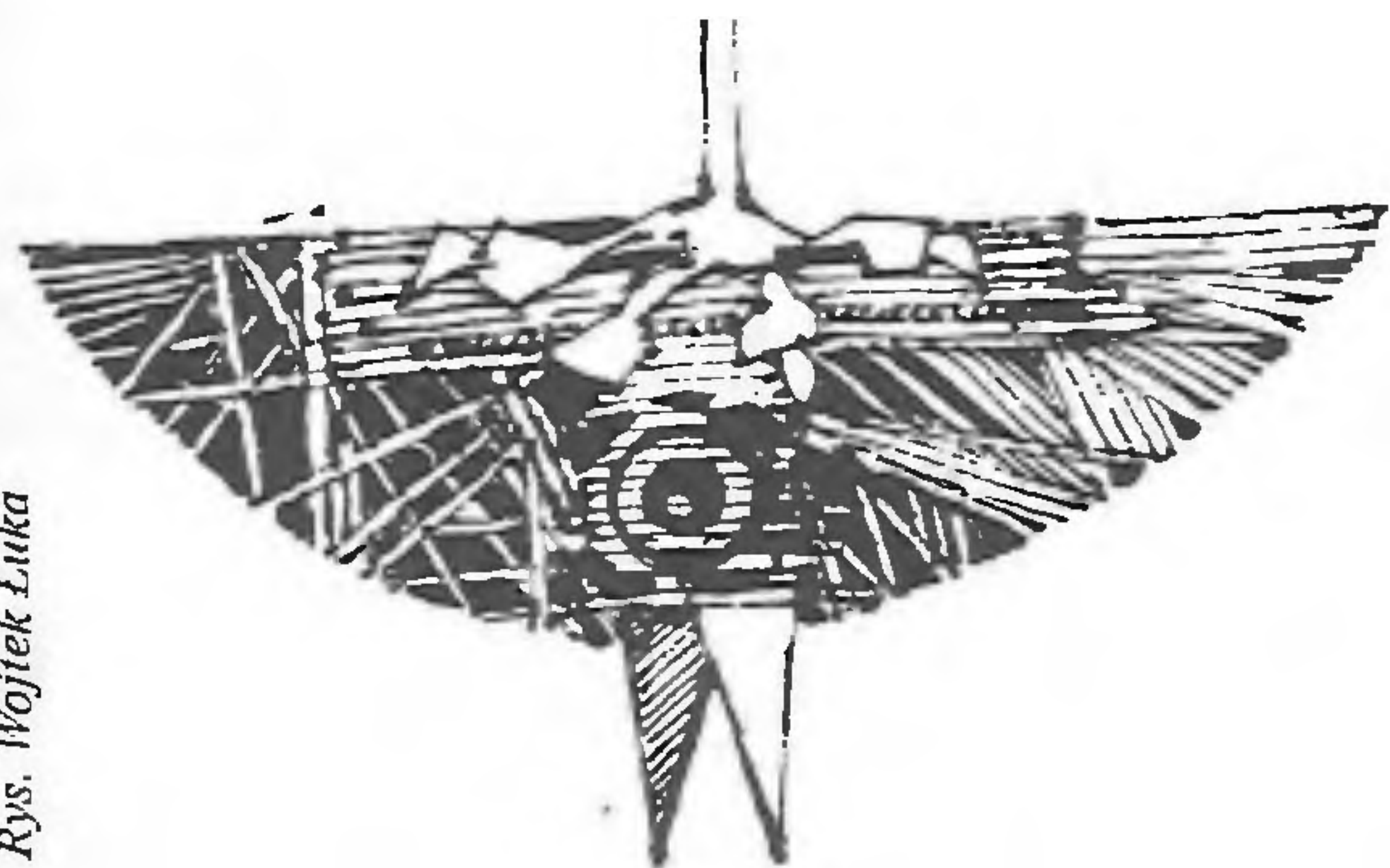


Rys. Wojtek Łuka

Ta jedna

budzę się na obrzeżach nocy,
wykrzykując imię.
Głośno, wyraźnie, bez świadomości i bez lęku.
To proste.
Których kocham – wzywam.
Na świadków? Powierników? Lekarzy?
Nie wiem, wybacz, to był sen tylko. Wiem, że
miłość – ta jedna – nas chroni.
Jak tamto piskłę, pamiętasz?
Wtedy, w czerwcu, w zagłębieniu dłoni?
Wołam we śnie tamto piskłę, kocham je na jawie

Kamień Śląski, 1 grudnia 2009 r.



Rys. Wojtek Łuka

KS. JERZY SZYMIK

Przynajmniej raz w roku odwiedzam moją cynkową brzozę, rosnącą na hałdzie w Nowym Bytomiu. Kiedyś widywaliśmy się częściej, a nawet, kiedy spacerowałem po mieście jako mały chłopiec, towarzyszyła mi wiernie w moich wędrówkach – może bardziej w wyobraźni aniżeli w rzeczywistości, ale wtedy wychodziło na to samo.

Foto: Krystian Gałuszka



Witraż w kościele godulskim

Sławna jak Otylia

Przypowieść z cynkową
brzozą w tle

KRYSTIAN GAŁUSZKA

W tym roku nasze spotkanie jest szczególne, gdyż widzimy się z okazji fajeru, czy jak chcą niektórzy – jubileuszu, mającego, jak wiemy, korzenie w dawnych zwyczajach starożydowskich, gdyż po hebrajsku jobel oznaczał róg barani, którym obwieszczano rok zwolnienia z długów, uwalniania niewolników itp., przypadający co 50 lat, jednym słowem świętowanie. Na Śląsku z okazji 50. rocznicy urodzin mówi się o Abrahamie, która to interesująca tradycja, mająca również biblijne pochodzenie, oznacza nie tylko osiągnięcie wieku statecznego, ale także dostąpienie mądrości ojca narodów.

Brzoza w dniu mojej wizyty widok z hałdy ma doskonały. Z jednej strony spogląda w kierunku Otylii, bo tak nazywa się kolonia leżąca na zachodzie miasta granicząca ze Świętochłowicami. A widok – co tu gadać – jakże znojny. Ale dobrze wiemy, że jej zapatrzenie ma inne podłoże. Gdyż mistrzyni nad mistrzyniami, o tym samym tajemniczym imieniu, pochodząca z Rudy Śląskiej, znana na cały świat, uwiodła ją. I bynajmniej nie kolekcją medali, co jest oczywiste, ani swymi mistrzowskimi tytułami, bo co to obchodzi cynkową brzozę, tylko zapatrzeniem do pracy. Ciężką, znojną, momentami katorżniczą robotą. I żelazną konsekwencją. I oczywiście talentem. I co nie jest bez znaczenia – bólem, nieodpartym towarzyszem popełnianych błędów. Otylia ze starogermańskiego znaczy ojczyzna – i być może to również miało wpływ na oczarowanie, gdyż miasto, które również zawładnęło duszą cynkowej brzozy, jest także swego rodzaju ojczyzną.

Patrzmy zatem na miasto, w którym nie tylko ja i nie tylko brzoza, zakochaliśmy się. Ona – jak to drzewo – zna opowieści innych drzew przechowywane w ich szczególnej pamięci. Gdzie przypowieść o Królu Cynku i jego powozie jest jedną z wielu, kiedy wspomina czasy początków industrialnych miejscowości, gdzie z zieleni lasu wylewała się czerń, przeradzając się w rudo-brunatny jeszcze nie skonkretyzowany kształt. I dlatego, to szczególne miej-

sce tutaj – szumi brzoza – rozciąga się właśnie w kosmosie ograniczonym z jednej strony zielenią, a z drugiej czernią, jak w obrazach malarza. Tak uwarunkowana estetyka kolorów, przywołuje faktyczny smak tego śląskiego miasta. Miasta, które choć obchodzi Abrahama, korzeniami tkwi w średniowieczu. Jakkolwiek jego mit związany jest z przełomem wieku XVIII i XIX, w którym odnaleźć się może minister przemysłu poeta Goethe, ale na pewno już nie litewski literat Mickiewicz. I dlatego właśnie, choć czas jest całkiem inny, nieodparte przeczucie, iż za rogiem kamienicy na niebie ukaże się stero-wiec sunący wolno niczym zagubiony wieloryb, jakby żywcem wzięty z rycin, ubarwiających powieści Verne’a, nie jest tylko złudzeniem, ale ukrytą tajemnicą, emanującą z każdej części otaczającej rzeczywistości.

To szczególne miejsce tutaj na pocynkowej hałdzie, chciało by się powiedzieć stygmatyczne, wyciska niezatar-te piętno w sposobie myślenia i odczuwania. Wiem o czym szumi moja towarzyszka brzoza. O miejscu, gdzie pycha i bezzadność, ale także ból i uniesiony krzyk radości są przecież obecne. Choć na pierwszy rzut oka ich nie widać, gdyż ukryte są ciągle w cieniu kopalń, których szyby górują gdzieś tam nad horyzontem, niczym starożytne kurhany, stojące na straży świata. W szybach kopalń i wieżach kościołów. I grubych chłodniach komi-nowych, które jak sztuczne, wymarłe krater-y czekają w uśpieniu, wraz z milczącym dostojeństwem wielkich pieców farbu-jących jeszcze niedawno niebo na czerwono. O miejscu ukrytym w zapachu. Swo-ista woń unosząc się w powietrzu, jest roz-poznawalna nawet na końcu świata. Zwłaszcza kiedy mżący deszcz obłapia swymi wścibskimi palcami codzienny ry-tuał – krocących z pokolenia na pokole-nie wydeptaną dróżką z domu do pracy, z pracy do domu, a w niedzielę do kościo-ła. Dogłębnie ją czuć, kiedy na dworze su-chy kurz trzyma zmęczonych skwarem w drodze do baru na piwo lub oranżadę – w te letnie ciężkie popołudnia, o których pamięć nigdy nie minie. Niezapomniane opary zanikają jedynie późną wiosną, kiedy po krótkim deszczowym wypadzie do parku, omiatający zapach flidru pobu-dza do wspomnień o dawnych dniach, za-chowanych w lokalnych, czasem już nie znaczących nazwach, jak „szwar-cwald”, czy „rozamunda”. Swoisty bukiet zapachowy ginie jeszcze zimą, zaraz po tym, kiedy biały śnieg, jak tylko on mo-że być biały, szczególnie tu, przykrywa czarne obsmołowane dachy, kominy, cze-piając się zielonych bądź czerwonych parapetów i gzymsów, siadając na płotach i ciężarówkach kopających jak lo-ko-motywy.

Rzeczywiście szyby kopalń, kominy o urodzie zastygłych Don Kichotów oraz dumne i władcze wieże kościołów podtrzy-mują tutaj dach nieba – raz ołowianego, in-nym razem rozświetlonego błękitem, prze-chodzącym w coś na kształt smutku. Smut-ku, który skrywa się w elewacjach domów, spływa na płytki chodników, pierzcha do podcieni lub sieni, czekając na ponie-działkowy ranek i na idących do pracy, jak zwykle. Smutku ukrytym w zbliżającej się



Foto: Krystian Galuszka

górnictwej ciszy, która z wolna następuje i jest tuż, tuż. Co wydaje się niemożliwe. Bo jakże to?

Ta namacalna już cisza, schowana w nie uświadamianym do końca zakamarku serca tęskni za dawnymi czasami, które wiadomo – były lepsze. Niczym nie Ariadny wią-że dumę i zabieganie dnia codziennego. Splata zapach, smak i fakturę. Gdzie nie-zwykłość miejsca nigdy nie przeminie, albowiem spacer, bądź spotkania z bliski-mi zawsze będą odbywać się w tym nie-uchwytnym klimacie, gdzie duch skarbnika już nie skryty pod ziemią, ale zakamu-flowany w listkach cynkowych brzoź da-lej czuwa. Niby bluszcz oplata stary poprze-mysłowy mur. Przenika promień słońca od-bity od witraża cechowni, w której już tyl-ko biblioteka albo galeria, czy jedynie pub, gdzie w rytmach bluesa toczą się go-rące dyskusje przy kufelku piwa. Mitycz-na cisza powoli przejmie naturę muzyki, pobrzmiewającej w miejscach i szczegółach całkowicie umykających naszemu zapa-trzeniu – w urodzinowym stole, w barbórkowej nostalgii, w śpiewach biesiadnych, ale i tym specyficznym niepokojem kiedy ojciec idzie do roboty. Cichymi nutami trąca sny o potędze. Jednak najpełniej brzmi w tutej-szej pokorze i szacunku do pracy, o której poeta dwójga imion mówił, że jest naszym zmartwychwsta-niem. I trzeba to podkre-ślić – mówił prawdę.

Wiedziała o tym Otylia i inni mistrzo-wie. Warto tu wspomnieć o najlep-szych snajperach polskiej ligi piłkarskiej – Ernieście Pohlu, który swoje pierwsze kroki stawiał w „Slavi” Ruda Śląska i Lucja-nie Brychczym zaczynającym swoją karie-rę w „Pogoni” Nowy Bytom. Czy choćby o Franciszku von Ballestremie przewodni-czącym niemieckiego parlamentu, Henry-ku Biście – doskonałemu aktorowi filmo-wemu i teatralnemu, ks. biskupowi Wikto-rze Skworcu, Joannie von Schaffgotch – niebywałej spadkobierczyni fortuny Karo-ła Goduli, o którym kilka słów później. I nie można zapomnieć i innych, szczególnie o tych, o których wszelki słuch zaginął, a którzy cegła po cegle budowali wspólny dom. Nasz dom.

Ruda Śląska jest jak obraz kryjący w so-bie tysiące inskrypcji na przemian się przenikających oraz przemieszanych ze znakami pochodzącymi z innych miejsc tak charakterystycznych dla tego zakątka Eu-ropy. Jest jak palimpsest, gdzie poszczegól-ne warstwy nucą swoją pieśń, tworząc co-raz bardziej zapełniającą się paletę barw. Jest miejscem miejsc.

Jedenaście dzielnic tworzy jedno z więk-szych miast w kraju, gdzie momentami odrębna historia i charakter zbudowały, stworzyły system ściśle połączonych ze so-bą naczyń, który to swoisty krwioobieg wy-penia ideę zjednoczenia żywotnymi soka-mi. Jakże celne porównanie autorstwa An-drzeja Stani, prezydenta Miasta Rudy Ślą-skiej, o zbliżonym kształcie współcze-snych granic Rudy Śląskiej oraz Wielkiej Brytanii, w sposób obrazowy wyraża me-ritum przesłania, które niesie obecnie w so-bie miasto. Idea zjednoczenia. Idea współ-pracy.

Zajrzyjmy w poźółkłe papiery. Miasto Ruda Śląska w dzisiejszym kształcie po-wstało oficjalnie na podstawie Rozporzą-dzenia Rady Ministrów z dnia 18 listopa-da 1958 r. w sprawie utworzenia miasta Ruda Śląska stanowiącego powiat miejski w województwie katowickim z dniem 1 stycznia 1959 roku. Paragraf pierwszy te-goż rozporządzenia brzmiał następująco: „Miasto Ruda i miasto Nowy Bytom w województwie katowickim stanowiące powiaty miejskie łączy się w miasto Ru-da Śląska.” Był to moment utworzenia gro-du, który składa się obecnie z jedenastu dzielnic wyodrębnionych w sposób kultu-rowo-historyczny, a które to dzielnice przed rokiem 1951 w znakomitej większo-sci stanowiły odrębne miejscowości.

Litania rudzka w kolejności alfabetycznej wybrzmiewa następująco: Bielszowice, Bykowina, Chebzie, Czarny Las, Godula, Halemba, Kochłowice, Nowy Bytom, Orze-gów, Ruda i Wirek. Wiemy jednak, że pod względem administracyjnym dzisiej-sze miasto mogło wyglądać inaczej, gdyż jak podpowiada brzoza – przecież historycznie z Rudą Śląską związane są jeszcze następu-jące miejscowości: Bobrek, Bujaków, Bisku-

pice, Chudów, Kończyce, Makoszowy, Paniowy, Pawłów, Szombierki, Zgoda. Wymienione miejscowości wchodzące obecnie w granice miast ościennych, równie dobrze mogły tworzyć swoistą federację municypalną zwaną obecnie Rudą Śląską i tylko historyczny zbieg okoliczności zdecydował, że się tak nie stało.

Powszechnie uważa się, że Ruda Śląska pojawiła się formalnie dopiero w wyżej wspomnianym roku 1959. Jednakże nie był to przypadek, gdyż okazuje się, że miejscowość Ruda, od której miasto wzięło swe miano, zawsze była „śląska”. Zaświadczają o tym na przykład świadectwa szkolne, opracowania historyczne, wydawnictwa kartograficzne, sztandary, druki ulotne, a nawet niektóre pieczęcie używane przez gminę Ruda w latach trzydziestych XX w. W świadomości nie tylko mieszkańców ale i osób z zewnątrz, istniała Ruda Śląska, która w 1922 r. została siedzibą powiatu rudzkiego, a pierwszym starostą rudzkim został pan Aleksander Troska.

Patrząc na historię miasta z tej perspektywy mentalnej należy pamiętać, że prawa miejskie nadano Rudzie (w domyśle śląskiej) na mocy ustawy Sejmu Śląskiego z dnia 10 lipca 1939 roku z dniem 1 stycznia 1940 roku. Powszechnie wiadomo, że wykonanie tejże ustawy weszło w życie dopiero po drugiej wojnie światowej.

Z drugiej strony, należy też przypomnieć, iż najstarsze doświadczenia miejskie posiadali mieszkańcy Nowego Bytomia, który tak jak Ruda (Śląska) otrzymał formalnie prawa miejskie dopiero w sierpniu 1939 r. Jednakże będąc do roku 1922 eksklawą miasta Bytomia mieszkańcy tej części dzisiejszej Rudy Śląskiej mogli cieszyć się z praw przysługujących obywatelom miasta dużo wcześniej. O oczywistych ambicjach municypalnych mieszkańców ówczesnej miejscowości zaświadcza fakt budowy ratusza, który powstał w latach 1928-1929, czyli w czasie, kiedy Nowy Bytom był formalnie gminą wiejską. Odnowiony ratusz służy miastu i mieszkańcom do dnia dzisiejszego.

Uśmiech brzozy jest zbawienny, gdyż mentalna podróż ukazuje, że świąteczny tort poprzekładany jest dość symultanicznie, a i symbolicznie. I jakkolwiek spojrzymy, wszystko zaczęło się od cynku. Nie stali. I nie węgla. To trzeba pamiętać, że węgiel w Rudzie Śląskiej był pierwszy.

Legenda jest następująca. Pasterze we wsi Ruda pod Bytomiem obłożyli swe ognisko czarnymi kamieniami, które nagle zaczęły się palić. Kamieni tych wcale nie wykopal, bowiem w okolicy były miejsca, gdzie leżały na powierzchni ziemi. Od tego czasu ludzie zainteresowali się tymi „czarnymi kamieniami” i zaczęli ich poszukiwać, ponieważ idealnie nadawały się na opał. Tak w legendzie pojawiło się górnictwo węgla kamiennego na Górnym Śląsku. Dlatego też kopalnia węgla kamiennego „Brandenburg” – pierwsza na Górnym Śląsku – powstała w roku 1751 oczywiście w Rudzie Śląskiej.

Fakty są następujące. Trzynastego sierpnia 1748 baron Franz Wolfgang von Stechow urodzony w Fahrland pod Poczdamem nabył Biskupice i Rudę (w akcie zakupu widniał zapis, iż na zakupionych ziemiach wydobywano węgiel od niepamiętnych czasów). W roku 1751 – 20 paź-

dziernika, uruchomił on wydobycie węgla, dzięki wynajętym przez siebie dwóm pochodzącym z Saksonii górnikom za sumę 200 florenów. Wydzierżawił im prawo do eksploatacji złoża za 48 talarów rocznie. Następnie dzierżawę otrzymało dwóch miejscowych chłopów. Niestety po katastrofie w 1755 roku – zginęło wtedy dwóch górników i dwóch ratujących ich chłopów – zaniechano prac górniczych.

Zgodnie z nowym prawem górniczym wprowadzonym piątego czerwca 1769 roku syn Franza Wofganga, Karl Franz von Stechow otrzymał nadanie pola węglowego przez Wyższy Urząd Górniczy. I tak w Rudzie Śląskiej 1 listopada 1770 roku powstała kopalnia węgla kamiennego o polu ok. 20 tys. m kw. Kopalnię nazwano „Brandenburg” na cześć ojczyzny, z której pochodzili przodkowie barona von Stechow.

Brzoza na tej cynkowej hałdzie dużo wie. Nie chce się chwalić, ale przecież jest to oczywiste. Tak jest – przytakuje głową – to dzięki cynkowi przemysł górniczy dopiero nabral znaczenia i rozmachu, a królem cynku został Karol Godula, z czasem zarządca u hrabiego Ballestrema, który był inicjatorem oraz późniejszym współwłaścicielem huty cynku „Karol”. Po dalszej rozbudowie zakładu nadzorowanego przez Godulę, huta stała się największą cynkownią w Europie.

Karol Godula – rodowity Górnolazak – całe swoje życie poświęcił pracy. Sam przeprowadzał eksperymenty chemiczne, pracując nad nowymi rozwiązaniami technicznymi. Dzięki własnym studiom i opracowaniom ekspertów zagospodarował niekłą węglową w okolicach Rudy Śląskiej, Bytomia i Zabrze. Nieobce były mu nowinki techniczne, które wprowadzał nie tylko w hutnictwie, górnictwie, ale i w rolnictwie. Rozumiał on nowe wyzwania komunikacyjne, popierał budowę kolei żelaznej oraz poczty. Był mistrzem w zarządzaniu i operowaniu kapitałem. Doskonały organizator, innowator, przedsiębiorca, a przede wszystkim wizjoner, który stworzył podwaliny pod przyszłe imperium finansowo-przemysłowe rodziny Ballestremów, Schaffgot-schów oraz rodu Thiele-Wincklerów budowniczych dzisiejszej stolicy regionu – Katowic. To dzięki niemu powstały nie tylko pałace w Pławniowicach, Kopicach i Mosznej, ale tworzyły się kolonie, dzielnice a wręcz całe miasta. A później... Później Karol Godula przeszedł do legendy.

Uśmiech brzozy jest rozmarzony, jakby spod na wpół wywiniętych listków grabów rozsiadłych się w centrum miasta pod pałacem leśnym, czytała kolejną przypowieść o tym jak rodziło się miasto.

Zaczynam dla powstania dzisiejszej centralnej dzielnicy miasta Nowego Bytomia była huta cynku „Rosamunde” i huta żelaza „Pokój”. Okazuje się, że duch Goduli patronował także temu procesowi, gdyż jednym ze współzałożycieli huty żelaza był doradca finansowy Karola Goduli, pochodzący z Bytomia Moritz Friedländer. Należy też pamiętać, że właśnie od jego nazwiska huta przyjęła swoją nazwę, a za nią cała ówczesna miejscowość: Friedenshütte, zwana powszechnie Fryncitą. Natomiast w roku 1871 Karol Wolfgang Ballestrem przejął majątek upadającej spółki „Minerwa”, w skład której wchodziła nowobytomska huta, co doprowadziło do rozwoju i unowo-

cześnienia Huty „Pokój” oraz kopalń „Eintracht” i „Saara” (późniejsza kopalnia „Pokój”, do której włączono także później kopalnię „Wanda-Lech” należącą do koncernu Schaffgotchów).

Magię miejsca – jak chce Jan Wyżgoł, pisarz i samorządowiec rudzki – wyznaczają trzy wieże. Są to wieża wodna stojąca obok kamienicy z największym w Polsce ściennym zegarem słonecznym, wieża ognia, czyli zabytkowy wielki piec hutniczy, czy jak chce poeta – industrialna katedra, symbol najstarszej na świecie działającej nieprzerwanie do dziś huty żelaza oraz wieża kościoła jednej z najpiękniejszych górnolazkich świątyń.

Kościół pod wezwaniem św. Pawła, wybudowany w stylu neoromańsko-bizantyjskim przez holenderskiego architekta Johanesa Franciskusa Klompa na początku XX w. wyróżnia się niezwykle bogatym w formę jak i treść manifestem idei. Na uwagę zasługuje zewnętrzna dekoracja składająca się nie tylko z licznych płaskorzeźb, ale przede wszystkim z mnogich inskrypcji, wykonanych w języku niemieckim, polskim i łacińskim. Są to cytaty nie tylko z Pisma Świętego, ale frazy czerpiące z bogatej tradycji Kościoła katolickiego. Cała świątynia oraz każda jej część wskazuje wiernym drogę do nieba, tłumacząc obrazowo i symbolicznie tajemnice Bożej mądrości. Świątynia stoi niczym Apostoł Narodów głosząc Dobrą Nowinę wszystkim, bez względu na narodowość, czy pochodzenie społeczne.

Kiedy byłem dzieckiem lwy w portalu kościoła św. Pawła były jak bajkowe smoki i to takie bardziej Grimmowe, czyli straszne, które obchodziłem z daleka. Nie dość, że poważne i groźne to jeszcze kamienne. I ogromne. Królewskie. Dźwigały na swych grzbietach kolumny, na których wspierał się portal prowadzący do potężnej świątyni. Najdostojniejszej w mieście. I największej. Lwy pilnowały drogi do sacrum. Tak samo jak czarne anioły, niemalże wykute w kosmicznej kuźni, dłuta prof. Josepha Limburga artysty berlińskiego, stojące w prezbiterium kościoła pw. św. Józefa w Rudzie. Tenże z kolei kościół ufundował wcześniej wspomniany Franciszek von Ballestrem, którego prochy znalazły wieczny spoczynek w podziemiach świątyni. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności się stało, że ostatnio do Rudy dołączył trzeci anioł, biały, wykonany z marmuru. Zagościł na stałe w rudzkim muzeum, aby zwiedzający mogli bezpośrednio podziwiać kunszt berlińskiego artysty.

Trzeba powiedzieć, że Ruda Śląska w ogóle może być dumna ze swych szczególnie urody kościołów. Bo jak przejść obojętnie obok neogotyckiego kościoła pw. św. Wawrzyńca w Wirku, którego architektem był Ludwig Schneider – twórca ponad 40 neostylowych kościołów. Bezsprzecznie artystyczną maestrią charakteryzują się wiereckie witraże wykonane przez Carla Lerscha z Düsseldorfu. Jest to największy w Polsce zaprojektowany jednorodnie stylistycznie zespół witraży obejmujący 64 okna tworzące dyptyki, tryptyki, cykle oraz przedstawienia ornamentalne. Ciekawostką jest to, iż twarz Łazarza uwidocz-niona na witrażu przedstawiającym jego wskrzeszenie jest podobizną twarzy hrabiego Łazarza Donnersmarcka, głównego

fundatora świątyni. Inną sławą cieszy się kościół autorstwa Carla Heidenreicha w Goduli, który zasłynął nie tylko z ogromnych witraży – na jednym z nich przedstawiono hrabiowską parę Schaffgotchów, ale także niczym przesłynny kościół pw. świętego Pawła w Baltimore związany jest z legendą Desideraty. Osobną estymą cieszy się najstarszy kościół w Rudzie Śląskiej Kościół w Rudzie Śląskiej. Ten barokowy kościółek pw. Matki Boskiej z Lourdes dekretem arcybiskupa Damiana Zimonia metropolity katowickiego z dnia 19 grudnia 2008 r. został ustanowiony sanktuarium.

Aby zakończyć mentalną podróż z cynkową brzoza warto jeszcze wejść do tajemniczego nowobytomskiego einfahrtnu, który ciągle i ciągle jest ten sam.

Zatem wchodzę do einfahrtnu. Czuję zapach – coś pomiędzy stęchlizną i pieczeniem ciasta, coś pomiędzy wyziewami kanalizacji, a obiadem u ciotki Klary. Kiedy wzrok przyzwyczajają się do ciemności, gdzieś z półmroku i historii zrazu nieśmiało, acz kiedy pochylam się – już bardziej konkretnie, wyłania się zatarty blichtr ukryty w kryształowych szybkach secesyjnych drzwi, finezyjnie zdobionej kafelkami lamperii lub zatartym fresku, prawdopodobnie według nieznanego malarza. Dotykam czasu i czuję go pod opuszkami, jak wyłazi spod płatów farby, które nieodmiennie kojarzą mi się z późnojesiennymi liśćmi tak kruchymi i tak bezbronnymi, a z drugiej strony tak silnymi i trwałymi jak dziecięce malunki na ścianach, w których prostoduszne lęki i bajeczna fantazja snują swój odległy, acz nieśmiertelny poemat.

O tym, że istnieje dobro i zło, i o tym, że zło choć widowiskowe i krwiożercze i często tak po prostu raniące, w ogólnym rozrachunku przegra swą nierówną walkę. Bo zawsze znajdziemy ratunek w przysparzającym gości matki, czy w nieuniknionym rozstaniu. I nieważne ile mamy lat.

Zatem wchodzę do einfahrtnu jak do rodzinnego pensjonatu. Bez strachu i gniewu. Bez złości, albowiem nie jest to Brama Skajska w Troi, a ja mam otwarte ręce. Bo jestem wśród swoich, i krzywdy nikt nikomu nie będzie tu czynił. Bo gdzieś tam na końcu tunelu, gdzie światło, czeka na mnie intymny świat, ukryty za zwyczajnością codziennego prozaicznego misterium. Ze starką wychyloną z okna, wyglądającą powrotu męża, co to przed laty zjechał zbyt głęboko pod ziemię i jeszcze do tej pory nie wrócił z szczyty. Z ciotką siedzącą na rycie przed sienią, skorą nieustannie do wciągania w klachy baby i dzieci z okolicy, z ciotką na którą wszyscy wołają tanti, choć to dla nikogo żadna rodzina. Z listonoszem, który chętnie przyłączyłby się do partyjki skata rozgrywanej w cieniu akacji, która przybłąkała się tu nie wiadomo skąd, ale wiadomo, nic z tego, nie może – służba nie drużba. Z dziećmi grającymi w klipę, który to wyraz „klipa” z całkiem innych powodów cieszy się tu ciągle nie malejącą estymą. Z kotem ukrytym w cieniu piwnicznej szyby, który robi wrażenie, że go nie ma, ale wszyscy wiemy, że przecież wyjdzie później. Z całym tym leniwym dzianiem się, bez szarpania się.

Zatem wchodzę do einfahrtnu jak do portalu. I nie zatrzymuję się w świetle. Idę dalej słysząc grające radio, szczekanie psa, ataki śmiechu nierzadko umorusanych



Kamienica z zegarem słonecznym

dzieci, rozeźlony krzyk z okna na trzecim piętrze – „Ty pieronie mały!”, głębokie i ciepłe bicie dzwonów kościelnych z od dali. Czuję zapach żuru ale i pomidorowej, o przypalonych kartoflach nie wspominając. Czuję zapach rozlanej benzyny wyciekłej z naprawianego motocykla i żar metalu, który wypełził z huty i który to zapach tak charakterystyczny uzasadnia czerwony kolor ram okiennych odnawianych na parterze. I nie zatrzymuję się. Idę dalej. Przechodzę światło i wchodzę do kolejnego portalu, który symultanicznie wyprowadza mnie na cichą uliczkę pełną starych akacji, a jestem przekonany, że gdy następnym razem wejdę, wyprowadzi mnie na plac zwany przez niektórych rynkiem lub znajdę się na handlowej ulicy, gdzie zgrzytający tramwaj przeciska się z wprawą nabytą wieloletnim ćwiczeniem przez tłum, zdawało by się zmierzający bez celu to tu, to tam. I ilekroć będę wchodził „by the gate” odbędę nie tylko podróż w przestrzeni ale i w czasie.

Jeżeli będę uważny, oczywiście.

Ruda Śląska jest dzisiaj małą ojczyzną dla stu czterdziestu tysięcy mieszkańców. Jest jakby specjalnie wybudowaną repliką mitycznego Śląska. Są tutaj lasy i góry, jeziora i rzeki, gospodarstwa i pola, huta i kopalnie. Mieszkają tu Polacy tu tejsi i tamtejsi, Niemcy tu i ci, którzy wyjechali tam. I Romowie. Może na pierwszy rzut oka nie ma tu Czechów i Żydów, ale jak znam moje miasto to tylko pozór.

Mamy tu świątynie kilku wyznań, w których nasze kobiety poślubiły chłopców, co przyszli zza rzeki, czyli z bardzo daleka. Są nawet ruiny zamku średniowiecznego. Jest tu wszystko. Strach i smutek za umykającym czasem. Wszystko. Zatopione w pochyleniu nad pracą i zawieszone w miłości nad buzią wysmarowaną lakociami wystającą zza stołu. Zatopione w zaciętych i pełnych radości pokrzykiwaniach chłopców goniących zawzięcie za piłką i w pełnych pokoju oczach kobiet wychylających się z zielonych albo czerwonych okien, kiedy z zainteresowaniem godnym Sfinksa śledzą upływający czas. Zatopione w niedzielnych spotkaniach rodzinnych kończących się przy kawie, kołocz

i czymś ostrzejszym, żeby przeczyścić gardło. Doskonale ukryte w drobnych gestach codzienności, które niejednokrotnie są powodem do dumy i satysfakcji, ale bywa też, że i bólu.

Mamy tu krajobraz księżycowy, skażony ciężką pracą koksowni, gdzie w ciepłe dni czuć jak ziemia czwórkami idzie do nieba. I hale fabryczne, które niczym zapomniane pałace jakieś minionej cywilizacji rzeźbią wyobraźnię, ocierając się o mit zaginionych Atlantów. I zagubione torowiska, które nie wiadomo skąd się wyłaniają i dokąd prowadzą i perony, przy których może pojawić się magiczna lokomotywa ciągnąca wagoniki na przejażdżkę w czasie do miejsc, o których można jedynie śnić. I sieć bunkrów odlanych z betonu, gdzie tylko legendy są w stanie zrozumieć labirynt podziemnych korytarzy. I cmentarze z omszałymi nagrobkami, gdzie tyle języków w pokucie zaświadcza o przemijaniu, że brakuje jedynie napisów runicznych – a gdyby dobrze poszukać, to kto wie.

Mamy tu ucieczki i wysiedlenia. A nawet filię obozu koncentracyjnego z Auschwitz. Ale przede wszystkim ciężką pracę wykonywaną solidnie i z dużą dozą samozaparcia. Choć i kilku komedianów też można by znaleźć, często odbrażających naszą niejednokrotnie niepotrzebną powagę.

I wszystko.

Ruda Śląska jest moją, naszą, małą ojczyzną, którą ciągle w zdumieniu odkrywamy, pisząc jej los każdego dnia, budując cegła po cegle jej historię. W dniu jubileuszu trochę bardziej odświeżnie. Zatem chwała bohaterom, którzy byli tu przed nami i którzy są teraz wśród nas – którzy budują, bo przecież inaczej nie można.

Brzoza z tą swoją zadumą spogląda na nasze miasto, rozwijające się obecnie w ramach Aglomeracji, której – taką ma nadzieję – jest symbolem. Patrzy w przyszłość i wie, że już za niedługo, będzie musiała zejść z haldy. I trochę wprowadza ją to w nastrój melancholijny. A mnie trochę smutno, gdyż wbrew utartej opinii, ładnie komponuje się ze swoją czupryną na tej rudawej haldzie.

Czy osiemdziesiąt lat to dużo? Tyle może trwać żywot jednego człowieka. Osiemdziesiątkę może mieć wiele przedmiotów z naszego otoczenia, choćby stare zegary, bibeloty, czy inne pamiątki. A jaki był wtedy świat? Kiedy przeglądamy stare gazety, zaczynamy zdawać sobie sprawę z tego, że osiemdziesiąt lat to cała epoka. Jedno tylko właściwie nie uległo zmianie – ludzka natura.

Śląski pitaval retro

JÓZEF WYCISK

Spróbujmy więc prześledzić, w jaki sposób, osiemdziesiąt lat temu, funkcjonowało prawo i jak je omijano. Przy okazji przypomnimy sobie, że Górny Śląsk był wówczas zupełnie innym miejscem.

Automobile i konie

Na początek kilka cytatów z ówczesnej prasy dotyczących... zarządzeń. Dziś podatek drogowy płacimy w cenie paliwa. Kiedyś tak łatwo i prosto wcale nie było. Jak donosi dziennik „Polonia” z pierwszego stycznia 1927 roku w notatce pod tytułem „Gminny podatek samochodowy w Bielsku” sprawa przedstawiała się następująco: *Posiadacze samochodów osobowych, motocyklów i wierzchowców są zobowiązani przedłożyć Magistrowi w ciągu dni 14 licząc od dnia ogłoszenia niniejszego obwieszczenia wykaz posiadanych przedmiotów podlegających podatkowi. W wykazie tym należy podać imię, nazwisko i adres posiadacza, miejsce garażu, ilość posiadanych przedmiotów i przy samochodach osobowych ilość siedzeń każdego samochodu. Siedzenia szofera wlicza się do ilości siedzeń. Późniejsze zmiany należy donosić Magistrowi w ciągu dni 14 po nastaniu zmiany.*

A skoro o samochodach mowa – opisy wypadków drogowych sprzed osiemdziesięciu lat mają w sobie nie tylko urok, ale pozbawione są także tego wyświechtanego określenia o niedostosowaniu prędkości do panujących warunków. Na przykład późną wiosną roku 1927 znany i wybitny tenor Jan Kiepusa także nie dostosował prędkości do warunków, jednak tytuł w gazecie brzmiał: „Jak Kiepusa stracił 9 tysięcy dolarów. Szczęśliwy wypadek samochodowy”. Po chwili możemy się wręcz delectować opisem wypadku: *W niedzielę około godziny siódmej wieczorem miał miejsce na szosie pomiędzy Cieszynem Polskim a Skoczowem nieszczęśliwy wypadek rozbicia samochodu, będącego własnością słynnego Jana Kiepusy, który samochodem powracał z Wiednia do Sosnowca wraz z redaktorem Michałem Orliczem, autorem dzieła propagandowego o Polsce współczesnej. Samochód został całkowicie zdruzgotany i jedynie jakiemuś szczęśliwemu trafowi należy przypisać fakt, iż głośny śpiewak oraz redaktor Orlicz wyszli bez szwanku, niszcząc jedynie swe ubrania. Szofer natomiast został lekko ranny. Ofiarom*

względnie szczęśliwego wypadku pomocy udzielił inżynier Machalica dyrektor szkoły rolniczej w Międzywiciu. Po kilku godzinach Kiepusa pociągami udał się w dalszą drogę i wczoraj przybył do Sosnowca. Chociaż obdrapany, jednakże cały i zdrowy, straciwszy jedynie 9 tysięcy dolarów, gdyż tyle kosztował samochód. W Sosnowcu pan Kiepusa zabawi przez święta w domu rodziców.

Ponieważ ówczesna prasa interesowała się losami znanych osób nie mniej, niż dzisiejsza, kilka dni później ta sama gazeta prezentuje na swej stronie wywiad z ofiarą wypadku.

– *Prasa doniosła o wypadku samochodowym jakiego padł pan ofiarą.*

Kiepusa uśmiecha się i pokazuje dwie szramy na czole.

– *Panie – mówi – cud. Cud, powiadam panu, że w ogóle jeszcze żyjemy. Z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę wpadliśmy na słup telegraficzny. Słup zdruzgotany, samochód w kawałkach, a nam się jakoś Bogu dzięki nic poważnego nie stało.*

Polowanie na żebraków

Zjawiskiem zwalczanym przez władze – dziś powiedzielibyśmy – samorządowe, było żebractwo. Ten sposób pozyskiwania dochodów musiał mieć spore zalety, ponieważ imali się go nie tylko biedni. W kwietniu „Polonia”, pod wiele mówiącym tytułem „Właściciel gospodarstwa rolnego żebrakiem. Wyniki obławy policyjnej”, relacjonuje:

Walka z żebractwem, rozpoczęta energicznie w ubiegłym tygodniu przez magistrat w Katowicach daje już obfite plony. W Wielki Piątek jak było zapowiedziane, władze policyjne urządziły obławę na natrętnych żebraków. Obława dała nadzwyczajne wyniki, bowiem odprowadzono ogółem do komisariatów Policji stu pięćdziesięciu żebraków. W tym było stu żebraków z Katowic, a reszta przybyła na przedświąteczne „żniwo”, z powiatu pszczyńskiego, Sosnowca i Będzina. Wielu aresztowanych żebraków miało miesięczne bilety kolejowe z Katowic do miejsc stałego zamieszkania. Między aresztowanymi znalazł się nawet właściciel dziewięciomorgowego gospodarstwa, pary koni i kilku krów, niejaki Paweł Banet z powiatu pszczyńskiego. „Obywatela ziemskiego” trudniącego się w wolnych chwilach od robót w polu, żebraniną na ulicach Katowic umieszczono

w areszcie sądu karnego za niedozwolone żebractwo.

Liczby nie kłamią

Lektura starych gazet każe postawić sobie pytanie – czy świat, ten sprzed osiemdziesięciu lat nie był przypadkiem nieco prostszy, niż ten dzisiejszy. Skąd taka myśl? Wystarczy rzucić okiem na policyjne statystyki. Bielsko-Biała było wprawdzie miastem nieco mniejszym na początku ubiegłego stulecia, ale przecie nie zupełnie malutkim. Natomiast statystyki policyjne publikowane w ówczesnej prasie przedstawiały się tak: *Statystyka miesięczna komisariatu policji w Bielsku wykazuje cyfrę 55 wypadków interwencji urzędu policyjnego. Prym naturalnie dierżą sprawy kradzieżowe, które w mieście wymagały 68 krotnej interwencji i kradzieże polne i lasowe w pięciu przypadkach, 15 włamań i 3 kradzieże kieszonkowe. Włóczęgostwo i żebranina wykazuje 66 wypadków, dalej 2 przekroczenia polityczne, 3 przestępstwa wobec władz, 10 przemytnictwa, (papierosy i cygara u kelnerów), 4 wypadki zbrodniczego podpalenia, również 4 przypadkowego zapuszczenia ognia, 1 fałszerstwo pieniędzy, 11 oszustw, 1 rabunek, 1 samobójstwo itd.*

Niezdrowa żywność

Nieco prościej było także z zapewnieniem bezpieczeństwa obrotu żywnością. Dziś zajmuje się tą kwestią co najmniej kilka instytucji opłacanych przez podatników. Co więcej – po wejściu do Unii powszechne stały się bardzo wygórowane normy. Osiemdziesiąt lat temu o jakość żywności dbano tak:... *przez sądem stanęli dwaj dostarczyciele mleka ze wsi Studzianki w powiecie pszczyńskim do Siemianowic Jan Spyra i Michał Mańka, oskarżeni o fałszowanie mleka. Mianowicie w styczniu zauważono, że mleko dostarczane z Studzianki było zbyt rzadkie. Gdy mleko zbadał kontroler żywnościowy, przekonał się, że zawiera nadmierną ilość wody i podejrzanych o sfalszowanie mleka Spyre i Mańkę oskarżono do sądu. Na rozprawie oskarżeni do winy się nie przyznają i tłumaczą się tem, że są tylko woźnicami i mleko zbierają od poszczególnych gospodarzy we wsi, następnie odwożą je na stację, gdzie w zaplombowanych naczyniach odsyłano do Siemianowic. Fałszować mleko, to znaczy dolewać wodę do mleka mogli poszczególni gospodarze, a zbadać go na mrozie przyrządem do badania mleka nie ma możliwości, gdyż mleko na przyrządzie zamarza. Ciekawe zeznanie złożył zawiązany w charakterze świadka kontroler żywnościowy. Okazało się, że mleko fałszowali poszczególni gospodarze tak, że nie raz zawierało 75 – 80 procent wody. Gdy do wsi przyjechał kontroler żywnościowy wywołał zjawieniem się swoim ogólną niechęć gospodarzy podejrzanych o fałszowanie mleka i doszło do tego, że do kontrolera strzelano z sąsiedniej wioski Małej Wisły. Winnych fałszowania mleka pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Wobec tego sąd uwolnił oskarżonych Spyre i Mańkę.*

A skoro o bezpieczeństwie żywności mowa. Jak wspomniałem, były to inne czasy. Zupełnie inne. Wystarczy przytoczyć notatkę z dziennika „Polska Zachodnia” – *Dyrekcja policji w Królewskiej Hucie przypomina, iż kupującym nie wolno dotykać artykułów spożywczych, jak mięsa, wyrobów mięsnych, pieczywa,*

wszelkiego rodzaju, owoców i tym podobnych. Winnych przekroczenia tego zarządzenia po- ciągnie się do karnej odpowiedzialności.

Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma

Jest jednak jedna rzecz, która uległa ra- dykalnej zmianie. Dzisiaj już nie mamy cygańskich taborów, może dlatego, że swego czasu wprowadzono zakaz ich rozbijania. W latach dwudziestych zakazu jeszcze nie było, choć także i wtedy romskie zwyczaje owiane były mgiełką tajemnicy. Czasami jed- nak, także i w taborach, dochodziło do spo- rów rozwiązywanych w sposób – powie- dzielibyśmy – radykalny. Jak donosiła „Po- lonia”:

Przed sądem powiatowym w Katowicach od- bywała się rozprawa „cygańska”. Publiczność zebrana w sądzie ze zdziwieniem przyglądała się charakterystycznym strojom cygańskim, gdyż na rozprawę przybyło kilkunastu cyga- nów i cyganiek w malowniczych strojach. Wy- różniało się zwłaszcza dwóch cyganów, jeden starszy już, ubrany w jakiś dziwny cygańsko- węgierski strój, miał przy kamizelce guziki ze srebra wielkości pięści ośmioletniego dziecka, był to – jak się później okazało – wójt cygański – i drugi znacznie młodszy, wyglądający rze- czywiście wspaniale w swych granatowych haj- dawerach i wysokich czarnych smalonych butach oraz granatowej kurtce, ozdobionej na piersiach niezliczoną ilością jakichś ta- jemnicznych srebrnych odznak. Był to też istot- nie „król cygański”, który przybył na Śląsk z Warszawy gdzie dwór jego chwilowo rozbił namioty. „Król cygański” rozmawiał tylko po rosyjsku. Przybył na Śląsk aby zrobić por-ządek pomiędzy cyganami poważnionymi od paru miesięcy. Niestety przybył o trochę za późno, gdyż sprawa oparła się o sąd. Oka- zuje się, że w listopadzie ubiegłego roku, gdy tabor cygański stanął w okolicy Bogucic, pewnego dnia w taborze wszczęła się strasz- na awantura. Małżeństwo cygańskie: Janusz Michaja i żona jego Pasza narobiło gwałtu, gdyż współrodacy ich Paweł Gomon i Józef Ka- wek z tegoż samego taboru mieli na nich na- paść w namiocie i zabrać im 500 złotych. Rzecz rzadko zdarzająca się między cyganami i awan- tura straszna, gdyż cygan woli raczej zabić ob- coplemieńca niż okraść swego rodaka. Takie- go wypadku nie pamiętają najstarsi cyganie nie tylko z tego taboru, ale i ze wszystkich innych koczujących na Śląsku. Toteż zakotłowało się w taborze jak w ulu. Codziennie odbywały się narady, ostatecznie zawezwano wójta cygań- skiego z wielkimi srebrnymi guzikami ale i ten nic nie pomógł. Zwrócono się nareszcie do „króla”, ale ten, zanim przybył, już spra- wa oparła się o policję. Policja po krótkich do- chodzeniach ustaliła, że żadnego napadu nie było i małżeństwo Michajowie chcieli niewin- nie oskarżyć dwóch innych cyganów o napad rozbójniczy. Policja skierowała sprawę do sądu i tu nawet „król cygański” nie pomógł. Sąd po- koju w Katowicach zasądził małżeństwo Mi- chajów za fałszywe obwinianie na jeden mie- siąc więzienia, aby zaś zabezpieczyć się na wszelki wypadek, zarządził natychmias- towe aresztowanie zasądzonych. Po rozprawie „król cygański” zdobył się na wspaniało- myślny gest. Mianowicie postawił wniosek, aby do chwili rozstrzygnięcia sądu apelacyjnego wy- puszczone oskarżonych na wolność, gdyż on gwarantuje za nich dwoma tysiącami złotych kaucji. Nie wiadomo, czy sąd przychylił się

do prośby „króla cygańskiego”, gdyż choć dwa tysiące kaucji jest w tym wypadku kwotą zu- pełnie wystarczającą, z drugiej jednak strony sprawiedliwości musi stać się zadość.

Kontrabanda

Warto także pamiętać, że Polska, a i Gór- ny Śląsk miał wówczas nieco inne gra- nice. A każda granica, wobec niedobo- rów będących jeszcze wynikiem poprzedniej wojny i budowania polskiej gospodarki od nowa, kusiła przemytników. Jak pisze „Polska Zachodnia”:

W tych dniach straż celna posterunku Pa- welki gminy Kochcice w powiecie Lublinie- kim zranila śmiertelnie przemytnika Jana Jankowskiego z Rudnik Wielkich w powiecie Będzińskim. Przy ciężko rannym przemytniku znaleziono dwie paczki tytoniu wagi 15 kilo- gramów, które przemycał z Niemiec do Polski.

Tytoń był wówczas przemycany niemal po- wszechnie. Ale nie tylko. Jeden z artyku- łów spożywczych, spotykany także i dzisiaj na półkach sklepowych także cieszył się po- pularnością wśród przemytników.

Policji myślowickiej udało się aresztować kilku przemytników, którzy przenosili 23 pary pończoch damskich i cztery tysiące kostek „Maggi” pochodzenia niemieckiego. Towar nielegalnie przenoszony skonfiskowano, a prze- mytników skierowano do więzienia.

Śląska Lukrecja Borgia

Pitaval to zbiór opisów spraw sądowych, naj- częściej tych, które dotyczą morderstw. Nie sposób wyłamać się z tego schematu, przejdźmy więc do rzeczy:

W Nowej Wsi niejaki Wincenty Matloch jesz- cze w roku 1924 ożenił się z niejaką Waleską Tkocz. Małżeństwo to jednak nie było szczęśli- we, gdyż małżonek w ciągu 2 lat pożycia mał- żeńskiego był aż dwa razy odtransportowany do zakładu dla umysłowo chorych w Rybniku. Widocznie coś tam z nim, a raczej z jego umy- słem nie było w porządku, jednak po paromie- sięczonej kuracji wypuszczano zawsze Matlocha z zakładu do domu. Gdy małżonek bywał w domu, pomiędzy nim a żoną wybuchały usta- wiczne spory, które kończyły się nawet bójkami. Matlochowa Waleska zdrowa i energiczna kobieta nie dawała się „skrzywdzić” i prze- ważnie Matloch z takiej awantury wychodził po- szwankowany. Po ostatnim powrocie z zakła- du w Rybniku Waleska zerwała z mężem i prze- niosła się do swych rodziców, zaś Matloch udał się do swego ojca, chociaż i tam go nie bardzo chętnie widziano. Pomimo jednak pozornego ze- rwania z mężem Waleska odwiedzała go cza- sami u rodziców. Każde jednak spotkanie koń- czyło się awanturą. W styczniu bieżącego roku zaszedł wypadek, który spowodował areszto- wanie Waleski, podejrzaną o usiłowanie otru- cia swego męża. Mianowicie Waleska 24 stycz- nia przyszła do rodziców swego męża i mając pieniądze, gdyż otrzymała niedawno rentę in- walidzką, posłała męża do masarni, aby przy- niósł kiszek, czyli krupnioków na obiad. Mat- loch zjawił się wkrótce z kiszkami i nawet wziął się od razu do jedzenia, lecz Waleska odebra- ła mu jedną z kiszek, zjedzoną do połowy i za- częła kiszki przesmażać. Na tem tle pomiędzy małżonkami wybuchła znów awantura i Mat- loch nie czekając na przysmażenie kiszek, udał się do jakiejś roboty w miejscowej kawiarni. Przysmażywszy kiszki Waleska zjadła jedną, a drugą zostawiła, uprzedzając braci swego

męża, aby nikt nie ważył się zjeść tej kizski, gdyż jest przeznaczona dla męża. Po jej wyjściu je- den z braci, znęcony zapachem podsmażanej kizski, ułamał kawalek i spróbował. Smak kiz- ki wydał mu się jakiś dziwny, a gdy zaczęło go piec w ustach prędko wypłul dziwną kizkę. Po- kojowy mały piesek skorzystał z tego i zjadł wy- plutą na podłogę kizkę, lecz natychmiast roz- chorował się i w ciągu godziny zdechł. Spró- bowano dać tej kizki wielkiemu psu, który też spróbował kizki, po kilku godzinach zdechł. Wieczorem przyszedł ojciec Matloch, któremu opowiedziano, co zaszło z psami, jednocześnie przyszła znów Waleska. Stary Matloch kazał za- winąć resztki kizki i obiecał dać ją jutro sprawdzić policji. Gdy Waleska posłyszala o tem, natychmiast schwyciła resztki kizki i wrzuci- ła do ognia. Udało się wyciągnąć z ognia tyl- ko resztki niedopalonej kizki i na drugi dzień zawiadomiono o tem policję. Otrute psy i resz- tki wyciągniętej z ognia kizki skierowano do za- kładu badawczego w Pszczynie, gdzie stwier- dzono, że psy były zatrute silną trucizną, tak zwa- nym „Schweinfutergrün”. Aresztowano wobec tego żonę Wincentego Matlocha, przy czym przy rewizji znaleziono w mieszkaniu u niej większą ilość tej trucizny.

Na rozprawie oskarżona do winy się nie przyznała. Twierdzi, że nie miała żadnego po- wodu, aby swego męża otruć. Sąd po naradzie uznał oskarżoną winną usiłowanego mor- derstwa i za to skazano ją na trzy lata ciężkiego więzienia, uwzględniając zachodzące oko- liczności łagodzące, a mianowicie, że dotąd nie była karana i że jej pożycie małżeńskie było nie- szczęśliwe.

Wieśniak oszukany

Tyle na razie o morderstwach, tych „usiło- wanych”, przejdźmy do oszustów. Nie- zmiennie popularną w owym czasie była me- toda polegająca na zamianie banknotów za- winiętych w cokolwiek, na kawałki gazet za- winięte w to samo. Choć opis może tego nie sugeruje, metoda była niezmiennie prosta i czę- sto stosowana w czasach powszechnego obro- tu gotówkowego. Na czym polegała w prak- tyce? Oto przykład: W czasie targu na bydło w Rybniku przyłączyło się do pewnego mał- żeństwa, które przybyło na targ celem kupna krowy dwóch nieznanomych, którzy oświadczyli, że na ulicy Chwałowickiej znają właściciela, który ma dobrą krowę na sprzedaż i ofiarowali się zaprowadzić ich na miejsce. Idąc na ulicę Chwałowicką, jeden z nieznanomych zaczął krzyczeć, że mu skradziono 250 marek nie- mieckich i twierdził, że nikt inny pieniędzy mu nie skradł, jak tylko łatwowierny wieśniak, gdyż nikt inny przy nim nie był. Krzycząc i grożąc zmusił wystraszonych małżonków do poddania się osobistej rewizji, przy czym małżonkowie, dla lepszego udowodnienia swej niewinności, wręczyli mu paczkę w gazetę owiniętą, zawie- rającą całoroczne oszczędności celem zakupu krowy. Nieznajomy przejrzał paczkę i po chwi- li oddał ją i grożąc policję oddalił się szybko. Po tej przygodzie małżonkowie nie przeczu- wając nic złego, wrócili na targowisko chcąc kupić krowę. Niestety przy płaceniu przekonali się, że padli ofiarą sprytnego oszusta, bowiem w paczce zamiast pieniędzy, były stare gazety. Śledztwo za oszustami w toku.

Zmieniają się czasy, zmieniają obyczaje, tyl- ko natura ludzka się nie zmienia. Ciekawe tyl- ko, jakie sprawy znajdą się w śląskim pitawalu za osiemdziesiąt lat?

W historii kina znaleźć można sporo filmów o tematyce górniczej. Z reguły są to filmy wyprodukowane w tych krajach, gdzie górnictwo odgrywało znaczącą rolę: brytyjskie, francuskie, niemieckie, amerykańskie i rosyjskie, wreszcie polskie.

Jak dotąd nakręcono w Polsce ponad 20 filmów górniczych, licząc kinowe filmy fabularne a także filmy telewizyjne, przy czym za filmy górnicze przyjmuję takie, które rozgrywają się w wyraźnie zarysowanej scenarii górniczej, czyli w kopalni, albo z górnikami jako bohaterami. W takiej scenerii mogą zdarzyć się rozmaite dramaty.

Niemal wszystkie polskie filmy górnicze rozgrywają się w kopalniach węgla kamiennego i niemal wszystkie w Górnośląskim Okręgu Węglowym, a jedynym wyjątkiem pozostaje film *Złoto Wojciecha Hasa* z 1961 roku z akcją osadzoną na tle budowy kopalni węgla brunatnego i elektrowni Turów w Turosszowie na Dolnym Śląsku. Przeważnie rozgrywają się na Górnym Śląsku, a znacznie rzadziej w Zagłębiu Dąbrowskim. Jedynie w przypadku ekranizacji powieści Juliana Kadena Bandrowskiego *Czarne skrzydła* można powiedzieć, że rozgrywa się z całą pewnością w Dąbrowie Górniczej.

Najstarsze filmy

Po raz pierwszy sceneria górnicza zainteresowała polską kinematografię w końcu lat trzydziestych. Niedługo przed wybuchem II wojny światowej dwaj filmowcy zaciekawili się dopiero co wydaną (w 1937 roku) powieścią górniczą Gustawa Morcinka *Inżynier Szeruda*. Najpierw debiutant Jerzy Gabryelski rozpoczął realizację *Czarnych diamentów*, korzystając z motywów powieści, lecz bez zgody pisarza. Zgodę Morcinka na ekranizację dostał Józef Lejtes, uznawany za najlepszego reżysera II Rzeczypospolitej. W efekcie Lejtes zrealizował adaptację powieści Morcinka, lecz filmu nie zdążył zmontować, a jego taśmy zaginęły w okresie wojny.

Za powieścią Morcinka film Lejtesa prezentował historię inżyniera Szerudy i jego nieszczęśliwej miłości na tle katastrofy w kopalni. Wiadomo, że Lejtes rozpoczął zdjęcia latem 1939 roku. Zdjęcia kręcili Stanisław Lipiński i Seweryn Krużyński, którzy współpracowali także z Gabryelskim przy realizacji *Czarnych diamentów*. Niedługo po wojnie Morcinek ocenił pozytywnie współpracę z Lejtesem, wspominając, że „film prawie już ukończony spłonął w Warszawie podczas powstania”. Również sam Lejtes zaliczał *Inżyniera Szerudę* do swoich najważniejszych osiągnięć. Po latach wspo-

Od Czarnych diamentów do Benka



W „Gorącej linii” Wandy Jakubowskiej z 1965 roku w kopalni pojawili się Tadeusz Kalinowski i Bolesław Płotnicki.

Nasze kino górnice

JAN F.
LEWANDOWSKI

minał, że przerwał pracę nad montażem z braku pieniędzy. Przytoczył także pogłoskę, jakoby film zmontowali w czasie wojny Niemcy i wprowadzili do rozpowszechniania. Zagadkowa historia *Inżyniera Szerudy* nie została nigdy ostatecznie wyjaśniona. Zapewne taśmy Lejtesa zostały stracone bezpowrotnie.

Więcej szczęścia miał Jerzy Gabryelski. Z powodu wojny *Czarne diamenty* nie zdążyły wejść na ekrany, premierę planowano jesienią 1939 roku, wyprodukowano nawet zwiastuny. Jego spóźnioną premierę, z udziałem przybyłej z USA Wiktorii Gabryelskiej, wdowy po zmarłym na emigracji reżyserze, zorganizowało w 1981 roku Śląskie Towarzystwo Filmowe w Katowicach.

Nie mając zgody Morcinka, Gabryelski oparł się na scenariuszu Jana Fethkego, skorzystał też z pomocy młodego śląskiego pisarza Wilhelma Szewczyka, który wprowadzał ekipę filmową w realia górnośląskie. Jego film rozpoczyna się dynamicznie zrealizowaną panoramą przemysłowego pejzażu górnośląskiego.

Akcja rozgrywa się w kopalni „Mars”, która ma zostać zamknięta przez zagranicznych właścicieli. Stojący na czele górników inżynier Nawrat (Zbigniew Sawan) przekonuje załogę, że jedynym sposobem zachowania kopalni jest jej wykupienie i założenie spółdzielni. Punktem kulminacyjnym filmu są sceny pożaru i akcji ratunkowej. Równolegle Gabryelski prowadzi melodramatyczną historię Nawrata, który po romansie z córką francuskiego przemysłowca wybiera za żonę prostą dziewczynę z górniczej osady. Na uwagę zasługują motywy społeczne filmu z refleksami kooperatywizmu. Zapomniane przez wiele lat powojennych dzieło Gabryelskiego jest najstarszym zachowanym polskim filmem o tematyce górniczej. Powstał dokładnie 70 lat temu!

Próby powojenne

Znaczenie więcej nakręcono filmów górniczych po II wojnie światowej, przeważnie w latach sześćdzie-

siątych i siedemdziesiątych. Jednak ilość nie przeszła w jakość. Dopiero filmy Kazimierza Kutza przyniosły zasadniczą odmianę.

Natomiast pierwszym powojennym filmem o tematyce górniczej są *Stalowe serce* Stanisława Urbanowicza z 1948 roku, nakręcone także na podstawie scenariusza Morcinka, lecz już w konwencji socrealistycznej. Zaczynają się *Stalowe serce* panoramą przemysłowego pejzażu górnośląskiego z kominami i szybami kopalnianymi, jak w wielu innych filmach śląskich. Zaraz pokazuje się, że jesteśmy w roku 1944. W hutach i kopalniach działają podziemne grupy sabotażowe. Jedna z nich wysadza w powietrze maszyny w hucie i w kopalni, co prowokuje Niemców do odwetu. Potem nadchodzi Armia Czerwona, a górnicy uniemożliwiają Niemcom zniszczenie kopalni. W finale symboliczny pochód robotników z „Warszawianką” na ustach zupełnie rozmija się z realiami górnośląskimi. Bo prości górnicy nie mówią nawet gwarą! Trudno się dziwić, że aktorzy nie mieli niczego do zagrania. W drugoplanowej roli górnika pojawia się po raz pierwszy na ekranie Tadeusz Łomnicki. Zdjęcia niemal w całości nakręcono w atelier w Łodzi, a tylko plany ogólne na Górnym Śląsku. Na uwagę zasługują niektóre ujęcia kopalni w ruchu nakręcone przez operatora Adolfa Forberta.

Nową serię filmów górniczych otworzył dziesięć lat później *Dezerterski Witołda* Lesiewicza z 1958 roku, a po nim pojawiły się na ekranach kolejne tytuły: *Rodzina Milcarków* Józefa Wyszomirskiego (1962), *Czarne skrzydła* Ewy i Czesława Petelskich (1962), *Pięciu* Pawła Komorowskiego (1964) i wreszcie *Gorąca linia* Wandy Jakubowskiej (1965).

Z wyjątkiem współczesnej *Gorącej linii* filmy te rozgrywały się w przeszłości Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, a kopalnia była scenografią dramatów charakterystycznych dla regionu. Zatem w filmie *Pięciu* według powieści *Brzezi ciemności* Aleksandra Baumgardtena dramat pięciu zasypanych w podziemiach kopalni górników przemienia się w retrospekcjach w panoramę dramatycznych losów Górnoślązaków w XX wieku od czasów plebiscytowych poprzez II wojnę światową aż do lat sześćdziesiątych. Z kolei *Rodzina Milcarków* to dramat górnośląskiej rodziny górniczej na tle trzeciego powstania śląskiego w 1921 roku. W najwcześniejszym z tej serii *Dezerterski Witołda* Lesiewicza z 1958 roku poruszono po raz pierwszy na ekranie sprawę poborowych przymusowo wcielanych do Wehrmachtu. Bohater filmu – dezerterski z Wehrmachtu pochodzi wprawdzie z Pomorza, lecz

ukrywa się w podziemiach starej kopalni na Górnym Śląsku.

Natomiast Ewa i Czesław Petelscy zbudowali w *Czarnych skrzydłach* dramat robotniczego buntu w realiach Zagłębia Dąbrowskiego, jak w powieści Kadena-Bandrowskiego. Rozgrywają akcję w fikcyjnej kopalni „Erazm” w Dąbrowie Górniczej, gdzie górnicy pod wpływem wieści o zamierzonych redukcjach zatrudnienia szykują się do strajku, do którego jednak nie dojdzie. Następuje natomiast wybuch gazu i dochodzi do katastrofy. Zdesperowani górnicy wywlekają francuskiego zarządcę kopalni z samochodu i wrzucają do płonącego szybu. W finałowej sekwencji, gdy górnicy niosą zwłoki ofiar katastrofy ulicami miasta, policja strzela do manifestacji. Zdarzenia z powieści i filmu miały miejsce w Dąbrowie Górniczej w 1923 roku, gdy doszło do pożaru w tamtejszej kopalni „Reden”. Jednak mimo że akcja rozgrywa się w Zagłębiu Dąbrowskim, zdjęcia realizowano głównie w Chorzowie i Świętochłowicach, a sekwencje podziemne w atrapie kopalni zbudowanej w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi.

Z tego zestawienia można określić najczęstsze motywy dramatyczne w polskich filmach górniczych. Należą do nich: strajk i katastrofa. Zdarzenia najbardziej dramatyczne z tych, które mogą się przytrafić w kopalni pod każdą szerokością geograficzną i mające w realiach górniczych swoją specyfikę. Zdarza się, że oba motywy występują łącznie, jak właśnie w *Czarnych skrzydłach*. W dawniejszych filmach pojawia się także motyw obrony kopalni przed zamknięciem albo zniszczeniem, a w nowszych już i jej zamknięcie.

Zdarzało się w dawniejszych filmach, zwłaszcza nacechowanych perswazją ideologiczną, zagrożenie sabotażem, z czym mamy do czynienia w *Stalowych sercach* Urbanowicza, a także w *Rodzinie Milcarków*, w tej ostatniej w bardzo fantazyjnej formie. W tym dramacie z okresu plebiscytowego córka polskiego górnika Milcarka wychodzi za mąż za niemieckiego sztygara, za co zostaje potępiona przez własną rodzinę. Film wprawdzie odnotowuje, że podziały narodowościowe przebiegały nieraz przez rodziny, lecz ostatecznie zmierza do sztamkowego zakończenia. Sztygar Henke usiłuje bowiem zatopić przyznaną Polsce kopalnię, zabija ojca swej żony, a sam zostaje zabity przez jej brata. Jak na sztygara związanego z kopalnią, jego działania wydają się niewiarygodne. Nie zdarzało się, by Niemcy czy Polscy górnicy próbowali niszczyć kopalnie. Byłoby to sprzeczne z etosem górniczego stanu, a już tym bardziej w przypadku sztygara.

Dwa strajki Kutza

Motyw strajku w kopalni jest zasadniczym motywem w filmach Kazimierza Kutza: *Perła w koronie* z 1971 roku i *Śmierć jak kromka chleba* z 1994 roku.

Akcja *Perły w koronie* rozgrywa się w Polsce niepodległej (konkretnie w roku 1934). Najważniejsze sceny rozgrywają się podczas strajku górników, którzy – protestując przeciwko zamiarowi zamknięcia kopalni przez jej niemieckiego właściciela – bronią z determinacją miejsca pracy, a z biegiem czasu przede wszystkim swej godności. W końcu wygrywają i uzyskują obietnicę, że kopalnia nie będzie zamknięta, lecz jest to zwycięstwo o gorzkim smaku. To film właśnie o rozczarowaniu, krytyczny wobec stosunków społecznych i politycznych na Górnym Śląsku w okresie II Rzeczypospolitej.

Wprawdzie kopalnia „Zygmunt”, gdzie toczy się strajk górników, najpierw okupacyjny, a potem głodowy, jest fikcyjna, lecz reżyser wykorzystał zdarzenia rzeczywiste, przede wszystkim wspomnienia strajków z lat trzydziestych, szczególnie zaś wielkiego strajku w kopalni „Giesche” (obecnie kopalnia „Wieczorek”) w 1937 roku.

W tej to kopalni pracowali, chociaż znacznie wcześniej, wujowie Kazimierza Kutza. Kopalnia „Giesche” znajdowała się w Janowie, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie Szopienic, pracowało w niej wielu górników z Szopienic. Niewątpliwie wspomnienia z wydarzeń związanych z kopalnią „Giesche”, a już szczególnie wydarzeń tak spektakularnych jak strajk głodowy, musiały wpływać na życie społeczności szopienickiej. Refleksy tego strajku z 1937 roku, ewentualnie innych strajków z lat trzydziestych, pozostały z pewnością w pamięci przyszłego reżysera, który w 1937 roku miał lat osiem.

Jednak prócz tradycji rodzinno-środowiskowej, równie ważnym źródłem stały się dla reżysera *Pamiętniki górników*, opublikowane przez Wydawnictwo „Śląsk” co prawda w 1973 roku (a zatem już po premierze *Perły w koronie*), ale przed drukiem udostępnione Kutzowi. Wystarczy sięgnąć do *Pamiętników górników*, by odkrywać w nich pierwowzory filmowego strajku.

Najgłośniejszy strajk w kopalni „Giesche” zdarzył się w marcu 1937 roku, wywołany przez komunistów, którzy zamierzali doprowadzić do strajku powszechnego w górnictwie i hutnictwie górnośląskim. Podczas kongresu rad zakładowych działaczom komunistycznym udało się doprowadzić do uchwalenia rezolucji wzywającej do po-



W „Perle w koronie” Kazimierza Kutza z 1971 roku akcja rozgrywa się w fikcyjnej kopalni „Zygmunt”, a reżyser wykorzystał w niej historię strajku w kopalni „Giesche” w latach trzydziestych.

wszechnej akcji strajkowej, lecz związki zawodowe w poszczególnych kopalniach nie zastosowały się do niej. W dniu 15 marca zastrajkowały tylko dwie kopalnie: „Giesche” i „Eminencja”, przy czym w tej drugiej do likwidacji akcji strajkowej doszło po zaledwie kilku godzinach.

Natomiast w kopalni „Giesche”, gdzie kierownictwo strajku należało do działaczy komunistycznych, akcja trwała 10 dni, a strajkowało ponad 3 tysiące górników, z tego około 1000 na dole. Po tygodniu strajk ten przemienił się w głodowy. Właśnie ten najsłynniejszy strajk okupacyjno-głodowy w kopalni „Giesche” w 1937 roku, który odbił się szerokim echem w całej okolicy, stał się pierwowzorem strajku filmowego w *Perle w koronie*, aczkolwiek poszczególne sytuacje z przebiegu strajku wzorowane są na wspomnieniach górników z kopalni „Eminencja” i „Mortimer” z przywoływanych już *Pamiętników górników*. Do filmu Kutza trafiło wiele sytuacji ze strajku w zagłębiowskiej kopalni „Mortimer” w Zagórzu (obecnie dzielnica Sosnowca) zapisanych we wspomnieniu Józefa Sędko ze strajku okupacyjnego w 1933 roku przeciwko planom zamknięcia i zatopienia kopalni.

Z kolei w *Śmierci jak kromka chleba* zamierzeniem reżysera była rekonstrukcja wypadków, które zdarzyły się 16 grudnia 1981 roku w kopalni „Wujek”, gdzie zginęło 9 górników. Na pierwszym planie pojawiają się samorzutni przywódcy strajku „Solidarności” w kopalni, lecz w istocie można mówić o bohaterze zbiorowym – górniczej społeczności „Wujka”. W miarę trwania strajku przywódcy, wzorowani przeważnie

na bohaterach autentycznych, wtapiają się w górniczą masę odpierającą natarcia ZOMO. Na koniec padają strzały, które zamykają film w nastroju elegijnej tragedii.

Wprawdzie film Kutza jest rekonstrukcją najsławniejszego strajku górniczego, lecz traktuje też o heroicznej walce w imię czystej idei. Bo zbuntowani górnicy płacą krwią w imię wolności i solidarności. Strajk rozpoczynają w obronie aresztowanego przewodniczącego kopalnianej „Solidarności”, a potem trwają w oporze w obronie „Solidarności” w ogóle. W tym heroicznym zacierzeniu nie ma kalkulacji. Zatem Kutz traktuje strajkujących górników w sposób jak najbardziej romantyczny. Nawet ofiara krwi górników staje się posiewem przyszłej wolności, a więc ofiarą typowo romantyczną.

Na osobą uwagę zasługują *Paciorki jednego różańca* Kutza z 1979 roku, gdzie kamera niemal nie zauważa samej kopalni. Bohaterem jest emerytowany górnik Karol Habryka, który po kilkudziesięciu latach pracy dożywa starości i buntuje się, gdy chcą mu zabrać domek, w którym mieszkał od dziesięcioleci. Nie chce mieszkania w bloku, a po przeprowadzce do komfortowej willi umiera. Film opowiada się za racjami starego Habryki, a kończy się akcentem tragicznym – jego pogrzebem z udziałem górniczej orkiestry, co przemienia się w symboliczny pogrzeb starego Górnego Śląska.

Perswazje i publicystyka

Najwięcej filmów o tematyce górniczej nakręcono właśnie w latach siedemdziesiątych, co związane jest

z twórczością Kutza i założonego przez niego zespołu filmowego „Silesia” w Katowicach, ale nie tylko. Jednak z wyjątkiem Kutza, filmy te posługiwały się przeważnie akcentami publicystycznymi.

W zespole „Silesia” Tadeusz Kijański nakręcił *Okrągły tydzień* w 1977 roku w oparciu o scenariusz Albina Siekierskiego. Jego akcja nawiązująca do świata górnośląskich baśni i legend rozgrywa się w dwóch warstwach: realistycznej i baśniowej. W pierwszej najważniejszym zdarzeniem okazuje się zamknięcie starej kopalni, w drugiej znajdujemy sny sześciolatniego Gustlika, który pod wpływem opowieści dziadka poznaje niezwykłą krainę Skarbnika. Najbardziej bronią się sceny odkrywające urodę podziemi kopalni nawiązujące do malarstwa naiwnego, lecz nakręcone – co ciekawe – w podziemiach kopalni soli w Wieliczce.

Potem Marek Wortman zrealizował w 1979 roku *Białą gorączkę* według powieści Feliksa Netza z bohaterem górnikiem, który woli pozostać na dole przy kombajnie niż skorzystać z proponowanego mu przez administrację kopalni awansu.

Z tego okresu pochodzi zrealizowana w wytwórni telewizyjnej „Poltel” w Katowicach *Sprawa inżyniera Pojdy* (1977) Janusza Kidawy. Tytułowy bohater staje przed komisją wyższego urzędu górniczego badającą przyczyny pożaru w kopalni „Zorza”. W filmie chodzi o dotarcie do prawdy, co zdarzyło się w kopalni. W tej materii Kidawa buduje drugą warstwę narracji poprzez reportera telewizyjnego, który postanawia sam poszukać prawdy. Film kończy się w momencie, gdy komisja udaje się na naradę po wysłuchaniu wielu świadków i wielu relacji. Jaki będzie jej wydykt? Zakończenie filmu pozostawia kwestię otwartą. Dobrym pomysłem było obsadzenie w roli tytułowej Jana Bógdoła, który potrafił stworzyć kreację inżyniera żyjącego niemal wyłącznie sprawami kopalni. Jak na tamte czasy, film zaciekał sposobem ujęcia górniczego tematu. Dzisiaj pozostaje filmem zapomnianym.

Podobnie zapomniana pozostaje biografia Wincentego Pstrowskiego *Kto da więcej co ja* (1977) zrealizowana przez Stefana Szlachtycza według scenariusza Zygmunta Wiśniewskiego (który z kolei opierał się na wydanej wcześniej książce krakowskiego reportera Janusza Roszki). Jest to próba rekonstrukcji życia bohatera, który niegdyś wezwał górników do współzawodnictwa pracy sławnym zawołaniem: „Kto da więcej co ja?”. Pstrowski był wtedy, w 1948 roku, górnikiem kopalni „Jadwiga” w Zabrze, a partia potrzebowała polskiego Stachanowa. Film opowiada

o nim w szeregu retrospekcji, które sięgają do dzieciństwa bohatera, obejmują początki pracy w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego, emigrację do Belgii, wreszcie powrót po wojnie do Polski.

Wprawdzie scenariusz filmu Szlachtycza ma perswazyjny charakter, lecz z obrazów przebija się nieco prawdy o Pstrowskim i jego motywacjach. Szlachtycz próbuje nadać socrealistycznemu herosowi jakieś ludzkie rysy. Pomogła w tym wspaniała rola Jana Bógdola, który nawet zewnętrznie upodobił się do bohatera. Jedna z recenzentek warszawskich wzięła go za prawdziwego górnika, tyle że obdarzonego wybitnym talentem aktorskim.

Do kategorii kina perswazyjnego można zaliczyć jedyny film górniczy z lat osiemdziesiątych – *Trzy stopy nad ziemią* Janusza Kidawy-Błońskiego z 1984 roku o młodych ludziach w Polsce stanu wojennego w górniczym przebraniu w latach siedemdziesiątych. Akcja filmu rozgrywa się w pewnej kopalni w dekadzie Edwarda Gierka. Bohaterem jest przybysz z zewnątrz, student Nowaczyk, który trafia do kopalni, gdy chce wymigać się od wojska. Jego kolegami stają się młodzi górnicy z hoteli robotniczych, zwerbowani z całej Polski. W chwili konfliktu górników z dyrekcją kopalni student Nowaczyk, kuszony perspektywą awansu – wybiera solidarność z górnikami ze swojej brygady. Sytuacja kryzysowa ma znaczenie alegoryczne, bo odnosi się do przełomu sierpniowego 1980 roku. Interesujące, że zdjęcia kręcono w kopalniach dolnośląskich, które udają górnośląskie.

Nowe filmy górnicze

Wspomniany film Kutza o tragedii „Wujka” to jedyny film o tematyce górniczej w latach dziewięćdziesiątych, gdy górnictwo stało się niemodne. Następne filmy pojawiły się po kolejnych dziesięciu latach, eksponując już zupełnie inne tematy. Dzisiaj filmowcy powracają do kopalni w poszukiwaniu dramatów społecznych albo egzotyki dzisiejszego Górnego Śląska.

Jako pierwszy filmowiec-amator Eugeniusz Klucznik zrealizował w 2004 roku tragikomedie *Jak przed wojną*. Jej bohaterami są trzej bezrobotni górnicy, którzy stracili pracę w kopalni, a scenariusz zrodził się z obserwacji tego, co dzieje się w okolicy zlikwidowanej kopalni „Dębieńsko” w Czerwionce niedaleko Rybnika. Film jest wprost poświęcony „zamordowanej kopalni”, jak informuje napis na początku. Bezrobotni górnicy stają się złomiarzami i zostają przyłapani na kradzieży kabla, co powoduje gonitwy i starcia z ochroniarzami. Zdjęcia kręcono w Rybniku



Na ekrany wchodzi właśnie „Benek” Roberta Glińskiego z 2007 roku z historią młodego górnika, który postanawia odejść z kopalni i rozpocząć nowe życie (w tej roli debiutujący Marcin Tyrol).

i w najbliższej okolicy, a zagrali niemal wyłącznie tamtejsi naturszczycy. Zrobione za niewielkie pieniądze, dzieło przemawia nade wszystko siłą autentyzmu. Jednak do powodzenia filmu przyczyniła się nie tyle prosta fabuła, ile niezwykle emocjonalna tonacja desperacji, w jakiej znaleźli się górnicy. Jego siłą staje się nostalgia. W efekcie film zamienia się we wzruszającą manifestację górnośląskości.

Z tego samego czasu pochodzi telewizyjna *Barbórka* (2005) Macieja Pieprzycy, który postanowił osadzić akcję w scenerii Nikiszowca. Jego *Barbórka* podtrzymuje filmową magię górniczego Nikiszowca przyciągającego coraz to nowe ekipy filmowe i telewizyjne. Zdjęcia realizowano także w Bytomiu, Mysłowicach i w zabytkowej kopalni „Królowa Luiza” w Zabrzu.

W *Barbórce* chodzi o zderzenie odmiennych światów: prostego świata górnośląskich górników z efekciarskim światem warszawskiej telenoweli. Do spotkania dochodzi, gdy dyrektor kopalni zaprasza na święto *Barbórki* gwiazdora telewizyjnych seriali, który traktuje wizytę jako kolejną chałturę. Jednak przybysz z Warszawy spotyka w kopalni dziewczynę ujmującą go prostymi, jasnymi zasadami, jakimi kieruje się w życiu. W ten sposób *Barbórka* staje się komedią romantyczną, ale tylko na chwilę. Jeśli historia romansowa wydaje się mało prawdopodobna, to Pieprzyca potrafi wykreować znakomite sekwencje z życia górniczej osady, potraktowanej z dużą dozą sympatii. Dobrze wypadły mówione gwarą scenki rodzajowe. Jednak najważniejszą cechą filmu Pieprzycy jest kreacja Górnego Śląska i górniczej osady w nieco baśniowej formule wizualnej, stwarzającej sugestię krainy magicznej.

Wreszcie *Benek* Roberta Glińskiego (z 2007 roku), który ma formułę baśniową i pozytywne przesłanie w stylu amerykańskim. Tytułowym bohaterem jest niespełna trzydziestoletni górnik, który postanawia odejść z kopalni i rozpocząć nowe życie. Bierze odprawę, kupuje mieszkanie, lecz trudno mu znaleźć pracę. W końcu znajduje kobietę i dzięki niej siłę, by przezwyciężyć trudności. W ten sposób film staje się balladą o przewrotności losu, niesłychanie emocjonalną opowieścią o sukcesie, przejmującą i wzruszającą. Historię kogoś, kto zmienia swoje życie, starając się wyrwać z przypisanego przez tradycję losu. Powstało dzieło przesyczone emocjonalną siłą, przejmujące i wzruszające. Dochowujące wierności realiom górnośląskim i górniczym, lecz szukające uniwersalnego ujęcia.

Dodajmy, że w realizacji znajdują się kolejne tytuły, by wspomnieć *Laurę* Radosława Dunaszewskiego o katastrofie w kopalni „Halemba” w 2006 roku i *Ewę* Adama Sikory, gdzie z kolei bohaterkami są żony bezrobotnych górników, które trafiają do agencji towarzyskiej. Do tego można dołożyć serial fabularyzowany *Katastrofy górnicze* w reżyserii Radosława Dunaszewskiego zrealizowany w TVN, który czeka na telewizyjną emisję (pokazano tylko sygnałnie jeden z odcinków).

Można powiedzieć, że jesteśmy świadkami renesansu tematu górniczego w polskim kinie, a nowe filmy górnicze podejmują dramaty górników związane z restrukturyzacją branży w okresie transformacji. Jak w *Benku* Glińskiego, który właśnie wchodzi na *Barbórkę* na polskie ekrany.

Autor tych barwnych z talentem spisanych wspomnień, których dramatyczne akcje mogłyby stać się scenariuszem filmu, urodził się przed stu laty 1 stycznia 1910 roku w Suchej Górnej na Zaolziu. Najważniejszym przeżyciem wczesnych lat, które zdeterminowało jego życiowe losy – jak tysiące zaolziańskich Polaków – były tragiczne wydarzenia styczniowe 1919 roku. Wtedy to Czesi podstępny napadem na Polskę, podjęli zbrojną próbę zagarnięcia całego Śląska Cieszyńskiego, zatrzymując na trwałe rdzennie polskie ziemie Zaolzia. Ten problem stał się sprawą życia jego generacji, zaś Oswald Guziur był jednym z najbardziej zaangażowanych w te kwestie patriotów kwestii zaolziańskiej.

Po studiach na Politechnice Lwowskiej, gdzie współdziałał z Lwowskim Kołem Obrony Kresów Zachodnich w nagłaśnianiu spraw Śląska i zagrabionego Zaolzia, z dyplomem inżyniera-elektryka osiada w Katowicach. W 1938 roku wyrusza w swoje rodzinne strony – jednak tylko rok w swoim długim życiu będzie mógł przepracować na Zaolziu w jednej z karwińskich kopalń. Jako podchorąży rezerwy uczestniczy w kampanii wrześniowej. Wzięty pod Rawą Ruską do niemieckiej niewoli, wydostaje się na wolność. Niezwykła inteligencja, spryt i odwaga dadzą o sobie wielokrotnie znać także w latach okupacyjnej odysei.

Oswald Guziur wraca na Zaolzie i wiąże się z konspiracyjną organizacją ruchu oporu „Orzeł Biały”, która wejdzie w skład Związku Walki Zbrojnej z doktorem Pawłem Musiołem jako cieszyńskim inspektorem ZWZ. W 1940 r. po aresztowaniu Jana Matuszka, Oswald Guziur zostaje dowódcą obwodu Jabłonków obejmującego placówki w Czeskim

Cieszynie, Ligotce Kameralnej, w Trzyńcu, Mostach k. Jabłonkowa i Bystrzycy, kierując akcjami dywersji i sabotażu aż do ucieczki przed aresztowaniem w 1941 roku.

Po wojnie osiada na stałe w Katowicach i jako inżynier-elektryk podejmuje działalność w swojej specjalności z wybitnymi wynikami (jest autorem 10 patentów). Ma już 74 lata, gdy – jeszcze czynny zawodowo – ujawnia się jako publicysta a wkrótce i historyk sprawy zaolziańskiej, zaangażowany w wyjaśnianie z polskiego punktu widzenia problemów roku 1919 i 1938 oraz lat 1939–45 na Zaolziu i Śląsku Cieszyńskim. Ta działalność stanie się misją jego ostatnich kilkunastu lat życia. Jej efektem będzie kilkadziesiąt publikacji, w tym przygotowana wspólnie z historykiem wojskowości Mieczysławem Starczewskim książka pt. „LIDO I STRAGAN – ŚLĄZACY W WYWIADZIE AK”. „Stragan” był strukturą wywiadu na szczeblu Komendy Głównej AK i działający w nim Ślązacy, często o kierowniczej roli, wykazali się heroiczną odwagą, poświęceniem i wybitnymi zasługami w odkrywaniu hitlerowskich tajemnic przemysłowo-wojskowych. Z tego okresu pochodzi właśnie tekst „Ucieczka przed śmiercią”, który publikujemy z pewnymi skrótami.

Oswald Guziur zmarł nagle 29 lutego 1986 roku przeżywszy 86 lat. Spoczął na katowickim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. Nad otwartą mogiłą pochylili się poczty sztandarowe AK, Związku Byłych Więźniów Politycznych, Związku Kombatantów RP oraz Zarządu Głównego Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Przyjechali także rodacy z rodzinnej Suchej Górnej. Przejmująco zabrzmiała nostalgiczna zaolziańska pieśń – Płyniesz Olzo...

Ucieczka przed śmiercią

OSWALD
GUZIUR



Autor artykułu pod koniec studiów w Politechnice Lwowskiej.

Był dzień 9 stycznia 1941 roku. Od rana byłem pełen niepokoju. Od kilku dni przebywałem w Trzyńcu u swojej siostry Anny Luzarowej „na Ściszałówce” (obecnie ulica Frydecka 486), w budynku mieszkalnym huty trzynieckiej. Żeby zabić niepokój, poszedłem do piwnicy i przez kilka dopołudniowych godzin rąbałam zawzięcie drewno. Około południa wyszedłem na górę, zjadłem obiad, ubrałem się do wyjścia, aby odwiedzić kolegę – dra Pawła Rusza, i odebrać od niego comiesięczny „haracz” na rzecz ro-

dzin dotkniętych aresztowaniami swych żywicieli. W tej chwili wpadła zadyszana i zalekniona moja piętnastoletnia wówczas siostrzenica Irka Mazurkówna (córka dra Józefa Mazurka z Bystrzycy) i od progu woła:

– Wujku, ciebie szukają, a ciocię zabrali!

A więc nastąpiło to, przed czym schroniłem się do Trzyńca. W pierwszych bowiem dniach stycznia zostałem ostrzeżony. Do domu moich rodziców w Suchej Górnej nr 366, gdzie mieszkalem po wrześniu 1939 roku, przyszedł nie znany mi młody człowiek, jak

twierdził – z Błędowic, i upewniwszy się, że ma ze mną do czynienia, powiedział, że gestapo mnie poszukuje. Wiadomość taką przekazał mu ktoś z ruchu oporu, aresztowany, któremu jednak w czasie transportu do więzienia udało się zbiec i ukryć właśnie w Błędowicach. Opowiadał, że gestapo bardzo energicznie dopytywało się o człowieka nazwiskiem „Górski” (mój pseudonim) i wiedziało o nim, że pod koniec grudnia tenże „Górski” kupował w Cieszynie Zachodnim bilet kolejowy do Ober

Suchau, czyli do Suchej Górnej. Informacja ta była prawdziwa, bo istotnie w tym czasie po raz ostatni spotkałem się z inżynierem Franciszkiem Kwaśnickim, szefem organizacji dywersyjno-sabotażowej „Związek Odwetu”.

Byłem gotów do wyjścia. Czasu, jak to miało się za kilka minut okazać, było niewiele. Obecna przy mnie w tej chwili moja matka położyła na moim czole znak, który miał mnie chronić przez lata tułaczki. Jeszcze krótki pożegnalny uścisk i szybkim krokiem opuściłem zabudowania, udając się drogą w kierunku Oldrzychowic. Dochodząc do skraju lasu usłyszałem za sobą warkot samochodu. Nie odwracałem się – miałem pewność, że to właśnie oni. Zobaczyłem ścieżkę skręcającą przez rów przydrożny w prawo w las. Przeskoczyłem ów rów i w tym momencie minął mnie samochód, na którego tylnej tabliczce odczytałem „Pol”, czyli Polizei. Był to właśnie – jak się później potwierdziło – ten samochód, którym gestapo, nie znalazłszy mnie w Suchej, a przed chwilą w Trzyńcu, pognęło za mną do Bystrzycy, do mojej siostry Olgi Mazurkowej.

Ja też tam zdążyłem, ale bez pośpiechu. Oczekałem w lesie oldrzychowickim do zmroku i dopiero pod osłoną ciemności udałem się do Bystrzycy, ale oczywiście nie do siostry, lecz do jednego z sąsiednich domów, w którym u swoich rodziców mieszkał mój serdeczny kolega szkolny, inżynier Karol Goryl.

W tym miejscu nie mogę się oprzeć pokusie, aby nie powiedzieć, że zatrzymałem się na kwaterze brygadiera Józefa Piłsudskiego. W tym bowiem domu hutnika trzynieckiego Jana Goryla, w Bystrzycy nr 311, pod koniec roku 1914 Piłsudski miał swoją kancelarię sztabową (w okresie, gdy jego legiony przybyły na leże zimowe do okręgu jabłonkowskiego). Dopiero stąd przeprowadził się do Jabłonkowa. Siedmioletni wówczas Karol zapamiętał dobrze „dziadka” z wąsami.

UWIEZIENIE SIÓSTR

Od sprowadzonej do tego domu mojej siostry Olgi dowiedziałem się, co zaszło. Rano, około godziny jedenastej, gestapo zajechało pod dom moich rodziców w Suchej Górnej, gdzie zastało mego ojca Adolfa i najmłodszą siostrę Zytę. Gestapowcy przewrócili wszystko do góry nogami, ale nie znaleźli niczego oprócz moich zdjęć, które zabrali. Zabrali też adresy mojej najbliższej rodziny, a przede wszystkim – niestety – również moją siostrę. Ponieważ pora była południowa, spracowani gestapowcy, odkładając obowiązki służbowe na później, wstąpili na obiad do restauracji prowadzonej ongiś przez Żyda Steinhauera. Ten obiad zdecydował o moim życiu, bo zdążono mnie ostrzec. Wynika stąd prosty wniosek, że jeżeli kogoś się ściga, nie należy wstępować do gospody na piwo.

Tymczasem obiad się szczęśliwie przeciągał... Moja siostrzenica Irka Mazurkówna, która przyjechała do Suchej w odwiedziny do dziadków, spotkała mego ojca, który po wizycie gestapo wyszedł jej naprzeciw z moją teczką w rękę i polecił, żeby przed-

ko biegła na przystanek kolejowy i łapała pociąg do Cieszyna, a następnie do Trzyńca, aby mnie ostrzec. W teczce, jak się okazało, oprócz zmian bielizny było kilkanaście pustych, lecz prawidłowo opieczętowanych i podpisanych przez zarząd miejski w Jabłonkowie druków, tzw. „palcówek” (Fingerabdruck), przeznaczonych do zaopatrywania w kręgach konspiracji ludzi „spalonych” w dowód tożsamości, w takiej dramatycznej sytuacji ojciec pomyślał o tym!

Wobec aresztowania w Suchej mojej siostry postanowiłem działać. Swego czasu inżynier Kwaśnicki mówił mi, że w Cieszynie jest pewien gestapowiec na którego możemy liczyć w przypadku aresztowania naszego człowieka. Warunkiem było, aby informacja o aresztowaniu doszła do niego natychmiast, dopóki śledztwo nie było zaawansowane. Uradziliśmy więc na spotkaniu z moją siostrą Olgą, że nazajutrz rano uda się do mieszkania Kwaśnickiego w Cieszynie przy ulicy Sienkiewicza 10. Uprzedziłem siostrę, że jeżeli w określonym oknie tego mieszkania będzie stała doniczka lub flakon z kwiatem, to absolutnie nie należy wchodzić. Był to umówiony znak, świadczący o grożącym niebezpieczeństwie. Kwiatem tym miała sterować Zosia Kubiszówna, córka właścicielki mieszkania.

Po nocy spędzonej u Goryłów, wczesnym rankiem, przypiąłem pożyczone narty do własnych butów narciarskich, w których przez zimę normalnie chodziłem, i udałem się do Anny Ruckiej w Nydku, siostry Jana Bajtka, komendanta placówki ZWZ Nydek – Bystrzyca, który w tym czasie był już od kilku miesięcy (od lipca 1940 roku) aresztowany. Pani Ruckiej dotąd nie znałem, lecz wystarczyło, że powołałem się na jej brata Janka. Zgodziła się bez wahania pojechać do Cieszyna i Bystrzycy na wywiad. Wróciła tego samego dnia pod wieczór z przerażającymi wieściami.

Moja siostra Olga nie wróciła z Cieszyna, bo została aresztowana. W dniu poprzednim, czyli 9 stycznia, gestapo aresztowało Kwaśnickiego, a w jego mieszkaniu urządzono „kocioł”. Wszyscy, którzy wchodzili do tego mieszkania, byli zatrzymywani. A wchodzili – jak to później zostało wyjaśnione – dlatego, że brak było w oknie umówionego kwiatka, sygnalizującego niebezpieczeństwo. A kwiatka nie było, bo obie panie Kubisz były osadzone w pokoju od podwórka, a gestapo siedziało w pokojach od ulicy i kwiatka wystawić nie można było. W tym samym dniu zostały aresztowane obydwie łączniczki: Helena Kynast i Bronka Beneszówna. W mieszkaniu została aresztowana Stefania Michejdowa, wdowa po byłym burmistrzu, doktorze Władysławie Michejdie; także Olga Mazurkowa, Franciszek Czudek z Gródka koło Jabłonkowa – jeden z najbliższych współpracowników Kwaśnickiego – i inni.

Powstał dylemat, co robić dalej. Miałem do wyboru: albo opuścić teren, albo zgłosić się do gestapo. Zgłoszenie się nie spowodowałoby, jak wskazywały doświadczenia, zwolnienia sióstr, bo gestapowcy potrafili nieskończenie długo przetrzymywać osoby podejrzane o kontakty z konspiracją. Ponadto nie miałem dość odwagi. Pozostał mi w uszach przeraźliwy krzyk człowieka, zapewne torturowanego w śledztwie, który

usłyszałem przechodząc pewnego razu koło siedziby policji w Trzyńcu. Takiego krzyku nie zapomina się do końca życia. Nie miałem też pewności, czy wytrzymałbym śledztwo. A chodziło tu o życie tych wszystkich, z którymi współpracowałem i którzy mi zaufali. Miałem w kieszeni żywiecki adres, wsunięty mi jeszcze w Trzyńcu przez przyjaciółnię z moją rodziną Helenę Wenglorzową, żonę inżyniera huty trzynieckiej. Była ona świadkiem mego pożegnania z rodziną. To zdecydowało.

Po nieprzespanej nocy, pełnej rozterek, wypełniłem pusty blankiet posiadanej „palcówki”, przypiąłem znowu narty i opuściłem dom, który mi dał schronienie. Już jako Johann Kowalla narodowości „schlonsakisch”, aus Jablunkau, udałem się przez Wisłę, Salmopol i Szczyrk do Żywca.

Zamierzałem udać się do Generalnego Gubernatorstwa. I znowu Wenglorzowa nawiązała z tamtejszą placówką ZWZ kontakt, w wyniku którego zorganizowano dla mnie przerzut przez granicę. Ustalono, że udam się wieczornym pociągiem do Suchej Beskidzkiej i tam na dworcu będzie mnie oczekiwał mężczyzna, który się mną zajmie. Rozpoznałem go po tym, że pod lewą pachą będzie trzymał laskę, zwróconą uchwytem w dół.

UCIECZKA DO GENERALNEJ GUBERNI

Przyjechałem do Suchej Beskidzkiej po godzinie ósmej wieczorem. Wyszedszy na dworzec kolejowy z załamania korytarza, zobaczyłem u jego wylotu dwóch umundurowanych osobników, kontrolujących dokumenty. Odruchowo cofnąłem się za róg ściany. Taka sytuacja nie została przewidziana. Rychło jednak uświadomiłem sobie, że dworzec może być obstawiony i próba jego opuszczenia inną drogą mogłaby się skończyć fatalnie. Jednocześnie uprzytomniłem sobie, że przecież mam dokument i że wymyślonego przeze mnie Johanna Kowalli gestapo nie poszukuje listem gończym. Wobec tego, starając się iść w miarę pewnym krokiem, udałem się na spotkanie z władzą.

- Ausweis?
- Bitte sehr.
- Danke schön.

Zacząłem spacerować tam i z powrotem. Ostatni pasażerowie opuszczali dworzec, udając się w stronę miasta. Zbliżała się godzina policyjna, sytuacja moja stawała się kłopotliwa. Ale oto jeszcze jeden spóźniony pasażer mija mnie. Zatrzymuję się i zawracam. On robi to samo. Zbliżamy się do siebie. Z trudem dostrzegam, że trzyma pod lewą pachą laskę. A więc to on. Ogromnie się ucieszył, bo obawiał się, że wpadnę nie mając dokumentów.

Po przejściu przez most na rzece Skawie zostałem przekazany w najbliższym domu w ręce człowieka, który miał się już dalej mną opiekować. Dostałem kolację, nocleg, śniadanie.

- Kiedy wyruszamy? – spytałem.
- W południe – otrzymałem odpowiedź.
- Jak to? Wtedy, kiedy jest najjaśniej?
- Zobacz pan.

Przed godziną dwunastą do mojego pokoju z widokiem na most na Skawie przyszedł

więc przewodnik i zaczął obserwować, co się dzieje. Wy tłumaczył mi, że w południe straż graniczna, rozstawiona na pobliskim łańcuchu wzniesień, udaje się do miasta na obiad i to przez ten jeden jedyny most, który obserwowaliśmy. Mój przewodnik znał rozstawienie i siłę poszczególnych posterunków i informował mnie: o, to są ci, to tamci. Wreszcie ostatni spóźniony posterunek przeszedł. Teraz można wyruszyć.

Stanęliśmy na szczycie wzniesienia. Przed nami w dole rozpościerała się Gubernia. Teraz dopiero mój przewodnik zapytał mnie, dlaczego tak wędruję po świecie. Mimo moich nalegań nie przyjął ode mnie dwudziestu marek (cały mój majątek), jakie chciałem mu wręczyć za nocleg, wyżywienie, przewodnictwo i za kilka złotych, które chciałem od niego odkupić na bilet do Krakowa. A był to człowiek – jak wywnioskowałem – żyjący na tej granicy z przemytu. Poradził mi jeszcze, żebym nie wsiadał do pociągu na najbliższej stacji, bo to jest stacja graniczna po stronie GG i może tam być kontrola.

Zostałem sam. Zniszczyłem „palcówkę”, bo dokumentem tym nie mogłem posługiwać się w GG. I tak stałem na tym szczycie – człowiek bez nazwiska, bez papierka, z jedną zapasową zmianą bielizny i dwudziestoma markami na dalsze drogę życia. U stóp moich leżał kraj rządzony przez Hansa Franka.

Zszedłem w dolinę i w Strzyszowie wsiadłem do pociągu osobowego, jadącego z Suchej Beskidzkiej do Krakowa. A tu szok! Był to jeszcze okres kolędowania. Na jednej ze stacji wsiadło do pociągu czterech wyrostków i chodząc od wagonu do wagonu (były to wagony otwarte, bez przedziałów) kolędowali. Kolędę śpiewali tylko jedną, na melodię popularnego „Dzisiaj w Betlejem”, a brzmiała ona tak:

„Dzisiaj z Londynu, dzisiaj z Londynu
Wesoła nowina
Tysiąc bombowców, tysiąc bombowców
Leci do Berlina
Berlin się pali, Hamburg się wali
Hitler z Goeringiem
W portki na.. li
Cuda, cuda wyczyniali...”

Było jeszcze kilka zwrotek, ale nie spałem. Obok naszego mieścił się wagon „Nur für Deutsche”. Byłem pewien, że na jakiejś stacji pociąg zostanie zatrzymany, otoczony i w pień wycięty. Nic takiego się jednak nie zdarzyło. To nie był Śląsk, ale jakiś zupełnie inny kraj. W Krakowie skończyły się jednak te swawole. Tu już czuło się terror, choć nie taki, jak na Śląsku.

Z KRAKOWA DO BIESZCZAD

W tym czasie odkryłem, że w Krakowie przy ulicy Halczynej mieszka mój nieco starszy kolega z Politechniki Lwowskiej, pochodzący z Cieszyna, inż. Eugeniusz Koźdoń, zatrudniony wówczas w wydziale drogowym krakowskiego magistratu. Wobec ciasnoty w mieszkaniu Czernerów zacząłem korzystać z nowego locum. Pewnego wieczoru wracam tramwajem z bochenkiem chleba przydziałowego, odstąpionego mi przez dr Jadwigę Czernerową, do kolegi

Koźdonia. Na końcowym przystanku w Bronowicach zatrzymuje mnie granatowy policjant pytając o dokumenty. Zacząłem niby szukać po kieszeniach i zakląłem:

– O cholera, zapomniałem zabrać.
– A gdzie pan mieszka?

– Przy ulicy Halczynej – odpowiadam.

Policjant się rozgląda, spostrzega jakiegoś brodatego mężczyznę, którego zna (jak się później okazało – stróża jednej z will przy tej ulicy), przyciąga mnie pod latarnię i pyta go:

– Czy pan zna tego pana?
– Nie – brzmi odpowiedź.
– A u kogo pan mieszka? – pyta stróż.
– U inżyniera Koźdonia – odpowiadam.
– U tego z magistratu?

– No oczywiście.

– O, to bardzo przepraszam, że pana nie poznałem od razu. Jakoś tu ciemno.

Zaręczam, że stróż ten nie mógł mnie poznać, bo mnie nigdy przedtem na oczy nie widział. Mogłem utracić zarówno wolność, jak i niesiony pod pachą bochenek chleba. Zdarzenie to jednak było dla mnie ostrzeżeniem, że bez dokumentów po Krakowie błąkać się nie mogę.

Niedługo, poprzez kuzynkę inżyniera Riessa z Cieszyna, udało mi się nawiązać kontakt z organizacją ZWZ. Spotkałem się więc z jej przedstawicielem, którego poprosiłem o przekazanie Komendzie Krakowskiego Obszaru ZWZ meldunku o rozmiarach aresztowań w cieszyńskiej organizacji.

– A jak możemy panu pomóc?
– Potrzebuję dowodu osobistego.
– Proszę podać dane.

Wymyśliłem imię i nazwisko, datę urodzenia oraz podałem Lwów jako miejsce urodzenia (aby było trudniej sprawdzić, bo Lwów był wówczas za granicą). Nazajutrz o tej samej porze i w tym samym miejscu odebrałem od tego samego człowieka nowiutki dowód osobisty, wystawiony w Haliczu w roku 1938, prawidłowo podpisany i opieczetowany. Do tego dowodu była dołączona odbitka wykonana na powielaczu, informująca mnie, gdzie leży Halicz, oraz szereg danych o tym miasteczku, z podaniem nazwiska burmistrza, którego podpis widniał w dowodzie. Treść ulotki należało zapamiętać, odbitkę zniszczyć, a sam dowód przynieszczyć, żeby nosił ślady dłuższego używania.

Miałem więc nazwisko i dokument. To już było coś. Teraz trzeba było pomyśleć o zatrudnieniu na uboczu, bo w samym Krakowie było zbyt wielu Ślązaków i kręciło się zbyt wielu szpiclów. I tu znowu pomogła mi owa pani, której krewny był wówczas dyrektorem technicznym niemieckiej firmy Radloff z siedzibą w Krakowie, budującej drogi w Generalnej Gubernii. Dyrektor ten, wspomniany już inż. Riess pochodzący z Cieszyna (willa przy ulicy Błogockiej 14), przed wojną naczelnik wydziału dróg publicznych w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach, w czasie okupacji odgrzebał w szpargałach rodzinnych notatkę, że jego pełne nazwisko brzmiało ongiś „Riess von Riesenhorst”. Uzyskał więc zaliczenie do Volkslisty nr 2 i jako „von Riesenhorst” swoją wizytówkę wzbudził respekt u Reichsdeutschtów, zwłaszcza, że bezbłędnie mówił po niemiecku. Firma Radloff budowała między innymi drogę

w rejonie Bieszczad, co mi bardzo odpowiadało.

Aby nikogo nie narazić, ustalono, że firma da ogłoszenie do „Gońca Krakowskiego”, że potrzebuje walcmistra do obsługi walca drogowego lub (ponieważ takich kwalifikacji nie miałem) technika obeznanego z budową silników spalinowych. Z tym ogłoszeniem w ręku zjawiłem się w firmie i oczywiście z miejsca zostałem przyjęty. Na takiego właśnie czekali. Do mojego dowodu osobistego doszedł nowy, bardzo ważny dokument o zatrudnieniu, i to w firmie niemieckiej, wykonującej „ważne dla celów wojskowych” roboty, co „stało” wydrukowane w legitymacji służbowej.

Na miejscu, w Bieszczadach, okazało się (co było do przewidzenia), że walc mistrz nie jest potrzebny i zostałem brygadzystą przy budowie nowego odcinka drogi Kalnica – Mchawa koło Baligrodu, nawiązującej do szosy prowadzącej od Medzilaborec po drugiej stronie Karpat. Tą drogą miały iść w bój na front wschodni dywizje słowackie. Ale o tym mieliśmy się dowiedzieć nieco później. Na razie był marzec 1941 roku i do 22 czerwca było jeszcze dość daleko.

Pewnego dnia zbudził mnie z tej ciszy ogromny huk. Poranek był jeszcze ciemny. Za chwilę druga fala łomotu. Wskoczyłem w bieliznie przed dom. I nowa fala czarnych skrzydeł lecących bardzo nisko. może 100-200 metrów nad przełęczą w kierunku wschodnim. A więc koniec paktu Ribbentrop – Mołotow. Był wtedy dzień 22 czerwca 1941 roku.

Chyba w dwa dni później na przełęczy pojawiła się idąca od Medzilaborec słowacka dywizja piechoty. Jedyna dywizja, jaka w owym czasie tamtędy przeszła. Dla niej budowaliśmy od szeregu miesięcy ową drogę, aby mogła przejść, walczyć, zwyciężać. Czy aby warto było? Zostawmy tę kalkulację naszym pracodawcom, czyli Niemcom.

Dywizja ta biwakowała w Kalnicy. Po jej odejściu chłopcy wiejscy znajdowali i zbierali amunicję porzuconą wokół cerkwi. Żołnierze, wychodząc z założenia, że chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia chleba, a nie granatów, pozbywali się uciążliwego ciężaru, upychając gdzie się dało ten zbędny na wojnie balast. Lżej im się dalej szło, choć widać było, że lżej im przez to na duszy nie było. Szli kompaniami szykiem luźnym, kolumna się rwała. Na końcu dwóch maruderów. W oddali odezwał się huk artylerii:

– Co je to? – pytają mnie.

– Nie słyszycie? – odpowiadam. To było zaskoczenie. Wreszcie jeden się odzywa:

– Wieś, Jano, tam je fronta, a ked’ tam je fronta, tak pójdem tam – i wskazując ręką na południe skreślił na ścieżkę prowadzącą w ich strony rodzinne..

PIERŚCIEN Z NIERDZEWNEJ STALI

Rozwadows nad Sanem. Rzuciwszy budowę niepotrzebnych dróg znalazłem się tutaj, aby tym razem poświęcić się produkcji kafli, na czym znałem się równie dobrze jak na budowie dróg. Kierowałem małą, bo zatrudniającą zaledwie ponad dwadzieścia

kilka osób wytwórną kafla do pieców kaflowych. Większych ambicji nie miałem. Rozwadów w owym czasie był mały, typowo galicyjską miściną, o dużym procencie ludności żydowskiej, ścieśnionej do granic niemożliwości na małym terenie wyznaczono jej getta.

Aż nadszedł sądny dzień. Wszystkim Żydom polecono zebrać się z podręcznym bagażem na obszernym rynku. Tymczasem domy ich plombowano. Na rynku przeprowadzono segregację. Wszystkich starców i staruszki ustawiono w jednym szeregu i kazano usiąść na tobołach, twarzą na wschód. Było ich kilkadziesiąt. A potem esesmani urządzili sobie ostre strzelanie. Z odległości kilku centymetrów nie pudłowali, strzelając w tył czaszki. Krzyk i krew. Oglądaliśmy tę scenę przez firany okna wychodzące na rynek.

W czasie okupacji nie można było zbyt długo siedzieć na jednym miejscu. Dlatego, ze względów bezpieczeństwa, przeniósłem się w odległy teren, tym razem do Rabki-Zdroju. Budująca tam drogi firma Klee-Jaeger powierzyła mi zadanie łupania kamienia, oddając do mojej dyspozycji kawałek urwiska skalnego, zwanego kamieniołomem, i kilkunastu ludzi. Nadeszła jednak zima i skończyła się budowa drogi. Powierzono mi więc w ramach tej samej firmy opiekę nad przejezdnością, w zimowych warunkach, szosy na trasie Kraków – Warszawa, na odcinku od Słomnik do Miechowa. Droga ta oczywiście też była „kriegswichtig”.

Tymczasem z wiosną 1944 roku front wschodni szybko się zbliżał. Ja siedziałem pod Miechowem, a tam nad Sanem, w Rozwadowie, czekała na mnie Jadwiga, związana ze mną pierścieniem zaręczynowym, wykonanym ze stali nierdzewnej przez zakłady zbrojeniowe pobliskiej huty w Stalowej Woli, oczywiście w ramach „produkcji ubocznej”. Baliśmy się, że front nas rozdzieli i możemy się więcej nie zobaczyć. A spotkaliśmy się i poznali dzięki Hitlerowi i Stalinowi. Ja uciekałem przed Hitlerem na wschód, a ona z Krzemieńca podążała (nie wypada powiedzieć uciekała) na zachód. I tak spotkaliśmy się gdzieś w środku drogi. Żartowaliśmy nieraz, że mamy nielichych swatów.

Był to dziwny ślub, typowo okupacyjny. Pan Młody (cóż mi szkodzi napisać się dużymi literami) brał ten ślub pod fałszywym nazwiskiem, świadkiem był inż. Karol Musioł, w 1938-39 r. dyrektor kopalń Eugeniusz i Wacław w Pietwałdzie, mój bezpośredni owego czasu przełożony, który ukrywał się w Krakowie pod nazwiskiem „Górecki”. Do ceremonii ktoś przepięknie przygrywał na skrzypcach. Nikt z obecnych nie wiedział, kto by to był zacz. Dopiero długo po wojnie dowiedziałem się, że był to profesor konserwatorium w Katowicach, ukrywający się pod przybranym nazwiskiem. Nigdy nie udało mi się go odszukać, aby podziękować i zapytać, co go skłoniło wtedy do grania. Wśród wszystkich tych sfalszowanych postaci prawdziwą była jedynie Pan-

na Młoda, Jadwiga Krzehlik, absolwentka słynnego Liceum w Krzemieńcu, założonego w XVIII wieku przez T. Czackiego. I tak już zawsze pozostała.

Po ślubie, jak każe obyczaj, odbyliśmy podróż poślubną. Zdezelowaną ciężarówką przyjechaliśmy do Miechowa (gdzie Pan Młody miał przygotowane mieszkanie dla swojej wybranej), zabierając całe wiano w postaci kanapy, szafy, stołu i dwu krzeseł. Były też niezłe resztki z wesela. Zajeżdżamy w Miechowie na podwórko, a tu gospodyni wychodzi i mówi:

– Panie, ten pokój, co miał być dla pana, już zajęty, bo wczoraj Landkomisarz przysłał mi jakiegoś Niemca.



Obie siostry uwięzione jako zakładniczki, na szczęście ocalały. Na zdjęciu: starsza Olga (w środku) i młodsza Zyta z autorem wspomnień.

Samochód było trzeba odesłać do Rozwadowa, więc złożyliśmy nasz dobytek na podwórku i stwierdziliśmy, że jesteśmy głodni. Kupiliśmy na kartki świeży, pachnący i chrupiący bocheneczek chleba i tak idąc ulicą owego Miechowa, skubaliśmy palcami smaczne kąski tego specjału, posilając się. „na nową drogę, życia”. Cały szkopuł polegał na tym, że nie wiedzieliśmy, dokąd iść. Droga życia stała się dla nas teraz wielką niewiadomą. Na niesiony pod pachą bochenek chleba zaczęły spadać łzy Jadwigi. I wtedy postawiła mi ona dość zasadnicze pytanie:

– Tadzio, gdzie będziemy mieszkać?

Przyznaję, że pytanie w danych okolicznościach było rzeczowe i uzasadnione i skierowane pod właściwym adresem. Bądź co bądź – głowa rodziny. Wtedy przypomniałem sobie, że w Miechowie mieszka mój młodszy kolega z gimnazjum cieszyńskiego, Józef Zuberek, późniejszy powojenny prokurator powiatowy w Cieszynie, pochodzący z Frysztatu, mąż Marii, córki dra Wacława Olszaka z Karwiny.

Zostaliśmy przyjęci serdecznie. Z mieszkaniem nie było problemu:

– Marysia wyjechała z dziećmi do Rabki – powiedział – mogę wam odstąpić pokój. Gdzie macie rzeczy? Zaraz zorganizujemy transport.

Niedługo ekipa złożona z dwóch magistrów i jednego poety przywiozła samochodem na „nasze” już teraz podwórko cały dobytek. Ten drugi prawnik to człowiek z Frysztatu, przygarnięty przez Zuberka. Ale skąd ten poeta? Po prostu – z Końskiej. To Paweł Kubisz, autor „Przednówka”. Jako człowiek znający pisarskie rzemiosło pracował w firmie Zuberka, tj. w składzie węgla opałowego pod piękną łacińską nazwą „Ignis”, wypisując dowody dostawy i prowadząc kartotekę magazynową. Robił to podobno fachowo, bez błędów ortograficznych. Tworzyła się atmosfera serdeczności i jakiejś szczególnej radości ze spotkania się tak bliskich sobie rozbitków wojennych.

Potem był pobyt w uroczej Rabce, gdzie przekształciłem się z drogowca w montera instalacji elektrycznych. Budowano tam, nad potokiem Poniwiec, duże domy drewniane, w których miały zamieszkać „ausgebombte Kinder”, czyli dzieci z bombardowanych coraz intensywniej miast niemieckich. Wypadki jednak tak się potoczyły, że dzieci te nigdy z tych domów nie skorzystały. Ale nie uprzedzamy faktów.

Potem był pobyt w uroczej Rabce, gdzie przekształciłem się z drogowca w montera instalacji elektrycznych. Budowano tam, nad potokiem Poniwiec, duże domy drewniane, w których miały zamieszkać „ausgebombte Kinder”, czyli dzieci z bombardowanych coraz intensywniej miast niemieckich. Wypadki jednak tak się potoczyły, że dzieci te nigdy z tych domów nie skorzystały. Ale nie uprzedzamy faktów.

Tak się złożyło, że miałem wtedy tylko jedno ubranie, bo drugie zamieniłem na wsi pod Miechowem na pięciogramową złotą obrączkę, przerobioną na dwie na dzień ślubu. Szczęśliwie otrzymałem wiadomość od kolegi Koźdonia z Krakowa, że mam u niego do odebrania ubranie, przesłane – jak się domyślałem – od rodziców. Wybrałem się więc w najbliższą niedzielę pociągami do Krakowa, zabierając żonę. Był to dzień 6 sierpnia 1944 roku, dzień największej „łapanki”, jaką kiedykolwiek Kraków przeżył. Jak się później dowiedziałem, był to również dzień mordowania niewinnych, przypadkowych ludzi w bliskich mi Żywocicach na Zaolziu, gdzie ofiarą gestapo padło ich 36.

ŁAPANKA

Przez Kraków przejechaliśmy spokojnie aż na Prądnik, niczego szczególnego nie zauważywszy. Kolegi nie zastaliśmy. Mieszkanie było głuche. Zbliżała się godzina czternasta, trzeba było wracać. Na przystanku tramwajowym mocno podniecone kobiety wołały:

– Panowie, nie wsiadajcie, w mieście jest łapanka.

Wsiadłem mimo to, wierząc w posiadany „ausweis”, na którym wyraźnie napisano, że pracuję w przedsiębiorstwie „kriegswichtig” i że bez zgody komendanta wojennego miasta Warszawy nie wolno dysponować moją osobą. Przejeżdżając przez rynek zobaczyliśmy po raz pierwszy „budy” – samochody pod plandeką, do których ładowano mężczyzn. Przejechaliśmy rynek, ale na ulicy Starowiślniej tramwaj został zatrzy-

many. Z wielkim hałasem wtargnęli do niego umundurowani ludzie, krzycząc:

– Alle Männer heraus!

Ustawiono nas pod ścianą domu kontrolując, czy nie posiadamy broni. Chciałem wyciągnąć ową zbawczą legitymację, ale mi nie pozwolono. Będę się legitymował na miejscu. Załadowano nas do samochodu i powieziono w kierunku Wieliczki. W tramwaju pozostała zrozpaczona żona. Byliśmy cztery miesiące po ślubie.

Skręciliśmy z głównej szosy w prawo. Jedna brama, druga brama. Na niej napis: „Arbeit macht frei”. Zrozumieliśmy: obóz koncentracyjny w Płaszowie.

Na drugi dzień, w poniedziałek, dowiedzieliśmy się, że w dniu 1 sierpnia, a więc przed tygodniem, w Warszawie wybuchło powstanie. Dokonana przez Niemców łapanka w Krakowie miała na celu ewentualne zapobieżenie powstaniu na tym terenie. Aresztowano ponad 18 tysięcy osób, ale kilkadziesiąt tysięcy uciekło z Krakowa i ukryło się. Życie Krakowa zostało sparaliżowane. Stała się komunikacja, poczta, opustoszały zakłady przemysłowe. W tej sytuacji Niemcy doszli do wniosku, że trzeba zwolnić ludzi potrzebnych do normalnego funkcjonowania miasta.

Już w poniedziałek po południu oficer gestapo, jak się później dowiedziałem, dr Speer, absolwent prawa uniwersytetu poznańskiego, zajeżdżał na plac apelowy samochodem osobowym z zainstalowanym megafonem i odczytywał więźniom nazwiska mężczyzn do zwolnienia. Potem powtarzało się to codziennie, do południa i po południu. Listy były bardzo długie, bo poszukiwano nie tylko tych, co zostali wyłapani, ale i tych, co rozproszyli się po okolicach Krakowa. Z początku zgłaszało się dość dużo wywoływanych, a potem coraz to mniej, bo na listach pozostali już tylko przeważnie ci, których w obozie nie było. Tak przeszło kilka dni. Rozeszła się pogłoska, że ci, o których się nie upominano, będą zatrzymywani w obozach koncentracyjnych.

Był piątek po południu, szósty dzień pobytu w obozie. Należało pomyśleć i zacząć działać. Ktoś podał mi arkusz papieru, a pióra użyczył profesor prawa międzynarodowego UJ w Krakowie, chyba nazwiskiem Górski, którego pchły gryzły na sąsiednim barłogu. Napisałem wniosek „An die Geheime Staatspolizei” umieszczając w lewym górnym rogu nazwę niemieckiej firmy, w której pracowałem. Napisałem, że występuję z wnioskiem o zwolnienie mnie z obozu w imieniu firmy, która nie może tego uczynić, ponieważ nie wie, że w niedzielę wyjechałem do Krakowa i zostałem zatrzymany. A w firmie tej jestem niezbędny, gdyż wykonujemy pilne prace elektroinstalacyjne w budynkach, które mają być niebawem przeznaczone na lazaret dla Wehrmachtu. Tymczasem plany instalacji są u mnie, klucze od magazynu też i robotnicy z pewnością stoją z robotą. Z tym podaniem w rękę stanąłem koło ogrodzenia, wzdłuż którego przechodził z wolna tamten gestapowiec, tu i ówdzie rzucając jakieś słowo. Gdy stanął naprzeciw mnie, odbyła się rozmowa, którą niemal dosłownie przytaczam:

– Panie doktorze, czy firmy mają prawo zwracania się o zwolnienie swoich pracowników?



Oswald Guziur w ostatnich latach życia. Z tego okresu pochodzi wspomnienie „Ucieczka przed śmiercią”.

– Oczywiście, przecież od poniedziałku nic innego nie robimy. Czy pan o tym nie wie?

– Wobec tego pozwoli pan, że w imieniu firmy, w której pracuję, złożę wniosek o zwolnienie mnie z obozu.

Podniósł na mnie zdziwione oczy, ale wziął papier do ręki i uważnie przeczytał. Jednak co papier, to papier – robi swoje.

– Czy to jest prawda, co pan tutaj pisze?

– Tak – odpowiedziałem głosem nie budzącym wątpliwości.

– A czy pan ma na to dowody?

– Oczywiście.

– Przy sobie?

– Tak.

– No to niech pan wyjdzie.

W ciągu niewielu minut kieszenie moje wypełniły się mnóstwem zaadresowanych karteczek do rodzin. Zobowiązałem się tę korespondencję doręczyć. Mijając bramę nie chciałem uwierzyć, że jestem wolny. Prawie biegiem popędziłem do żony kolegi Firli, aby zdążyć przed godziną policyjną. Kąpiel, pranie – pod gorącym żelazkiem zginęły wszystkie pchły. Pozostało tylko ciało pokryte bąblami – jedyna naoczna pamiątka tych sześciu dni.

Wczesnym rankiem udałem się pod Wawel, gdzie mieszkał jedyny nasz wspólny (mój i żony) znajomy w Krakowie. Intuicja mnie nie zawiodła. Jadwiga była tam. Poprzedniego dnia przyjechała z Rabki z listem firmy do gestapo i ledwo zechcieli to gdzieś na portierni odebrać. Potem kupiła bukiet kwiatów, z którymi poszła do kościoła Franciszkanów i tam przed posązką św. Antoniego, niezawodnego patrona rzeczy zagubionych, złożyła je wraz ze swoimi łzami. Było to około godziny piątej po południu. Dokładnie o tej porze mnie, znajdującemu się w obozie w Płaszowie przyszła myśl napisania wniosku o zwolnienie. Czy to tylko przypadkowa zbieżność dwóch różnych poczynąń w tym samym czasie?

POWRÓT NA ZAOLZIE

Mijały ostatnie miesiące wojny. Front wschodni się zbliżał. Robotnicy prosili mnie, abym pojechał do Krakowa, po pieniądze za przepracowany okres

(w Krakowie mieściła się centrala firmy). Po-ciągi już nie kursowały. Szedłem na piechotę (65 km) cały dzień i tego samego dnia 16 stycznia 1945 roku musiałem wieczorem wracać do Rabki, bo Kraków trząsł się od huku artylerii. Ulicą Zakopiańską, w kierunku Borku Fałęckiego, płynął gęsty tłum żołnierzy niemieckich, pomieszany z cywilami, ostatnimi, jacy wcześniej nie zostali ewakuowani. Szedłem wmieszany w ten tłum i przed oczami stawał mi obraz września 1939 roku. Szli teraz pobici, potwornie zmęczeni, nieraz obandażowani, z wymykającym się od czasu do czasu przekleństwem. Na ten dzień czekaliśmy w męce ponad pięć lat. Sprawiedliwość, aczkolwiek nierzeczyliwa, dawała wreszcie o sobie znać.

Za Borkiem cała ta fala rozbitków odpłynęła, skręcając w prawo szosą na Skawinę, a ja szedłem dalej, prosto, drogą na Zakopane, zostawiając za sobą stopniowo milknący zgiełk. Była noc, gwiazdy i cisza przerywana dalekim odgłosem dział. Z wysoko położonego miasteczka Mogilany widać było wianuszek ognia okalający Kraków. Nagle usłyszałem:

– Stój! Kto idzie?

Był to uzbrojony patrol partyzancki, chciwy wiadomości z Krakowa. Ucieszyli się ogromnie.

Późnym rankiem, okropnie zmęczony, lecz niezmiernie szczęśliwy, dotarłem do Rabki, gdzie byli jeszcze Niemcy. Zostali wyparci za kilka dni.

W maju 1945 r., gdy Cieszyń wreszcie został wyzwolony, udałem się z Chorzowa gdzie na jakiś czas osiadłem z żoną Jadwigą, do Suchej Górnej. Wyruszyłem na rowerze, gdyż innej komunikacji nie było. Wracałem ze ściśniętym sercem i obawą, co tam zastań i jak zostaną przyjęty, bo to przecież przeze mnie zdarzyło się tyle nieszczęść w rodzinie. Zastałem dom jak dawniej. Oparłem rower o ścianę i wszedłem. W sionce spotkałem Matkę. Rozwarła ramiona i wyszeptiała:

– Ja ciebie tak kochałam...

Nie powiedziała normalnie, po swojemu: „Jo cię tak miała rada”, ale zwróciła się do mnie językiem jakby odświętnym, jakby przygotowanym na tę uroczystą chwilę. Było w tych słowach zarazem przebaczenie. Okazało się, że najstarsza moja siostra, Olga Mazurkowska, po kilkunastu miesiącach uwięzienia wróciła z aresztu śledczego w Lipsku. Najmłodsza, Zyta, trafiła najpierw do więzienia w Mysłowicach skąd w kwietniu 1941 roku dotarła w transporcie do kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie przebywała do końca wojny poddana eksperymentom pseudomedycznym i przetrzymywana tygodniami w bunkrze. W tej ciasnej celi metr na metr, pozbawionej światła, o głodzie i chłodzie spędziła wiele tygodni. Do domu wróciła w stanie skrajnego wyniszczenia.

Najważniejsze, że przeżyliśmy przez wszystkie te lata nic nie wiedząc o sobie. A przecież obie siostry zostały uwięzione za nieudowodnione podejrzenia o współpracę z polskim ruchem oporu. W drodze do rodzinnego domu porażała mnie myśl, że może siostry nie dożyły końca wojny. A to przecież mój czynny udział w Związku Walki Zbrojnej stał się przyczyną ich uwięzienia. Na szczęście przeżyliśmy. Przeżyliśmy.

Oto bardzo ciekawe pytanie Pana E. T. z Gliwic: „Czy popularna na Śląsku postać *dwiesta* to kolejny staropolski archaizm w stosunku do standardowej formy *dwieście*?”.

Tym razem trzeba mówić o relacji odwrotnej: śląskie *dwiesta* to efekt analogii do brzmień *trzysta*, *czterysta*, obowiązujące natomiast w języku ogólnym *dwieście* jest gramatyczną skamieliną – pozostałością po dawnej liczbie podwójnej (łac. dualis).

Była to kategoria gramatyczna obecna w wielu językach, np. w przywołanej wyżej łacinie, funkcjonująca także w polszczyźnie: wszystko, co występowało w parze, musiało być odmieniane według odrębnego wzoru deklinacyjnego i koniugacyjnego tejże liczby podwójnej. Liczba *dwa*, od której zaczyna się mnogość, była w ten sposób gramatycznie nobilitowana. Ostatecznie liczba podwójna okazała się przeciążeniem systemu gramatycznego i znikła z naszego języka, a określenia występujące w parze zlały się w odmianie z formami liczby mnogiej. W formach najczęściej używanych jednak, a te we wszystkich językach świata zmieniają się najwolniej, dawne brzmienia liczby podwójnej jeszcze spotkać można, choć niewielu rodaków uświadamia sobie ich pierwotną funkcję.

Pozostałościami liczby podwójnej są np. coraz rzadziej już spotykane formy *rękoma* i *oczyma*, prawie całkowicie wyparte przez warianty *rękami* i *oczami* – wyrównane do postaci liczby mnogiej (*trzema*, *dziesięcioma*, *trzydziestoma*) *szafami*, *lampami*, *żonami*, *kobietami*, *dziewczynami* (dawnych dualnych brzmień – kiedyś oczywistych – *nogoma*, *uszyma*, *plecyma* nie słyszy się już w ogóle). Dawnym miejscownikiem liczby podwójnej jest wyrażenie w *ręku*, tyle że nikt już nie powie w *moich obu ręku* (a tak jeszcze pisał Stefan Żeromski zmarły w roku 1925), lecz singularnie w *tym moim ręku* albo w *tej mojej ręce*, a pluralnie – w *tych moich obu rękach*. Bezwariantywny jest mianownik liczby mnogiej *ręce*, który też jest dawną postacią liczby podwójnej (brzmieniem współczesnym byłoby *te ręki* – tak jak *nogi*, *wnęki*, *szczęki* czy *koparki*). Pierwotny dualis mamy też w dopełniaczach używanych w znaczeniu liczby mnogiej *oczcu*, *uszu*.

Ocalała wreszcie liczba podwójna w połączeniu *dwie słowie* przysło-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Dwiesta złotych o pół jednej

wia *mądrej głowie dość dwie słowie* (choć coraz więcej osób usiłuje te frazę „poprawiać” gramatycznie i buduje konstrukcje typu *mądrej głowie dość po słowie*; a i Józef Ignacy Kraszewski w jednej ze swych powieści – w „Wielkim nieznanym” – napisał: „*Mądrej głowie dość na słowie*”). Bo w dawnej polszczyźnie *jedno* było *słowo*, *trzy*, *cztery* – *słowa*, *pięć*, *dziesięć*, *trzysta*, *tysiąc* – *słów*, ale – obligatoryjnie i w zgodzie z paradygmatem liczby podwójnej – *dwie słowie*, tak jak *dwie lecie*, *dwie ciele*, *dwie kola nie*, *dwie wojsce*, *dwie skrzydle*, *dwie niewieście*, *dwie rybie*, *dwie*

kielbasie, *dwie sieki(e)rze*, *dwie strzale*.

Nietrudno się teraz domyślić, że połączenie liczebników *dwa* i *nijakiego twar dotematowego sto* musiało przybrać postać *dwie ście*, potem zrośniętą *dwieście* – formalnie całkowicie przylegającą do wyżej przytoczonej serii *dwie słowie*, *dwie lecie*, *dwie kolanie* itd. Popularne na Śląsku *dwiesta* – powtórzmy – to rezultat analogii do form *trzysta*, *czterysta*.

Dopowiedzmy, wracając do liczebnika *dwieście*, że do XIX wieku używano go także przy rzeczownikach męskoosobowych, np. *dwieście husarów*, *dwieście kopijników*, *dwieście Tatarów*. Dopiero od końca XVIII stulecia wchodzi w użycie dziś obowiązująca forma dawnego dopełniacza, czyli *dwustu*: *dwustu husarów*, *dwustu kopijników*, *dwustu Tatarów*. To *dwustu* – obsługujące też dziś miejscownik (*o dwustu husarach*) – jest kontynuacją prastłowiańskiego *dwoju stu*.

W celowniku kontynuacją stanu prastłowiańskiego było połączenie *dwie ma stoma*, ale pojawiały się również warianty *dwom set*, *dwustoma*, *dwiestom*, *dwiestu*, *dwustu*. I w tym przypadku gramatycznym zwyciężył ostatecznie ten ostatni – *przyglądamy się dwustu husarzom*.

Podobnie było w narzędniku. W średniowieczu funkcjonowała pierwotna forma *dwie ma stoma*, ale obok niej pojawiły się brzmienia *dwie ma sty*, *dwie ma set*, *dwoma set*, *dwustoma*, *dwiestoma*. Wszystkie one też przegrały ostatecznie z wyłączną obecnie formą *dwustu* – *zachwycam się dwustu husarzami*.

Mamy więc dziś *dwieście złotych*, *nie mamy dwustu złotych*, *przyglądamy się dwustu złotym*, *idziemy do sklepu z dwustu złotymi* i *myślimy o dwustu złotych*. Uprościło się więc, i to bardzo, deklinowanie liczebnika *dwieście*!

By zaś dzisiejszy odcinek zakończyć śląskim akcentem, zwróćmy jeszcze uwagę na charakterystyczne funkcjonowanie w gwarach naszego regionu liczebnika *jeden*. Jakże często pełni on funkcję liczebnika porządkowego – choćby w zdaniach typu *spotkamy się o pół jednej*, *przjdź o jednej* – odpowiednikach standardowych konstrukcji *spotkamy się o wpół do pierwszej*, *przjdź o pierwszej*.



Podziel się... Ziemią!

Każdy z nas dzieli dziś Ziemię z blisko siedmioma miliardami ludzi. Ponad miliard głoduje. Drugie tyle cierpi z powodu nadwagi. Dokąd zmierza świat, skoro nasza planeta z kurczącymi się zasobami przyrody, ubywającą bioróżnorodnością nie nadąża za konsumpcyjną pazernością człowieka. Potrafimy się temu przeciwstawić?



Taką refleksją można spuentować trzeci już z kolei Festiwal Kultury Ekologicznej „Zielono mi”, jaki tradycyjnie odbywał się w listopadzie br. w katowickim Kinoteatrze Rialto, pod patronatem Rektora Uniwersytetu Śląskiego.

Dzięki Centrum Studiów nad Człowiekiem i Środowiskiem UŚ oraz twórcom tego festiwalu, dwóm naukowcom tej śląskiej uczelni: prof. Piotrowi Skubale, nauczycielowi, ekologowi i etykowi środowiskowemu z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska oraz dr. Ryszardowi Kulikowi, aktywiście ekologicznemu i psychologowi społecznemu z Wydziału Pedagogiki i Psychologii – Katowice mogły zaoferować śląskiej społeczności, niezwykle filmowo-dyskusyjne spotkanie. Z najbardziej palącymi, ekologicznymi problemami współczesnego świata – w roli głównej.

Na festiwal dotarły znakomite filmy. Niektóre z nich w Polsce można było obejrzeć po raz pierwszy, jak m.in. „Home – S.O.S. Ziemia”. Wspólny projekt reżysera Luca Bessona i fotografa Yanna Arthusa-Bertrada to nie tylko zapierające dech w piersiach pejzaże z głębi australijskiej rafy koralowej, niebezpiecznych lasów Amazonii, bezkresnej pustyni Gobi i industrialnych dzielnic najludniejszego w Chinach – Szanghaju. To przede wszystkim uderzeniowy impuls dla widza, by na wysyłany z każdego miejsca Ziemi dramatyczny sygnał S.O.S. odpowiadał.

S.O.S.

Czy nie jest za późno na ratowanie naszej planety? Do każdego jej zakątka dociera globalne ocieplenie. Wszędzie umierają lasy i kończą się zasoby naturalne, a ilość gatunków roślin i zwierząt zmniejsza się w zastraszającym tempie. Wiele tysięcy razy szybciej niż zaprogramowała to natura.

W ostatniej dekadzie XX wieku polscy ekolodzy zastanawiali się – czy będzie wiek XXI? Niedługo minie pierwsza dekada tego wieku, ale nie ma się z czego cieszyć. Pokazany na festiwalu angielski film dokumentalny z elementami futurystycznymi pt. „Wiek głupoty”, w reżyserii Franny Armstrong jest nazbyt realny.

Film opowiadający o zmaganiach ludzi ze zmianami klimatycznymi przenosi nas w 2055 rok. Roztopione lodowce zalewają świat, słońce wypala żywną glebę, panuje wszechogarniający głód, kolejno zanikają gatunki roślin i zwierząt. Ostatni ludzie budują schron i przechowują w nim, na wzór biblijnej Arki Noego, ocalone okazy roślin, owadów, zwierząt. I pada pytanie – dlaczego nie powstrzymaliśmy zmian klimatycznych, kiedy było to możliwe?

Czy jest to możliwe? Dlaczego powinniśmy troszczyć się o Ziemię? Jesteśmy jej przyjaciółmi? Czy to nasz jedyny dom? Jak wreszcie żyć w świecie nadkonsumpcji?

Festiwal „Zielono mi” przez cały tydzień prowokował do odpowiedzi. Było

ich wiele. Bo globalne zagrożenia, z jakimi mierzą się współczesne pokolenia i będą zmagać kolejne – to już wyzwanie dla ludzkości.

W festiwalowej dyskusji uczestniczyła dr Anna Kalinowska, dyrektor Centrum Badań nad Środowiskiem Przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego, członkini: Polskiej Grupy Roboczej ds. dekady ONZ na rzecz Edukacji dla Zrównoważonego Rozwoju oraz władz Światowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN), autorka popularnych książek z ekologii, adresowanych do młodzieży, m.in. „Ekologia-wybór przyszłości”. Przyjechała do Katowic, by ją wzbogacić i rozgrzać „zielony” temat.

Swoją wykład inauguracyjny rozpoczęła pytaniem: Zielono nam, czy raczej czarno? Co możemy zrobić dla zagrożonego świata? Jak dzielić się Ziemią, by mieć więcej, biorąc mniej?

Mieć więcej...

Natura kształtowała Ziemię przez kilka miliardów lat jako jedną, wielką wspólnotę życia. Z całą jej bioróżnorodnością genów, gatunków roślin i zwierząt, ekosystemów, krajobrazów aż po całość biosfery. Człowiek jest jej niewielką częścią. Istnieje dzięki tej bioróżnorodności od mniej więcej tylko 150, może 200 tysięcy lat. Mimo to, stał się największym zabójcą swojej cywilizacji.

Jest nas coraz więcej. Dziś dzielimy Ziemię z blisko siedmioma miliardami ludzi. (W tej liczbie ponad miliard z nich głoduje, drugie tyle cierpi na nadwagę). Dzielimy ją również z 1,4 milionami znanych nam gatunków i ze znacznie większą ilością tych nierozpoznanych. Z dziesięcioma, może nawet stu milionami różnych form życia, od których zależy nasza egzystencja. I niszczyliśmy to życie przyrody w tempie zastraszającym. Od pięciu tysięcy do 25 tysięcy razy szybciej niż zaprogramowała to sama natura.

Nasza cywilizacja, coraz częściej nazywana cywilizacją śmierci, rozwija się zatem kosztem utraty życia na Ziemi. Przyrodę skazujemy na śmierć planowo. W globalnej i lokalnej skali. Nie ma dla nas znaczenia, że unicestwienie jednego gatunku nie pozostaje bez wpływu na zagładę kolejnych. Przyspieszamy świadomie proces samozniszczenia.

Nie powstrzymują nas coraz bardziej katastrofalne skutki wycinania lasów tropikalnych – płuc Ziemi, dziury ozonowej, zanieczyszczania i „podgrzewania” Ziemi. Dowodów jest coraz więcej. Zarówno w rejonach tropikalnych świata jak i w „malejących” ziemskich górach lodowych. Ostatnio satelity NASA wykryły topnienie lodowców Wschodniej Antarktydy, na obszarze uważanym dotąd za odporny na podwyższanie się

ziemskiej temperatury. Utrata lodu z tej części Antarktydy może mieć gigantyczny wpływ na podniesienie się globalnego poziomu oceanów.

Nadmierne, niebezpieczne wykorzystywanie przestrzeni ekologicznej czyli stopień eksploatacji jej zasobów jest w miarę dobrze przez naukowców zdiagnozowany. Jednym z mierników naszej konsumpcyjnej pazerności czyli stopnia obciążenia środowiska naturalnego w lokalnej i globalnej skali, jest tzw. „ślad”- stopa ekologiczna, jaką postawiliśmy na Ziemi kosztem przyszłych pokoleń.

Miernik pazerności

Składa się na nią obszar łądów i mórz, niezbędny do wytworzenia żywności i wszelkich innych dóbr; wprowadzania do środowiska odpadów oraz budowy infrastruktury. Nasz „ślad” na Ziemi oblicza się w hektarach dla poszczególnych kontynentów, państw, krajów, wreszcie pojedynczych osób. Z tych pomiarów wynika, że w latach 60. ub. wieku ludzkość wykorzystywała 60 proc. zdolności „produkcyjnych” naszego ziemskiego globu. Dziś wykorzystujemy więcej niż biosfera może odtworzyć – ok. 125 procent! Żyjemy więc na ekologiczny kredyt. W 2050 roku tempo korzystania z mocy produkcyjnych biosfery może sięgnąć 220 procent. Jednej Ziemi nie wystarczy, by żyć dalej...

Statystyczny jej mieszkaniec, według miernika stopy ekologicznej, dawno przekroczył bezpieczną pojemność środowiska, wynoszącą 1,8 hektara. Dziś każdy z nas wykorzystuje średnio o pół hektara więcej. Mieszkaniec Bangladeszu znacznie poniżej normy, tylko 0,3 ha. Polak około 4 hektarów, Niemiec – przynajmniej o 2 hektary więcej, ale już Amerykanin korzysta z ponad 10 hektarów, by móc żyć „na całego”. Rekordy konsumpcji biją zamieszkujący Emiraty Arabskie, gdzie na osobę przypada kilkanaście hektarów wykorzystywanej pojemności środowiska.

Ziemią i jej bogactwami dzielimy się niesprawiedliwie. Co będzie za lat trzydzieści, gdy liczba ludności świata sięgnie 9 miliardów? Przeludnienie nie jest najgorsze, lecz to, że „nie nadąża” ona za rosnącymi potrzebami i pazernością człowieka. Jego rozszalałą produkcją, rozbuchaną konsumpcją, „chciejstwem” nieopisanym. Każdy chce mieć wszystkiego więcej, choć większości rzeczy nie potrzebujemy. Odpadami naszej cywilizacji zasypujemy już nie tylko łądy i morza, ale i kosmos.

Brać mniej...

Co robić? Ludzie muszą zmniejszyć swój żarłoczny styl życia.

Amos Oz, pisarz literatury hebrajskiej określa to zjawisko brutalnie: „... władza nad światem spoczywa dziś w rękach groszorobów. Większość moich znajomych, pisze, pracuje ciężiej, niż powinni, po to, żeby zarobić więcej pieniędzy, niż im naprawdę potrzeba, żeby kupować rzeczy, których naprawdę nie potrzebują. Po to, żeby zaimponować ludziom, których tak naprawdę nie lubią... Ludzkość dziś pozbywa się znacznej części swoich terytoriów intelektu i wyobraźni. Jest pod olbrzymim, unifikującym ciśnieniem, które z każdego robi zjadacza gadżetów...”.

Potrafimy brać mniej, co jeszcze musi się stać, byśmy się opamiętali?

Czy rozwój zrównoważony, traktujący na równi działalność ekonomiczną, społeczną oraz ochronę środowiska i gospodarowanie zasobami przyrody w taki sposób, by starczyło ich przyszłym pokoleniom, jest możliwy?

Globalna edukacja na ten temat się rozwija. Zrównoważony rozwój to już nie tylko ochrona środowiska czyli zachowanie kapitału przyrodniczego. To również walka z ubóstwem i głodem, to skierowanie globalnej uwagi na wartości duchowe i kulturowe. To wreszcie etyka i ludzka solidarność; współzależności między pokoleniami; między ludźmi i przyrodą. I wielka odpowiedzialność.

Jeśli chcemy dłuższego życia w zdrowiu, poczuciu bezpieczeństwa, spokoju o przyszłość dzieci, więcej przestrzeni, czasu i dochodów, musimy zachować przyrodniczy kapitał na stałym poziomie. Starać się korzystać z niego z umiarem, by mógł się regenerować. Oszczędzać i inwestować w nowe technologie. Czerpać z usług ekosystemów bez ich niszczenia i to po wielokroć dzięki recyklingowi. Korzystać z przyrody w sposób „niematerialny”, lecz dla duchowej przyjemno-

ści. W sumie zrezygnować z toksycznych zasad cywilizacji, która sieje śmierć.

O tym m.in. był festiwalowy film „Zanim przeklną nas dzieci”. Tylko w Europie co roku umiera 100 tysięcy dzieci z powodu chorób, wywołanych zatruciem środowiska. Coraz młodsze dzieci chorują na raka. Jedną z przyczyn jest niezdrowa, by nie powiedzieć „sztuczna” żywność i jej nadkonsumpcja.

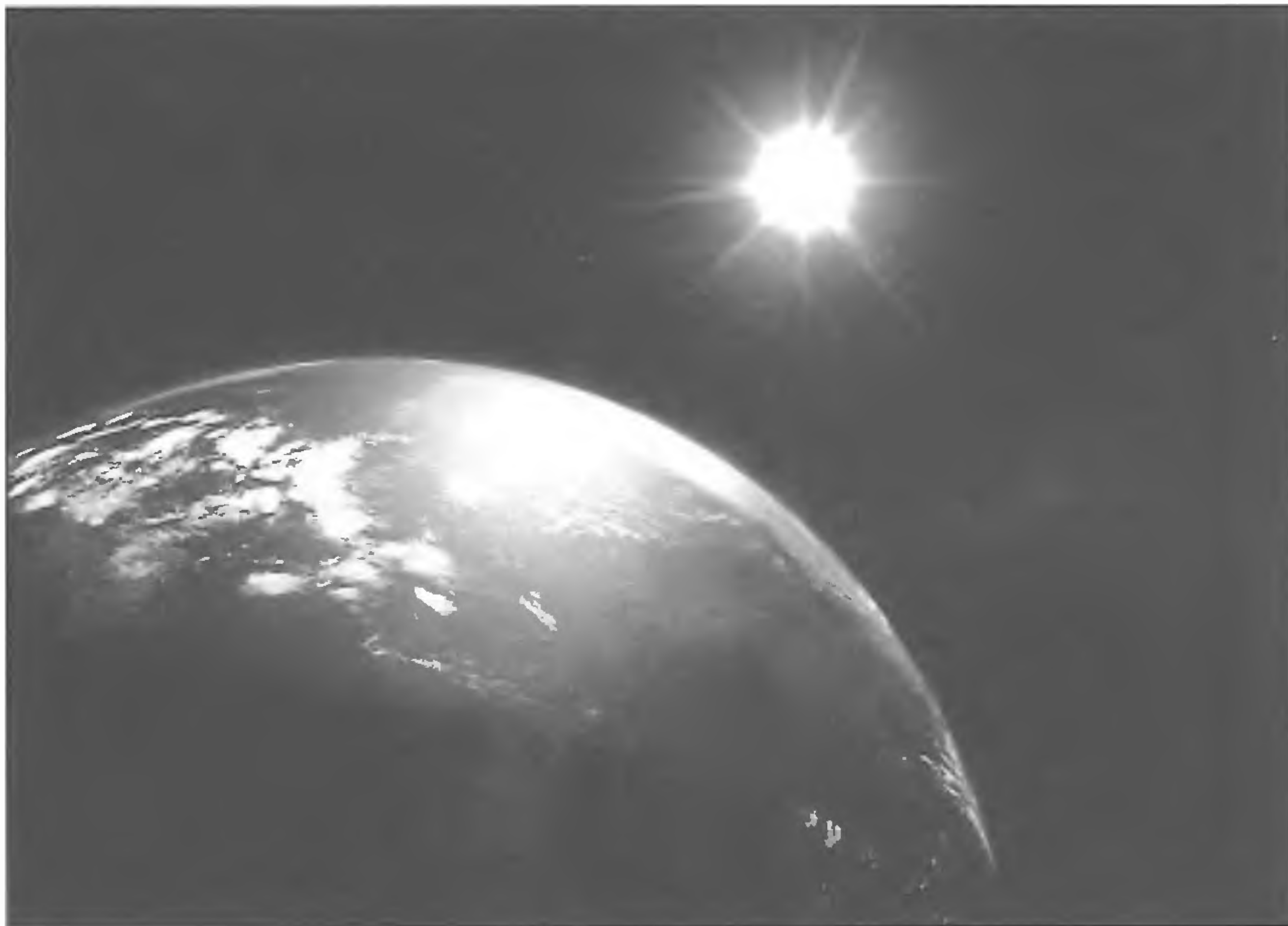
Czy tak trudno zmienić sposób odżywiania się i styl życia? Chyba nie mamy innego wyjścia. Na całym świecie przybywa zwolenników (także wśród osób publicznych) nowego, bardziej ekologicznego modelu życia.

Do tego nieformalnego ruchu przyłączyć się może każdy na swój sposób. Na światowy i nasz rodzimy rynek wkracza z coraz większym powodzeniem moda vintage na przedmioty i ubrania z tzw. „drugiej ręki”. Tęsknota do smaków dzieciństwa prowokuje powrót sadowników do produkcji rodzimych odmian owoców. W wielu szkołach modne staje się oferowanie w sklepikach zdrowej żywności zamiast coca-coli i chipsów. Coraz chętniej na wypoczynek wybieramy miejsca dzikiej przyrody, niezatłoczone niezabudowane. Takie, które leczą i duszę i ciało. W ten sposób, prawie bezwiednie, oszczędzamy pieniądze i czas, bawimy się, chronimy różnorodność biologiczną, poprawiamy kondycję zdrowotną, zwalniamy tempo życia i zaczynamy je naprawdę smakować.

Nie jest to wymysł XXI wieku. Ludzie od zawsze obserwowali, nasłuchiwali i dostosowywali się do powolnego rytmu natury. Od przyrody uczyli się mądrości. Lepiej cenili życie.

Czy nadchodzący 2010 rok, ogłoszony przez ONZ Światowym Rokiem Bioróżnorodności Biologicznej, da nam impuls do refleksji: jak mieć więcej, biorąc mniej?

JOLANTA KARMAŃSKA



Kolumny dofinansowane ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Odmienne środowiska i miejsca pracy, różne obszary zainteresowań, uzupełnienie inne cele – ze względu na te różnice naukowcy i artyści nieczęsto łączą wysiłki we wspólnym działaniu. Mimo to znalazła się grupa ludzi, którzy postanowili przełamać istniejący porządek i powołać do życia nowatorski projekt artystyczny spod znaku syntezy pozornie odległych dziedzin ludzkiej działalności. Powstała z tej idei wystawa *e-MobiLArt* – to eksperymentalny projekt pojednania nauki i sztuki. Pomysł skupiony wokół procesu tworzenia interaktywnych instalacji przy wykorzystaniu technik komputerowych, sieci komunikacyjnych oraz technologii medialnych, a w oparciu o artystyczne wizje i naukowe badania. Tytuł wystawy to skrót od *European Mobile Lab for Interactive Media Artists*. Międzynarodowy zakres projektu pozwolił na kooperację twórców z różnych stron świata, m.in. z Grecji, Austrii, Hiszpanii, Brazylii i Stanów Zjednoczonych, co zaowocowało interesującym zróżnicowaniem estetyki, form i treści prezentowanych prac. Wystawę w katowickim Rondzie Sztuki tworzyli artyści tacy, jak np. Anna Dumitriu, Pia Tikka, Antti Tenetz, Duke Albada czy John Holder.

Głównym celem projektu jest poszukiwanie związków między nauką, technologią i nowoczesnymi mediami, a sztuką. Najpełniej obrazuje to instalacja *Kryolab* łącząca rzeźbę lodową, projekcję video, Bioart i Sztukę Dźwięku. Pomocy przy jej tworzeniu udzielili artystom m.in. John Moore, profesor Uniwersytetu w Lapland specjalizujący się w zmianach klimatu oraz dr Minna Männistö, członek grupy badawczej Arctic Microbiology w Fińskim Instytucie Leśnictwa METLZA. W wydzielonej, na podobieństwo pokoju, przestrzeni zaaranżowano laboratorium naukowców badających arktyczny ekosystem. W środku goście odnaleźli odtworzone stanowisko badawcze – biurko zasypane próbkami mikroskopowymi i fiolkami z zamrożonymi w bryłkach lodu próbkami flory bakteryjnej, maseczki i rękawiczki, a nawet dziennik badań. Wszystko jakby niedbale porzucone i czekające na powrót badaczy. Obok, swojska domowa lodówka opatrzona nabazgranymi przypomnieniami, a w niej wygłaskana przez gości bryła lodu chłodząca próbki. Na ścianie projekcja video przedstawiająca widok bakterii „okiem mikroskopu”, zaciekle kruszących lód badaczy, panoramę arktycznego krajobrazu. Wszystkiemu towarzyszą dźwięki – niepokojące, tajemnicze w swej nie-

Pojednanie nauki i sztuki

odgadnionej naturze i niepewnym pochodzeniu, przywodzące na myśl mistyczne głosy Ziemi.

Dźwięki stanowią istotę kolejnej pozycji – *We love the fish*. Praca ta jest zapisem nieprzewidzianych trajektorii i śladów dźwiękowych, uchwyconych i nagrywanych w różnych częściach Galerii, a następnie odtwarzanych przez centralny głośnik. „Opóźnione sprzężenie zwrotne skumulowanych dźwięków powoduje, że ich siła stopniowo rośnie i zostaje zniekształcona w wyniku nakładania się na siebie poszczególnych warstw. Każde kolejne nasycenie systemu przez zwiedzających sprawia, że rozpoznawalne fragmenty poprzednich nagrań np. słowa, słyszalne są już tylko w tle. Pod koniec dnia nagranie jest źródłem odtwarzającym dźwiękową narrację, tropiącą odwiedzających” (to opis działania instalacji-systemu). Idea wystawy została w tym projekcie w pełni zrealizowana – elektroniczne urządzenia rejestrujące, głośniki i syntezyatory stanowią tutaj tworzydła Sztuki Dźwięku.

Podobne relacje łączą elementy budujące interaktywną, medialną rzeźbę *Linie dźwięku*. Jej nazwa przekłada się dosłownie na pomysł i działanie – na ekranie wyświetlają się poziomo ułożone „struny” połączone z czujnikiem dotykowym, uruchamiającym elementy tekstowe i dźwiękowe. Po naciśnięciu pojawiają się tytułowane grupy dźwięków, takie, jak np. „making” (odgłosy wiercenia, kucia i tłuczenia), „city wakes” (kroki, rozmowy, szum ulicy, klaksony samochodów) czy „creaker” (skrzypiące drzwi, zgrzytanie).

Istotą pracy *An Observatio* stanowi natomiast obraz – „instalacja używa interaktywnej technologii filmowej oraz wykorzystuje techniki kinematograficzne i jest oparta na myśli, że my/zwierzęta możemy wzajemnie się obserwować – nie tracąc swojego punktu widzenia” (opis twórców). Na jednej ścianie umieszczono ekran, na którym odtwarzano nagrania dzikich zwierząt w ich naturalnym środowisku, na przeciwległej natomiast odwiedzający mogli obser-

wować obraz samych siebie dzięki połączonemu systemowi kamer i rzutników. Pierwszy obraz stanowił nasze spojrzenie na zwierzęta, drugi odwrotnie – spojrzenie zwierząt na ludzi. Oba punkty widzenia zostały poparte odpowiednią formą optyczną – w oczach zwierząt świat jawi się jako czarno-biały, czasem lekko zniekształcony.

Hipnotyzujący efekt gry światła i muzyki w kolejnej interesującej instalacji – *Moments* – nawiązuje do tradycji wróżenia ze szklanej kuli czy praktyk mistycznych obecnych w kulturach, w których dąży się do wywołania wizji, natchnienia czy objawienia. Wydzielona przestrzeń, zamknięta z trzech stron czarnymi ścianami i pogrążona w ciemności, kryje stojący pośrodku postument z czarą wypełnioną migotliwymi błyskami. Dno podświetlonej od spodu szklanej czary ozdobione jest wzorami i zalane warstewką wody. Woda, poruszona ręką odwiedzającego, zniekształca wzory i nakłada na nie drobne fale i marszczenia – taki obraz w powiększeniu odbija się na ciemnym suficie. Ponadto, dzięki wbudowanej kamerze, gość staje się również obserwatorem samego siebie – swoją twarz widzi w „odmętach” tego „magicznego źródła”. Całość ma wprowadzić odbiorcę w moment kontemplacji.

Twórcy wystawy pokusili się o stwierdzenie, że wytwory ludzkiej wynalazczości zawłaszczają czasem pewne cechy charakterystyczne dla swoich twórców. Obrazuje to performatywna instalacja *On Track* składająca się z podwieszonego pod sufitem mechanizmu napędzającego robota-mopa, czterech samodzielnych robotów-szczotek oraz beczek wypełnionych kleistymi cieczami. „Scenariusz przedstawia daremne wysiłki robotów, które najwyraźniej z zamiarem posprzątania, rozlewają, przerywają i wchodzą sobie w drogę, tworząc jeszcze bardziej śliski bałagan według zawilej choreografii. Wynikający z tego nieład i dziwna logika naśladują ludzkie poczynania i ich nieodłączną zawodność” (opis działania).

W ten sposób udowodniono nie tylko, że nowoczesne technologie, media i komputery mogą współtworzyć sztukę, ale także i to, że taka sztuka może wiele powiedzieć o nas samych. Między człowiekiem i jego wytworami-zabawkami tworzy się bowiem sieć wzajemnych powiązań i swego rodzaju „relacji”. W procesie tym synteza nauki i sztuki wydaje się być jedynie kwestią czasu...

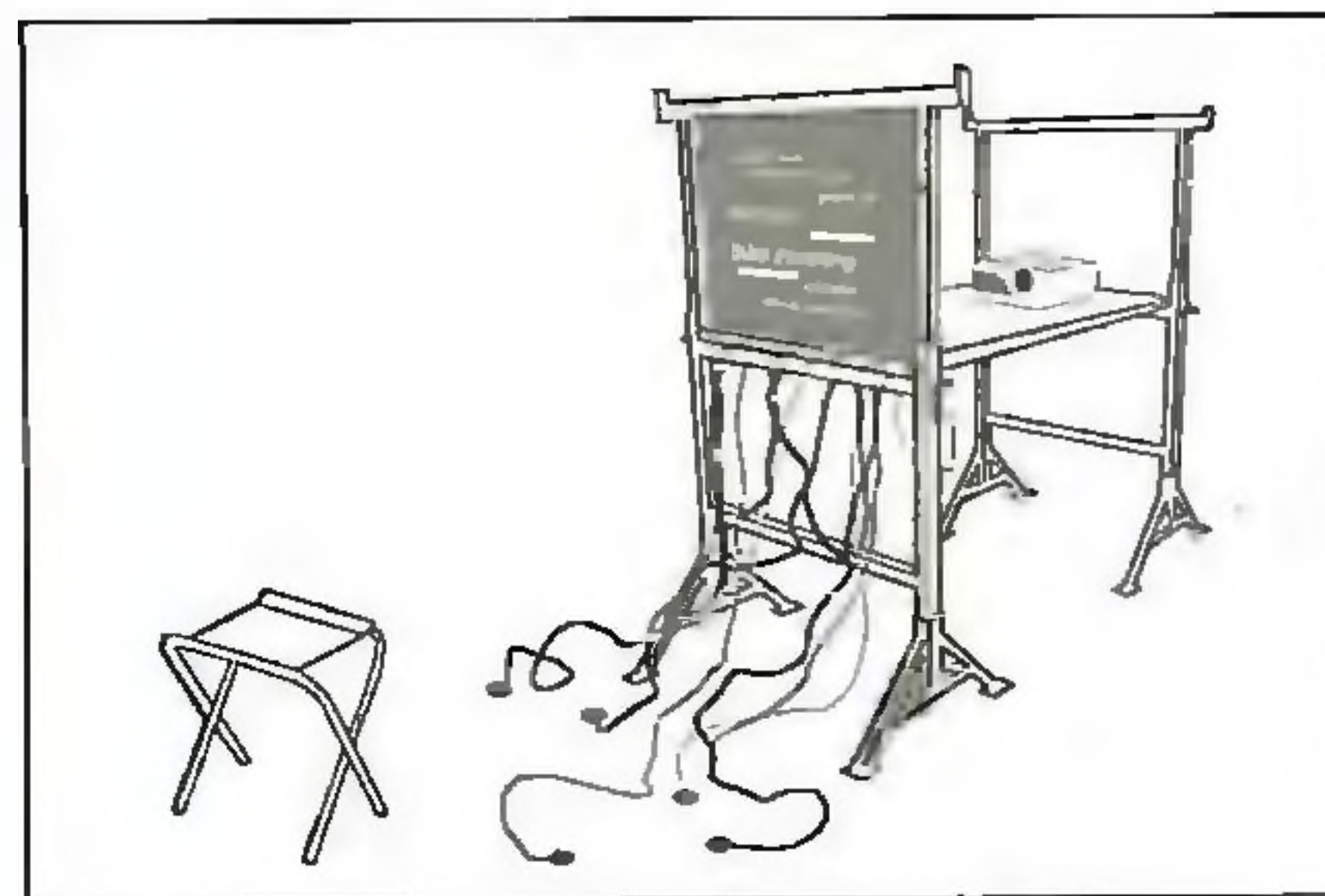
EWA M. WALEWSKA



Projekt „Kryolab 2”



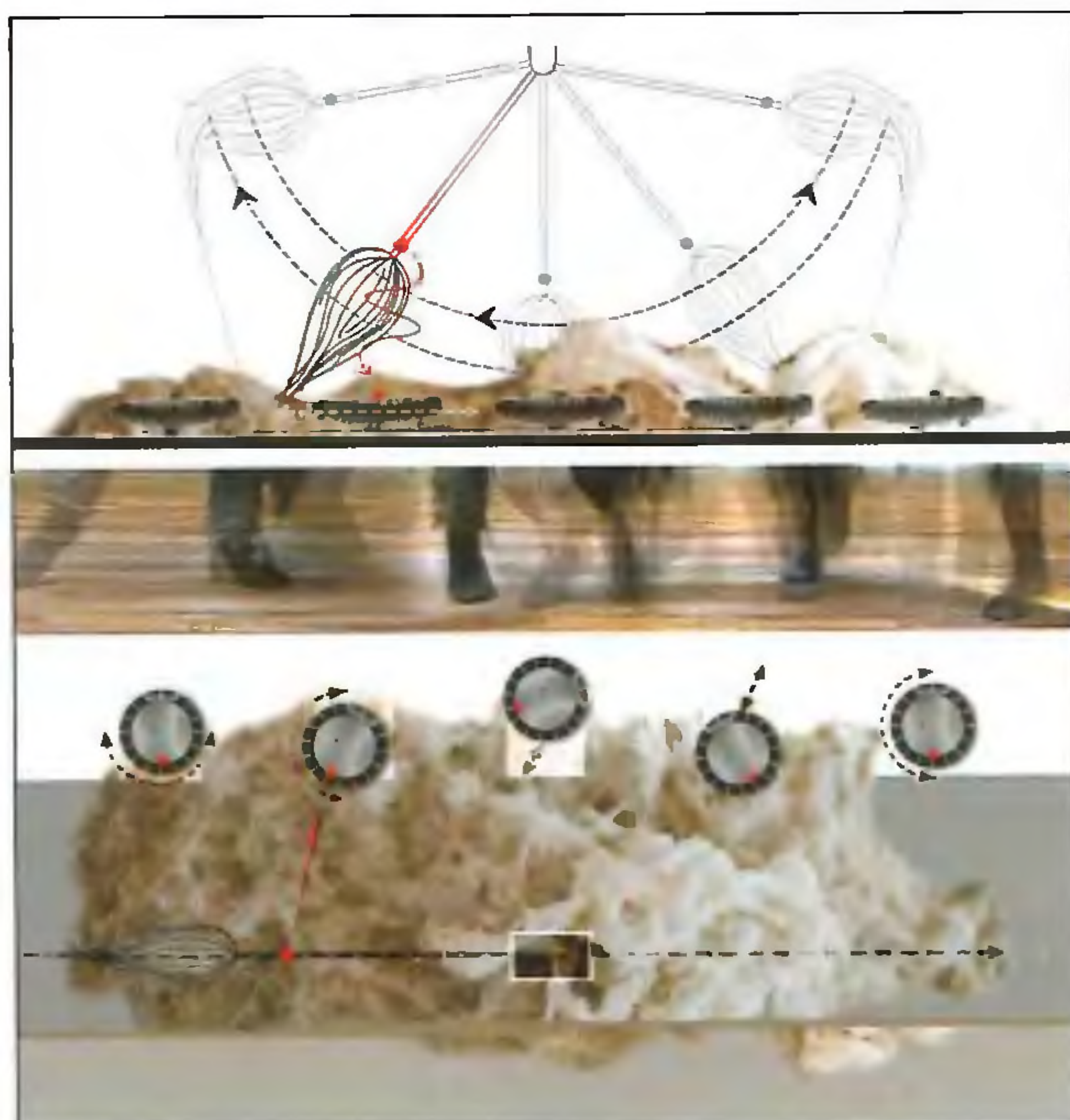
Projekt „Kryolab 3”



Projekt instal „Linie dźwięku”



Projekt „Kryolab”



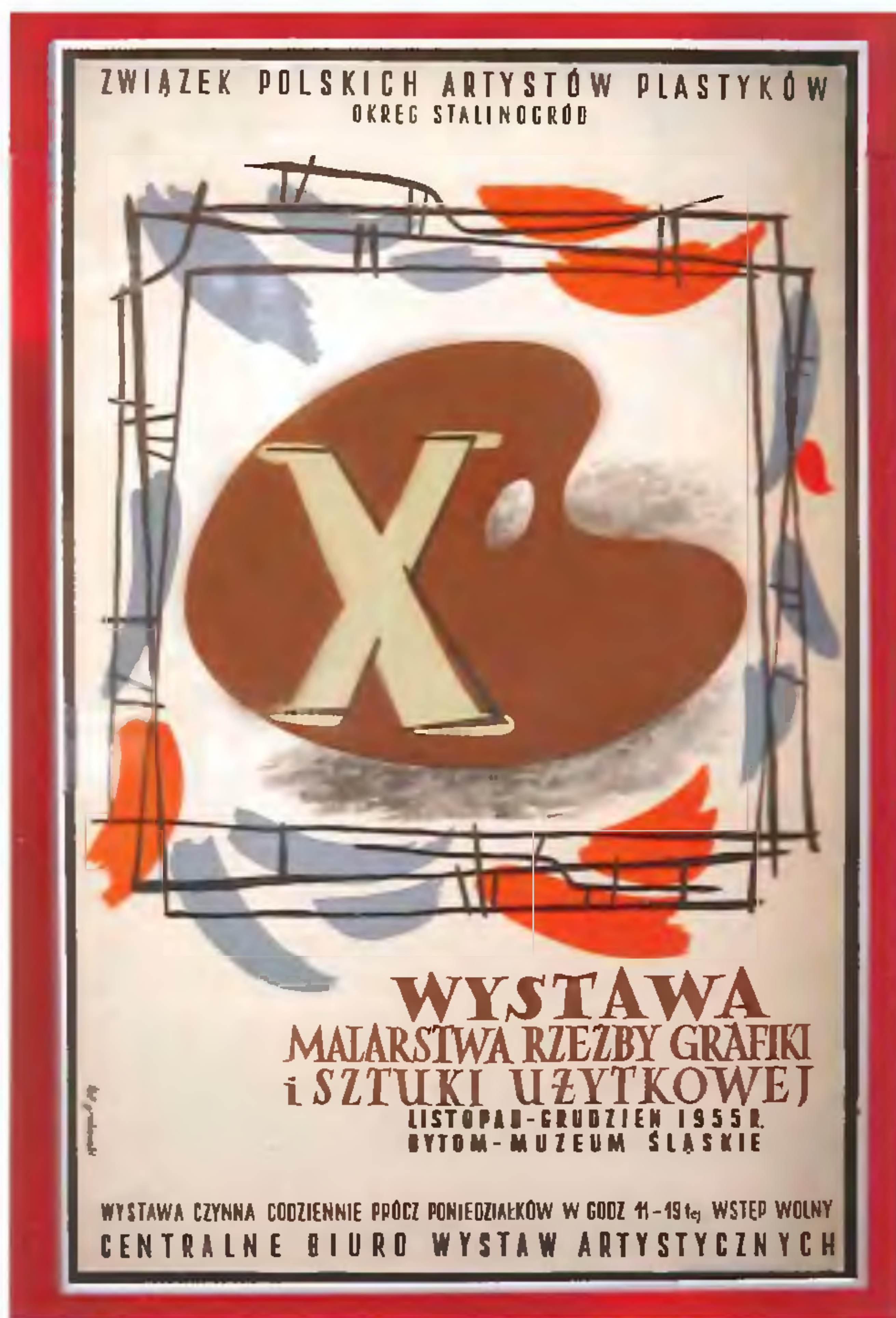
Projekt instal „Na tropie”



Projekt „Kryolab 4”



Projekt „Na tropie”



Tadeusz Grabowski
plakaty

Z profesorem TADEUSZEM GRABOWSKIM
rozmawia WIESŁAWA KONOPELSKA

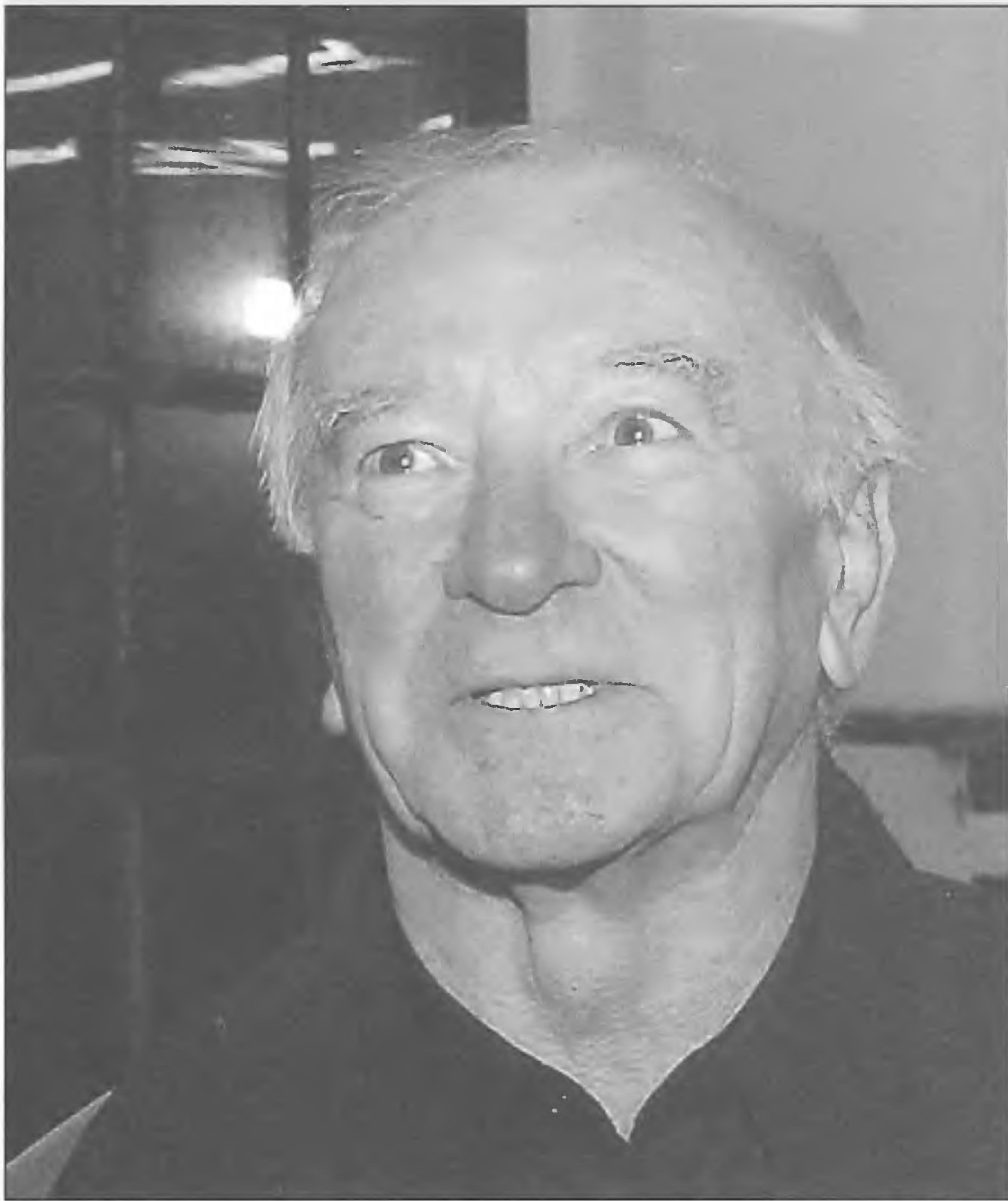


Foto. Zbigniew Sawicz

„Przepisywałem partytury Fitelbergowi...”

– Jaki był pana lwowski dom rodzinny?

– To był dom na przedmieściu Lwowa, na Lewandówce, wybudowany przez mojego ojca. Choć sam był wojskowym, w naszym domu stała fisharmonia. Lubił na niej grać... Tę fisharmonię przywieźliśmy tutaj, na Śląsk, do Zabrza. Później ojciec przekazał ją do jednego z kościołów.

– Czyli, że zamiłowanie do muzyki i gry na instrumentach odziedziczył pan po ojcu.

– Tak się szczęśliwie złożyło, że mój ojciec, kiedy mieszkaliśmy we Lwowie, jak tylko poszedłem do szkoły, od razu zapisał mnie do konserwatorium na naukę gry

na skrzypcach. Kilka lat później, po przyjeździe do Zabrza, tak się złożyło, że w szkole, do której uczęszczałem, lekcje muzyki prowadził nauczyciel, który kończył konserwatorium w Katowicach, a w Zabrze założył szkolny zespół orkiestry symfonicznej. No i nagrałem w niej. Potrafiłem również grać na tzw. instrumentach szarpanych, czyli gitarze, mandolinie, na banjo – przydawała się ta umiejętność na szkolnych zabawach. Nie tylko muzykowałem w orkiestrze, ale też śpiewałem w założonym w Zabrze szkolnym chórze. Na akademiach śpiewaliśmy piosenki polityczne, a w kościołach kolędy.

– Muzyka nie była jedynym, jak się niebawem okazało, obszarem pana zainteresowań artystycznych.

– Oprócz muzyki bawiłem się rysowaniem i malowaniem. W pewnym momencie pomyślałem, że właściwie powinienem poważniej się tym zająć. Tak więc wiosną 1948 roku pojechałem do Wrocławia, bo wiedziałem że tam jest Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Podczas rozmowy wstępnej zapytano mnie gdzie mieszkam, tak dowiedziałem się, że w Katowicach jest oddział wrocławskiej uczelni i nie ma powodu, żebym studiował we Wrocławiu.

– Skąd wziął się pomysł studiów we Wrocławiu?

– Dlatego, że moi koledzy tam pojechali, a poza tym miałem tam również rodzinę – część po opuszczeniu Lwowa pojechała do Bytomia, do Zabrza a część do Wrocławia.

– Rodzice nie chcieli panu wyperswadować, że artysta to nie zawód, może prawnik?

– Oczywiście. Pytali, z czego będę żyć w przyszłości, że jako artysta nie zarobię na własne utrzymanie. Doradzali Politechnikę w Gliwicach. Ale mnie bardziej fascynowało rysowanie.

– U kogo zdawał pan egzamin w Katowicach?

– U profesora Raka!

– Wybrał pan Wydział Grafiki Propagandowej! Czy to miało jakieś znaczenie?

– Żadnego. Chciałem po prostu rysować i projektować.

– Jaka to była wtedy uczelnia?

– Był tu profesor Rak, byli Pomorski i Dutkiewicz, z Krakowa przyjeżdżał Górecki z Krakowa, Dołżycki z Wrocławia. A przede wszystkich był Mroszczak.

To była nieduża uczelnia, ale atmosfera w niej była przecudowna. W tym czasie mieliśmy budynek przy ulicy Stawowej ...

– Ten, w którym mieści się szkoła podstawowa...

– Tak, uczelnia wynajmowała dwa ostatnie piętra. Wcześniej przy obecnym placu Szewczyka też były pracownie malarskie. Potem otrzymaliśmy budynek przy ulicy Kościuszki – zresztą do dzisiaj, kiedy przejeżdżam tędy do Wyższej Szkoły Technicznej, gdzie teraz pracuję, to zawsze wspominam czas i okno, przy którym stała moja sztaluga, a ja malowałem pod okiem profesora Pomorskiego.

– Jakimi byli ludźmi?

– Przede wszystkim była fenomenalna atmosfera. Mam kontakt z dzisiejszymi uczelniami, to zupełnie inne szkoły. W tym pierwszym okresie przede wszystkim nie było żadnych list obecności – nikt z pedagogów nie sprawdzał czy ktoś przychodzi na zajęcia, po prostu się pracowało. Wszyscy chcieli tam być, pracować, stać przy sztaludze. Chętnie się przyjeżdżało. Ja przecież codziennie jeździłem z Zabrza. Do tego wszystkiego był zespół kolegów sprzyjających tej atmosferze.

– Jak narodziło się u pana profesora zainteresowanie projektowaniem plakatów?

– A dzięki temu, że projektowanie graficzne prowadził Mroszczak – początkowo to były zagadnienia związane z drobną grafiką użytkową, ilustracje, okładki, a potem przeszedł do plakatu.

– Czy to właśnie Mroszczak miał największy wpływ na pana?

– Tak. Mroszczak projektował różnego rodzaju zamówienia na ilustracje. Często mnie i Waldemara Świerzego zapraszał do domu, żebyśmy mu wykończyli prace, które on naskicował. Mieliśmy więc bezpośredni kontakt nie tylko z profesorem, ale z konkretną

pracą, konkretnym zamówieniem. To było cudowne.

– Pracowaliście przy ulicy Dyrekcyjnej, gdzie mieściła się pracownia fotograficzna.

– Między innymi przy ulicy Dyrekcyjnej, gdzie mieściły się pracownie, także pracownia fotograficzna, którą prowadziła żona Mroszczaka. Żadnych specjalnych stołów... Później dostaliśmy prasę, która zresztą stoi na akademii do dzisiaj.

– Nigdy nie wróciła myśl o studiowaniu na akademii muzycznej?

– Pewnie, że zastanawiałem się czy dobrze zrobiłem, że nie poszedłem do szkoły muzycznej, ale przecież cały czas grałem, do dzisiaj.

– Czy kontakt z muzyką, miał jakiś wpływ na Pana sposób myślenia o plakacie? W dodatku ma pan profesor w swoim dorobku wiele afiszy ze słynnym kluczem wiolinowym!

– Oczywiście, że miało nie tylko wymiar abstrakcyjny, ale też bardzo konkretny. Będąc studentem, dzięki kontaktom ze środowiskiem muzycznym, z radiem katowickim, poznałem Grzegorza Fitelberga, który wiedząc, że studiuję grafikę, wykorzystał moje zdolności i poprosił mnie o przepisywanie swoich partytur!

– Kiedy Mroszczak przeniósł się do Warszawy, pracownię przejął Górecki.

– Dalej przychodziliśmy na Dyrekcyjną... Pamiętam ostatni dyplom był przy ulicy Kościuszki, a później dostaliśmy budynek po szkole partyjnej na Raciborskiej. Zaraz po dyplomie zostałem asystentem Góreckiego. Ale znacznie wcześniej Dołżycki namówił mnie, żebym poszedł do Liceum Plastycznego uczyć projektowania i liternictwa. Tak też się stało. Będąc jeszcze studentem już zacząłem „belfrować”. To niesłychanie mnie wciągnęło. Miałem do czynienia z ludźmi niewiele młodszymi ode mnie. To był piękny okres. Ci uczniowie, którzy robili dyplom u mnie w pracowni w liceum, zostawali studentami Akademii. Dalej byli moimi studentami. W ubiegłym roku zostałem zaproszony na 50-lecie matury!

W czasach, kiedy byłem asystentem Góreckiego, powstało Wydawnictwo Artystyczno Graficzne – znajdowało się w miejscu, w którym w tej chwili rozmawiamy (przy Dworcowej 13, w pomieszczeniu redakcji „Śląska” – przyp. Autorki). W 1962 r. zrezygnował z prowadzenia Wydawnictwa i prosił żebym się tym zajął. Tak więc zostałem kierownikiem artystycznym na całe 18 lat. Godziłem pracę artystyczną z administracyjną, z zamówieniami. Ale to było świetne doświadczenie. Powstawały tu plakaty nie tylko polityczne. Przychodziło mnóstwo zamówień z górnictwa, Teatru Śląskiego i innych instytucji kultury, z organizacji sportowych. Nawiasem mówiąc, tych politycznych było najmniej.

– Jaki był pierwszy, znaczący dla pana plakat?

– To ten, który pokazałem na wystawie w Rondzie Sztuki – ze słynnym „Okręgiem Stalinogrodzkim” na wystawę katowickiego Związku Plastyków. Napisał o nim Ligocki – wtedy był pedagogiem na naszej uczelni.

– Pojawił się też pomysł organizowania konkursu na plakat.

– Kiedy zmarł Górecki przejąłem po nim pracownię. Organizowałem konkursy na plakat. Miałem bezpośrednie kontakty z twórcami, w związku z tym wszystko sprawnie funkcjonowało. I tak przed ponad 40. laty powstało pierwsze Biennale Plakatu.

– Pamięta je pan?

– W związku z tym, że w Katowicach wydawano bardzo dużo plakatów – to był drugi

Dwa lata temu, w 2007 r. z okazji 40. edycji Biennale Plakatu Polskiego, prof. Tadeusz Bogusławski, rektor Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, tak oto pisał do prof. Tadeusza Grabowskiego: „(...) Minęło już 40 lat od czasu, kiedy to ekipa znakomitych plakatologów pod kierunkiem Pana Profesora odkryła na Górnym Śląsku bogate złoża najcenniejszego polskiego surowca kulturalnego – plakatu. Odtąd Katowice stały się centrum polskiego przemysłu wydobywczego i poszukiwań nowych pól oraz form eksploatacji. Dzięki Panu Profesorowi od kilkudziesięciu już lat, w cyklu dwuletnim, wydobywa się tam na powierzchnię najcenniejsze egzemplarze tego surowca, niektóre podobno porównywalne z najszlachetniejszymi odmianami węgla.

Życzę zatem Panu Profesorowi i sobie, oby te złoża okazały się niewyczerpalną kopalnią pomysłów, zaś urobek cieszył oko, serce i umysł. Niech żyje nam graficzny stan!”

ośrodek w Polsce, po Warszawie, zaczęliśmy się zastanawiać co z nimi robić, gdzie je pokazywać. Tu, w tej kamienicy, mieściła się niewielka salka Biura Wystaw Artystycznych. Z Zarządem Okręgu doszliśmy do wniosku, że zrobimy Biennale Plakatu: polskiego w nieparzystym roku, a w parzystym – międzynarodowe. Pojechaliśmy do Warszawy, do Mroszczaka i do Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków z propozycją koncepcji dwóch wystaw. Mroszczak powiedział: zgoda, róbcie wystawę ogólnopolską, ale międzynarodową zrobimy w Warszawie, bo mamy tu więcej miejsca i znajomości. Właśnie z powo-

Prof. nadzw. TADEUSZ GRABOWSKI

– rocznik 1929. Urodzony we Lwowie, absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom uzyskał w 1954 roku. Członek ZPAP (od 1954 r.), nauczyciel w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach. Praca dydaktyczna w ASP Katowicach 1956-1999. W latach 1962-1978 – kierownik artystyczny Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego w Katowicach. Od 1965 r. organizator Biennale Plakatu Polskiego i członek Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie. 1968-1981 kierownik Pracowni Projektowania Graficznego i na Wydziale Grafiki ASP w Katowicach. W latach 1976 – 1982 oraz 1990-1993 prorektor ASP Krakowie ds. Filii w Katowicach. Członek Towarzystwa Projektantów Graficznych w Warszawie. Od 1995 r. przewodniczący jury Międzynarodowego Konkursu Graficznego na Exlibris w Gliwicach i przewodniczący jury Międzynarodowego Biennale Plakatu Społeczno-Politycznego w Oświęcimiu (od 2008 r.). 1996-2002 – członek Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego przy Ministrze Kultury i Sztuki. Pracą dydaktyczną związany z Instytutem Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie i w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach.

Laureat kilkudziesięciu nagród i wyróżnień w konkursach graficznych oraz przyznanych przez Ministra Kultury i Sztuki, Ministra Edukacji Narodowej, Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach. W 2006 r. otrzymał Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

du braku dużej sali pierwsza i druga wystawa odbyły się w holu Urzędu Wojewódzkiego. Pomysłem Biennale byli wszyscy zachwyceni. To był 1965 rok. Potem dopiero była Warszawa, Brno, Paryż, Sofia, Tajwan... Od nas wszystko się zaczęło.

– Biennale Plakatu było więc odpowiedzią na ogromną ilość projektowanych i wydawanych plakatów. Dzisiaj jesteśmy w zupełnie innym punkcie, chociaż Biennale ma za sobą dwadzieścia jeden edycji.

– W tej chwili przygotowuję XXI Biennale – czyli mijają 42 lata od pierwszego Biennale. We wcześniejszych edycjach autorzy mogli przysyłać po 5 plakatów. To był nieprawdopodobny problem. W tym roku po raz pierwszy ograniczyliśmy ilość przyjmowanych plakatów do trzech. Mimo to mamy prawie 500 plakatów. Po dokonaniu selekcji do oceny jurorów pozostały 204 plakaty.

– Biennale są również odzwierciedleniem sytuacji ostatnich lat. Plakat znajduje się w zupełnie innej sytuacji, niż kilkanaście lat temu.

– Jestem zdumiony ale ucieszony – po raz pierwszy zobaczyłem na katowickim „Zenicie” plakat do sztuki „Badenheim”, której premiera będzie miała miejsce w Teatrze Śląskim. To ewenement po latach! Dawniej robiło się plakat do każdej sztuki – to było ambicją instytucji kultury, a dzisiaj plakat – jeśli jest – wisi tylko i wyłącznie wewnątrz teatru – i to wszystko. Od dłuższego czasu plakat jest wypierany przez inne formy komunikacji wizualnej, przede wszystkim przez ogromnych rozmiarów bilbordy. Nieprawdopodobnych rozmiarów – to jest dla mnie stan zagrożenia estetycznego, bo wjeżdżając do miasta widzi się olbrzymie budynki zasłonięte reklamami. Na przykład Hotel Katowice czy budynek dawnego Polmagu w samym centrum Katowic. Całe budynki są oklejane. Dziwię się architektom, że nie reagują na tę sytuację. Tak być nie powinno. Na szczęście zauważyłem, że przestały wisieć na teatrze reklamy banków, również z Muzeum Śląskiego zniknęły reklamy piwa.

– Czy pojawienie się bilbordy w miejsce plakatu świadczy o zmianie sposobu myślenia, o komercyjnym podejściu do kultury, nawet tej wysokiej?

– To zaczyna być przykre. Z jednej strony zachwycam się tym, że na Biennale przysyłają plakaty młodzi ludzie, bo plakaty powstają we wszystkich środowiskach, na wszystkich uczelniach, natomiast niewiele lub prawie wcale się go nie wydaje, stał się sztuką dla sztuki, dla kolekcjonerów. Zamienił ulice i słup ogłoszeniowy na salony wystawowe, muzealne, a jednak ciągle jest żywy i nowoczesny. To przykre, że bilbordy wypierają plakat z ulicy, która była dla niego salonem wystawowym.

– Nie świadczy to jednak o braku zainteresowania artystów plakatem. To nie jest niepotrzebna forma komunikacji wizualnej.

– Bilbordy technicznie są znakomite. Ale nie robią ich artyści, tylko agencje reklamowe – wystarczy duża łatwość operowania programem graficznym i nic ponad to.

– Twórcy sami drukują swoje plakaty, powiększają je i ... wysyłają na konkursy.

– W regulaminie Biennale zastrzeżliśmy wielkość prac. Od początku na Biennale Plakatu Polskiego przyjmowaliśmy też projekty. Byliśmy pod tym względem wyjątkiem. Po przysyłanych pracach widać, że ludzie żyją w innym okresie, inaczej myślą, ale też syntetycznie, lapidarnie. Plakaty nadesłane na tegoroczną edycję nie są rozmalowane, rozbudowane, nie dla popisania się techniką ale niepowtarzalnym, skrótowym sposobem myślenia. To będzie bardzo dobra wystawa!

Instytut Mikołowski jest miejscem żywym, a nie muzealną skamieliną – przyznaje Maciej Melecki, jego dyrektor. Instytut, któremu patronuje Rafał Wojaczek, działa od 10 lat. Jubileuszowe spotkanie twórców z nim związanych odbyło się 8 i 9 października.

– Instytut Mikołowski działa od 10 lat. Jakie były jego początki?

– Początki były trudne, chociażby z uwagi, że Instytut został pomyślany tak, aby znajdował się w dawnym, rodzinnym mieszkaniu Rafała Wojaczka. Stąd pojawiły się pewne kontrowersje. Był to czas, w którym Wojaczek dla mikołowian nie był jeszcze osobą rozpoznaną, kojarzono go wyłącznie w kontekście biograficznym i często rozpowszechnianych plotek, które wokół niego narosły. Natomiast zupełnie pomijano wymiar właściwy, czyli jego twórczość. Początki Instytutu wiązały się więc z podjęciem przez nas próby przybliżenia twórczości poety. W sukces nam wszystkich przyszedł wówczas m.in. film Lecha Majewskiego „Wojaczek”, w którym zresztą też partycypowaliśmy. Dlatego rok 1999 stał się momentem przełomowym dla recepcji Wojaczka – odbyły się premiery zarówno filmu oraz książki z nieznanymi i niepublikowanymi wcześniej utworami Wojaczka, zatytułowany „Reszta krwi”. Te działania w jakiejś mierze określiły przyszłość tego miejsca. A nie byłoby Instytutu Mikołowskiego, gdyby nie pismo katastroficzne „Arkadia”, powstałe w 1996 roku z inicjatywy Pawła Targiela i Mariana Sworznia. To właśnie w dawnym mieszkaniu Wojaczka swoje miejsce odnalazła redakcja pisma, i pierwszy numer tutaj zredagowany ujrzał światło dzienne w czerwcu 1999 roku. Wydanie kolejnych numerów pisma sprawiło, że postanowiliśmy również wydawać książki.

– Czy udało się przywrócić do powszechnej świadomości postać poety?

– Przez wiele lat Wojaczek w Mikołowie był tendencyjnie odbierany. Pracowaliśmy usilnie nad zmianą tego krzywdzącego wizerunku, ukazując jego dzieło literackie, staraliśmy się przekonywać, że jego wiersze wciąż są nośne, żywe i aktualne. Był to poeta nawiązujący do najlepszych tradycji wiersza polskiego, który swoim życiem i twórczością ucieleśnił mit stworzony przez polskich romantyków, czyli mit poety „władzącego się



Literacka delta

Z MACIEJEM MELECKIM
– dyrektorem Instytutu Mikołowskiego
rozmawia MARCIN MOŃKA

ze światem”, tworząc zarazem indywidualne dzieło poetyckie. I nasze działania przyniosły efekt, pojawiło się kolejne grono nowych czytelników, nastąpiła także redefinicja wizerunku Wojaczka, i szczególnie w samym Mikołowie, przestano kojarzyć go jednoznacznie. Stał się postacią istotną i jest odbierany jako wybitny poeta polski.

– Działalność Instytutu od samego początku była pomyślana wielotorowo...

– Nie ograniczaliśmy się jedynie do wydawania książek i pisma, ale także, od samego początku, zajmowaliśmy się organizowaniem rozmaitych interdyscyplinarnych spotkań. To zarówno działania plastyczne, spotkania autorskie z najrozmaitszymi ludźmi kultury i sztuki, konferencje tematyczne.

– Instytut bardzo szybko stał się przestrzenią rozpoznawalną w całym kraju...

– Zależało nam od początku, aby przełamywać stereotypy związane z postrzeganiem kultury, zwłaszcza te tkwiące w oglądzie Górnego Śląska, który określano przez długi czas jako „pustynię”. Postanowiliśmy zapraszać do Mikołowa jak najwięcej osób z zewnątrz, by umożliwić im własną autorską wypowiedź, bez znaczenia czy są to literaci, czy plastycy czy filozofowie. Chodziło nam o stworzenie przestrzeni opartej na swobodnym przepływie myśli a zarazem ich konfrontacji. Zarówno Paweł Targiel, jak i ja, czy Krzysztof Siwczyk byliśmy już ludźmi dość mocno ukształtowanymi, kiedy zaczynaliśmy tu praco-

wać, i ciekawiło nas jak inni ludzie w tej przestrzeni obwiedzonej pewną aurą będą w stanie się odnaleźć. W sytuacji, gdy organizowaliśmy konferencje, tworzył się niecodzienny kanał dyskursu, w którym kilkanaście osób mogło się odnaleźć w dialogu. To wszystko spowodowało, że rezonans wywoływany naszą działalnością okazał się dość mocny. Szybko wiele środowisk otrzymało sygnał, że Instytut jest miejscem żywym, a nie muzealną skamieliną.

– Jak to się dzieje, że w Instytucie na równych prawach funkcjonują zarówno debiutanci jak i autorzy z pewnym dorobkiem literackim?

– Instytut ma silny literacki kontekst i pulsuje życiem. Taki wizerunek stworzyliśmy przez te 10 lat. Publikowaliśmy książki debiutantów, a także twórców, którzy od pewnego czasu

milczeli literacko. Osobnym przedsięwzięciem jest pomysł z wydawaniem dzieł Witolda Wirpszy, przez wiele lat skutecznie pomijanego, zresztą z różnych przyczyn. Wydając jego kolejne tomy od 2005 roku, sprobowaliśmy interesujący ferment wokół jego twórczości, a Wirpsza poniekąd został przywrócony dla polskiej literatury. Nasza działalność wydawnicza, z założenia, miała stać się taką deltą literacką, gdzie obok debiutantów proponujemy autorów z pewnym literackim dorobkiem.

– Jubileuszowe spotkania odbyły się 8 i 9 października, oczywiście w Instytucie Mikołowskim.

– Spotkanie zaplanowaliśmy przekrojowo, z uwzględnieniem pewnego aspektu historycznego. Zaprosiliśmy osoby, które u nas już gościły, których teksty były publikowane na łamach „Arkadii” a także osoby, którym Instytut wydał książki poetyckie. Zaplanowaliśmy wystawę fotografii autorstwa Bogdana Prejsa i Dariusza Zakrzewskiego, na których pojawiają się osoby odwiedzające przez te 10 lat Instytut. Wszyscy są ukazani przy jednym meblu – stole pochodzącym z dawnego umeblowania domu Rafała Wojaczka. Tak się składa, że każde spotkanie autorskie odbywa się właśnie przy tym stole. W spotkaniach wzięli więc udział poeci z całego kraju związani z IM. Zaprezentowany został także film dokumentalny Adama Sikory o zmarłym w tym roku pierwszym dyrektorem IM, Pawle Targielu.

Zdaje mi się, że Felka Netza poznałem w redakcji „Poglądów”, gdzie na początku 1975 roku urządzono dyskusję o zespole filmowym „Silesia”. Był jego kierownikiem literackim, a mnie zaproszono jako młodego człowieka prowadzącego studencki Dyskusyjny Klub Filmowy „Kino Oko”. Na łamach „Poglądów”, które przecież nie były specjalnie zainteresowane kinem, pokazywały się wtedy regularnie krótkie recenzje filmowe sygnowane: „KinoOko”. Zastanawiało mnie, kto ukrywa się pod takim pseudonimem. Dopiero później, przy jakiejś innej okazji okazało się, że chodzi właśnie o Netza.

Jak wiadomo, kino to tylko jedna z pasji Netza, lecz stale obecna w jego życiu i twórczości. Dzisiaj można powiedzieć, że Netz pisze o filmach od kilku dziesięcioleci. Najpierw w „Poglądach”, potem w „Panoramie”, jeszcze później na łamach tygodnika „Tak i Nie”, a do tego dochodzą bardziej ulotne recenzje radiowe. Prawdę mówiąc, jako krytyk filmowy Netz objawił się najpierw w Radio Katowice (w 1966 roku), a potem dopiero na łamach prasy. Jednak w „Panoramie” – gdy w 1980 roku został naczelnym, a ja dzięki niemu trafiłem do redakcji – odstąpił mi wspaniałomyślnie poletko filmowe. Przez ponad rok, aż do stanu wojennego, mogłem zamieszczać w niej własne cotygodniowe recenzje.

Zainteresowania filmowe zawsze nas zbliżały, co objawiało się i tym, że gdy później spotykaliśmy się przypadkowo na jakiejś katowickiej ulicy, dokonywaliśmy zazwyczaj szybkiego omówienia bieżącego repertuaru. Zapamiętałem z tych dawniejszych rozmów, że w Felku ujawniała się wtedy prawdziwa duża pasjonata kina. Daje jej wyraz w comiesięcznych recenzjach na łamach „Śląska” w stałej rubryce *Poza kadrem*. Przed kilku laty jego teksty z tego cyklu pokazały się także w książce zatytułowanej *Poza kadrem*, która dla konesera kina jest prawdziwą gratką.

Bo recenzje Netza z wybranych starannie tytułów to więcej niż tylko recenzje, to w gruncie rzeczy małe eseje, niesłychanie przenikliwe i świetnie napisane. Z reguły osobiste, zdradzające wielką erudycję autora, co widać szczególnie, gdy analizuje filmowe adaptacje z literatury. Do tego Netz zna doskonale tradycję kina i nieraz nawiązuje do różnych jej fragmentów. Dzisiaj, gdy w prasie częściej można spotkać rezultaty

działań promocyjnych firm dystrybucyjnych, recenzje Netza wyróżniają się na tym tle szczególnie. Na gruncie śląskim niczego podobnego nigdzie dzisiaj nie znajdziemy.

Zdarzyło się w biografii Netza, że dzięki pasji filmowej został wciągnięty na drugą stronę. To wtedy, gdy Kazimierz Kutz zaproponował mu w 1972 roku kierownictwo literackie w zespole „Silesia”, który w pierwszej fazie istnienia był zespołem debiutantów. W takiej konstelacji Netz, który przekroczył wtedy zaledwie trzydziestkę, był dla Kutza idealnym kandydatem. Z tej jego kilkuletniej przygody



wyszło i to, że zadebiutował w roli scenarzysty, a mianowicie jako współscenarzysta filmu *Kochajmy się* w reżyserii Krzysztofa Wojciechowskiego. Potem Marek Wortman nakręcił telewizyjną *Białą gorączkę* opartą na jego powieści górniczej z lat siedemdziesiątych.

Jeśli nawet te filmy nie były najwyższej próby, to przecież musiały dać Netzowi doświadczenie spojrzenia na kino z drugiej strony, co zapewne było dla niego doświadczeniem istotnym.

Wspominając Netza związki z filmem nie sposób nie wspomnieć, że z jego wiersza ofiarowanego Kazimierzowi Kutzowi po tragedii „Wujka” w grudniu 1981 roku pochodzi tytuł filmu *Śmierć jak kromka chleba* zrealizowanego kilkanaście lat później, gdy

stało się to już możliwe. Historycy naszego kina nie zawsze o tym pamiętają.

Dla mnie Netz istniał jako osoba z branży zawsze tak dalece, że gdy w roku 1990 wymyśliłem, że może warto założyć w Katowicach czasopismo filmowe, to nie wyobrażałem sobie tego przedsięwzięcia bez jego udziału. Założyliśmy „Premierę”, jedno z pierwszych prywatnych czasopism filmowych w Polsce. Nasza „Premiera” była popularnym magazynem, wzorowanym trochę na „Premierze” francuskiej. Było to przedsięwzięcie koleżeńskie, z udziałem kilku osób z naszego środowiska prasowego, w tym Felka Netza i Marka Bastera. Wprawdzie pismo upadło, ale jednak po trzech latach stałej obecności na niestabilnym rynku prasowym. Były to w tej sferze czasy pionierskie.

Tak więc Marek Baster i ja tkwiliśmy w samej redakcji, zajmując się redagowaniem i wydawaniem. Natomiast Netz recenzował nowości kinowe i wideo dochodząco, opierając się na kosztownej nieraz jakości pirackich kopiach na kasetach. Do dziś pamiętam jego recenzję *Stowarzyszenia umarłych poetów* Petera Weira, która otwierała dział nowości kinowych w pierwszym numerze „Premiery” w 1990 roku.

Zapamiętałem z tej samej sfery, że nieco później, gdy „Premiera” już nie było, zdarzyło się Netzowi zostać redaktorem naczelnym „Ekranu” (wychodził wtedy w Katowicach w formie miesięcznika), ale tylko na chwilę. Najpierw jego telefon, że obejmuje redakcję i drugi następnego dnia, że rezygnuje, bo w tamtej konstelacji redakcyjno-wydawniczej wydało mu się to jednak pomyłką. Niemniej był naczelnym tamtego „Ekranu” jednodniowym. Dzisiaj wydaje się to trochę zabawne.

Na filmowym Górnym Śląsku Felk Netz ma własne miejsce w wielu rozmaitych działaniach. Jest postacią znaczącą. Jednak najbardziej jest rozpoznawany jako świetny krytyk filmowy i eseista. Nie ma drugiego równie przenikliwego i do tego wytrwałego krytyka, który ogląda filmy i przekazuje nam refleksje z oglądania już cztery dekady.

Nie to jest oczywiście najważniejsze, że już cztery dekady, ale i to jest fenomenem na naszym filmowym podwórku.

JAN F. LEWANDOWSKI



Kazimierz Kutz, Jan F. Lewandowski i Feliks Netz.

Foto: Zbigniew Sawicz

Próby włączenia Hansa Bellmera do panteonu wybitnych Ślązaków i wprowadzenia go do zbiorowej świadomości trwają od co najmniej kilku lat. W pierwszej kolejności za oczyszczenie z pyłu zapomnienia korzeni prowokacyjnego surrealisty zabrali się muzealnicy: najpierw w 1996 roku w ramach Górnos Śląskiego Festiwalu Kameralistyki otwarto wystawę w Muzeum Śląskim, połączoną z panelem, później w tym samym muzeum w rocznicę śmierci artysty w 2002 roku wystawiono na widok publiczny jego grafiki i zdjęcia. Niektóre prace, skryte za parawanem można było zobaczyć wyłącznie na własne życzenie i odpowiedzialność. Trudno powiedzieć, by od tamtego czasu Hans Bellmer głębiej zakorzenił się w pejzażu kulturalnym Katowic i na dobre zadomowił w świadomości mieszkańców. Wiedza na temat jego sztuki istnieje wśród osób na sztukę

zorientowanych, studenci kierunków humanistycznych – przynajmniej teoretycznie – powinni z taką wiedzą opuścić mury akademii. Pozostałym być może, jak powidok, zamajaczy w pamięci Café Bellmer przy Małej Scenie Teatru Wyspiańskiego, dzielącą z wybitnym artystą nazwę. Rozumiem więc powody, które skłoniły katowicki teatr do wystawienia sztuki biograficznej o XX-wiecznym surrealście ze Śląskiem wpisanym w akt urodzenia. Ze szlachetnych planów wynika jednak tyle samo korzyści, co pułapek.

Tomasz Man, autor tekstu i reżyser przedstawienia, ubrał opowieść o Bellmerze w dramat biograficzny, co oznacza, że położył głównego bohatera na łożu śmierci, serwując mu swoiste acz przewidywalne *ars moriendi*. Niczym zjawy z przeszłości pojawiają się przed oczami bohatera uczestnicy jego teatru życia: nadopiekuńcza matka (Bogumiła Murzyńska), apodyktyczny ojciec (Grzegorz Przybył), rozhisteryzowana kochanka a później żona (Anna Kadulka), lilitkowata kuzynka (Dorota Chaniecka), pierwsza żona, a w innej odsłonie córka szukająca prawdy o ojcu oskarżanym przez matkę o skłonności pedofilskie (Dorota Chaniecka), faszystujący sąsiad (Grzegorz Przybył), krzykliwy Grosz (Michał Rolnicki) i jeszcze parę innych postaci, które tworzą galerię piętnastu osób, które – jak wolno przypuszczać – odcisnęły największe piętno na życiu i twórczości artysty. Rozliczenie z życiem dopada Bellmera (Andrzej Lipski) na szpitalnym łóżku, na którym leży częściowo sparaliżowany tuż przed śmiercią. Niedowład ciała potęguje jego bezradność, gdy z lekkim strachem, a innym razem ze zmęczeniem i rezygnacją, konfrontuje się z własną przeszłością. Zamknięty w sobie,



Tomasz Man, autor tekstu i reżyser przedstawienia, ubrał opowieść o Bellmerze w dramat biograficzny, co oznacza, że położył głównego bohatera na łożu śmierci, serwując mu swoiste acz przewidywalne *ars moriendi*.

W stronę Bellmera

FESTIWAL

wycofany, bierny, pozwala swobodnie napływać postaciom, obrazom i zdarzeniom, kurczy się pod ich natłokiem, bezwolnie obserwuje. Gdzie się podział artysta, którego grafiki i zdjęcia nagich, kalekich lalek bulwersowały Europę? Którego sprzeciw wobec faszyzmu nie zawsze spotykał się z ciepłym przyjęciem, bo chętniej przyklejano mu metkę dewianta, a jego życie prywatne miało tyle samo wklęsłości i wybrzuszeń, co pełne erotyzmu obrazki?

Man do skonstruowania fabuły wykorzystał logikę snu, z jego achronologią i skłonnością do dygresji. Bohaterowie pojawiają się w przypadkowym porządku, a całością rządzi raczej amplituda emocji aniżeli logika następstwa zdarzeń, chociaż niewątpliwie można z nich ułożyć krótki biogram artysty: konflikt z ojcem, ucieczka do Berlina i wejście w orbitę stołecznej bohemy, dobijający się do drzwi pracowni faszyzm, nieudane życie osobiste i wielki sukces w Paryżu. W międzyczasie pojawi się fascynacja młodocianą kuzynką, ledwie zaznaczone zafiksowanie na lalce jako obiekcie erotycznym i plastycznym, dojrzewanie do własnej drogi twórczej, która pozwoli wejść na artystyczne salony, choć twórczość dzieje się jakby obok codziennego życia, trochę na jego marginesach. Nie ma w tej przez teatr pisanej biografii zdarzeń niepotrzebnych, sytuacji zmaconych, zwrotnie nie zmieniających toru ruchu, jest akcja i reakcja, przyczyna i skutek, przeszłość ma swoje konsekwencje w przyszłości. Bellmer okazuje się zwykłym, skromnym, cichym i wrażliwym człowiekiem, artystą od urodzenia z odcisniętym na czole piętnem Innego. Nie można go nie lubić ani mu nie współczuć, skoro świat kopie go od kołyski.

A jednak ten pastelowy portret nie do końca mnie przekonuje.

Foto: ARXC Teatru im. Wyspiańskiego

Świat jest skandalem miał zapewne pokazać Bellmera bardziej jako człowieka niż artystę, i to się częściowo udało. W tych fragmentach biografii Andrzej Lipski jest bardziej przekonujący aniżeli w momentach, gdy Bellmer nagrywa się z mieszczaństwem. Tyle że ten ludzki portret jest wybielony, pomnikowy, jakby zrobiony na zamówienie, zwłaszcza że dość nachalnie podkreśla się przywiązanie artysty do Śląska. Pojawiają się jakieś insynuacje, podejrzenia żony o nadmierne zainteresowanie małymi dziewczynkami, nieudane emocjonalnie związki, toksyczne dzieciństwo, jakkolwiek w każdej z tych sytuacji Bellmer jest raczej kierowany niż sam decyduje, jest ofiarą rzeczywistości,

marionetką w rękach ludzi i losu na siłę wciśniętą w gorset obserwatora. Oczywiście, w obronie można powiedzieć, że konwencja jest czytelna. Tuż przed śmiercią przychodzą do bohatera wspomnienia i postaci z przeszłości, na których pojawianie się nie ma wpływu. Skoro jednak wszystko dzieje się w jego głowie, aż się prosi, żeby od czasu do czasu dodał swój komentarz.

Tworząc przedśmiertny kalejdoskop Bellmera Man wykorzystał pomysł wypróbowany w poprzednich swoich spektaklach. W oszczędnej scenograficznie przestrzeni aktorzy grają kilka postaci na raz. Michał Rolnicki czy Dorota Chaniecka doskonale radzą sobie ze zmianą kostiumów i twarzy, ale już kobiety w wydaniu Anny Kadulskiej męczą nachalną histerią, jakby ich relacje z Bellmerem były możliwe tylko na jednym diapazynie. Kolaż zdarzeń tkany przez zmieniające się postaci niestety pod koniec przedstawienia się wyczerpuje. Kolejne epizody nie tylko nie wnoszą nowej refleksji, ale ciągle oddalają od finału, który jest chyba najsłabszym, bo dość konwencjonalnym i naiwnym elementem spektaklu. Kiedy Bellmer po raz kolejny spotyka się z sobą jako dzieckiem, umiera.

Dobrze, że teatr podążył w stronę Bellmera, szkoda, że zatrzymał się na streszczeniu biografii. Ale kto wie, może kolejne próby zaowocują szerszym spojrzeniem i pojawi się chociażby refleksja na temat sztuki, która ciągle wikła się w trudne sprawy odbioru.

ANETA GŁOWACKA

Tomasz Man: *Świat jest skandalem*. Reżyseria: Tomasz Man. Scenografia: Anetta Piekarska-Man. Muzyka: Igor Gawlikowski, Marek Otwinowski. Premiera: 25 września 2009 na Scenie Kameralnej Teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

19 lat temu, a właściwie prawie 20, jako że tamta premiera odbyła się w styczniu 1990 roku, a obecna w listopadzie 2009 Henryk Konwiński już raz zrealizował „Hrabinę Maricę” Emmericha Kalmana. Ba, w tym samym teatrze. I dostał za nią wówczas Złotą Maskę.

Skoro wielce zasłużony twórca zdobył za tamten spektakl najwyższe trofeum, jakim w naszym regionie może zostać uhonorowany człowiek teatru, po co przystąpił ponownie do pracy nad tym samym dziełem? Zmienić coś? Poprawić? Niezależnie od atrakcyjności dzisiejszego, ale przecież nie rewolucyjnie nowego, gliwickiego spojrzenia na „Maricę”, mało prawdopodobne, by jurorzy przyznali Konwińskiemu za nią drugą Maskę.

Ale vis à vis głównego wejścia do gliwickiego teatru jest jeszcze wolne miejsce na... pomnik. Tam, gdzie przed zmianą ustroju oczekiwano na rozkochaną w operetkach, robotniczą publiczność, autokary zakładowe. Widocznie nie tylko Henryk Konwiński, ale i sam Gliwicki Teatr Muzyczny zatęsknili do młodości, gdy placówka ta nazywała się Operetka Śląska.

Spinając klamrą jakże znamienne (w tym przypadku określenie „rewolucyjne” będzie bardziej adekwatne) dwudziestolecie pomiędzy obiema premierami, dodajmy, że ówczesna odtwórczyni postaci tytułowej Anna Wilczyńska dziś gra już nie tak dużą, ale bardzo istotną ze względu na wspaniałą arię, rolę Cyganki Miny. A ponieważ arię tę musi wykonać praktycznie na samym początku utworu, przeto ma wszelkie możliwości „rzutować” sympatycznie, bądź zniechęcająco, na dalszy ciąg spektaklu. Wilczyńska zaśpiewała swoją arię naprawdę pięknie. A wyglądała tak, jakby niewątpliwie fakt, że w międzyczasie upłynęło 20 lat, jej akurat zupełnie nie dotyczył.

Z tamtej premiery ostali się także, i to w tych samych rolach – księżnej Cudenstein i księcia Populescu – Danuta Orzechowska i Jerzy Gościński. No ale te postacie z powodzeniem mogą wykonywać zarówno trzydziesto, jak i siedemdziesięciolatkowie, z tym, że jako starsi, są w nich bardziej wiarygodni.

Nie pamiętam już zbyt dobrze tamtej premiery, ale jej twórca dostał wtedy Maskę „za reżyserię i choreografię”. Podobnie i obecnie choreografia stanowi jeden z najważniejszych atutów spektaklu. Tak, jak w XVIII-wiecznej Francji królowała forma zwana opero-



Małgorzata Długosz, jako hrabina Marica i Janusz Ratajczak w roli hrabiego Tassila.

Charleston „wyskakujący” z kankana

OPERETKA

-baletem, Konwiński stworzył w „Maricy” coś w rodzaju baletu-operetki. Scena w której dziewczęta zdejmują wierzchnie, jak się okazuje, kostiumy „kankanowe” i tańczą charlestona w połyskujących złotem wąziutkich tunikach z początku XX wieku, stanowi dominantę gliwickiej inscenizacji. A wszystko to odbywa się w oparach „musicalowych” dymów.

Najbardziej znane – a „Hrabina Marica”, to parada przebojów – arie i duety wzbogaca Konwiński baletem w tle, bądź z boku. I trochę w tej sytuacji dziwne, że całość nie kończy fajerwerkami, nawet wymyślonym przez siebie, lecz, zgodnie z librettem, „ubogim” duetem dwojga głównych bohaterów.

Muzycznie, przygotowany przez Rubena Silvę spektakl jest „bez pudła”. Premierowy kwartet głównych wykonawców okazał się rzeczywiście rewelacyjny. Zaczę od „drugiej” pary: Wioletty Białk w roli Lizy i Michała Musioła, jako barona Żupana, „rozdarłego wewnątrz” adoratora najpierw Maricy, a potem Lizy. Trudno mi dziś sobie wyobrazić lepszą Maricę, niż tą którą stworzyła Małgorzata Długosz, artystka posiadająca wszelkie atuty diwy operetkowej: głos, urodę i giętkość ruchów.

Na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o stronę wokalną, wymienilibym jednak Janusza Ratajczaka w roli hrabiego Tassila, tego który śpiewa słynną arię „Graj Cyganie”. Swoją drogą w oryginalnym „Przyjdź Cyganie” – „Komm Zigan”. Prawdę mówiąc nie widzę wielkich różnic pomiędzy Ratajczakiem, a sławnym tenorem, na dodatek wagne-

rowskim, Renem Kollo, który wziął udział w nagraniu „Maricy” przez firmę „Philips”. Ten zachwyt dotyczy jednak wyłącznie strony wokalne.

Ponieważ Janusz Ratajczak nie dysponuje urodą amanta, przydałaby się mu pomoc autorki kostiumów. Tej jednak nie otrzymał. Zdumiewające, skoro Małgorzata Słoniowska pokazała nam, niczym na rewii mody, całą feerię olśniewających strojów, zwłaszcza kobiecych, zarówno XIX-wiecznych, jak i z początku XX wieku – prapremiera „Maricy” odbyła się już po upadku Austro-Węgier, w 1924 roku, a jej muzyka obok tęsknoty za monarchią Habsburgów odbija także nowe prądy, stąd shimmy i charleston. Z bajeczną wystawnością, której nie powstydziliby się Wielka Barbara Ptak, kontrastuje szary garnitur Tassila, wyglądającego niczym działacz partyjny AD 1950 lub 2009 (na jedno wychodzi). A przecież Tassilo dla podratowania

budżetu pełni incognito rolę rządcy majątku rolnego i można by spróbować ubrać go „na ludowo”.

I jeszcze jeden minus, charakterystyczny chyba dla wszystkich przedstawień operetkowych, nie tylko zresztą w Gliwicach. W dialogach śpiewacy nie mówią tekstu, ale go deklamują, niemiłosiernie „szeleszcząc” papierem. Nie pomaga nawet nowe tłumaczenie tych fragmentów.

Z grona „deklamatorów” wyłamuje się pozytywnie jedynie trzyosobowa grupa księżnej Cudenstein, ucharakteryzowana na ekstrawaganckich i tajemniczych automobilistów (pomysł ten powtórzył reżyser z poprzedniej premiery), nie mająca jednak tak istotnego znaczenia muzycznego, jak pozostali wykonawcy.

Może dlatego wolę operetki, podobnie jak opery, w języku oryginału. Wtedy wartość artystyczna owych testów, wątpliwa zresztą, jak i ich dogłębne zrozumienie, nie mają aż tak istotnego znaczenia. Swoją drogą dwa czołowe „węgierskie” dzieła Węgra Kalmana, „Księżniczka czardasza” i „Hrabina Marica”, zostały napisane do librett niemieckich, albowiem ich premiery odbyły się w ważniejszej stolicy, podwójnej do 1918 roku, monarchii – samym Wiedniu.

MAREK BRZEŹNIAK

Emmerich Kalman: Hrabina Marica. Reżyseria i choreografia – Henryk Konwiński, kierownictwo muzyczne – Ruben Silva, dekoracje – Ireneusz Domagała, kostiumy – Małgorzata Słoniowska. Premiera 20 listopada 2009 r. w Gliwickim Teatrze Muzycznym.

Foto: Mariusz Pajestka

W Święto Reformacji, przypadające 31 października, w katowickim kościele ewangelicko-augsburskim Zmartwychwstania Pańskiego odbyła się uroczystość wręczenia niezwykle ważnych nagród „Śląski szmaragd” dwóm wybitnym osobistościom związanym ze Śląskiem – profesorowi Janowi Malickiemu, miłoścowi nam panującemu dyrektorowi Biblioteki Śląskiej, profesorowi Uniwersytetu Śląskiego, wybitnemu badaczowi literatury staropolskiej (również tej związanej z reformacją) i kompozytorowi Ryszardowi Gabrysiowi – władającemu śląską tradycją muzyczną, którą od lat chroni, propaguje, a przede wszystkim współtworzy jako kompozytor, publicysta i pedagog, a także tak zwany „animator”, czyli ktoś, kto czuwa nad całością, nadaje kształt i hierarchię.

Uroczystość wypadła w przeddzień Wszystkich Świętych, co dodatkowo skłaniało licznie zgromadzonych gości do zadumy w czasie ekumenicznego nabożeństwa odprawionego pod przewodnictwem biskupa Tadeusza Szurmiana, uświetnionego występem chóru parafialnego oraz Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” pod dyрекcją Anny Szostak.

Ilekoć odwiedzam gmach Biblioteki Śląskiej przy placu Rady Europy (a zdarza się to często, w zasadzie jest to moje stałe miejsce pracy – prywatnej, poza uczelnią) wspominam stare dzieje: malutki bufet w budynku na Francuskiej, gdzie dawno temu moja mała córka zjadła się batonami Prince Polo, popijając wybitnie nieekologicznymi płynami, przesiadanie w pracowni mikrofilmów w „Białym Domu” przy ulicy Sienkiewicza, wyjazdy do Bytomia, gdzie pod warstwą węgielnego kurzu spoczywała część zbiorów wyłączona z transportu do Katowic...

Potem nowy gmach: książki odkurzone niewidzialną ręką, nowe okładki, starannie powiązane tasiemki. Rząd komputerów – wybawicieli od galericznej pracy ręcznego wypełniania rewersów (niektórzy starzy spryciarze mieli gotowe pieczątki z nazwiskiem i adresem). Eleganckie czytelnice pękające w szwach od studentów, gwarna kawiarnia, ładne otoczenie, w które chętnie zapuszczali się – i dalej zapuszczają – spacerowicze z „Paderewy”. Wystawy, koncerty...

Panie pracujące w czytelnich i wypożyczalniach znam od lat, niektóre jeszcze z Francuskiej. Ich wierność bibliotece i cierpliwość dla czytelników, również tych, którzy przychodzą po raz pierwszy, nie wiedząc jeszcze,

MIEDZY NUTAMI



Laureaci „Śląskich szmaragdów”

skąd się tu biorą książki, jest chyba najlepszym dowodem dobrej atmosfery panującej w placówce. Przychodzą tu różni ludzie: jedni poczytać bieżące gazety, inni podelektować się upatrzonym starym drukiem, czy też otworzyć czasopismo sprzed wieku, by raz jeszcze na własny rachunek przeżyć najazd bolszewików, czy dojście Hitlera do władzy. Są prawnicy nieustannie przerzucający Dzienniki Ustaw, wyrastający jak grzyby po deszczu doktoranci, wreszcie – niezniszczalny, samoodnawiający się tłum studentów. Tych ostatnich jest w ostatnich latach jakby mniej. Cóż, dziwi to tylko kogoś takiego jak ja, kto pochodzi z epoki B. C. (co się czyta ostatnio „before computer”). Życie idzie do przodu, a książki zostały na miejscu i czekają, by otworzyć swe wnętrza przed ciekawymi czytelnikami. Czarodziejski świat, któremu miłoścowi panuje Jan Malicki – oby jak najdłużej.

W tak zwanym przez siebie „kurniku” na Dworskiej (4. piętro, numeru domu nie zdradzę) swoje stanowisko dowodzenia ma Ryszard Gabrys. I on ma do dyspozycji szwadrony druków „zwartych” i „ulotnych”, kupionych, odkupionych, zdobytych lub darowanych przez przyjaciół, w tym kompozytorów. To już całe muzeum

śląskiej kultury muzycznej, żywe także w pamięci gospodarzy, przez których dom przewinęło się wielu wybitnych artystów, pozostawiając zapiski w księdze gości – albo i nie.

Przemawiając po otrzymaniu „szmaragdu”, Ryszard Gabrys z nostalgią wspominał swoich poprzedników – budowniczych ewangelickiej kultury muzycznej na Śląsku. Słyszeliśmy o jego dziadku po kądzieli Pawle Pustówce – kompozytorze i organizatorze z Golezowa, autorze wydanego własnym sumptem choralnika, o profesorze Janie Gawlasie, który był jego pierwszym profesorem kompozycji, folklorystą Janie Tacinie (właśnie minęła, niezauważenie, okrągła rocznica śmierci tego zasłużonego muzyka) i kilku innych. Gabrys lubi wspominać i uczynił z tego sztukę – sztukę tworzenia historii, tej prawdziwej, to znaczy opatrzonej osobowością, nie rezygnującej z ożywczego subiektywizmu, tworzonej namiętnie i z uporem.

Taka sama jest jego muzyka – uparcie „swoja”, a jednocześnie manifestacyjnie zakorzeniona – w tej samej tradycji, w której wzrastał. Zwykle nazywana jest sztuką awangardową, gdyż poza tym, że chętnie czerpie z nowatorskich środków – z palety sonorystycznych brzmień, gestów parateatralnych, z alfabetu dźwięków-kłuczy, czuje się w niej niespokojnego ducha buntu. Jest to sprzeciw wobec teraźniejszości, lecz nie wobec tradycji.

W czasie nabożeństwa Zespół Śpiewaków „Camerata Silesia” wykonał pod dyрекcją Anny Szostak wybrane fragmenty religijnej kantaty Gabrysa, która była w całości prawykonana podczas tegorocznego Festiwalu Prawykonan NOSPR. Dla uświetnienia uroczystości wybrano fragmenty oparte na melodiach chorałowych, wyjątkowo dobrze pasujące do kościelnego wnętrza, a przy tym świetnie charakteryzujące sposób owego „zakorzenienia” muzyki Gabrysa, o którym przed chwilą pisałam (wspaniała *Gloria*, łącząca tradycyjny charakter solennej inwokacji z „drapieżną”, buntowniczą harmoniką, czy też tajemniczy, aforystyczny chorał końcowy *Ein feste Burg ist unser Gott*). Tradycyjnie opracowane chorały, wykonane podczas nabożeństwa przez bardzo dobrze wyćwiczony chór parafialny, stworzyły nadzwyczaj trafne dopełnienie tej muzyki. Uroczystość skończyła się w prawdziwie wzniosłym nastroju, jakiego tylko mogli sobie życzyć obaj laureaci i dumna z nich śląska publiczność.

MAGDALENA DZIADEK

A jednak są rzeczy niemożliwe, które okazują wykonalne. W naszych czasach gdy już samo przystąpienie do realizacji co bardziej pracochłonnego projektu wymaga powołania wieloosobowych zespołów – mamy oto tak wyjątkowe dokonanie autorskie jakim jest jedyne w swoim rodzaju dzieło Piotra Kamińskiego, stanowiące świadectwo benedyktyńskiej wręcz pracowitości, gruntownej erudycji i wzorcowej rzetelności. Już samo opracowanie tak rozległego obszaru jakim są dzieje opery – od momentu narodzin tego gatunku po czasy ostatnie – jest arcytrudnym zadaniem poznawczym, skoro wymaga uwzględnienia ogromnego dorobku kolejnych epok, a przy tym dokonania na nowo wyboru najcenniejszych oraz godnych uwagi tytułów, których ten rejestr znacznie poszerza w stosunku do tradycyjnego zestawu pozycji do jakich ograniczały się w większości istniejące przewodniki operowe. Jednak to ogromne, dwutomowe kompendium Piotra Kamińskiego, liczące blisko 1900 stron formatu B5, wyróżnia się nie tylko skalą i gruntownością opracowania tego rozległego obszaru wiedzy, lecz także walorami stylu, który zwraca uwagę barwnością porównań, celnych i wnikliwych komentarzy oraz dowcipnych często dygresji, od których gęsto. Także i dlatego – ze względu na czytelnicze walory lektury – dzieło Piotra Kamińskiego „Tysiąc i jedna opera” zostało uznane jako wydawnictwo unikalne w skali światowej, gdy w roku 2003 ukazało się we Francji w Wydawnictwie Fayarda jego pierwsze wydanie, stając się z miejsca bestsellerem, co potwierdziły pięciokrotne wznowienia.

Czyżby tego rodzaju nader żmudne, realizowane w pojedynkę wydawnictwa, wymagające niespożytej pracowitości a i upodobania w samodzielnym przykuciu do narzuconego sobie zadania, stanowiły specjalność polską? Przykładem – wręcz bezprzykładnym! – jest w tym przypadku nieżyjący już Władysław Kopaliński, który w domowych warunkach, rękopiśmiennym trudem, stworzył serię wspólnych autorskich leksykonów, wydanych przed ponad rokiem w zbiorowej 12-tomowej edycji. Z kolei inny nasz rodak, też jak Piotr Kamiński osiadły za granicą, Jerzy Chwiłkowski, opracował pełny katalog utworów muzyki poważnej – co również jest zadaniem raczej w pojedynkę niewykonalnym. Czy jednak autor dwuksięgu „Tysiąc i jedna opera” – już w samym tytule, co też wymowne, nawiązującym do legendarnej Szeherazydy i jej „Księgi tysiąca i jednej nocy” – podjąłby się takiego dokonania gdyby nie przymusowe historyczne okoliczności?

Związany z Polskim Radiem i warszawską PWST, gdzie prowadził wykłady z historii opery, po polskiej premierze sztuki Petera Shaffera „Amadeusz” w reżyserii Romana Polańskiego w warszawskim Teatrze na Woli, w czym Piotr Kamiński współuczestniczył, w roku 1981 wyjechał do Francji by kontynuować współpracę przy francuskiej prapremierze tej sztuki w Teatrze Marigny. Ogłoszenie stanu wojennego spowodowało, że Kamiński już do Polski nie wrócił i osiadł na stałe we Francji, gdzie jako dziennikarz, tłumacz i krytyk muzyczny wnet utrwalił swą pozycję (związany z RFI, z rozgłośnią France-Musique i miesięcznikiem „Diapason”). Do jakiego stopnia zaznaczył swoją obecność w życiu kulturalnym Francji świadczy jego udział w realizacji wielu znaczących artystycznych przedsięwzięć, w tym teatralnych; m. in. we współpracy z Andrzejem Sewerynem, przy wystawieniu w jego własnym przekładzie „Wieczoru Trzech Króli” i „Ryszarda III” Szekspira na scenach Comédie-Française i Teatrze Narodowym. Zanim jeszcze doszło do wydania dwutomowego przewodnika „Tysiąc i jedna opera” Kamiński opublikował – również w wydawnictwie Fayarda – cztery edycje przewodnika płytowego a także dwa tomy wierszy Szymborskiej w swoim prze-



Cztery wieki opery

kładzie. I tak przybysz znad Wisły został uhonorowany francuskim Orderem Sztuki i Literatury.

Liczące cztery wieki dzieje opery rozpoczynają dokonania słynnej Cameraty Florenckiej – grupy poetów, muzyków i uczonych, którzy według własnych wyobrażeń podjęli próbę przywrócenia scenie dramatycznych form w nawiązaniu do antyku nie przewidując, że dojdzie do powstania nowego gatunku. Tytułem, który otwiera jej historię była „La Dafne” Jacopo Periego wystawiona w 1597 roku we Florencji. Realizacja tego utworu utrzymanego w stylu monodii akompaniowej (trzy lata później Peri stworzył zachowaną w całości „Euridice”) rozpoczyna historię nowej scenicznej formy, która okaże się wnet imponująca – żywotną. Za operę reprezentatywną dla jej narodzin uznawany jest jednak „Orfeusz” Monteverdiego (1607) wystawiany wcale często także w naszych czasach. Chronologicznie licząc potężne kompendium Piotra Kamińskiego obejmuje rejestr dzieł od kompozycji Periego... po operową trylogię śląskiego kompozytora Eugeniusza Knapika do tekstów Jana Fabre’a ukończonych w roku 1996 oraz „Conte d’hiver” Boesmensa z roku 1999. W sumie blisko 1000 tytułów, ponad 230 kompozytorów. Ten wybór z wielu tysięcy dzieł powstałych od początku wieku XVII – do końca minionego stulecia... świadczy o niespożytej pasji, gruntownej orientacji i artystycznej kompetencji, bo przecież to w najlepszym znaczeniu autorskie pod względem atrakcyjnej i przejrzystej formy kompendium nie powieli istniejących opracowań.

Wyjątkowe pod względem rozmiarów autorskie dokonanie Piotra Kamińskiego, które zajęło mu 13 lat, trafiło na dobry czas postępującego wzrostu zainteresowania operą. Czy kto mógł przewidzieć, że w ostatnich dziesięcioleciach dojdzie do prawdziwego renesansu opery barokowej? Z tego też powodu w księgach „Tysiąca i jednej opery” mamy przedstawio-

nych ponad 200 pozycji z epoki przed Mozartem; już nie tylko Gluck i Händel znaleźli się w polu uwagi scen operowych, lecz także Haydn, Telemann i Vivaldi oraz cała grupa kompozytorów skazanych na zapomnienie, jak Keiser, Hasse, Piccini, Cavalli, Landi, Cestii i inni. Jednocześnie doszło do odrodzenia wirtuozowskiej sztuki wokalne w nawiązaniu do tradycji bel canto (Callas, Caballé). A popisy estradowe trzech tenorów?... A nagrania na taśmach video i płytach CVD, dzięki czemu na masową skalę dostępne są realizacje w najświetniejszych teatrach, z udziałem najwybitniejszych artystów i realizatorów. Ośmieszana, parodiowana, uznawana za sztukę zramolałą opera przeżywa swoje wielkie lata. Dlatego też kompendium Kamińskiego wykorzystując ten wzrost zainteresowania sztuką operową, daleko wykracza poza tradycyjny repertuar (z dominacją weryzmu) i obok pozycji stanowiących zrąb żelaznego repertuaru na światowych scenach, mamy tu szeroki zestaw wcześniej pomijanych tytułów, które z różnych względów godne są uwagi. Na tym tle widać dopiero jak skromny jest w dziedzinie opery nasz własny dorobek, choć w polskiej edycji zostały przedstawione niektóre dzieła, które nie znalazły się w wydaniu francuskim. Jest niemal cały Moniuszko, jest z „Hagith” i „Królem Rogerem” Szymanowski, jest z „Erosem i Psyche” oraz z „Casanovą” Różycki, jest także z kompletem pozycji Penderecki, są prezentowani pojedynczymi tytułami – Kurpiński, Paderewski, Rudziński, Baird i Knapik. W sumie niewiele, ale kto miał te opery w Polsce pisać w szczytowych epokach jej rozwoju... no i dla kogo?... kiedy nas nie było na mapie.

Zwraca uwagę i zasługuje na szczególne podkreślenie przejrzystość, z jaką zbudowane jest kompendium operowe Piotra Kamińskiego, utrzymane w porządku alfabetycznym, a w przypadku kolejnych dzieł autorów – według chronologii ich prawykonań. Co hasło – to identyczny układ z oryginalnym tytułem (a także, o ile jest, z przyjętym w Polsce). Jest podane nazwisko librecisty, jest streszczenie akcji, jest przedstawiona historia dzieła i jego dzieje sceniczne, są podani realizatorzy i wykonawcy spektakli prapremierowych, jest – co tytuł – komentarz analityczno-historyczny, są wymienione ważniejsze premiery a nawet rekomendowane wskazania dyskograficzne. Jest wreszcie tabela chronologii prawykonań, która zamyka tom drugi – od wymienionej już „La Dafne” Periego z 1597 roku.

No i co także ważne: to się czyta!... Przewodniki operowe, jak w ogóle wszelkie encyklopedyczne wydawnictwa i kompendia są z natury oschłe i bezbarwne. No bo i jakie mogą być chociażby streszczenia libretta, czy wstępy biograficzno-historyczne? A u Piotra Kamińskiego?... Dla przykładu – gdy prezentuje „Wiedeńską krew” Straussa – pisze: „W sumie przyszło na świat dziecię nie całkiem prawowite, coś w rodzaju muzycznej kreatury Frankenstein’a; podobnie jak zakochany potwór «Wiedeńska krew» ma jednak serce po właściwej stronie”. Oto próbka stylu i języka autora tego wyjątkowego dwuksięgu. Także ze względu na walory świetnego pióra „Tysiąc i jedna opera” nadaje się na lekturę dla samej czytelniczej satysfakcji. Obojętnie na której stronie te książki się otworzy – to się czyta!

Należy pogratulować polskiemu wydawcy: PWM EDITION – Polskiemu Wydawnictwu Muzycznemu S.A. w Krakowie, że w pięć lat po pierwszej francuskiej edycji dzieła Piotra Kamińskiego ukazało się także na polskim rynku w języku autora, który przełożył sam siebie z francuskiego na polski, opatrując także dowcipnym wstępem. „Tysiąc i jedna opera” to idealny prezent na każdą okazję – rzecz godna wznowienia, bo wygląda na to, że pierwszy nakład już się wyczerpał.

TADEUSZ KIJONKA

Hamburski prozaik Janusz Rudnicki nie po raz pierwszy przemycą do naszej prozy emigracyjną optykę widzenia problematyki pogranicza polsko-niemieckiego. Po „Moim Wehrmachcie” i nominowanej do nagrody NIKE powieści „Chodźcie, idziemy” otrzymujemy – również nakładem Wydawnictwa W.A.B. – kolejny tom świetnej prozy klasy A, w której niemłody już przecież pisarz wyraźnie rozwija skrzydła satyry i cynizmu.

Splot niesamowitych wypadków, jakie tworzą tę niecodzienną fabułę powieści, rozpoczyna dość niefortunny – jak się później okazuje – przyjazd Polaka na łono swojego kraju. Zamiar odwiedzin rodzicielki bohatera zostaje udaremniony wielką eksplozją gazu, która wstrząsa budynkiem, przeobrażając go w rumowisko. Szczęśliwie uwolnieni mieszkańcy udają się do Hamburga. Przyświeca im pewna misja. Na hanzeatyckiej ziemi ów swoisty obywatel Piszczyk zostaje wciągnięty *nolens volens* w łańcuszek groteskowych, rodem z surrealistycznego filmu Jarmuscha, z momentami makabreski Lyncha, perypetii. Te, choć starannie wybrane z listy naszych narodowych przywar (choćby permanentne poczucie krzywdy i wynikająca z niego roszczeniowa, ksenofobiczna postawa wobec współczesnych Niemiec) są niejako tłem w świetnej narracji „jednoosobowego cyrku objazdowego” Janusza Rudnickiego.

„Obracam zdania i tyle...” mówi znany literat E. I. Lonoff z „Cienia pisarza” Philipa Rotha. Autorowi „Mojego Wehrmachtu” również obce jest zadęcie towarzyszące poczuciu pisarskiej misji. Swoją, rozpadającą się pod wpływem eksplozji gazu blokadę, odważnie zestawia z katastroficzną wizją okrutnych rzezi na Kresach, które są dominantą innego prozaika osiadłego w Niemczech – Włodzimierza Odojewskiego. Paralela ta jest tym ostrzejsza, że Rudnicki nie kryje, iż zapamiętanemu Heimatowi daleko do mlekiem i miodem płynącej Arkadii – to raczej jakieś menelskie blokowisko, rodem z filmów Barei. O ile jednak przesłaniem zbioru Odojewskiego, pt.: „Jedźmy, wracajmy” z 2000 roku, jest czytelna konkluzja, by nie rozdrapywać z takim trudem zabliźnionych ran, by... nie jechać, wracać, bo nawet literackie powroty do utraconej Arkadii muszą być skazane na ból, obciążone ojczyźnianą agorafobią, którą raz na zawsze wszczepili bohaterom książek Odojewskiego rosyjscy i niemieccy żołdacy, o tyle w literackiej kategorii pamięci Rudnickiego jest miejsce na dystans, który umożliwia mu zaproszenie nas do nowego odkrywania siebie, naszych sąsiadów, twórczego poznawania historii najnow-



Heimat raz jeszcze

szej. Stąd czytelne zaproszenie: „chodźcie, idziemy”...

Z tak zwartej fabuły rezygnuje pisarz w swoim najnowszym tomie. „Śmierć czeskiego psa” stanowi raczej nieco chaotyczną wędrówkę po swoim nowym (mentalnym) Vaterlandzie (usytuowanym gdzieś na obrzeżach Górnego Śląska, z zaciekami gdzieś na Morawy, i dalej na Północ – przez Monachium ku Hamburgowi).

Ktoś zarzucił onegdaj Rudnickiemu, że jest „pisarzem, który mówi, nic nie mówiąc”, stylistycznym chuliganem, słownym „żonglerem z Hamburga”. Prawda – wywodzący się ze śląskiej ziemi prozaik polemizuje z romantyczną recepcją swojej małej ojczyzny, bo „człowiek powinien być większy od kontekstu. Człowiek to nie żarówka, żeby każda sytuacja wkręcała go w swoją oprawkę, a on świecił kiedy ona chce”. Toteż bohaterowie jego książek (Mleczarz, Pinkerton, Dostojewski, Madame Butterfly...) są niczym z eseju niemieckiej badaczki literatury – Claudi Benthien („Männlichkeit als Maskerade”) – mali, „skurczeni jak po praniu”, marionetkowi, przypadkowi. Przy czym fabuła jego utworów wyraźnie nawiązuje przecież do faktów (historii hamburskiego cmentarza, demonstracji byłych robot-

ników przymusowych w III Rzeszy, obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen czy licznym ludzkim perypetiom odnotowywanym w „prasówkach”, jak tej ze „Spiegla” dostarczonej nam w opowiadaniu „Robaczywy pacierz”). W „Śmierci czeskiego...” znajdziemy też kilka ukłonów literackich. A to – do autora „Marsza Radetzky’ego” (Josefa Rotha), to znów do twórcy „Teatru na Tarczyńskiej” – Mirona, którego „skondensowaną prozę” czyta, z którą spaceruje po swoim świecie, i którą wreszcie – twórczo przetwarza „konsumując na chłama świat” – jak miał wyrazić się Białoszewski (o sobie) w rozmowie z Anną Trznadel-Szczepanik (notabene z roku 1983) na łamach „Twórczości”. Rudnicki przyszedł przecież na świat w roku bardzo interesującym dla polskiej sceny literackiej (1956). Debiutujące wówczas „pokolenie Hłaski” (urodzeni w latach 1930-35 i debiutujący na łamach warszawskiej „Współczesności”: Hłasko, Nowakowski, Leja, Himilbsbach, Białoszewski i wielu innych) wyrażało swój bunt przeciwko beznadziejności zastanego świata, umieszczając często akcję powieści w środowiskach lumpenproletariatu. Jak pisał przed laty Stanisław Burkot, wynikało to w dużej mierze z chęci wyrwania się ze swoich środowisk, z szarości realiów komunistycznej Polski. Tego samego ducha możemy zdaje się odnaleźć w opowiadaniach Janusza Rudnickiego, który „pisać z lekko zjeżoną sierścią” uważa za swój obowiązek (psi)”. I choć jego nowy tom mikroopowiadań jest jakby „Drugim zabiciem psa”, drugim zbiorem parafraz świata otaczającego (pierwszy tego rodzaju zbiór – „Mój Wehrmacht” ogłosił pisarz pięć lat temu), to semantyczny kocioł spraw wagi społecznie wielkich i tych subiektywnie mniejszych zjednuje Rudnickiemu nowe rzesze urzeczonych jego prozą czytelników.

Jechać przeto, czy nie jechać? Z Rudnickim owszem, można i na Kresy, i na Zachód. Jechać więc jak najbardziej! Co więcej, dzięki takim pisarzom na Obczyźnie nasze wyjazdy stają się łatwiejsze, mądrzejsze, dojrzałe. Mamy ważnego ambasadora pojednania polsko-niemieckiego w Hamburgu. Głos gombrowiczowski, w kostium błazna przybrany. Podszyty absurdalnym humorem, jadowitą satyrą i niemal szaleństwem. Ale to mądry błazen – Stańczyk. Tylko wychodząc z „Okopów Świętej Trójcy” możemy otworzyć się na drugiego człowieka. Czy aby tylko wszyscy jesteśmy gotowi na obraz Polaka bez pozłoty?

MACIEJ
DĘBORÓG-BYLCZYŃSKI



Bez miodu

Tomik Samantha Kitsch zatytułowany „Helena” intryguje mnie choćby z jednego powodu. Powodem tym jest nieustanna walka pomiędzy chęcią symplifikacji odczuć, myśli, doświadczeń, a ich dokładnym zapisem. Mówiąc inaczej, cały czas trwa tu napięcie między przekazem czytelnym, prostym, a tym, który można nazwać zawiłym. Taka sytuacja wiąże się przede wszystkim z problemem wiarygodności języka, jego wytrzymałości na chaos i złożoność wrażeń oraz z pytaniem na ile język może nam pomóc w zrozumieniu, lub chociaż przybliżeniu, nas samych i świata. Ważkim komponentem tomiku, który wpisuje się w ów konflikt intensywnością, jest obrazowanie.

Autorka bardzo często zadaje wierszem pytanie czy można właśnie tak opisać sytuację / krajobraz i czy faktycznie możemy zilustrować słowem to, co narzuca nam życie. Dla poety takie pytanie jest pierwszorzędne, decyduje o wytrwaniu w poezji. Niektóre wiersze są wobec tego powtórzone, lecz powtórzone niedokładnie. Tak jest np. w wierszu „Na przełaj” gdzie kolejno czytamy: „kontynent składał się z wysp / złączonych wodospadem / między przypływem a odpływem” – „kontynent składał się z wysp / w marszu za horyzont / ścieżkę wydeptały kaktusy”.

Nie sposób w przytoczonych wersach nie dostrzec, iż przyroda w „Helenie” stanowi szczególnie miejsce. Wiersze jej poświęcone, lub tylko wykorzystujące jej niedosięte piękno, mimo nagłych zwrotów i załamania, wzruszają swą zmysłowością i namiętnością. Poetka, by oddać słowem kolor rzeki stosuje określenia bardzo dokładne, z pogranicza dotyku („seledynolazury” z wiersza „Miłość”). Innym zaś razem podsuwa nam obrazy jak ze snu: „pewnej błyszczaco-matowej jesieni / gdzieś na dnie pomarańczy / latawce zahaczone o koralowe rafy / wodospady z głębi powietrza”.

Mimo iż tomik pulsuje nietuzinkowymi rozwiązaniami stylistycznymi, rozbianiem znaczeń, to lektura całości tomiku daje nam specyficzną przyjemność. Przyjemność trudną, gdyż w końcu mamy do czynienia z nieskuteczną, choć nie nieudaną, próbą artykulacji doświadczeń życia codziennego, ogarnięcia wyobraźni i zapanowania nad recepcją widoku. Podmiot liryczny w sytuacjach opisowych zmagają się ciągle z próbą zrozumienia wszystkiego podczas gdy nie można zrozumieć prawie nic. Dominują tu wiersze pełne niespodziewanych błysków, karkołomnych zakrętów, i niewiele jest takich, które pozwalają na spokojny, głęboki oddech, choć wiersze najkrótsze jakby do tego zachęcają: „Gwoździe w szufladzie zalał miód”, „Wzbijając tuman mąki / Łabędzie piórko przepoławia diament”.

Rzuca się w oczy różnorodność tematyczna wierszy zawartych w tomiku (od miłości, poprzez temat wolności, strachu, niepewności, bólu), różnorodność formy oraz nieprzystawalność możliwych interpretacji poszczególnych utworów. Niektóre utwory przyciągają uwagę od razu, do innych trzeba podchodzić kilkakrotnie. Jedne się rozumie, drugie czuje, co powoduje, iż łaskawszym okiem patrzy się na awangardowe chwytły. Albowiem trudne jest piękno eksperymentu: czytelnik oszołomiony niezwykłością ekspresji i urody czasami nie jest w stanie ocenić wartości utworu i książki.

ILONA KULA



O ciemności, dworcu i...

„Ciemność płonie- rozległ się szept zarazem ze wsząd i znikąd. Brzmiał, jakoby dobiegał równocześnie z tysięcy ust...”

To nie jeden z kolejnych kiczowatych horrorów, które zalały rynek w ostatnim czasie, lecz książka wyróżniająca się, nie tylko stylem, pomysłem, ale i miejscem akcji. Po Wrocławiu, tak świetnie opisanym przez Marka Krajewskiego przyszedł czas i na Katowice, które stały się przestrzenią wydarzeń opisanych przez Jakuba Ćwieka w powieści *Ciemność płonie*.

Katowice, nie są miastem z długą tradycją. Nie mają ani miejsc z nostalgicznym nastrojem ani takich, które sięgają grozę. Wydają się być szare, brudne i nijakie, takie są dla przeciętnego mieszkańca. Taką mają opinię.

Osoba, która włożyła więcej wysiłku w poznanie miejsca zamieszkania zapewne zgodzi się z opinią, że to nieprawda. Jest wiele perełek, które są unikatowe: miejsc czy budynków, które wprawiają w zachwyt dość wymienić: Urząd Wojewódzki, Akademię Muzyczną czy kościół Mariacki. Nie one jednak stały się przedmiotem dyskusji na stronach gazet w ostatnich miesiącach.

Stał się nim dworzec PKP. Niewiele osób może o nim coś dobrego powiedzieć. Ci, którzy znają go z widzenia zachwycają się „architekturą kielichowego sklepienia”. Ci, którzy z niego korzystają narzekają na du-

chotę, smród i tłumy nieustannie nagabujących turystów kłoszardów. Ktoś powiedziałby szkoda, wciąż wracać do tego tematu, a jednak nie.

Książka wydana przez wydawnictwo Fabryka Słów zmusza do zmiany zdania.

Akcja toczy się w Katowicach opianowanych przez ciemność, która spala wszystko, co spotka na swojej drodze. Niby wszystko wydaje się normalne, jednak po zmroku nie ma człowieka, nie opianowanego przez zło lub nim nie zagrożonego. W ponurej tej wizji miejscem niedostępnym dla ciemności jest katowicki dworzec. W rzeczywistości zwany przez bezdomnych umieralnią, w książce staje się ostatnim miejscem, które nie płonie. Natomiast kłoszardzi są osobami, które nie mieszkają tam w wyniku spłotu niekorzystnych wydarzeń życiowych ani też z wyboru ale właśnie z powodu chęci uniknięcia zła. Znają też sekret, który pozwala pozostać nietykającym. Jest to moneta, na której wygrawerowany jest wizerunek katowickiego dworca.

Pewnego dnia Natka, studentka kulturoznawstwa, nieświadoma posiadania skarbu oddaje go jako dowód wdzięczności mężczyźnie, który bronił ją przed pobiciem. To ocalenie staje się dla dziewczyny początkiem horroru. Akcja jest tak wartka i wciągająca, że czyta się jednym tchem. Czytelnik zwracający uwagę na szczegóły stwierdzi, że wszystkie opisane miejsca istnieją w Katowicach. Jest tu i archikatedra Chrystusa Króla i Górnośląskie Centrum Kultury, McDonald's i piękna zabudowa ulicy Kościuszki, a przede wszystkim genialnie opisany dworzec wraz z atmosferą na nim panującą. Studium to zresztą nie dziwi. Autor spędził niejedną noc wśród bezdomnych tu mieszkających, aby poznać ich obyczaje, nawyki i żargon.

Książkę warto przeczytać płynność akcji zachwyca, groza wydarzeń przeraża. Nie jest to na pewno lektura dla osób o słabych nerwach. Uczy ona także innego spojrzenia na osoby przebywające na dworcu i daje nadzieję na odmianę ich losu. Może powieść Jakuba Ćwieka powinny przeczytać osoby zajmujące się zagospodarowaniem przestrzennym Katowic. By mogło to miasto dać impuls literatom, do osadzenia na katowickim dworcu akcji romansu dziejącego się w Katowicach lub dobrej współczesnej powieści obyczajowej.

JAN KWAŚNIEWICZ

Zdania na wypadek Karola Maliszewskiego to wybór wierszy przede wszystkim ascetycznych, surowych, momentami ma się wrażenie, że niezbyt ulirycznionych – zresztą w poetyckim posłowie do tomiku Jacek Gutorow – kolega po piórze – przyznaje się do bezradności lekturowo-interpretacyjnej utworów Maliszewskiego: „W jego dorobku odnajduję teksty, których urok jest początkowo niezrozumiały i polega na osobliwym zawieszeniu głosu, kiedy Maliszewski zdaje się nie wiedzieć, kim jest, i pozwala słowom przebiegać przez scenę wiersza. Być może chodzi tu o spiętrzenie doznań i doświadczeń tak wielkie, że wyważa język z zawiasów i pozwala słowom składać się na nowo [...]. A może chodzi o świadomą próbę wiersza nieoswojonego [...]”. Maliszewski w *Zdaniach na wypadek* uniemożliwia praktycznie prosty zachwyt, daleki jest zarówno od lingwistycznych poszukiwań, jak i liryki konfesyjnej; daje się tu wyznaczyć kilka określonych kręgów tematycznych, kilka powtarzalnych rozwiązań – ale pewne jest tylko jedno: lektura tego wyboru tekstów wiąże się z ciągłym poczuciem zagubienia czytelnika. Poeta chętnie wyprowadza na manowce, zwodzi i oszukuje, ukrywając się za materią wiersza (a prawie każdy utwór cechuje się odmienną od poprzedniego fakturą) – rejestru wrażeń, wiersza-komentarza, wiersza-wspomnienia. Mimo autobiograficznych fraz, z których często wyrastają kolejne teksty *Zdań na wypadek*, Maliszewski sprawia wrażenie, że najchętniej posługiwałby się liryką maski. Przekuwa na formę wiersza doznania i strzępki reminiscencyjne, lecz zachowuje i wyraźny dystans emocjonalny, którego nie są w stanie zniwelować nawet sformułowania *ex definione* obarczone nieobiektywnymi sensami. Zbiorek przypomina pod względem konstrukcji mozaikę – poszczególne teksty pasują do siebie, ale oglądane pojedynczo ujawniają zupełnie inne znaczenia, niż gdy są traktowane jako części większej całości, kompozycji harmonijnej mimo zróżnicowania powierzchni i kształtów.

Dwóch płaszczyzn podczas lektury tego wyboru nie da się pominąć. Maliszewski jest stanowczy, jeśli chodzi o poezję i konsekwentny w prezentowaniu krajobrazów poetyckich peryferii (*notabene*, w sztucznie wygenerowanej liryce lokalnej znacznie częściej sięga po impresyjność czy metaforę; małą ojczyznę, którą znajduje w górskich szlakach, oswojonych pejzażach i wyciszeniu, przedstawia jako źródło natchnienia, poetyckiej epifanii). Obrazy autotematyzmu i poezji miejsca zostały ze sobą skontrastowane dzięki zmienności postaw autora. Pisanie wierszy to zagadnienie, które wyraźnie nurtuje Maliszewskiego, ale i proces



Mozaika

według utworów zgromadzonych w *Zdaniach na wypadek* skazany na ciągłe niepowodzenia. Kultura w tym ujęciu przegrywa z popkulturą, a elitarność przestaje być pożądana, jak stwierdza Maliszewski: „Disco polo wchodzi łatwo, nic nie / bojąc, jak świeca. Poeta nie. // Poeta się pierdoli, rwie, stwarza / problemy językowe: podmienia / znaczenia, podmywa dawno wykrystalizowane / pojęcia, przedstawia minerały akcentów”. Próby uchwycenia sedna twórczości muszą kończyć się porażką – przecież „[...] różne kawałki / krążą, składając poetę”: autor wierszy staje się formą niegotową, nieukształtowaną ostatecznie, otwartą na oceny i interpretacje – prezentowanie siebie zakrawa na poetycki ekshibicjonizm, nagle okazuje się, że kwestie metaliterackie to zagadnienia o największym stopniu intymności. Do wizerunku twórcy należy włączyć bezradność: „[...] wracałem nad ranem pamiętając / że miałem coś ważnego do powiedzenia / ludzkości świata narodowi naszemu”. Ogrom odpowiedzialności poety zestawia Maliszewski z absurdem doświadczeń artysty, prezentowanego jako maszyna: „Pisanie przepisywanie wysyłanie na adres / redakcji skamlenie u drzwi wydawnictw ukrywanie się za godłem [...]”. Wśród pozaartystycznych powinności literata niknie wizja sztuki. Ale Karol Maliszewski nie przestaje być pesymistą w wysnuwaniu wierszy z doświadczeń pedagoga. Kilka razy powraca w książce motyw nauczyciela, który zmagać się musi z pozaeduka-

cyjnymi problemami – widzi ofiary przemocy w rodzinie czy beztroskę młodych ludzi. Pozostaje tu jednak obserwatorem – tak samo jak w przypadku portretu-wspomnienia o starej Niemce. Poeta łączy chow „do wewnętrznej kieszonki z zapiskami”, nie chcąc ulegać łatwym wzruszeniom. Na ujawnianie emocji pozwala sobie jedynie w powrotach do miejsc zapamiętanych z dzieciństwa i cały czas bliskich.

Czytelnicy mogą w ten sposób poznać drugie oblicze Karola Maliszewskiego – poety obrazu. Małe kaplice i kościoły, szumiące rzeczki i smutne ogniska składają się na przestrzeń prywatną, oswojoną i bezpieczną. Otrzymujemy w ten sposób zespół tekstów silnie zakorzenionych w konkretnym terenie (widnieje tu Nowa Ruda, Słupiec z rzeką Dzik, kościół w Głuszycy, Woliborka, Sudeły). I tu pojawiają się najciekawsze, a zarazem najbardziej urokliwe partie książki. „Urodziłem się w okolicy pozabawionej / katedr – luster wyższej wiary, / pośród wzgórz kręcących się w kółko” – pisze autor, zdradzając także mimochodem talent do aforystycznych komentarzy. Maliszewski tworzy urzekające obrazki, pełne ciepła i spokoju mimo wszystko. Nie ma tu wizji arkadyjskiej krainy, bywa, że wiersze niosą mocno przygnębiającą treść, a przepełnione są jednak atmosferą charakterystyczną dla powrotów do kraju lat dziecińczych.

Da się zauważyć związki tej poezji ze zdobyczami o’harystów. Kiedy Maliszewski pisze wiersz, stara się uchwycić w nim zwyczajność – i sprawia wrażenie, jakby chciał w tę samą zwyczajność wtłoczyć zrodzony właśnie tekst. Wiersze ze *Zdań na wypadek* często nie mają wyraźnie zarysowanego początku ani końca – ot, drobne impresje na temat raz zauważonego, podbarwione czymś w rodzaju egzystencjalnych westchnień czy może – i czasami to wydaje się być trafniejszym określeniem – przelotnych zmęczeń i znużeń. Maliszewski akceptuje świat z trudem, stąd część jego utworów przepojona jest niezgodą na przygnębiającą (z różnych powodów) codzienność, część natomiast nasyciła się ciężką rezygnacją. W niełatwej konfrontacji człowiek-świat przegranym musi okazać się poeta.

Pisał o Maliszewskim Marian Ki-siel: „jest w jego poezji ton niepokojący, który zdefiniowałbym jako balansowanie na cienkiej linii emocji. Wiersz staje się wtedy raczej przelaniem impresji niż oddaniem myśli”. Te słowa także dałoby się zastosować do *Zdań na wypadek* – tomiku, który opiera się łatwym klasyfikacjom.

IZABELA MIKRUT

„Ostatnio nazywają Jankowskiego poetą religijnym. Jest to jednak poeta religijny nietypowy, niepodobny do innych, własny, poza tym całkiem nieprzewidywany, bo stale na drodze wewnętrznego rozwoju. Liryk niespokojny, denerwujący, paradoksalny, wilk morski walczący z żywiołem, intelektualista, który chociaż sam temu zaprzecza, ulega pokusie uchwycenia się myśli, a nie intuicji i uczucia w swoim dramacie poznawania Boga” – to słowa ks. Jana Twardowskiego odnoszące się do twórczości Zbigniewa Jankowskiego, tak na dobrą sprawę mogłyby być one trafnym komentarzem do poezji samego księdza, oczywiście z pominięciem statusu wilka morskiego. Tak rzecz ma się zawsze wtedy, kiedy poeta próbuje opisać innego poetę i kiedy własne perypetie metafizyczne są czymś żywym, uniwersalnym, a w głębszej, ukrytej treści stają się doświadczeniem wspólnym. Jednak tym, co najbardziej pociąga w tej łączności jest odnajdywanie swoistości oraz odmienności językowej, tej szczególnej duchowej materii, usiłującej zmierzyć się z różnorodnymi możliwościami trwania. Za tym kryje się zawsze inna biografia, inny los, inny Bóg, inne widzenie rzeczywistości, które w przypadku Jankowskiego, będzie permanentnym pragnieniem zobaczenia jej w ruchu, w stawaniu się na przecięciu ziemskiej i kosmicznej linii morza. W nieustającej, poszukującej dialektyce intuicji oraz intelektu toczącej się w przytomności ludzkiej.

Biografia i poezja – nie można poniechać pierwszej, jeśli nie chce się zafałszować drugiej, zwłaszcza jeśli ma się do czynienia z wyborem wierszy z półwiecznej aktywności poetyckiej, zebranymi w tomie pt. „Biały delfin”. Zbigniew Jankowski urodził się w 1931 roku w Bydgoszczy, studia polonistyczne odbywa w Katowicach, po drugiej wojnie światowej przemierza wioski i miasta, dopiero na dłużej zatrzymuje się w Rybniku (1956-1965), w latach 1965-1971 mieszka w Kołobrzegu, potem przebywa we Wrocławiu (1971-1975), aby wreszcie od 1975 roku osiąść w Sopocie. Różne miejsca i różne epoki w niedawnej historii Polski-szczegółowe zbadanie wielorakich kontekstów kulturowych i społeczno-politycznych tego życiorysu już samo w sobie byłoby zajęciem fascynującym. Uwidoczniony tutaj topos wędrówki tej realnej i tej mentalnej czyż nie jest tęsknotą za absolutnym początkiem? Postój w tak wielu miej-



W całości świata

scach czyż nie jest tęsknotą za jednością? Ponadto ileż tu inspiracji oraz materiału twórczego, kiedy rozpoznajemy treści danego miejsca we wspomnieniu, z dystansu albo z punktu widzenia innego miejsca. Wtedy droga egzystencji staje się zbieżna z drogą poezji, zaś sam poeta jest dialogiem faktu i zjawiska, tego, co przeżyte i tego, co wyrażone, doczesności oraz wieczności, wreszcie człowieka i Boga – nie danego raz na zawsze, nie ortodoksyjnego, nie polecającego autorytatywnie to czy tamto, lecz wciąż przetrząsanego między uczuciem, wizją, milczeniem, a myśleniem, językiem, naturą jako jego obrazem.

Dopiero jednak otwarcie się na świat, a przede wszystkim drugiego człowieka nadaje tym poetyckim próbom zmierzenia się z własną skończonością oraz eschatologią, etosu i uwierzytelnienia literackiej kreacji. I tak Jankowski jest między innymi organizatorem i prezesem Klubu Literackiego „Kontakty”, inicjuje ważne dla kultury Górnego Śląska Rybnickie Dni Literatury, w Kołobrzegu zaś tworzy unikalną grupę twórców marynistycznych „Reda”, we Wrocławiu prezesuje Dolnośląskiemu Oddziałowi Stowarzyszenia

Marynistów Polskich, aktywnie jest związany z Duszpasterstwem Akademickim. Zmierzył się z Morzem Bałtyckim, a nawet z Atlantykiem i Pacyfikiem – poznał realność tego, co niezmierzone, arefleksyjne, niezależne i nieuchwytne w swej istocie, poznał materię wody do cna, aby odnaleźć w niej Transcendencję.

Te akwatywne ekspresje znajdziemy w zbiorze „Biały delfin”, są one próbą uchwycenia tego, co nieuchwytne, wyrażenia tego, co niewyrażalne; swoją monotonna, lecz gdzieś migotliwą plastycznością nie chcą odzwierciedlać morskiej toni, lecz pragną rozerwać jej ciemną, falującą, tajemniczą powłokę aktem ziszczającego się słowa – ostatecznej obiektywności, której eksplikacji towarzyszą nie tylko osobiste przecucia i przemyślenia, ale także parafrazy biblijnych postaci czy przypowieści, jak również bogata tradycja literacka (Melville, Conrad). Ponadto czytelnik może śledzić trudne, a nawet bolesne cyrkulacje kształtującego się wiersza, kiedy podmiot liryczny wie, że spór z formą, kiedy popada w impas niespełnienia, a mimo to nie poddaje się rezygnacji – owe stany rodzą pokorę, a nade wszystko odpowiedzialność za słowo, dumne poetyckie ja rozwiązuje na korzyść wyrażanej rzeczy: „Tak pisać / abyś przeświecał / przez piszącą rękę” (s. 45).

Obok tematyki marynistycznej i autotelicznej odnajdziemy również utwory poświęcone regionowi, z jakim był związany poeta („Z mojego Śląska”). Co znamienne, w wyborze wierszy z kilkudziesięciu lat, na każdym etapie drogi twórczej Jankowskiego, pojawiają się utwory religijne. Ich mistyka jest najczęściej wykładnią poznania fizycznego, będącego pomyłką lub iluzją oraz poznania intuicyjnego, duchowego, z pierwotną wrażliwością bezpośrednio dostępującego rzeczywistości. We współczesnej kulturze braku paradygmatu etycznego i estetycznego, i poznawczego, w kulturze chaotycznych gier z tradycją i nieautentycznością, wiersze Jankowskiego zachowują swoją tożsamość, całość oraz pełnię egzystencjalnych pytań o człowieka, naturę, Boga. I należy mieć nadzieję, że na przekór powszechnej cywilizacyjnej entropii, znajdą swojego czytelnika. Czyli kogoś, dla kogo wciąż ważne i potrzebne są te wymiary rzeczywistości, gdzie tętni Transcendencja i Sacrum.

BOGDAN NOWICKI

Dokąd zmierzamy? Jaki sens ma pokonywana przez nas droga? Co zyskujemy, a co tracimy w tej życiowej wędrówce? Na bazie tych i innych podobnych pytań czy też dociekań buduje swój aksjologiczny dyskurs Maciej Dęboróg-Bylczyński. Jego debiut prozatorski, noszący tytuł *Kolej na los* ma bowiem coś z traktatu filozoficznego, meandryczna narracja posiada potencjał refleksyjny, ciężący w kierunku melancholii i egzystencjalnej zadumy. Już samo motto zaczerpnięte z ewangelii św. Mateusza i słów Czesława Miłosza wyznacza czytelnikowi określony azymut interpretacyjny. Szczególnie sugestywne na tym tle wydaje się być pierwsze z nich, odnoszące się do nowotestamentowego obrazu powołania celnika. Poprzez tożsamość imienia zasugerowany zostaje związek sytuacyjny między bohaterem powieści a przyszląłym apostołem (*Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają*). Werbalny ślad twórcy *Doliny Issy* stanowi z kolei esencję powziętego przez pisarza tematu – ludzkich rozgrywek z przeznaczeniem, rozpacz, która pojawia się wraz ze świadomością, jak niewiele (i paradoksalnie dużo) od człowieka zależy.

Postacie tej powieści choć naszkicowane grubą kreską, nie stąpają po ziemi twardo i zdecydowanie, na ich twarzach widnieje, na charakterze zaś odciska swój ślad tożsamościowa przezroczystość, papierowość, której prototypy możemy odnaleźć w charakterologii Magdaleny Tulli czy Olgi Tokarczuk. Życie protagonisty *Kolei na los* jawi się tu w formie mozaiki niedokończonych, pełnej miejsc pustych bądź też omyłkowo dopasowanych. Odbiorca wraz z bohaterem odbywa swoistą peregrynację, której cel pozostaje wciąż pod znakiem zapytania. Opowieść o przekraczanych przez Mateusza Webera życiowych progach, jakimi są tu nauka, praca, uczuciowe zaangażowanie, śmierć, ewokowana jest poprzez wędrówkę, podróż. Wiele faktów, wydarzeń, zajęć, w których uczestniczył, poznajemy w trakcie jego jazdy pociągiem, podczas postojów na dworcach, poczekalniach. Metaforę drzemającą w antraktowości owej „ziemi niczyjej” pisarz wykorzystał, by wzmocnić brak zakorzenienia i swoisty rozjazd egzystencjalny człowieka, którego uczynił agensem swej opowieści.

Skrawkowość i rozmycie jego losu potęguje wspomniana wcześniej narracja. Ni stąd ni zowąd linearność zaprezentowanej historii przecinają listy do Kornela, wyimaginowanego, bądź też zaprojektowanego z wyprzedzeniem (bohater potencjalny?) syna Mateusza, któremu bohater powierza swoje sekrety. Efekt retardacyjny stwarzają także włączane w główny obieg narracyjny wydarzenia epizodyczne, jak na przykład opowieść o sadystycznym byłym mężu partnerki protagonisty – Miony.



W koleinach życia

Kolej na los urzeka swą stylistyką i naddatkiem subtelno intelektualizmu. W języku, finezyjnym ukształtowaniu syntaktycznym, leksykalnych asocjacjach można się tu rozsmakować, jak w prozie Wojciecha Kuczoka, maniera estetyczna u obu twórców wpływa bowiem z tych samych źródeł – werbalnego eksperymentu. W powieści tej potoczny i wulgarny koegzystują na równi z językiem podniosłym, bogatym semantycznie, obnażającym erudycję i szerokie horyzonty światopoglądowe piszącego. Jednym z ciekawszych zabiegów leksykalnych jest tu stylizacja na język biblijny, przypowieściowy i operowanie metaforą sakralną, która pojawia się głównie w kontekście rozważań i przemyśleń bohatera. Odnajdujemy ją m.in. we fragmencie: *Był Karabek kapłanem upadłych aniołów, ale czyż owi „upadli” właśnie nie dostąpili poznania dobra i zła? (...) Czyż ich życie nie było jaskrawym przykładem suwerenności człowieka. Tej suwerenności i wolności, o której my – żyjący w okowach norm i ról społecznych – mogliśmy tylko pomarzyć? Skąd pewność, czy owi Karabici Warszawy, Poznania, Gdańska nie byli niechcianymi, odrzuconymi na margines „dobrego wychowania” nazarejczykami?* Pozostając w kręgu literackich wpływów, warto zauważyć, że u Dęboroga-Bylczyńskiego uwidacznia się także skłonność do eksploatacji „Kuczokowych”

wątków. Służąca za przykład początkowa scena zauroczenia piękną nieznajomą, która rozgrywa się podczas uciążliwej podróży pociągiem, niemalże od razu uaktywniła i skierowała czytelniczą pamięć w stronę opowiadania *Winniczek (apokryf)*, należącego do wydanego kilka lat temu zbioru *Opowieści przebrane*.

Obok powieściowego debiutu młodego krytyka i eseisty nie sposób przejść obojętnie. Wspomnianej niejednorodności formalnej towarzyszy także różnorodność w sferze opowiedzianej historii. Ciągłe balansowanie na granicy wzniosłości i moralnego wyjałowienia czyni bohatera tej prozy niezwykle przekonującym, czyli takim, którego dotyka, podobnie jak wielu ludzi, tak charakterystyczna dla współczesności wysoka amplituda postaw i zachowań, ufundowana przez infekującą struktury społeczne dewaluację pojęć. Mateusz Weber choć wciąż wystawiany na przysłowiowe pokuszenie (błądzenie w szeregach fałszywych ideologicznie instytucji, uleganie urokowi łatwego, hedonistycznego seksu, aranżowanego na portalach internetowych) ostatecznie wybiera tę dobrą stronę, której symbolem staje się tu mentalny powrót na łono zaprzepaszczonej miłości. Wybór ten jednak, co sugeruje niejednoznaczny epilog, nie przynosi oczywistego, jak można by się spodziewać, happy endu. Pytania, zamiast zmierzać ku odpowiedziom, mnożą kolejne rozterki i wahania, co kompozycyjnie, uzyskuje autor eliptyczną frazą: *I znów jadę. Do kogo tym razem? Czy do niej? A może do siebie, swoich wątpliwości i uniesień? Małych i większych odkryć i zaciemnień? Kim byłem? Kim jestem teraz?* Nieudana próba samobójcza, dokonana przez bohatera implikuje tu ponowną szansę na życie, jego odnowę, wewnętrzną metamorfozę.

Ow epicki traktat o kondycji człowieka ponowoczesnego, choć aktywuje znane polskiej prozie rejony tematyczne, przynosi ciekawe rozpoznania natury humanistycznej. Bo choć znamionuje tożsamościowe rozproszenie, nie zamyka bohatera w (o) błędnym kole pesymizmu i psychicznej dewastacji, jak obserwujemy to w m.in. u Kuczoka (*Gnój*), czy w powieściach Mirosława Nahacza (*Osiem cztery*, *Niezwykłe przygody Roberta Robura*), Tomasza Białkowskiego (*Pogrzeby*, *Zmarzlina*) a także Mariusza Sieniewicza (*Rebelia*, *Czwarte niebo*). Dęboróg-Bylczyński pozostawia bowiem dla swoich bohaterów spory rezerwuarn nadziei i wiary w odmienną losu, w możliwość skierowania go na inny, lepszy trakt. Wytycza horyzonty moralności, ale nie moralizuje, a to, patrząc przez pryzmat jakości odbioru, najważniejsze...

ANNA KOŁODZIEJSKA

Z przekłętego raju. Zapiski Górnoślązaków deportowanych w 1945 r. do ZSRR. [Oprac. Kornelia Banaś, Sebastian Rosenbaum] Wyd. Oddział IPN – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, Katowice 2009, s. 144.

Przez dziesięciolecia wywózki były tematem tabu. Wymarli ci, którzy „przekłętego raju” doświadczyli, przetrwało niewiele pisemnych świadectw, a i te ustne, zapamiętane przez rodziny, dziś należą do rzadkości. Nie wiadomo nawet ilu było tych białych niewolników, bo radzieckie archiwa pozostają zamknięte. Tym cenniejsze są dokumenty, które ocalały. Książka zawiera cztery materiały (dzienniki, listy, relację). Trzy napisane po niemiecku, dlatego po polskich przekładach wydrukowano je w oryginale. A przecież dwóch autorów wróciło do Polski (jeden nawet uciekł z transportu do NRD). Biogramy dołączone do materiałów źródłowych pokazują tragedię osób, dla których koniec wojny nie był końcem tragicznych doświadczeń. Relacji z katorżniczej pracy w łagrach opublikowano sporo, są to więc sprawy znane. O śląskich losach wiemy natomiast mało, dlatego tę pozycję polecam.

Życie i Myśl. Zeszyty problemowe. (24) Śląsk w zjednoczonej Europie. Wyd. „Civitas Christiana” Ośrodek Programowy, Opole – Poznań – Warszawa 2008, s. 68.

Na 24. Zeszyt złożyły się materiały z dwóch konferencji zorganizowanych przez „Civitas Christiana” w Opolu i Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Tytuł jest trochę mylący, ponieważ Europa ograniczona została właściwie do Niemiec, zaś tekst o modelu małżeństwa i rodziny w środowisku polonijnym w Niemczech dotyczy nie tylko Ślązaków. Ale wszystkie artykuły bardzo ciekawe. Dwa dotyczą wyjazdów zarobkowych. Pozostałe to teksty na temat zasobów IPN, Gustawa Morcinka, świadomości małej ojczyzny wśród mieszkańców Opolszczyzny przybyłych ze Wschodu po 1945 roku oraz wspomniany wyżej materiał o polonijnych małżeństwach. Jest również wystąpienie redakcyjnego kolegi, Krzysztofa Karwata, w nim zaś ciekawe uwagi na temat śląskich miejsc na granicy polsko-niemieckiej z 1922 roku. Szkoda tylko, że wydawca poskąpił środków na korektę, bo liczne literówki bardzo denerwują (już na okładce wydrukowano słowo „świadomość”).

Kazimierz Brakoniecki: W Bretanii. Wyd. Centrum Polsko-Francuskie Cotes d’Armor – Warmia i Mazury w Olsztynie, Olsztyn 2009, s. 160 plus 14 nlb.

Brakoniecki jest poetą, eseistą, przede wszystkim zaś człowiekiem zauroczonym Bretanią. I – co należy podkreślić – umie się tą swoją fascynacją podzielić z czytelnikiem. Francja wydawała mi się państwem jednolitym terytorialnie i narodowościowo, może z wyjątkiem Alzacji i Lotaryngii – krain będących przedmiotem konfliktów z Niemcami. Dopiero autor książki uzmysłowił mi, że gdyby nie określone wydarzenia historyczne. Francja (ba! Europa!) mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Jeszcze większa była moja ignorancja dotycząca Bretanii. Spośród około 20 nazwisk znanych, czy nawet sławnych Bretończyków znałem jedynie kolarza Bernarda Hinault, pisarza Julesa Verne i biznesmena Eduarda Leclerca (supermarket „E. Leclerc” wybudowano w Katowicach-Ochojcu). Dzięki Brakonieckiemu wiem teraz o Bretanii całkiem sporo, co więcej – nabrałem ochoty, aby tam pojechać i zobaczyć opisane rzeczy na własne oczy. Oto czym „grozi” lektura tej książki.

Bogusław Tracz: Trzecia dekada. Gliwice 1971-1981. Wyd. Oddział IPN – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, Katowice 2009, s. 230.

Podobne publikacje poświęcone poprzednim powojennym dekadom w Gliwicach wydało Muzeum tego miasta. Piszę „podobne”, bo *Trzecia dekada*, również złożona z ułożonych chronologicznie informacji znalezionych w prasie i archiwach, jest jednak znacznie obszerniejsza, a sam wybór wiadomości poprzedzony został liczącym ponad 20 stron wprowadzeniem *Gliwice w latach 1971-1981 – próba syntezy*. W tamtym czasie istniała cenzura, dziennikarze pisali to, co się władzy podobало, prasa była własnością partyjnego koncernu RSW, a mimo to sporo w tych archiwalnych „newsach” materiałów, które mogłyby się znaleźć w „akcie oskarżenia” PRL-u. Np. wiadomość, że milicja złapała kilkunastu długowłosych mężczyzn – gliwickich hipisów, którzy zostali przymusowo ostrzyżeni. Ileż to mówi o przestrzeganiu praw człowieka. Pouczająca lektura dla młodych, którzy myślą, że to Bareja wymyślił absurdalną rzeczywistość serialu *Alternatywy 4*.

W przestrzeni dotyku. Seria: Medium Mundi V. [Red. Jacek Kurek, Krzysztof Maliszewski] Wyd. Miejski Dom Kultury „Batory” w Chorzowie, Chorzów 2009, s. 226.

Kolejny tom z niezwykle interesującej serii zapoczątkowanej publikacją *Śląsk – miejsce spotkania*. Tym razem temat przekracza granice regionu (podobnie jak *Z tęsknoty za mistrzem*). Książka składa się z trzech części, pierwsza to *U źródeł*, druga – *Muzy*, trzecia – *Między ludzkie*. Wiele tematów, wielu autorów, wspólnym mianownikiem jest humanistyczna refleksja związana z cielesnością człowieka. Aby dać wyobrażenie o zakresie poruszanych problemów wymieniam kilka tytułów: Irma Kozina – *„Widziane rękami” – kwestia dotyku w sztukach plastycznych*, Jacek Kurek – *Dłonie (o wiecznym pragnieniu odwzajemnionej miłości)*, Barbara Kopczyńska – *Dotyk jako forma komunikacji z chorym – doświadczenia lekarza hospicjum*. Widać, że tematyka bardzo zróżnicowana, każdy może w tej książce znaleźć „coś dla siebie”. Dodatkowym walorem publikacji są liczne ilustracje oraz płytka Bogdana Mizerskiego *OWO TUŻ TUŻ. XII STACJI ARCOPICCI*.

Aleksandra Skrzypiec: Francuskie zabiegi o koronę polską po śmierci Jana III Sobieskiego. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2009, s. 232.

Praca dotyczy mało znanej „szaremu czytelnikowi” kwestii powstania w Polsce stronnictwa francuskiego, które chciało korony polskiej dla księcia Conti. Niestety, przegrał on swoją szansę (trochę z własnej winy) i naszym królem został August II, nie cieszący się specjalną sympatią. Książka Skrzypiec jest pracą naukową (wydał ją przecież Uniwersytet), ale czyta się ją bardzo dobrze, bo to właściwie rzecz o politycznym knuciu, a więc czymś, co nam się kojarzy ze współczesnością. Jednym ze źródeł była dla autorki korespondencja, dzięki której można było się dowiedzieć, co myśleli lub robili ludzie jakoś zaangażowani wtedy w politykę. Niestety, w ich listach sporo nawiązań do pism tajnych, które należało zniszczyć po przeczytaniu, aluzji do wiadomości przekazywanych przez zaufanego posłańca itd. Z zachowanych dokumentów wiemy – dzięki autorce – jak to było, ale myślę, że w tej sprawie miałyby co robić jakaś ówczesna „komisja śledcza”.

ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Kiedy Czesław Płaczek jeszcze nie był dyrygentem, był naszym kolegą muzykiem ze Studium Wojskowego, jakie nam urządzono w Akademii Muzycznej.

W trosce o nasze palce tak niezbędne do uprawiania sztuki nie używano nas do pogłębiania transzei, okopywania się, czołgania się w błocie, ćwicząc nas na obrońców ludowej ojczyzny w sposób nader kulturalny.

Tak było tylko do czasu przyłączenia nas do Studium Wojskowego przy Akademii Ekonomicznej, potem zaczęły się schody.

Tam to nawet nazwiska naszych nowych dowódców brzmiały zdecydowanie groźniej....

A więc zaczęło się prawdziwe szkolenie, a czwartki stały się najmniej ulubionym dniem tygodnia.

Po zakończeniu trzyletnich, co czwartkowych marszobiegów w gązmaskach na terenie Muchowca, Żałęskiej Hałdy i innych podmiejskich uroczysk. zaproszono nas na poligon w Krośnie Odrzańskim, gdzie próbowano nam uzmysłowić, że służba ojczyźnie to twardy żołnierski orzech do zgryzienia.

Nam plastynom jednakże bywało źle, bo podczas gdy nasi koledzy docierali się w błocie, myśmy to czołganie z dodaniem odpowiedniego hasła malowali na planszach, na życzenie szefa propagandy jednostki.

Nasze dowództwo było trochę wściekłe z powodu absencji w ćwiczeniach, no ale po co się chwaliłi, że mają artystów w marszbatalionie.

Wkrótce jednak przyszły dni kiedy i nas wzięto w obroty.

W trzydniowym natarciu z marszu, pokonaliśmy dziesiątki kilometrów na rubież npla, który umocnił się w widłach Odry i Bobru.

I wtedy to przed ostatecznym natarciem, dowodzący naszym batalionem kapitan zwany przez nas Okeć nakazał mi wydanie rozkazu zwiadowi rozpoznającemu wzgórze 232 i nawiązania łączności ze szpicą co zalegała na wysuniętej rubieży.

Przedemną stał Czesław Płaczek z radiostacją wielkości szafki nocnej na plecach i z lękiem spoglądał na mnie spod przydużego hełmu.

– nie, nie mogę nawiązać łączności no, no z tymi tam w przodku... wycedził Czesio.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. nie umiałem sformułować odpowiedniego rozkazu więc zacząłem krzyczeć:

– Ty mi tu k... nie p... i jak nie możesz nawiązać łączności to bierz dupę w troki i z... biegiem w podskokach i przekaz, że my tu...

Nie wiedziałem co dalej więc zamilkłem i spojrzałem na kapitana Okęcia a ten rzekł:

– Tak jest, tak jest, prawidłowo... w boju tak bywa.

Rys. Ryszard Twardoch



PODKOPKI

AFORYZMY

MIROSŁAW KOŹLIŃSKI

Opanował do perfekcji sztukę patrzenia komuś prosto w oczy tak, aby jednocześnie unikać jego wzroku.

Czy wiara w człowieka bezwzględnie musi być oparta na prawdzie?

To nie mistrz słowa. To mistrz słówek.

Przeglądałem oferty. Zdecydowanie brakuje na rynku usługi podawania szklanki wody na łożu śmierci.

Ideologia to marzenie sprowadzone do postaci zinstytucjonalizowanej.

Wnosząc po tym, co badacze uważają za źródło ludzkiej kultury, najszlachetniejszym zawodem na Ziemi jest grabarz.

Czy używając wyzwiska: „moralna pokraka” nie dopuszczamy się sztydzenia z jawnego kalectwa?

Prorok chyba powinien umieć dobrze grać na giełdzie?

A może w decydującej chwili Anioł Zagłady pójdzie na chorobowe?

Każdy geniusz ma swoje niepowtarzalne płycizny.

Podobno niektórzy bywają obdarzani darem widzenia przyszłości. Może jednak większym darem jest przywilej jej niepostrzegania?

Rzadka zdolność do znajdowania piękna w sprawach zwykłych chętnie mylona jest z upodobaniem do banalności.

Dawanie fałszywego świadectwa często następuje poprzez kłamliwe przemilczenia.

Zestaw ładnych zdań nierzadko bywa paskudny.

Jedźmy, nikt nie dzwoni!

Formułowanie kategorycznych sądów to dobra droga ucieczki przed niepewnością i wątpliwościami.

Nie jest ważne co cię trzyma przy życiu. Póki trzyma.

Szukanie oznak, a szukanie znaków – dwa przeciwstawne światy.

Człowiek dwóch światów. I jak to zwykle bywa, obcy i tu, i tu.

Idąc za stoikami należy poznać swoją prawdziwą osobowość i następnie żyć w zgodzie z nią. No, a co, jeśli odnalezione wewnątrz okazuje się dwoiste i wewnętrznie sprzeczne? Czy należy wtedy z zaparciem i stanowczością skupiać się na bezustannym miotaniu się?

Jakby chodziło tylko o tę szklankę wody podawaną na łożu śmierci, to zamiast długoletnio inwestować w dzieci oszczędniej jest wydzierżawić wielofunkcyjny dystrybutor wody mineralnej.

Czy jest coś, czego Stanisław Gadomski nie fotografował? Zdecydowanie tak. Nie ma w jego zdjęciach cierpienia, tragedii, negatywnych emocji. Chociaż z aparatem pojawiał się w różnych miejscach i sytuacjach, nie szukał dramatu, by epatować nim czytelnika gazet, z którymi współpracował. Owszem, czas był inny, inne gazety, inne pokolenie czytelników. Fotografia – zwłaszcza ta wychodząca z ciemni fotoreportera (dzisiaj w czasach wszechobecnej fotografii cyfrowej już mało kto pamięta, co to takiego) też była inna.

Stanisław Gadomski – fotoreporter i artysta grafik, chociaż może odwrotnie – to z zainteresowania sztuką, grafiką, rysunkiem, światłem, kolorem, a także relacjami czerni i bieli w ówczesnej fotografii wyrosły jego fotograficzne obrazy. Właśnie obrazy fotograficzne, nie tylko fotografia – malarskość, rozświetlenie, wrażliwość na formę nawet najzwyklejszych czasem urządzeń technicznych, które przyszło mu fotografować, poszukiwanie „duszy” nie tylko portretowanych osób, ale przyrody, krajobrazu – zwłaszcza ukochanej przez Gadomskiego góralszczyzny, jak nazywał Beskidy i Podhale.

W obiektywie Gadomskiego nawet najbardziej blaha sytuacja zamieniała się w obraz wart refleksji, skupiający uwagę odbiorcy. Na łamach codziennych gazet jego fotografie nie były dodatkiem ilustrującym tekst – wносиły własny komentarz, dopowiadały.

Wieloletnia praca w redakcji tygodnika „Panorama” pozwoliła Stanisławowi Gadomskiemu na zajęcie się fotografią artystyczną. Cykl fotografii „Klejnoty kultury polskiej” mógł być świetnym materiałem na niejeden album. Inna dziedzina jego zainteresowań fotograficznych – portrety, zwłaszcza portrety powstańców śląskich – pokazywane i powielane dziesiątki razy stały się ikonami powstań. Raz zobaczone pozostają w pamięci. Zbliżenia poorly zmarszczkami twarzy starych ludzi, dumnie skrywane pod powstańczą, żołnierską czapkę. W mundurach, nie zawsze zapiętych pod samą szyję jak na kolejną paradę. Czarne – białe portrety zebrane w albumie pokazały siłę fotografii Stanisława Gadomskiego i wielką charyzmę portretowanych powstańców, każda postać to inny życiorys, inaczej zapisany czas dawno miniony, lecz ciągle żywy i obecny. To nie są anonimowe postaci – z każdym z nich Gadomski rozmawiał czasem długie godziny, a nawet dni, czekając na tę jedną odpowiednią chwilę, by przycisnąć spust migawki. Mimo to nikt nie został sztucznie upozowany, niczym w fotograficznym atelier – zdjęcia, jak ich bohaterowie, są surowe, proste, a zarazem pełne siły. Nawet, jeśli po latach pokazywał te same postaci „w cywilu”. Jak w przypadku Jerzego Ziętka, siedzącego w fotelu, już bez tej siły stanowczego choć dobrotliwego spojrzenia, bez munduru. Tylko podpis „General” przypomina kim jest stary człowiek na tym zdjęciu. Bo generałem pozostaje się na zawsze...

Można powiedzieć, że u Gadomskiego w jakimś sensie wszystko zasługiwało na... portret – górnik pracujący na przodku w kopalni, dzieciaki bawiące się we wraku autobusu, gołębiarze zajęci przygotowywaniem się



Foto. Zbigniew Sawicz

Fotoobrazy Gadomskiego

do wystawy, wielka machina w Hucie „Katowice”, ruchome schody, ale też wpatrujący się w obraz koneserzy sztuki. Każde zdjęcie to nie tylko rejestracja ciekawej czy zaskakującej sytuacji. To sposób widzenia świata, pojedynczych ludzi. Portrety są wyrazem stosunku fotografującego do portretowanych. Jak Jasiek Para z Białki – zwyczajny górnik – zdjęcie tej twarzy może pojawić się obok portretów powstańców, górników. Emanuje siłą, dobrocią i jakimś wewnętrznym uporem, trwaniem na swoim i po swoim. A Marysia – pewnie też z Białki – subtelna dziewczynka przytrzymująca rączką zbyt dużą chustę, zarzuconą na ramiona pewnie przez matkę lub babcię, a tuż obok niej na gwoździu wiszą ogromne góralskie spodnie. Ale to promienna twarz Marysi, ukrytej w rogu zdjęcia przyciąga wzrok i powoduje uśmiech na twarzy oglądającego.

Stanisław Gadomski to artysta wędrujący ścieżkami podbeskidzkich wsi – na nich spotykał rozmaite kapliczki, tak mocno ciągle wpisane w ten krajobraz. Ale, jak sam mówi,

nie rejestrował wyłącznie ich wyglądu, lecz szukał dla nich odpowiedniego kontekstu, komentarza. Kapliczka – w polu, przy drodze, przydomowa, samotna lub w towarzystwie innej to historii ludzi związanych z tym miejscem, to podziękowania i błagania, ostrzeżenie przed złem lub oddanie się w opiekę Najwyższemu, świętym patronom, świętej Rodzinie, Matce Bożej. O fotografowanych przez Stanisława Gadomskiego pisał w 1998 roku na łamach „Znaku” (3/2008) ks. Józef Tischner: „Zdjęcia Stanisława Gadomskiego wtrącają w zdumienie. To jest nasza ziemia? To są nasze krajobrazy? Taki jest świat naszego otoczenia? Zdjęcia uczą nas, jak mieć „oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu”. (...) Kunszt artystyczny rzemiosła Stanisława Gadomskiego na tym polega, że z naszej milczącej ziemi wydobywa wielką jej mowę. *Kto ma oczy ku widzeniu, niechaj patrzy, kto ma uszy ku słyszeniu, niechaj słucha*”. Świątki Gadomskiego chociaż milczą – mówią, rozmawiają z tym, kto przystanie, kto wyszepta słowa modlitwy lub zwyczajnie przejdzie mimo, jak Chrystus Frasobliwy w kapliczce w Grywałdzie, jak Jezus obejmujący wcale nie „świętym” gestem, lecz zwyczajnym, przyjacielskim, gestem swego Ojca, a obaj dłońmi podtrzymują Ducha Świętego, stając razem Trójcą Świętą, u stóp której ścigają się kolorowe kwiaty – „wieczne” kwiaty, bo nie zerwane z pól, lecz te swojskie, z bibułki, plastiku, żeby nie więdły. Kapliczki fotografowane w tzw. szerokim planie, a więc ukazującym rozległą otaczającą je przestrzeń, stoją samotnie – lecz nie są opuszczone – w każdej z nich odnaleźć można ślady ludzkich rąk, dbających o nie, często nieudolnie, ale to nie dzieła sztuki (choć często takimi są) powstałe na pokaz, do wstawienia do galerii, to „mieszkańcy” tych wsi, od niepamiętnych często czasów stojący na straży, to aniołowie stróżowie codziennego dnia – od wieków.

I choć to fotografia zdominowała zawodową stronę życia Stanisława Gadomskiego, zawsze pozostawało miejsce na tę bardziej kameralną, domową – to tworzenie drzeworytów i rysunków. Są to serie rysunków drewnianej architektury – urokliwych kościółków i miejsc ukochanych. Ale są też (podobnie jak w fotografii) reminiscencje z podróży, to „druga miłość” Gadomskiego – odwiedzanie miejsc kulturowo ważnych, zachowywanie na papierze czy kliszy fotograficznej wrażeń z wojaży po Italii i innych krajach Europy. Subtelna kreska rysunków, zdecydowane cięcia drzeworytu – niczym fotografia operują światłem, nastrojem, choć to zaledwie zapiski i szkice do niej.

Stanisław Gadomski – rocznik 1929, urodzony w Sosnowcu, mieszka w Katowicach. Ukończył Wydział Grafiki ASP w Krakowie, studiował historię sztuki w Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 45 lat jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. W „Trybunie Robotniczej” był fotoreporterem i grafikiem. Z tygodnikiem „Panorama” związany był przez 20 lat – kierował działem fotograficznym.

W galerii „Art. Nowa 2” ZPAP w Katowicach, w październiku tego roku, wystawą „Kserofotografie” podsumował swój artystyczny dorobek.



Stanisław Gadomski, „Kocia ulica”, drzeworyt, 14,2x15

WIESŁAWA KONOPELSKA



Stanisław Gadomski
fotografia





Wraz z rozbudową Katowic w początkach XIX stulecia stale zwiększała się ilość ewangelików. Rozpoczęto więc starania o utworzenie w Katowicach samodzielnej parafii. W 1853 roku rozpoczęto starania na utworzenie parafii. Budowa ewangelickiej świątyni stała się ważnym elementem architektonicznym i kulturowym powstającego miasta. Kościół Zmartwychwstania Pańskiego jest najstarszą murowaną budowlą sakralną w Katowicach. Świątynia była zbudowana w neoromańskim stylu nazwanym okragło – łukowym. Wielkie zasługi zarówno w powstawaniu parafii jak i młodego miasta Katowice mieli: Hubert Tiele-Winkler, Friedrich Wilhelm Grundmann, dr Richard Holtze.

Po drugiej wojnie światowej parafia katowicka, podobnie jak wszystkie parafie na Górnym Śląsku, została włączona do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego z Konsystorzem w Warszawie. W 1945 roku kościół ewangelicki przekazano do użytku rzymsko-katolickiej kurii, która przeznaczyła ten kościół na kościół szkolny pod wezwaniem Andrzeja Boboli.

Kościół w Katowicach odzyskało 28 czerwca 1947 roku. Wnętrze wymagało generalnego odświeżenia, zbudowania nowego ołtarza, uzupełnienia oświetlenia. Zniszczono żyrandole boczne oraz pierwotne malowanie kościoła. We wrześniu 1947 roku odsłonięto tablicę pamiątkową dla uczczenia pamięci księży i polskich działaczy kościelnych z terenu Śląska, poległych w czasie wojny.

Pierwszą poważniejszą inwestycją było wybudowanie w 1949 roku nowego ołtarza, według projektu artysty rzeźbiarza Artura



Kościół ewangelicki i „Śląskie Szmaragdy”

Cieńciały (1914-85), przedstawiającego sceny Zmartwychwstania Pańskiego. W 1951 roku odmalowano całkowicie wnętrze oraz przebudowano oświetlenie, zawieszając duży nowy żyrandol. W 1955 roku przeprowadzono kapitalny remont środkowej części organów. Kościół Zmartwychwstania Pańskiego posiada piękne 41 głosowe organy firmy W. Sauer opus 1240. Pierwotne 15 głosowe organy firmy Volkmanna powstały w 1865 roku i były przebudowane w 1902 roku. Obecne organy pochodzą z roku 1922.

Oprócz witraży bardzo cennym zabytkiem jest zachowana w stanie pierwotnym ambona, obłożona płaskorzeźbami Chrystusa i czterech ewangelistów oraz symbole postaci ewangelistów (byk, człowiek, orzeł, lew) w łukach transeptów bocznych. Obecne malowanie kościoła przeprowadzone w 1997 roku nawiązuje do malowania kościoła z roku 1901. Brązowy drewniany sufit przyozdobiony jest motywami liturgicznymi, kiściami winogron i kłosów zboża.

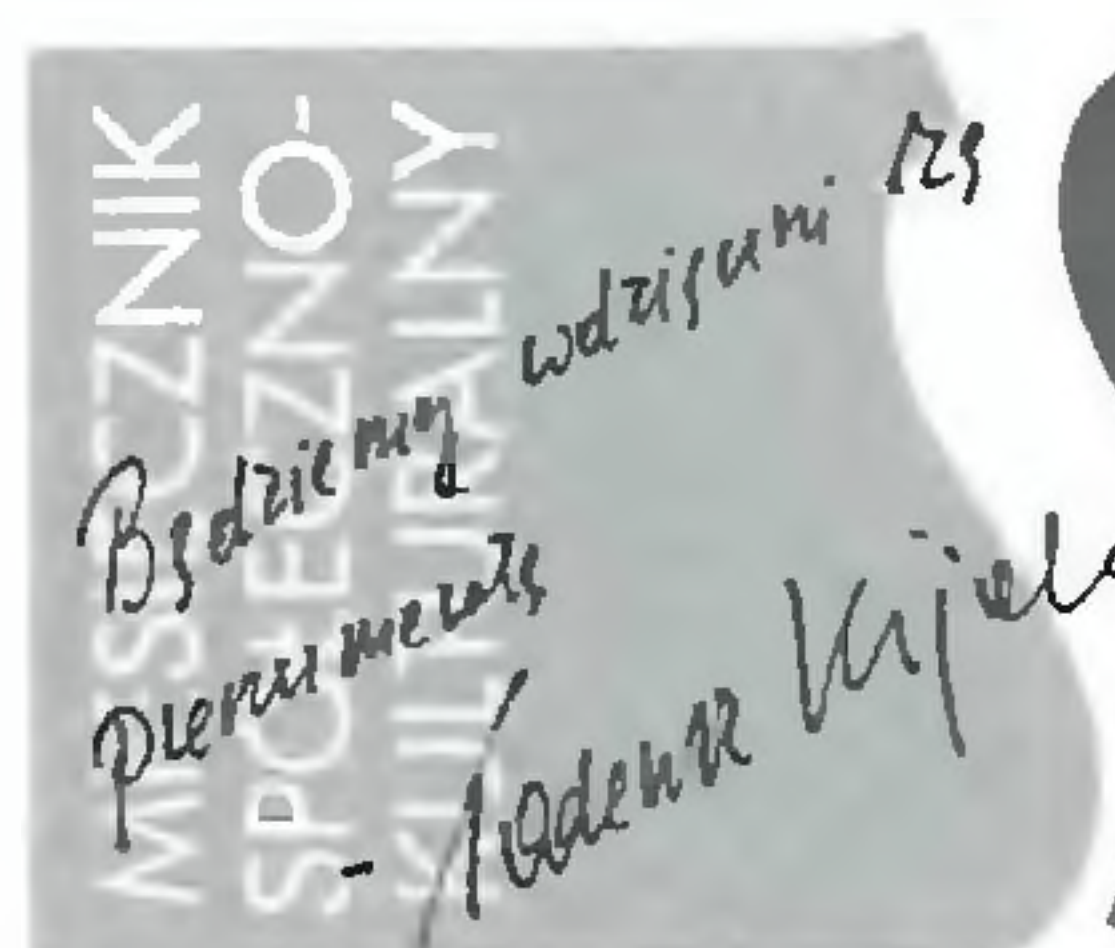
W 1997 roku dokonano zewnętrznej iluminacji bryły kościoła.

Od stycznia 1993 roku proboszczem parafii jest ks. Tadeusz Szurman (ur. 1954), od 1991 radca diecezjalny, a od 1998 roku prezes Synodu Kościoła. W czasie remontu plebanii w 1993 roku odkryto w piwnicy plebanii starodruki, a wśród nich jeden z najcenniejszych za-

bytków piśmiennictwa polskiego Biblię Radziwiłłowską zwaną Biblią Brzeską z 1564 roku. Biblia ta została poddana gruntownej renowacji i stanowi cenny zabytek wielowiekowej obecności polskiego ewangelicyzmu na Śląsku.

Od 1987 roku w parafii działa Polskie Towarzystwo Ewangelickie. Towarzystwo to oprócz regularnych odczytów i spotkań organizuje cykliczne koncerty w kościele, nad którymi artystyczną pieczę sprawował doc. Ryszard Gabrys (ur. 1942 r.), kompozytor i pedagog Akademii Muzycznej w Katowicach i Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. W październiku 2009 roku wraz z prof. Janem Malickim – dyrektorem Biblioteki Śląskiej został laureatem „Śląskich Szmaragdów”. Wyróżnienie to otrzymali z rąk biskupa diecezji katowickiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego Tadeusza Szurmana. Laureaci otrzymują je za szczególne osiągnięcia w dziedzinie ekumenizmu, tolerancji, pojednania między narodami i integracji europejskiej. (Więcej o tegorocznych laureatach „Śląskich Szmaragdów” pisze Magdalena Dziadek w swoim felietonie na str. 71.) (wk)





ŚLĄSK

 Śląskie. Pozytywna energia

Nr 9 (167) • ROK XV • WRZESIEŃ 2009

_____ TADEUSZ KIJONKA – Wiersze czasu wojny
_____ GRZEGORZ BĘBNIK – Gdy Wehrmacht ruszył na Polskę
_____ BARTOSZ WARZECHA – Freikorps na granicy wojny
_____ BARBARA SZMATLOCH – Losy rodziny Korfantych
_____ WITOLD TURANT – Clare Hollingworth w Katowicach
_____ Śląsk nie ma siły przebicia – rozmowa z prof. ANTONIM BARCIAKIEM
_____ ANDRZEJ JARCZEWSKI – esej, JAROSŁAW LEWICKI – proza,
_____ KRZYSZTOF SIWCZYK – wiersze



W prenumeracie
"Śląsk"
zawsze na czas!

Dom Muzyki i Tańca

ZABRZE
Rozśpiewany, roztańczony

Rok 2009 to szczególna data w historii zabrzańskiego Domu Muzyki i Tańca. Mija dokładnie pół wieku od momentu, gdy nasz gmach otworzył przed publicznością swe podwoje i stał się magnesem przyciągającym wielbicieli dobrej muzyki nawet z najdalszych zakątków Polski. Tylko w ciągu pierwszych 5 lat działalności odbyło się tu ponad 650 imprez, a przez widownię przewinęło się około miliona osób. Dom Muzyki i Tańca stał się w efekcie jedną z największych scen koncertowych w Polsce, na której można było usłyszeć zarówno mocne rockowe uderzenie, jak i wysublimowane dźwięki klasycznych instrumentów. Nasz wyjątkowy jubileusz zamierzamy uczcić równie wyjątkowym wydarzeniem artystycznym. Mając za sobą tak bogatą historię, uznaliśmy, że musi być to koncert, jakiego jeszcze w Zabrzu



nie było. Dlatego na organizowane 5 grudnia urodziny Domu Muzyki i Tańca zaprosiliśmy legendarny zespół Scorpions. Pochodząca z Niemiec grupa Scorpions pojawiła się na rynku muzycznym na początku lat 70. i od tego czasu święci nieprzerwane triumfy. W ciągu ponad 30 lat muzycy nagrali 20 albumów, które sprzedały się na świecie w nakładzie ponad 60 milionów egzemplarzy. Nie ma chyba osoby, która nie znałaby takich przebojów, jak *Wind of change* czy *Still loving you*. Artyści zagrali w różnych zakątkach globu ponad 4.5 tysiąca koncertów. Kilkakrotnie występowali również w Polsce. Koncert grupy Scorpions w Zabrzu będzie pierwszym w naszym kraju zorganizowanym w zamkniętej sali. Niezapomnianych hitów będzie mogło tu posłuchać tylko nieco ponad dwa tysiące fanów. Znajdzenie się w tej nielicznej, elitarniej wręcz grupie, bez wątpienia dostarczy fascynujących i niezapomnianych przeżyć. Występ zespołu Scorpions na urodzinach Domu Muzyki i Tańca będzie wydarzeniem artystycznym bez precedensu i nie lada gratką dla prawdziwych wielbicieli zespołu, którzy z pewnością z niecierpliwością czekają już na premierę najnowszego krążka. Prace nad nim właśnie trwają i niewykluczone, że gorące jeszcze utwory usłyszymy właśnie w Zabrzu...

5.12., 6.12.

Teatr im. A. Mickiewicza

CZĘSTOCHOWA
Mayne Teg

6. grudnia w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie wystąpi André Ochodlo & The Jazzish Quintet w programie *Mayne Teg*, którego pomysł zrodził się podczas jednej z podróży artystycznych, związanej z koncertem w Muzeum Żydowskim w Wiedniu. André Ochodlo zetknął się tam z powstałą w języku jidysz twórczością poetów pochodzących

z Galicji. Zafascynowała go tak bardzo, że postanowił zbudować program muzyczny na jej podstawie, uważając, że poezja ta, niezwykle bliska jego poszukiwaniom artystycznym, warta jest każdego wysiłku, aby przywrócić ją zbiorowej pamięci. Powracającymi motywami poezji są samotność, ból życia i świadomość wszechobecnej śmierci. Ramę dla nich stanowi obraz miasta z ogromnymi czynszówkami i anonimowymi masami ludzi (Wiedeń). Często wiersze zbudowane są na kontraście pomiędzy wygnaniem i ojczyzną. Ojczyzna jest dalekim, idealnym światem marzeń, w którym człowiek żyje w pełni, w zgodzie z naturą, podczas gdy miasto jest zagrażającą mu kamienną bestią. Program „Mayne Teg” jest połączeniem spektaklu teatralnego i recitalu muzycznego. Składa się na niego 13 utworów muzycznych napisanych przez Marka Czerniewicza. Jego muzyka urzeka słuchaczy misterną, gęsto tką-

ną fakturą i ogromnym bogactwem inspiracji. Kompozytor zaskakuje niezwykle wyobraźnią muzyczną i rzadką umiejętnością łączenia tradycyjnych i nowoczesnych elementów w swoich kompozycjach. W programie „Mayne Teg” współczesnej muzyki jest więcej niż kiedykolwiek – mniej słyszalne są rytmy klezmerskie.



André Ochodlo
fot. materiały Teatru
im. A. Mickiewicza w Częstochowie

6.12.

Opera Śląska

BYTOM
Romeo, Julia i Hector Berlioz

Ileż na przestrzeni wieków powstało dzieł, których inspiracją był szekspirowski dramat *Romeo i Julia*? Tylko w XX wieku przybyło wiele adaptacji tego dzieła m.in.: filmy Franco Zeffirellego i Baza Luhrmanna, słynny musical i film *West Side Story* czy na rodzimym – polskim gruncie musical Janusza Józefowicza. Najbardziej znaną realizacją, która przekazuje poprzez

taniec tę piękną historię jest balet do muzyki Sergiusza Prokofiewa. Zdawać by się mogło, że wszystko już usłyszeliśmy i zobaczyliśmy, tymczasem Opera Śląska zaprasza na spektakl baletowy przygotowany do symfonii dramatycznej Hectora Berlioz i fragmentów jego innych kompozycji. Ten francuski kompozytor, twórca sym-



fonii romantycznej zainspirowany utworem Szekspira napisał tę symfonię programową jako wokarno-instrumentalną na chór, orkiestrę i solistów. Zbudowana z kilku części uszeregowanych zgodnie z przebiegiem tragedii stała się inspiracją dla realizatorów bytomskiego przedstawienia. Twórcą bytomskiej inscenizacji i choreografii jest Henryk

Konwiński, autorem scenografii: Ireneusz Domagała a kostiumy zaprojektowała Zofia de Ines. W spektaklu wykorzystane zostanie nagranie London Symphony Orchestra. Wystąpią: soliści, koryfeje i zespół baletu Opery Śląskiej oraz uczniowie Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. L. Różyckiego w Bytomiu. Premiera w Operze Śląskiej odbędzie się 12 grudnia a w Teatrze Śląskim – 14 grudnia. Romeo i Julia stali się symbolami młodych kochanków i miłości skazanej na niepowodzenie, czy ta historia może się kiedykolwiek zestarzeć?

12.12., 14.12.

Teatr Nowy

ZABRZE
„Nowy” świętuje Abrahama

Państwowy Teatr Nowy w Zabrzu powstał w roku 1959. „przy okazji” likwidacji Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych. Staniem grupy miejscowych miłośników teatru i władz miejskich, działający w ramach tej instytucji objazdowy zespół teatralny osadzony został w Domu Kultury Huty Zabrze (pięknym, zabytkowym budynku dawnego kasyna Donnesmarcków) i zyskał ramy instytucjonalne. Zabrze

było wówczas miastem zdecydowanie robotniczym, zdominowanym przez przemysł ciężki; znaczna część jego mieszkańców pozbawiona była głębszych tradycji i potrzeb kulturalnych, a poczucie polskiej tożsamości narodowej nie było dla niej sprawą oczywistą. Oczywiście była więc misją jaką wypełnić miała nowo powstała placówka, przewodzili jej wówczas Waclaw Kozioł i Danuta Bleichlerówna: *zdobycie dla kultury polskiej mieszkańców miasta i regionu, rozbudzenie zainteresowań artystycznych w środowisku robotniczym oraz zaspokajanie potrzeb stosunkowo nielicznych elit, jak również edukacja kulturalna dzieci i mło-*

dzieży. Złoty okres w dotychczasowej historii Teatru Nowego przypada na lata 70. i początek lat 80. minionego wieku i nierozłącznie wiąże się z osobą Mieczysława Daszewskiego – znakomitego aktora i reżysera, wieloletniego dyrektora Teatru, cieszącego się ogromnym szacunkiem i autorytetem przywódcę zespołu. Wizytówką Teatru Nowego stał się Festiwal Dramaturgii Współczesnej *Rzeczywistość Przedstawiona*. Twórcą unikalnej formuły Festiwalu był zabrzański dramaturg Stanisław Bieniasz. Z okazji jubileuszu Teatr przygotował premierę *Pół żartem, pół sercem* Kena Ludwiga w reżyserii Tomasza Obary. Będzie ją można



Molier, „Lekarz mimo woli”, 1960 r.,
reż. Jerzy Ukłęju, na zdj.: Zofia Sadowska,
Wincenty Grabarczyk, Ludwik Paczyński
fot. Bogdan Krasicki

zobaczyć podczas uroczystej Urodziny nowej Gali 11 grudnia.
11.12.

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ZAMEK
 ul. Świerczewskiego 15
 tel. 267-77-07
www.zamek.bedzin.pl

TEATR
DZIECI ZAGŁĘBIA
 ul. Teatralna 4
 tel. 267-36-25
www.teatr.bedzin.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
 ul. 3 Maja 11a,
 tel. 033 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
 ul. Wzgórze 16
 tel. 033 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
 ul. 1 Maja
 tel. 033 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
 ul. A. Mickiewicza 20
 tel. 033 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

GALERIA KRONIKA
 Rynek 26
 tel. 281-81-33
www.kronika.org.pl

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
 pl. Jana III Sobieskiego 2
 tel. 281-82-94; 282-36-12
www.muzeum.bytom.pl

OPERA ŚLĄSKA
 ul. S. Moniuszki 21/23
 tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TANCA
 ul. S. Żeromskiego 27
 tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
 39. Biennale Malarstwa
 „Bielska Jesień 2009”

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Bytom – Ramallah
 wystawa stanowi pokłosie
 pierwszego festiwalu
 videoartu i performance
 w Palestynie
 /Ramallah, Gaza, Jerozolima/
 pod dyrekcją artystyczną:
 Mahmouda Abu Hashhasha
 z The A. M. Qattan Foundation
 /Ramallah/
 i Marca Merciera z Les Instants
 Vidéo Numériques et poétiques
 /Marseille/
 czynna do 30 grudnia

CHORZÓW

GALERIA MM
 7.12. poniedziałek, godz. 17.00
 wernisaż
 Antoni Kowalski
 Amen
 malarstwo, grafika

CIESZYN

GALERIA
DOMU NARODOWEGO
 8.12. wtorek, godz. 17.00
 wernisaż
Zdominowani
 czynna do 29 grudnia
 Galeria NA PIĘTRZE
 1.12. wtorek
Zwierzęta wokół nas
 wystawa pokonkursowa
 prac dzieci
 Stowarzyszenie „Serfenta”,
 Fundacja „Emir”,
 Alternatywna Szkoła Podstawowa
 czynna do 11 grudnia
 16.12. środa, godz. 12.00
W pałacu Królowej Śniegu
 czynna do 29 stycznia
KSIAŻNICA CIESZYŃSKA
 2071 okupacyjnych dni i nocy
 wystawa historyczna
 w ramach projektu
Pamięć nocy, pamięć dni
 czynna do końca roku

GALERIA SZARA
 2.12. środa, godz. 19.00
 wernisaż
 Ronnie Deelen
 Ronnieversum

ronnie deelen
 ronnieversum



czynna do 15 stycznia

godz. 21.00
 Stary Targ
 Ronniecism
 koncert
 multimedia performance

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
 SALA ŚLĄSKA,
 POPLENEROWA, ANTRESOLA,
 SALA GOBELINOWA

Dom – droga istnienia
 wystawa problemowa
 VII Triennale Sztuki Sacrum



Magdalena Moskwa, *ht.*, 2004, 91x72

czynna do 14 lutego

JASTRZĘBIE-ZDRÓJ

GALERIA CIASNA
 3.12. czwartek
III Ogólnopolski Festiwal
Fotografii Otworkowej
 wystawa prac C. Dybowskiego,
 J. Komar, K. Luboradzkiego,
 R. Panasa, W. Różyńskiego,
 P. Zastróżnego
 czynna do 11 grudnia

GALERIA HISTORII MIASTA
Pradzieje
 i historia ziemi jastrzębskiej

Historia jastrzębskiego
górnictwa węglowego

Kuchnia śląska
II połowy XIX wieku
i I połowy XX wieku

KATOWICE

GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA
 16.12. środa
 z cyklu *Przypadkowe przyjemności*



Bartek Buczek *Filosofem*

Prawie pożarł mnie tygrys
 wystawa
Radka Szlagi i Bartka Buczka
 tytuł nawiązuje do przechwałek
 i poszatkowanych opowieści,
 których fragmenty przyklejają się
 do innych, uzupełniając je
 i poszerzając...
 czynna do 14 lutego

21 Biennale
Plakatu Polskiego,
Katowice 2009
 czynna do końca stycznia

GALERIA SEKTOR I
GALERIA PUSTA
GCK
Amerykańskie Metafory
 – Współczesna
Fotografia Otworkowa
 wystawa w ramach
 Ogólnopolskiego Festiwalu
 Fotografii Otworkowej
 (OFFO)
 czynna do końca roku

GLERIA PIĘTRO WYŻEJ
GALERIA 5
GCK

28.12. poniedziałek
Ludzie, wydarzenia,
przemiany 20 lat fotografii
„Gazety Wyborczej”
 czynna do końca stycznia

GALERIA 5
GCK

1.12. wtorek
Daniel Dmitriew
Antyefemeryzm
 wystawa fotografii
 czynna do 15 grudnia

GALERIA SZYB WILSON
Rzut. Mapa. Plama
 wystawa prac
Mariana Solisza

na obrazach tych szkielet wykreśleń architektonicznych dopełniany jest ekspresyjnością barw: jarmarcznych, kosmicznych, zestawionych nieco cyrkowo. Skromność bieli i szarości rozbija się z hukiem o zmysłowe bukiety spontanicznych barw
 czynna do 1 stycznia

Historia
fotografii Niespokórów
W ciemności kopalni
W ciemności atelier
Z powrotem w sen

historia fotografii Niespokórów zaczyna się podobnie, jak historia malarstwa członków Grupy Janowskiej: Ewolda Gawlika, czy Teofila Ociepki...
 czynna do 1 stycznia

GALERIA RONDO SZTUKI
David Lynch
 wystawa litografii i fotografii
 czynna do 5 stycznia

GALERIA +
Hotel Landszaft
 projekt grupy młodych artystów,
 absolwentów i studentów
 Akademii Sztuk Pięknych
 w Katowicach
 zafascynowanych
 twórczością filmową
David Lynch
 czynna do 5 stycznia

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
GALERIA F16
 Filia nr 16
Wieloświaty
 fotografie
Adama Fleksa

seria „Wieloświaty” wykonana w technice litowej, przedstawia nie świat rzeczywisty, ale impresyjny, będący wynikiem nałożenia na siebie dwóch ekspozycji na jednej klatce w krótkim odstępie czasu



czynna do końca roku

PAŁAC MŁODZIEŻY
GALERIA AKWARELA
Kobieta w plakatach
Romana Kalarusa
 czynna do 3 grudnia

GALERIE

MIKOŁÓW

GALERIA MDK

Mikolowskie impresje
uczestnicy:

R. Banaszewski,
S. Batruch, K. Bereźnicki,
A. Bochenek, R. Bonczar,
I. Cur, F. Dziadek, J. Karbowniczek,
W. J. Marszałek, F. Małuszczak,
J. Motlová, G. Nováková,
R. Pazter, A. Romaniuk,
A. Sibera, C. J. Sijtsema-Saartjes,
P. Snellaars, J. Stolorz,
B. Szubińska, S. Tabisz,
A. Teicherová, V. Varmuza,
H. Waniek, L. Zegalski

PSZCZYNA

GALERIA I3

Fotografie

Bogdana Nycza
czynna do 10 grudnia

RYBNIK

GALERIA SZTUKI

RCK

3.12. czwartek, godz. 18.00
wernisaż

Janusz Szczotka

fotografie

w programie:

promocja albumu

„Fascynujący Izrael”

Wydawnictwa Koinonia,

spotkanie

z autorką albumu, Esterą Wieją,

Dorota Herok *Taniec z flagami*,

pokaz slajdów z pobytu

autorów w Izraelu,

pokaz tańca żydowskiego

w wykonaniu zespołu tanecznego

Klezmer

Janusz Szczotka – fotograf, podróżnik, autor książek, pocztówek, kalendarzy i folderów promocyjnych, laureat wielu konkursów fotograficznych

KLUB FOTOGRAFICZNY

M6

MDK

Wystawa fotografii



Bariek Dziwoki

czynna do 15 grudnia

SOSNOWIEC

MIEJSKI KLUB im. J. KIEPURY

14.12. poniedziałek, godz. 17.00

wernisaż

Twórczość Marka Grabowskiego

dąbrowskiego artysty malarza,

rzeźbiarza a także poety

SOSNOWIECKIE CENTRUM

SZTUKI – ZAMEK SIELECKI

11.12. piątek, godz. 18.00 wernisaż

Pocztówka z Sosnowca

wystawa pokonkursowa

czynna do 17 stycznia

TYCHY

GALERIA OBOK

interdyscyplinarna wystawa

Świąteczny Kiermasz Sztuki

czynna do 22 grudnia

Teatr Mały

Malarstwo i grafika użytkowa

Anny Jonarskiej

czynna do 17 grudnia

MUZEA

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA

ZAMEK

Początki Będzina

wystawa historyczna

PAŁAC

W kręgu światła lampy naftowej

wystawa ze zbiorów

Muzeum Okręgowego w Krośnie



czynna do 10 lutego

Szopka w tradycji chrześcijańskiej

wystawa pokonkursowa

BIELSKO-BIAŁA

MUZEUM

GALERIA ZAMKOWA

BASZTA

5.12. sobota

Anielska Wystawa

wystawa prezentuje wybór

z twórczości artystów

zaprzyjaźnionych

z Galerią Zamkową Muzeum

w Bielsku-Białej



Tomasz Lubaszka, anioł VI

czynna do końca roku

GALERIA ZAMKOWA

STRZELNICA

5.12. sobota

Projekt: *Moje miasto.*

Bielsko-Biała

Moje zachwyty

malarstwo

Wacław Roman Sobieraj

czynna do końca roku

GALERIA

WYSTAW CZASOWYCH

Zygmunt Magner

malarstwo i rysunek



czynna do końca roku

11.12. piątek, godz. 17.00

z cyklu *Prze- Wilamowice*

Strój wilamowski

promocja książki

MUZEUM TECHNIKI

I WŁÓKIENICTWA

Rysunek i malarstwo

wystawa prac uczniów IV klasy

Zespołu Szkół Plastycznych

w Bielsku-Białej

czynna do 7 stycznia

BYTOM

MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE

2.12. środa, godz. 13.00 wernisaż

Podróże w czasie.

Dawne widoki Śląska

na grafikach

z kolekcji Haselbacha

Albrecht Haselbach, właściciel browaru w Namysłowie, zgromadził w latach

czterdziestych XX w. kolekcję liczącą

około 4000 akwafort, litografii, rysunków i akwael

Bizantyjskie oblicze Śląska. Ikony
ikony powstawały głównie przy Katedrze Teologii Dogmatycznej Uniwersytetu Opolskiego oraz Szkole Ikono-pisarskiej „Pantokrator”
czynna do 3 stycznia

FILIA MGB

Obszar Warowny

„Śląsk 1933-1939”

Militaria w obrazach.

Międzynarodowa wystawa

grafiki komputerowej

o tematyce militarnej

CHORZÓW

MUZEUM W CHORZÓWIE

Z dziejów pieniądza.

Polska – Śląsk

wystawa przedstawia dzieje

mennictwa w Polsce i na Śląsku

Technika mennicza

w średniowieczu

i czasach nowożytnych

CIESZYN

MUZEUM

ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

2.12. środa

Święta Bożego Narodzenia

– między tradycją a popkulturą

wystawa próbuje ukazać okres około-

bożonarodzeniowy nie tylko jako czas

niezwykły, magiczny, religijny mają-

cy nieraz swój tradycyjny regionalny

lub lokalny koloryt, ale także jako

coś, co ulega przeobrażeniom na skutek

procesów kojarzonych z globalizacją

czy amerykanizacją kultury

czynna do końca lutego

CZĘSTOCHOWA

MUZEUM CZĘSTOCHOWSKIE

RATUSZ

Gabinet Wybitnych Częstochowian

wystawa poświęcona prof. dr. inż.

Jerzemu W. Kolakowskiemu,

założycielowi

i pierwszemu rektorowi

Politechniki Częstochowskiej

Częstochowanie.

Mieszkańcy miasta na fotografii

w latach 1845-1918

wystawa fotograficzna

Rośliny w kulturze

i historii Europy

MUZEUM PIELGRZYMOWANIA

Częstochowa wśród europejskich

ośrodków pielgrzymkowych

wystawa ze zbiorów

Muzeum Częstochowskiego

oraz ze zbiorów Jasnej Góry

1966-Milenium kontra 1000-lecie

wystawa z IPN, oddz. w Katowicach

Pielgrzymki i sanktuaria

na dawnej pocztówce

kolekcja prof. A. Jackowskiego

Lourdes

150-lecie objawień

CHORZÓW

MIEJSKA

GALERIA SZTUKI „MM”

ul. H. Sienkiewicza 3

tel. 249-17-19

www.galeriamm.chorzow.pl

MUZEUM

ul. Powstańców 25, tel. 241-31-04

www.muzeum.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI

ul. M. Konopnickiej 1

tel. 346-19-30

www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

GALERIA SZTUKI

WSPÓŁCZESNEJ SZARA

ul. Srebrna 1

tel. 602-64-54-89

www.galeriaszara.pl

MUZEUM

ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

ul. Regera 6

tel. 033 851-29-32

www.muzeum-cieszyn.ox.pl

TEATR

IM. ADAMA MICKIEWICZA

plac Teatralny 1

tel. 033 858-16-52

www.teatr.cieszyn.art.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI

aleja NMP 64

tel. 034 324-60-57

www.net-galeria.art.pl

MUZEUM

CZĘSTOCHOWSKIE

aleja NMP 45 A

tel. 034 360-56-31

www.muzeumczestochowa.pl

TEATR

IM. A. MICKIEWICZA

ul. J. Kilińskiego 15

tel. 034 360-56-50

www.teatr-czestochowa.pl

FILHARMONIA

CZĘSTOCHOWSKA

ul. Wilsona 16

tel. 034 324-42-30

www.filharmonia.com.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

**MUZEUM MIEJSKIE
„SZTYGARKA”**
ul. Legionów Polskich 69
tel. 262-36-95
www.muzeum-dabrowa.pl

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
Pl. Wolności 1, tel. 262-20-63
www.palac.art.pl

GLIWICE

**MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO**
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

**MIEJSKI
OŚRODEK KULTURY
GALERIA**
tel. 473-10-12
www.mokjastrzebie.pl

KATOWICE

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA**
al. Korfantego 6
tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GALERIA RONDO SZTUKI
Rondo im. gen. J. Ziętki

GALERIA SZYB WILSON
ul. Oswobodzenia 1
tel. 730-32-20
www.szybwilson.org.pl

**GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY**
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-38-06
www.gck.org.pl

**MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE**
Galeria Sztuki Współczesnej
FRA ANGELICO
ul. Wita Stwosza 16
tel. 519-546-023
www.kuria.katowice.pl

**Żyd niemalowany
w Ziemi Obiecanej**
miedzioryty o tematyce biblijnej z kolekcji A. B. Schottlas. we współpracy z Z. Rolatem – Przewodniczącym Rady Północnoamerykańskiego Komitetu Wspierania Muzeum Historii Żydów Polskich oraz Pawłem Szapiro i zespołem: Żyd Niemalowany, Muzeum Wieczny Tułacz

z cyklu *Chińska odyseja*
Lijiang-Klejnot Yunnanu,
Skarby Xi'Anu,
Pekin-Miasto nie-Zakazane
wystawa fotograficzna
Krzysztofa Muskalskiego

ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA
Kultura ludowa
okolic Częstochowy
wystawa ze zbiorów
Muzeum Częstochowskiego

**Koziegłowy – zapomniany ośrodek
twórczości rękodzielniczej**

PAWILON ETNOGRAFICZNY
w Parku im. S. Staszica
Z nitki i z gliny
wystawa pokonkursowa
IV Konkursu Europejskiej
Sztuki Ludowej

PAWILON WYSTAWOWY
w Parku im. S. Staszica
2.12. środa
Grafika Pabla Picassa
ze zbiorów Muzeum Narodowego
w Warszawie

**GALERIA MALARSTWA
I RZEźBY**
z cyklu *Mistrz i Uczniowie*
malarstwo
prof. A. Wsiolkowskiego
i S. Rodzińskiego
oraz ich uczniów

REZERWAT ARCHEOLOGICZNY
Moja przygoda z archeologią
pokonkursowa wystawa
prac plastycznych

III Aleja NMP
wystawa plenerowa z okazji
obchodów stulecia Wystawy
Przemysłu i Rolnictwa

**DĄBROWA GÓRNICZA
MUZEUM MIEJSKIE
„SZTYGARKA”**
„... co jest duszą
i istotą naszych siedlisk”
wystawa prac
Wacława Pileckiego
ze zbiorów rodziny artysty
czynna do 18 grudnia

Wystawa militariów
z prywatnych kolekcji
pod hasłem
Wrzesień 1939

Policja 1919-2009.
Polska i świat
czynna do końca roku

Dąbrowa dawniej i dziś
wystawa fotograficzna ze zbiorów
Tomasza Paska
i Ryszarda Perzyńskiego

**GLIWICE
MUZEUM WILLA CARO**
Pokój Fajkowy
4.12. piątek
Miesiąc z grafiką w Willi Caro
Chodowiecki baśniowy

kilka dzieł Daniela Chodowieckiego.
żyjącego w latach 1726-1801 rysownika, grafika i malarza. Pokazane zostaną cykle miniaturowych rycin:

Drogi cnoty i drogi występku
z wydanego w 1773 r. w Göttingen kalendarza. *Opowieści Gellerta* o tematyce baśniowej. *Personifikacje uczuć*. będące wyrazem mody i obyczaju epoki oraz *Mode Thorheit* – spotkania z magią i mitologią z wydanego w Berlinie Kalendarza Genealogicznego w 1788 r.



czynna do 22 stycznia

1.12. wtorek
**Historyczne wzorniki
ozdób choinkowych**
ekspozycja przedwojennych wzorników ozdób choinkowych wypożyczona z Muzeum Zabawek i Zabawy w Kielcach

czynna do 10 stycznia

**KATOWICE
MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE**
15.12. wtorek
Malarstwo Jacka Sztuki
czynna do 17 stycznia

**Refleksje
malarstwo
Jacka Laskowskiego**
czynna do 17 stycznia

**Nowe inspiracje
Maria Blotko-Kiszka**
50-lecie pracy twórczej
czynna do 13 grudnia

MUZEUM ŚLĄSKIE
Magia wina.

Od pędu winorośli po napój bogów
wystawa archeologiczna, która wprowadza w niezwykle fascynujący świat wina i związanej z nim historii rozwoju cywilizacji. Poznamy najstarsze ośrodki produkcji wina oraz szlaki handlowe jego rozpowszechniania, a także technologię i kulisy jego twórczości



Putto zrywający kiście winogron.
Autor nieznany, XVII wiek, olej, płótno.
wł. Collegium Maius

czynna do końca marca

4.12. piątek
Belle Epoque.
Oblicza secesji
we współpracy
z Muzeum Mazowieckim
w Płocku
to pierwsza na Śląsku tak obszerna
prezentacja sztuki
powstałej około roku 1900



*Broszka złota, Rosja, pocz. XX w.,
wł. Muzeum Mazowieckie w Płocku*

Obejmuje wszystkie dziedziny sztuki,
w tym, w formie multimedialnej, architekturę i witrażownictwo
czynna do 11 kwietnia

**FOTOPLASTYKON- 3D
z XIX wieku**

w grudniu i styczniu Muzeum Śląskie zaprasza do podróży z fotografiami 3D do Warszawy, pod hasłem *Czar stolicy. Uroki XIX-wiecznej Warszawy*. Na oryginalnych 48 stereoparach z XIX i początku XX wieku zobaczymy zarówno architekturę jak i życie codzienne Warszawiaków

GALERIA SZTUKI POGRANICZA
Vivat insita.

Rysunki Justyny Matysiak
pierwsza w historii Muzeum Śląskiego wystawa z nurtu *art brut*, twórczości m.in. osób niepełnosprawnych intelektualnie
czynna do 15 stycznia

**CENTRUM
SCENOGRAPHII POLSKIEJ**
Oddział Muzeum Śląskiego
z cyklu: *Spotkania z lalką*
„...gry wyobraźni...
za parawanem teatru lalek”
ze zbiorów Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach
czynna do 30 grudnia

MUZEUM HISTORII KATOWIC
10.12. czwartek, godz. 16.00
wernisaż
Wokół ikony.
Malarstwo Stefana Stellera
podczas wernisażu
wystąpi zespół *Mistic*
w świątecznym repertuarze

16.12. środa, godz. 16.00
Fenomen i ikony
wykład Zofii Szoty

Kamienne głowy
fotografie
Aleksandry Rózyckiej

Nikiszowiec 1908-2008.
Z dziejów osiedla i parafii

MYSŁOWICE
MUZEUM MIASTA MYSŁOWICE
3.12. czwartek, godz. 17.00
wernisaż
W Mysłowicach na ludowo
gościem grudniowego muzealnego
czwartku będzie Tomasz Wrona

PSZCZYNA
MUZEUM ZAMKOWE
z powodu prac porządkowo-konserwatorskich Muzeum będzie nieczynne dla zwiedzających od 1 grudnia 2009 do 18 stycznia 2010

RACIBÓRZ
8.12. wtorek, godz. 11.00 wernisaż
Wojciech Korfanty
– współtwórca
II Rzeczypospolitej
w programie:
rozstrzygnięcie konkursu
wiedzy o W. Korfancym,

MUZEA

rodzinne wspomnienia senatora
RP Bronisława Korfanteo
o Wojciechu Korfantom
/stryjeckim dziadku/
wykład prof. Z. Woźniczki /UŚ/

MUZEUM
Epoka kamienia
na Górnym Śląsku
ze zbiorów

Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu
oraz Muzeum w Raciborzu
czynna do końca lutego

RUDA ŚLĄSKA
MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA
XLII Ruczka Jesień
wystawa pokonkursowa

Barwę i linię o Śląsku
malarstwo
Krzysztofa Websa

RYBNIK
MUZEUM
7.12. poniedziałek, godz. 17.00
wernisaż
Szopki krakowskie
ze zbiorów Nadwiślańskiego Parku
Etnograficznego w Wygierzowie

5 lat członkostwa Polski
w Unii Europejskiej
wystawa pokonkursowa
czynna do 6 grudnia

SOSNOWIEC
MUZEUM
Między Wersalem
a Montmartre.
Sztuka francuska
XVIII – XX w.
z Muzeum Etnografii i Rzemiosła
Artystycznego we Lwowie

Barwy starożytnego Egiptu
z Muzeum Narodowego
w Warszawie
ideą wystawy jest prezentacja barw
i materiałów, które Egipcjanie wyko-
rzystywali tworząc wizerunki bóstw, fi-
gurki, amulety, przedmioty związane
z kultem grobowym a także rzeczy uży-
wane na co dzień
czynna do końca grudnia

TARNOWSKIE GÓRY
MUZEUM
Ciebie przyzywam w siedmiu
ogniach. Żydzi tarnogórscy
– historia i obrzędowość
wystawa przybliży przeszłość tarnogór-
skiej gminy żydowskiej. Nawiązuje
również do obrzędowości
czynna do końca grudnia

TYCHY
MUZEUM MIEJSKIE
14.12. poniedziałek, godz. 14.00
wernisaż
Daisy, księżna von Pless:
szczęśliwe lata
ze zbiorów Muzeum Zamkowego
w Pszczynie
wystawa fotografii portretowych wybra-
nych z liczącego 3,5 tysiąca negatywów
archiwum Studia Lafayette, zakładu fo-
tograficznego w Anglii, działającego
od 1880 roku. Archiwum to przechowy-
wane jest w Muzeum Wiktorii i Alber-
ta w Londynie /Agnieszka Ociepa/
czynna do końca lutego

14.12. poniedziałek, godz. 14.00
wernisaż
Marek Hlasko
w 75. rocznicę urodzin
i 40. rocznicę śmierci

ze zbiorów własnych
Andrzeja Czyżewskiego
fotografie pisarza oraz pierwodruki
wszystkich jego książek,
inne wydania i wydawnictwa,
tłumaczenia i pamiątki osobiste
czynna do końca lutego

Święty Franciszek w sztuce.



fol. Maria Lipok-Bierwaczonok

W 800. rocznicę powstania
zakonu franciszkańskiego
czynna do końca roku

ZABRZE
MUZEUM
GÓRNICICTWA WĘGLOWEGO
Born of Fire:
the Valley of Work
czynna do 8 grudnia

8.12. wtorek, godz. 12.00
wernisaż
Kobiety w kopalni
zdjęcia autorstwa
Arkadiusza Goli

ciekawym dokumentem, mocno osadzonym
w realiach współczesnego zmieniają-
cego się przemysłu na Górnym Śląsku
poza samym portretem zapisuje wier-
nie wnętrza zakładów przerobczych,
lampowni, dyspozytori, markowni
kopalń Katowickiego Holdingu Węglo-
wego KHW i Kompanii Węglowej:
(byłej) kopalni *Polska – Wirek*,
kopalni *Zabrze – Bielszowice*,
Sośnica – Makoszowy,
Mysłowice, Wesola,
Murcki, Wieczorek, Śląsk,
Wujek, Staszic,
Bolesław Śmiały, Pokój



MUZEUM MIEJSKIE
GALERIA CAFÉ SILESIA
Rzemieślnicy i artyści
– dawne zabrzańskie
atelier fotograficzne
czynna do 10 stycznia

Ekspozycja w kinie Roma
Z dziejów kin Zabrze
wystawa z okazji
100-lecia kina Roma
czynna do końca roku

Ekspozycja w Hotelu Diament
Wokół piwa
czynna do końca roku

ŻORY
MUZEUM MIEJSKIE
AmerIndia 2009
rekonstrukcja kultur
prekolumbijskich
projekt realizowany
do końca roku

Tajemnice El Dorado
wystawa fotograficzna

TEATRY

BEDZIN

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
5.12. sobota, godz. 16.00
spotkanie z Mikołajem
19.12. sobota, godz. 16.00
Piesek, który był niebieski
12.12. sobota, godz. 16.00
Calineczka

BIELSKO-BIAŁA

TEATR LALEK BANIALUKA
3.12. czwartek, godz. 16.00
6.12. niedziela, godz. 9.30 i 17.00
Impreza mikołajowa
Śpiąca Królewna



11.12. piątek, godz. 13.30
13.12. niedziela, godz. 11.00
Diabelskie figle

20.12. niedziela, godz. 11.00
Czerwony Kapturek

TEATR POLSKI

Duża scena
1.12. wtorek, godz. 19.00
19.12. sobota, godz. 19.00
20.12. sobota, godz. 19.00
Mayday 2

3.12. piątek, godz. 19.00
Zemsta

7.12. poniedziałek, godz. 19.00
Grube ryby
gościnnie Teatr Polonia
/Warszawa/

9.12. środa, godz. 19.00
10.12. czwartek, godz. 19.00
Szalone nożyczki

11.12. piątek, godz. 19.00
12.12. sobota, godz. 19.00
13.12. niedziela, godz. 19.00
Popcorn

15.12. wtorek, godz. 19.00
Bielska Scena Kabaretowa

17.12. czwartek, godz. 19.00
Rewizor

31.12. czwartek, godz. 19.30
Wieczór sylwestrowy
2009/2010
Zamknij oczy i myśl o Anglii
reżyseria S. Szaciłowski
oraz gala piosenki
Odjazdowa Europa
reżyseria M. Książek

Mała Scena
3.12. czwartek, godz. 19.00
5.12. sobota, godz. 19.00
6.12. niedziela, godz. 19.00
19.12. sobota, godz. 19.00
20.12. niedziela, godz. 19.00
Tak wiele przeszliśmy,
tak wiele przed nami
9.12. środa, godz. 19.00
Fabryka sensacji
Proszek i Spółka
Żydowska łoża masonska

MUZEUM ŚLĄSKIE

al. Korfańtego 3
tel. 258-56-61 do 63
www.muzeumslaskie.art.pl

MUZEUM HISTORII KATOWIC

ul. Ks. J. Szafranka 9
tel. 256-18-10
www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI

Rynek 2, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ

GCK, plac Sejmu Śl. 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

ŚLĄSKI TEATR LALKI I AKTORA

„ATENEUM”
ul. św. Jana 10
tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

IPIUM „SILESIA”

ul. 3 Maja 31a
tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA

ul. Sokolska 2
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA

ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 032 251-93-38
www.estradaslaska.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

pl. Rady Europy 1
tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

CENTRUM SZTUKI FILMOWEJ

ul. Sokolska 66
tel. 258-42-41
www.csf.katowice.pl

KINOTEATR RIALTO

ul. św. Jana 24
tel. 251-04-31
www.rialto.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „ŚLĄSK” im. S. HADYNY

ul. Zamkowa 3
tel. 034 310-64-15
www.zespolslask.pl

MIKOŁÓW

**MIEJSKI DOM KULTURY
GALERIA MDK**
Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mdkmikolow.eu

MYSŁOWICE

**MUZEUM MIASTA
MYSŁOWICE**
ul. Stadionowa 7a
tel. 222-36-12 w. 51
www.muzeummyslowic.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15, tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RUDA ŚLĄSKA

**MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA**
ul. Wolności 26, tel. 248-44-57

RYBNIK

**RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. Saint Vallier 1, tel. 42-22-132
www.kultura.rybnik.pl

MUZEUM W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

SOSNOWIEC

**SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
ZAMEK SIELECKI**
ul. Zamkowa 2
tel. 266-38-42
www.zameksielecki.pl

MUZEUM
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 266-04-94
www.teatrzaglebia.pl

**MIEJSKI KLUB
IM. JANA KIEPURY**
ul. Będzińska 6, tel. 291-39-48
www.kiepura.pl

11.12. piątek, godz. 17.00
12.12. sobota, godz. 17.00
13.12. niedziela, godz. 17.00
**Królowa piękności
z Leenane**

18.12. piątek, godz. 19.00
Figliki

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA
5.12. sobota, godz. 18.00
Łucja z Lammermoor

12.12. sobota, godz. 18.00
prapremiera!
Romeo i Julia
balet do symfonii dramatycznej
Hectora Berlioz
i fragmentów
jego innych kompozycji
inscenizacja i choreografia
Henryk Konwiński

13.12. niedziela, godz. 11.00
sala koncertowa im. A. Didura
Salon Poezji i Muzyki
Anny Dymnej

19.12. sobota, godz. 19.00
sala koncertowa im. A. Didura
Merry Christmas
koncert
Najpiękniejsze kolędy świata

20.12. niedziela, godz. 18.00
sala koncertowa im. A. Didura
Koncert Muzyki Polskiej
z udziałem
Orkiestry Opery Śląskiej
oraz Niny Nowak

27.12. niedziela, godz. 16.30 i 19.00
Koncert kolęd i pastorałek

27.12. wtorek, godz. 18.00
Nabucco



fot. T. Zakrzewski

31.12. czwartek, godz. 18.00
Koncert sylwestrowy
Twoim jest serce me

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
4.12. piątek, godz. 19.00
Laboratorium Choreograficzne ŚTT
prezentuje:
Omdlala Sukienka
i
Pieśń na 3 i 4

18.12. piątek, godz. 19.00
Kroniki Sąsiedzkie

CHORZÓW

TEATR ROZRYWKI
3.12. czwartek, godz. 19.00
4.12. piątek, godz. 19.00
5.12. sobota, godz. 19.00
6.12. niedziela, godz. 19.00
8.12. wtorek, godz. 19.00
9.12. środa, godz. 17.00
Jekyll & Hyde

12.12. sobota, godz. 17.00
Moc marzeń
Wielki koncert charytatywny
Fundacji Iskierka

15.12. wtorek, godz. 19.00
16.12. środa, godz. 19.00
17.12. czwartek, godz. 17.00
14.11. sobota, godz. 19.00
20.12. niedziela, godz. 19.00
26.12. sobota, godz. 17.00
Oliver!

18.12. piątek, godz. 17.30 i 20.00
Michael Jackson
Gospel Tribute
koncert
Harlem Gospel Choir

31.12. czwartek, godz. 21.30
Nagle zastępstwo
koncert sylwestrowy

Mała scena
1.12. wtorek, godz. 19.30
2.12. środa, godz. 19.30
Nie żałuję kobiety
w kabarecie polskim
Teatr Ma Scala

5.12. sobota, godz. 15.00 i 17.00
O krasnoludkach
i sierotce Marysi
Teatr Lalek Rabcio

7.12. poniedziałek, godz. 19.30
Górny Śląsk – świat najmniejszy
Pitaval po Śląsku.
Spiskowcy.

Desperaci. Mordercy.
Gośćmi K. Karwata będą:
M. Muzyczuk
/niezależny producent telewizyjny,
dokumentalista/,
prof. Z. Woźniczka /UŚ/,
dr A. Dziuba
/katowicki oddział IPN/

8.12. wtorek, godz. 19.30
9.12. środa, godz. 19.30
10.12. czwartek, godz. 19.30
Shirley Valentine

15.12. wtorek, godz. 19.30
2. **Obserwatorium Artystyczne**
Entrée
Opowieści strychowe
Grupa Szalonych mimów

18.12. piątek, godz. 19.30
19.12. sobota, godz. 16.00
8.12. niedziela, godz. 16.00
Pomalu, a jeszcze raz!

CIESZYN

TEATR
im. A. MICKIEWICZA
4.12. piątek, godz. 18.00
W słońcu Italii koncert
gwiazdy włoskiego bel canta
wykonawcy:
Śląska Orkiestra Kameralna
dyrygent – Ruben Silva
goście specjaliści:
A. Urbańczyk-Mróz – sopran
G. B. Palmieri – tenor

11.12. piątek, godz. 17.00
Koncert Inauguracyjny
Tygodnia Kultury Tureckiej
ALANYA 2009
Stowarzyszenie
na Rzecz Integracji
„Działajmy Razem”

12.12. sobota, godz. 17.30
Jubileusz 55-lecia
Zespołu Pieśni
i Tańca OLZA

13.12. niedziela, godz. 17.00 i 20.00
Leonarda Gershe
Motyle są wolne
spektakl teatralny

CZĘSTOCHOWA

TEATR im. A. MICKIEWICZA
Duża scena
2.12. środa, godz. 18.00
4.12. piątek, godz. 19.00
Scena na scenie
Pierwszy raz

3.12. czwartek, godz. 12.30
4.12. piątek, godz. 12.30 i 17.00
5.12. sobota, godz. 12.00 i 17.00
6.12. niedziela, godz. 17.00
7.12. poniedziałek, godz. 12.30
8.12. wtorek, godz. 12.30
9.12. środa, godz. 12.30
Czerwony Kapturek

18.12. piątek, godz. 19.00
pokaż przedpremierowy
19.12. sobota, godz. 19.00
20.12. niedziela, godz. 19.00
Scena na scenie
premiera!
Szary anioł
muzyka
Jerzy Satanowski
reżyseria
André Hübner-Ochodlo
kostiumy
Irena Biegańska

31.12. czwartek, godz. 18.00
i 20.00
Sylwester w Teatrze
Miłość i polityka

Scena kameralna
6.12. niedziela, godz. 20.00
Koncert
Andre Ochodlo

9.12. środa, godz. 19.00
11.12. piątek, godz. 19.00
Wilki

12.12. sobota, godz. 19.00
13.12. niedziela, godz. 19.00
Nocną porą

GLIWICE

GLIWICKI
TEATR MUZYCZNY
1.12. wtorek, godz. 18.30
Dariusz Stachura
– polski Pavarotti
koncert specjalny w towarzystwie
gwiazdy polskiej operetki,
Małgorzaty Długosz

3.12. czwartek, godz. 18.30
4.12. piątek, godz. 18.30
Kraina uśmiechu

6.12. niedziela,
godz. 12.00 i 17.00
Mikołajki w GTM
Dziadek do orzechów

8.12. wtorek, godz. 18.00
Mikołajkowe tańcowanie
koncert uczniów
Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej
/Bytom/

11.12. piątek, godz. 18.00
12.12. sobota, godz. 18.00
Zemsta nietoperza

16.12. środa, godz. 19.00
Dziwna para
Teatr Capitol /Warszawa/

19.12. sobota, godz. 18.00
Anna Karenina

20.12. niedziela, godz. 12.00
XLVI Krakowski Salon Poezji
w Gliwicach
Pan Tadeusz. Spotkanie II

TEATRY

TEATRY

22.12. niedziela, godz. 17.00
Opowieść wigilijna
Grupa Teatralna przy MDK
w Świętochłowicach

26.12. sobota, godz. 16.00
spektakl świąteczny
Pinokio

29.12. wtorek, godz. 18.30
30.12. środa, godz. 18.30
31.12. czwartek,
godz. 18.00 i 21.30
**Sylwestrowa
rewia przebojów**
koncert z udziałem
Ireny Santor
i gwiazd scen muzycznych

KATOWICE

**ŚLĄSKI TEATR LALKI
I AKTORA ATENEUM**
5.12. sobota, godz. 13.00 i 16.00
6.12. niedziela,
godz. 13.00 i 16.00
Skarb
Babuchy Burczymuchy
z *Mikolajem*

12.12. sobota, godz. 16.00
20.12. niedziela, godz. 16.00
Dziadek do orzechów

13.12. niedziela, godz. 16.00
Tygrys Pietrek

19.12. sobota, godz. 16.00
Jak pingwiny
Arką popłynęły

TEATR ŚLĄSKI
Duża Scena
2.12. środa, godz. 12.00
Król Edyp

5.12. sobota, godz. 18.00
6.12. niedziela, godz. 18.00
Polterabend

7.12. poniedziałek, godz. 18.00
Cyganeria
gościnnie
Opera Śląska /Bytom/

12.12. niedziela, godz. 18.00
13.12. sobota, godz. 18.00
Wieczór kawalerski

14.12. poniedziałek, godz. 18.00
premiera!
Romeo i Julia
balet do symfonii dramatycznej
Hectora Berlioz
i fragmentów
jego innych kompozycji
inscenizacja i choreografia
Henryk Konwiński
gościnnie
Opera Śląska /Bytom/

19.12. sobota, godz. 18.00
20.12. niedziela, godz. 18.00
Mayday

20.12. niedziela, godz. 10.00
Kolęda z aktorami

26.12. sobota, godz. 18.00
31.12. czwartek, godz. 20.00
Poskromienie złoŹnicy

28.12. poniedziałek, godz. 18.00
Łucja z Lammermoor
gościnnie
Opera Śląska /Bytom/

Scena kameralna
2.12. środa, godz. 12.45
Oskar i pani Róża

3.12. czwartek, godz. 18.30
4.12. piątek, godz. 18.30
Barbara Radziwiłłówna
z *Jaworzna-Szczakowej*

18.12. piątek, godz. 18.30
premiera!
19.12. sobota, godz. 18.30
20.12. niedziela, godz. 18.30
30.12. środa, godz. 18.30
Zagraj to jeszcze raz
Woody Allen
reżyseria
Grzegorz Kempinsky

TEATR KOREZ
2.12. środa, godz. 19.00
DNA
Teatr Kome

3.12. czwartek, godz. 19.00
19.12. sobota, godz. 19.00
Kolega Mela Gibsona

4.12. piątek, godz. 20.00
Kwartet dla 4 aktorów

5.12. sobota, godz. 19.00
Scenariusz dla 3 aktorów

6.12. niedziela,
godz. 17.00 i 19.00
18.12. piątek, godz. 18.00
2

7.12. poniedziałek, godz. 19.00
14.12. poniedziałek,
godz. 18.00 i 20.30
20.12. niedziela, godz. 12.00
Cholonek

11.12. piątek, godz. 20.00
Słowa
recital
Roberta Talarczyka

12.12. sobota, godz. 18.00 i 20.15
Babcia na pielgrzymce
Teatr Bezscenny

16.12. środa, godz. 19.00
50. jubileuszowa
Kabaretowa Scena Trójki
Kabaret Hrabi
(gość)
Kabaret Długi
(gospodarz)

17.12. czwartek, godz. 19.00
Kabaret MUMIO
spektakl charytatywny

RYBNIK

TEATR
ZIEMI RYBNICKIEJ
5.12. sobota, godz. 17.00 i 20.00
Co ja panu zrobiłem,
Pignon
Teatr Kwadrat

13.12. niedziela, godz. 16.00
Dziadek do orzechów
Gliwicki Teatr Muzyczny

31.12. – 1.1.
Gala Sylwestrowa
wystąpią:
Orkiestra „Sinfonietta Bydgoska”
pod dyr. M. Niesiołowskiego
A. Maszczyk – sopran
M. Musioł – tenor

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA
4.12. piątek, godz. 19.00
27.12. niedziela, godz. 18.00
Stosunki na szczycie

5.12. sobota, godz. 18.00
11.12. piątek, godz. 19.00
Wesołe kumoszki z Windsoru

6.12. niedziela,
godz. 11.00 i 17.00
Królewna Śnieżka

12.12. sobota, godz. 18.00
13.12. niedziela, godz. 18.00
Wiśniowy sad

18.12. piątek, godz. 19.00
Sztuka kochania
czyli sceny dla dorosłych

19.12. sobota, godz. 18.00
20.12. niedziela, godz. 18.00
Niech żyje bal

31.12. czwartek,
godz. 18.00 i 21.00
Wieczór sylwestrowy

TYCHY

TEATR MAŁY
5.12. sobota, godz. 16.00
Mikolaj w Teatrze Małym
Tygrys Pietrek
Teatr Ateneum /Katowice/

13.12. niedziela, godz. 18.00
Ballady kochanków
i morderców
wg Nicka Cave'a
Teatr Korez /Katowice/

17.12. czwartek,
godz. 17.30 i 20.00
Kabaret Ani Mru Mru

20.12. niedziela, godz. 12.00
II Krakowski Salon Poezji
w Tychach
poezja Jana Kochanowskiego
program w wykonaniu
tyskiej rodziny artystycznej
czyta: Andrzej Warcaba
oprawa muzyczna:
Alicja Warcaba /flet/
Dorota Warcaba /skrzypce/
Małgorzata Warcaba /fortepian/

ZABRZE

TEATR NOWY
5.12. sobota, godz. 17.00
18.12. piątek, godz. 17.30 i 19.30
Transfer

6.12. niedziela, godz. 17.00
Amelka, bóbr i król na dachu

11.12. piątek
Gala Jubileuszowa
50 lat Teatru Nowego w Zabrzu
godz. 19.00 **premiera!**
Pół żartem, pół sercem
reżyseria
Tomasz Obara

12.12. sobota, godz. 18.00
Gala jubileuszowa

13.12. niedziela, godz. 18.00
Pół żartem, pół sercem

17.12. czwartek, godz. 19.00
Brzydal

20.12. niedziela, godz. 15.00
Bajkowa niedziela

20.12. niedziela, godz. 18.00
Wszystko o kobietach.
Wszystko o mężczyznach

31.12. czwartek, godz. 20.00
Sylwester w Teatrze
Pół żartem, pół sercem

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM

Rynek 1, tel. 285-26-07
www.muzeumtg.art.pl

TARNOGÓRSKIE CENTRUM KULTURY TEATR ZŁ

ul. Sobieskiego 7
tel. 285-27-34
www.tck.net.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Katowicka 9
tel. 327-18-20

TEATR MAŁY GALERIA OBOK

ul. kard. A. Hłonda 1
tel. 227-20-67
www.teatrmaly.tychy.art.pl

ZABRZE

TEATR NOWY

pl. Teatralny 1
tel. 271-32-56
www.teatrnowywzabrzu.art.pl

FILHARMONIA ZABRZAŃSKA

ul. Wolności 325
tel./fax 271-47-17
www.filharmonia.zabrze.pl

DOM MUZYKI I TAŃCA

ul. Gen. de Gaulle'a 17
tel. 271-56-41 w. 47
www.dmit.com.pl

MUZEUM GÓRNICTWA WĘGLOWEGO

ul. 3 Maja 19
tel. 271-88-31
www.muzeumgornictwa.pl

MUZEUM MIEJSKIE

ul. 3 Maja 91
tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

ZORY

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

BIELSKO-BIAŁA**ZAMEK**

Muzyka na Zamku

7.12. poniedziałek, godz. 18.00
Bielska rodzina znanych muzyków
 wystąpią:
 Bożena Stolarczyk – sopran
 Zdzisław Stolarczyk – puzon
 Marek Stolarczyk – puzon
 Tomek Stolarczyk – puzon
 przy fortepianie Ewa Bąk

CZĘSTOCHOWA**FILHARMONIA****CZĘSTOCHOWSKA**

11.12. piątek, godz. 19.00
Koncert Instytutu Muzyki Akademii
 im. J. Długosza w Częstochowie
West side story &...
 Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Częstochowskiej
 dyrygent – Małgorzata Kaniowska
 wystąpią:
 L. Grądzan – fortepian
 R. Gawroński – fortepian
 E. Jabłczyńska – gitara
 w programie:
 C. Saint-Saëns, J. Rodrigo,
 L. Bernstein

12.12. sobota, godz. 18.00
Czesław śpiewa
 koncert

18.12. piątek, godz. 19.00
Oratorium na Boże Narodzenie
Johann Sebastian Bach
 Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Częstochowskiej
 dyrygent – Maja Metelska
 Chór Collegium Cantorum
 Czestochoviensis
 wystąpią:
 B. Harasimowicz – sopran
 L. Górka – alt
 R. Minkiewicz – tenor
 S. Kierner – bas

31.12. czwartek, godz. 20.00
Koncert sylwestrowy
Nasza jest noc
 Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Częstochowskiej
 pod batutą Tomasza Chmiela
 oraz soliści:
 B. Zawisłak-Dolny – mezzosopran
 i Andrzej Biegun – baryton
 w najsłynniejszych utworach
 z polskich filmów przedwojennych

KATOWICE**NOSPR**

6.12. niedziela, godz. 12.00
Poranek
 dyrygent – Marek Pijarowski
 solistka – Kaja Danczowska
 I. Strawiński
 – Suita z baletu *Pulcinella*
 E. W. Korngold
 – Koncert skrzypcowy
 F. Chopin – Walc Es-dur op. 18
 (instr. Roy Douglas)
 komentator – Marcin Majchrowski

11.12. piątek, godz. 19.30
Koncert
 dyrygent – Jerzy Semkow
 solista – Michel Dalberto
 w programie:
 W. A. Mozart – Symfonia
 A-dur KV 201.
 Koncert fortepianowy
 A-dur KV 488,
 Symfonia C-dur *Jowiszowa* KV 551
przed koncertem, o godz. 18.45,
Towarzystwo Przyjaciół NOSPR
zaprasza do sali 411, w której
Anna Woźniakowska wygłosi wykład
omawiający program koncertu

FILHARMONIA ŚLĄSKA

4.12. piątek, godz. 19.00

Wielkie dzieła

w mistrzowskim wykonaniu
 Orkiestra Symfoniczna
 i Chór Filharmonii Śląskiej
 dyrygent – Kai Bumann
 wystąpią:
 I. Socha – sopran
 K. Suska – alt
 L. Skrla – baryton
 w programie:
 L. Beethoven, K. Szymanowski

4.12. piątek, godz. 18.00
 Cieszyń, Teatr im. A. Mickiewicza
Mistrzowskie spotkania nad Olzą
Gwiazdy włoskiego
bel canta
 Śląska Orkiestra Kameralna
 dyrygent – Ruben Silva
 wystąpią:
 A. Urbaniczak-Mróz – sopran
 G. B. Palmieri – tenor
 w programie:
 uwertury, arie i duety z oper
 oraz operetek
 w aranżacjach D. Zbocha

5.12. sobota, godz. 16.30, 19.30
 Pszczyna, Zamek
Śląska Orkiestra Kameralna
 dyrygent – M. J. Błaszczyk
 wystąpią:
 E. Szybilska – sopran
 T. Jarosz – baryton
 D. Zboch – aranżacje
 w programie: arie i kolędy

18.12. piątek, godz. 19.00
Wielcy Mistrzowie
 Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Śląskiej
 dyrygent – J. Maksymiuk
 wystąpią:
 Andrzej Jasiński – fortepian
 w programie: W. A. Mozart

20.12. niedziela, godz. 17.00
Włoski podwieczorek muzyczny
 Śląska Orkiestra Kameralna
 dyrygent – M. Caldi
 wystąpią:
 M. Settimo – mezzosopran
 Federico Biscione – fortepian
 w programie:
 A. Vivaldi, G. Sammartini,
 G. M. Schiassi, F. Biscione

28.12. poniedziałek,
 godz. 17.00 i 20.00
 29.12. wtorek,
 godz. 17.00 i 20.00
 30.12. środa,
 godz. 17.00 i 20.00

Koncerty sylwestrowe
 M. J. Błaszczyk – dyrygent
 wystąpią:
 I. Rutkowska – sopran
 A. Rutkowski – tenor
 w programie:
 uwertury oraz arie
 z oper i operetek

JAZZ CLUB HIPNOZA**GCK**

13.12. niedziela, godz. 20.00
Polish Brass Ensemble
 Bronisław Duży – puzon,
 Antoni „Ziut” Gralak
 – trąbka, tenor,
 Aleksander Korecki
 – flet, saksofon altowy,
 Irek Wojtczak
 – saksofon tenorowy,
 i sopranowy, flet, klarnet basowy,
 Ryszard Tymon Tymański
 – kontrabas,
 Kuba Staruszkiewicz – perkusja

IPiUM SILESIA

6.12. niedziela, godz. 17.00

MDK Koszutka

Muzyka – moja miłość
 Monika Sikorska-Wojtacha
 – fortepian
 w programie:
 W. A. Mozart, M. Musorgski

6.12. niedziela, godz. 18.00
 Podlesie, MDK Południe
 13.12. niedziela, godz. 17.15
 Piotrowice, Południe
 godz. 19.00
 Murcki, MDK Południe
Grudniowe opowieści
 Duet gitarowy:
 K. i F. Wiczorek
 Alicja Kotyl
 (Podlesie, Os. 1000-lecia) – słowo
 Alicja Przytuła
 (Piotrowice, Murcki) – słowo
 w programie: Robert Brojer,
 Enrique Granados, Manuel de Falla,
 Mario Gangi, Claude Gagnon

Blżej Chopina

Koncerty w ramach przygotowań
do Roku Chopinowskiego 2010

10.12. czwartek, godz. 18.00
 Muzeum Archidiecezjalne
Recital fortepianowy
 Robert Marat – fortepian
 w programie: F. Chopin, F. Liszt
 13.12. niedziela, godz. 17.00
 Ożarów,
 Muzeum Wnętrz Dworskich
 14.12. poniedziałek, godz. 18.00
 Studio Koncertowe PR
Muzyczne osobowości
 Janusz Olejniczak – fortepian
 Bohdan Pilarski (Ożarów) – słowo
 Ewa Kafel (Katowice) – słowo

KOSZECIN**ZESPÓŁ PIEŚNI I TANCA****„ŚLĄSK”**

19.12. sobota, godz. 16.30 i 19.30
 Pszczyna, Muzeum Zamkowe
Koncert
kolęd i pastorałek

PSZCZYNA**Pszczyńskie Centrum Kultury**

10.12. czwartek, godz. 17.00
Czar Bożego Narodzenia
 koncert

11.12. piątek, godz. 18.00
Razem możemy więcej
 koncert charytatywny

13.12. niedziela, godz. 17.00
Czesław śpiewa
 koncert Czesława Mozila
 z zespołem

20.12. niedziela, godz. 13.00
 rynek
Koncert kolędowy
 oraz rozdanie nagród
 w konkursach plastycznych:
 na ozdoby świąteczne
 pszczyńskich platanów
 i *Przyleciały Anioły*

27.12. niedziela, godz. 16.00.
 kościół pw. Wszystkich Świętych
Na to Boże Narodzenie
 koncert kolędowy
 wystąpią: Turnioki
 i Pszczyński Zespół Kameralny
Con fuoco

29.12. wtorek, godz. 18.00
Koncert
Andrzeja Sikorowskiego

SOSNOWIEC**SOSNOWIECKIE****CENTRUM SZTUKI****ZAMEK SIELECKI**

19.12. sobota, godz. 16.00
Powróćisz tu...
 recital Ireny Santor

MIEJSKI KLUB**im. J. KIEPURY**

31.12. czwartek, godz. 21.00
Koncert sylwestrowy
Muzyki czar
Maestria i wirtuozeria
 wystąpią:
 Orest Smowz /skrzypce/
 Bogdana Grabowa /sopran/
 Olivia Nagaj /sopran/
 Andrzej Stecki /baryton/
 Daniel Makowski
 /wirtuoz saksofonu/
 Lidia Brzezińska /saksofon/
 Lidia Dragan /wiolonczela/
 Jerzy Fomenko pianista

ZABRZE**FILHARMONIA ZABRZAŃSKA**

4.12. piątek, godz. 17.00

Katowice, Teatr Śląski

Gala Barbórkowa

Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Zabrzeńskiej
 dyrygent – S. Chrzanowski
 wystąpią:
 J. Karwowski
 – saksofon sopranowy
 A. Banaszkiewicz – skrzypce
 w programie:
 przeboje muzyki rozrywkowej

5.12. sobota, godz. 16.00
 Zabrze, PSM

Koncert Mikołajkowy**dla dzieci**

Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Zabrzeńskiej
 dyrygent – W. Barczyński
 gość specjalny
 Święty Mikołaj

11.12. piątek, godz. 18.00
 Zabrze, PSM
 koncert symfoniczny
Muzyczne rodziny
 w programie:
 L. Beethoven

18.12. piątek,
 godz. 17.30 i 19.30
 Zabrze, Teatr Nowy
Koncerty świąteczne
 Orkiestra Symfoniczna
 Filharmonii Zabrzeńskiej
 dyrygent – S. Chrzanowski
 wystąpią: J. Borkowski
 w programie:
 muzyka inspirowana
 Bożym Narodzeniem, kolędy

DOM MUZYKI I TAŃCA

5.12. sobota, godz. 18.00

6.12. niedziela, godz. 18.00
SCORPIONS

12.12. sobota, godz. 19.00
Kayah Akustycznie

14.12. poniedziałek, godz. 19.00
Dżem

16.12. środa, godz. 19.00
Jezioro Łabędzie
Moscow City Ballet

17.12. czwartek, godz. 19.00
The Merchants of Bollywood

19.12. sobota, godz. 18.00
Demis Roussos

BIELSKO-BIAŁA

ZAMEK

Stare kino w starym Zamku

8.12. wtorek, godz. 17.00

Carmen – opowieść uniwersalna

BIELSKIE CENTRUM KULTURY

5.12. sobota, godz. 18.00

Stare Dobre Małżeństwo

9.12. środa, godz. 18.00

Koncert dla wszystkich**Muzyczna Ballada Europy:****Zimowa Serenada**wystąpią: P. Sadowski /skrzypce/,
Orkiestra im. Telemanna, soliści

12.12. sobota, godz. 19.30

Motyle są wolne

wystąpią:

M. Żmuda-Trzebiatowska,

L. Żurek, E. Ziętek i M. Lesień

17.12. czwartek, godz. 18.00

X Międzynarodowy Festiwal**Muzyki Jana Sebastiana Bacha****koncert finałowy**

wykonawcy:

J. M. Michel – organy (Niemcy),

Zespół Instrumentów Dętych

Mancheimer Blech,

Ehrhard Wetz – dyrygent

w II części koncertu**Kolędy i pastoralki**

Zespół Regionalny Istebna

31.12. czwartek, godz. 21.30

Gala Sylwestrowa**koncert Bielskiej Orkiestry****Festiwalowej**

pod dykcją Andrzeja Marko

soliści: E. Ciechomska – sopran

B. Morka – tenor

J. Zakrzewski – tenor

W. Bednarek – baryton

BYTOM

Galeria Kronika

4.12. piątek, godz. 17.00

Premiera książki**Nowe legendy miejskie. Śląsk**

spotkanie promocyjne,

filmy, czytanie legend

DĄBROWA GÓRNICZA

PAŁAC

KULTURY ZAGŁĘBIA

5.12. sobota, godz. 17.00

Kabaret Neo-Nówka

oraz zespół Żarówki

6.12. niedziela, godz. 18.00

Tomasz Stańko Quintet**Dark Eyes 2009 Tour**

GLIWICE

Muzeum

Kresowe Boże Narodzenie

bożonarodzeniowa obrzędowość, która

dotarła na Górny Śląsk wraz z

przybyłymi tutaj przesiedleńcami

z Kresów Wschodnich

Patriotyczna Szopka Lwowska,
wyk. Władysław Zgoda-Zgodziński w 1940 r.,
zb. Muzeum w Gliwicach, fot. S. Janiczek

1.12. – 22.12.

Kresowe zwyczaje świąteczne
zajęcia warsztatowe

5.12 i 6.12. godz. 11.00

Świąteczne przygotowania
tylko z rodziną!

13.12. niedziela, godz. 11.00

Kresowa wigilia na Śląsku

śląsko-lwowski

Teatrzyk bez granic

z udziałem B. St. Kasprowicza

KATOWICE

CENTRUM

SZTUKI FILMOWEJ

Tydzień Filmu Irlandzkiego

1.12. wtorek, godz. 18.00

Dambe the Main Project

dokument, reż. D. Glynn

godz. 20.00

Once

reż. J. Carney, Irlandia 2006

2.12. środa, godz. 18.00

The Connemara Monster

dokument, reż. B. Reddin, 2006

godz. 20.00

Pamięć złotej rybki

reż. E. Gill, Irlandia 2003

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

Benedyktynka

2.12. środa, godz. 17.00

Tak było...

promocja książki A. Łępkowskiego

spotkanie poprowadzi

prof. W. Nasilowski

12.12. sobota, godz. 16.30

Spotkanie Śląskiego Towarzystwa**Miłośników Książki i Grafiki****Wspomnienie****o Marii i Stanisławie Gliwach**

gawęda Janiny Kościów

16.12. środa, godz. 17.00

Salon Literacki Michała Jagielly**Andrzej Mencwel**

historyk, krytyk literatury i kultury

polskiej, eseista i publicysta

18.12. piątek, godz. 17.00

Kawiarenka Kulturalno-Literacka**Motywy Bożego Narodzenia****w literaturze polskiej**

prowadzi L. Smykowska-Karaś

KINOTEATR RIALTO

2.12. środa, godz. 20.00

Młodzieżowy Klub Filmowy**Wino truskawkowe,**

reż. D. Jabłoński, 2008 r.

II Przegląd

Filmów Podwodnych

4.12. piątek, godz. 18.00

Spotkania na krańcach świata,

reż. W. Herzog, 2008 r.

4.12. piątek, godz. 20.00

Podwodne impresje,

reż. L. Riefenstahl, 2002 r.

5.12. sobota, godz. 18.00

Blok I**Nurkowanie w tropikach**

5.12. sobota, godz. 20.15

Blok II**Nurkowanie techniczne**

6.12. niedziela, godz. 18.00

Blok III**Jeziora i wraki Bałtyku**

6.12. niedziela, godz. 20.15

Blok IV**Nurkowanie jaskiniowe i wrakowe**

10.12. czwartek, godz. 19.00

*Scena Muzyczna Rialto***Wieczór bluesowy**

12.12. sobota, godz. 15.30

*Filmowy Klub Seniora***Mała Moskwa,**

reż. W. Krzystek, 2008 r.

16.12. środa, godz. 20.30

*Młodzieżowy Klub Filmowy***Przyjeżdża orkiestra,**

reż. E. Kolirin, 2007 r.

18.12. piątek, godz. 18.00

19.12. sobota, godz. 18.00

20.12. niedziela, godz. 20.00

23.12. środa, godz. 20.00

Polański: ścigany i pożądan,

reż. M. Zenovich, 2008 r.

27.12. niedziela, godz. 15.45

*Filmowy Klub Seniora***Z miłości do gwiazd**

reż. L. Colombani, 2008 r.

Muzeum Śląskie

8.12. wtorek, godz. 15.00

Biblioteka Śląska

Promocja książki:

Żydowskie gminy wyznaniowe**na Śląsku Austriackim (1742-1918)**

spotkanie poprowadzi

red. E. Niewiadomska

18.12. – 6.1.

Świąteczna jazda**z Muzeum Śląskim**

w zabytkowym tramwaju zobaczymy

oryginalną szopkę autorstwa Antonie-

go Toborowicza, wykonaną specjalnie

na tę okazję



fot. Lidia Rogowicz

RONDO SZTUKI

Kawiarnia

5.12. – 13.12.

Festiwal Wolnych Ludzi*Rondo Literatury*

5.12. sobota, godz. 16.00

Miejsca Zbieżne:

Spotkanie

z Marcinem Świetlickim

Śląska Kawiarnia Naukowa

3.12. czwartek, godz. 18.00

Szlak Jedwabiu i Herbaty**ku Miastu Białych Nocy**

młodzi podróżnicy:

M. Kruk, T. Kik oraz P. Błaszak

podążali najważniejszymi i zarazem

najstarszymi handlowymi

szlakami świata

ESTRADA ŚLĄSKA

6.12. niedziela

Rynek

Święty Mikołaj**dzieciom Katowic**

godz. 12.00

Przygoda z Mikołajem

aktorzy ze Stowarzyszenia

Inicjatyw Twórczych z Legnicy

godz. 13.30

Konkursy z nagrodami

godz. 14.00

Święty Mikołaj i Śnieżynka

interaktywny program estradowy

połączony z nauką piosenek,

tańcem i zabawą dla dzieci

PAŁAC MŁODZIEŻY

1.12. wtorek, godz. 18.00

*Filmowe fascynacje Romana Kalarusa***Amarcord**

reż. F. Fellini, Włochy 1972

wprowadzenie do filmu E. Omelan

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY

1.12. wtorek, godz. 18.00

*Galeria Podróżnicza***Grotolazi ze Speleo Klubu****w Dąbrowie Górniczej**

5.12. godz. 15.00 i 17.30

Mikołaj dla dzieci

Teatr DiM Makówki

11.12. – 13.12.

Rynek

Jarmark Świąteczny

RACIBÓRZ

Muzeum

13.12. niedziela, godz. 15.00-19.00

Niedziela w Muzeum

w programie m.in.:

*Odkrycia w kościele ss. dominikanek**w Raciborzu, Zwyczaje zimowe**na Śląsku, Obrządek pogrzebowy**w Starożytnym Egipcie.**Życie religijne w Raciborzu,*

koncert:

*Muzyka filmowa w spokojnym,**świątecznym nastroju*

w wykonaniu duetu „M(r)ozart”

SOSNOWIEC

ART CAFE MUZA

2.12. środa, godz. 18.00

Jacek Królik**Marek Napiórkowski**

koncert duetu gitarzystów

3.12. czwartek, godz. 19.30

koncert Muariolanzy

14.12. poniedziałek, godz. 19.30

3 urodziny Art Cafe Muza

Koncert Jacka Wójcickiego

Gwiazdy na Gwiazdkę i Nowy Rok

27.12. niedziela, godz. 19.30

Natural Mystic

28.12. poniedziałek, godz. 19.30

Józef Skrzek

29.12. wtorek, godz. 19.30

Anna Szalapak

SOSNOWIECKIE

CENTRUM SZTUKI

5.12. sobota, godz. 17.00

Baśń o Rycerzu bez Konia

Teatr Lalek Baniałuka

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „ŚLĄSK” – Wojewódzki Informator kulturalny

Wydawca: Górnos Śląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach • Informacje wraz ze zdjęciami (do 2 fotografii) prosimy przysyłać do 15. każdego miesiąca • Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i nie ponosi odpowiedzialności za zmiany w repertuarach. Tel./fax 206-82-71 (wtorki, godz. 11.00-14.00) • e-mail: slask@neostrada.pl, wikslask@poczta.onet.pl

W Gliwicach o Różewiczu

Premiera filmu „Gliwickie lata Tadeusza Różewicza” zainaugurowała VI Festiwal Filmowy Camera Silesia zorganizowany przez Muzeum w Gliwicach i Gliwicki Teatr Muzyczny.

O Tadeuszu Różewiczu powstało kilka filmów dokumentalnych, jednak nigdy dotąd wybitny poeta (poważny kandydat do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury) nie wypowiadał się na temat 20 lat spędzonych w Gliwicach. W 1949 roku wziął tu ślub z Wiesławą Kozłowską, tu urodzili się jego dwaj synowie: Kamil i Jan. Tu stworzył setki wierszy, a także poematy i kilka dramatów, a wśród nich słynną „Kartotekę”, która do dziś uznawana jest za jedno z najważniejszych dzieł w historii polskiej literatury i europejskiego teatru. Otrzymał honorowe obywatelstwo Gliwic w 1995 roku. W związku z tym na prośbę dyrektora Gliwickiego Teatru Muzycznego Pawła Gabary Samorząd Miasta Gliwice uznał, że warto zrealizować dokument pokazujący, jak ważny był gliwicki okres w twórczości jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych Europy.

W filmie wyreżyserowanym przez Krzysztofa Korwina Piotrowskiego wypowiadają się: Tadeusz Różewicz, jego żona Wiesława, syn Kamil, bratanek Paweł Różewicz, a także zagraniczni tłumacze i przyjaciele Różewicza (Vlasta Dvořáková, Barbara Verdiani, Krisztina Baba, Janina Szarek, Gilda Bereska, Irena Lexova, prof. Olav Münzberg). Mówią również o poecie m. in.: Wojciech Pszoniak, Andrzej Wajda, Kazimierz Kutz, Krzysztof Penderecki, Piotr Lachmann i prezydent Gliwic Zygmunt Frankiewicz. Wiersze, fragmenty poematów i wspomnień Różewicza prezentują wybitni aktorzy: Jan Peszek i Jerzy Trela. Sam poeta również czyta kilka swoich wierszy. Wykorzystano też unikalne nagrania archiwalne Gliwic ze zbiorów TVP Katowice oraz stare fotografie z Muzeum w Gliwicach.

Autorami scenariusza do filmu są Maria Dębicz i Krzysztof Korwin Piotrowski. Stronę operatorską powierzono Mieczysławowi Chudzikowi i Andrzejowi Dryndzie. Podczas festiwalu pokazano również filmy opowiadające o twórczości Adama Zagajewskiego („Solidarność i samotność Adama Zagajewskiego” w reż. Pawła Wolana, TVP 1996), Juliana Kornhausera i Andrzeja Szuby („Poezja nowej fali”, realizacja Jolanta Ptaszyńska, TVP 1990), a także – w ramach „Spotkania z książką” odbyło się spotkanie z Wojciechem Pszoniakiem, z którym rozmawiał Michał Komar – autor wywiadu – rzeki z tym wybitnym aktorem.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Benefis Krzysztofa Zanussiego

Benefis Krzysztofa Zanussiego na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego zorganizowany z okazji 70. urodzin reżysera poprzedzony został trzydniowym przeglądem jego filmów. 27 października wszystko zaczęło się w samo południe uroczystą Mszą św. odprawioną pod przewodnictwem metropolity katowickiego abpa Damiana Zimonia, który w swojej homilii podziękował artyście za jego twórczość, szczególnie zaś jej wymiar moralny. Po południu Zanussi poprowadził spotkanie autorskie z Barbarą Gruszką-Zych poświęcone jej nowemu tomikowi *Ostatnie śniadanie*. Poetka zrewanżowała się reżyserowi w 2 godziny później, ponieważ w przepełnionej auli Wydziału Teologicznego (część widzów oglądała wszystko na telebimie piętro wyżej) pełniła rolę gospodyni krótkiego panelu *Krzysztof Zanussi w anegdocie*. W czasie tej rozmowy abp Damian Zimonia wspominał, jak kino w osobie twórcy „Iluminacji” przyszło do śląskich seminarzystów w Krakowie. Magda Piekorz i Michał Rosa – uczniowie Zanussiego opowiadali o tym, że ich mistrz wolał rozmawiać ze studentami o życiu zamiast o sztuce. Prof. Marian Kisiel wspominał, jak zmienił się jego sąd o filmie *Za ścianą*, a prof. Marian Zembala

podkreślił dystans reżysera wobec sytuacji bieżącej. W kończącym benefis wykładzie Zanussi wystąpił z krytyką modnej w dzisiejszej kulturze pustki i destrukcji. Powiedział m. in. „Droga z jaskini do kultury jest bardzo długa. Z powrotem to tylko dwa kroki.”

Pamięci Kurta Schwaena

Kurtowi Schwaenowi – kompozytorowi, mieszkającemu w Katowicach w latach

1909-1929, poświęcona została pamiątkowa tablica na kamienicy przy placu Wolności 7 z okazji setnej rocznicy urodzin.

Schwaen urodził się w Katowicach w 1909 roku. Po plebiscycie 1921 roku jego rodzice stali się obywatelami Polski. Jego katowickim nauczycielem był do 1928 r. wybitny muzyk – prof. Fritz Ulbrich jr. Dzięki niemu Schwaen mistrzowsko opanował grę na fortepianie a także rozpoczął naukę gry na organach i z podstawami kompozycji. Studia muzykologiczne podjął we Wrocławiu i Berlinie. Jednocześnie studiował germanistykę, historię sztuki i filozofię. W latach 1943-1945 był więźniem politycznym za swoje zaangażowanie przeciwko reżimowi nazistowskiemu. Po wojnie osiadł w Berlinie Zachodnim. Współpracował z Bertoldem Brechtem. Jego

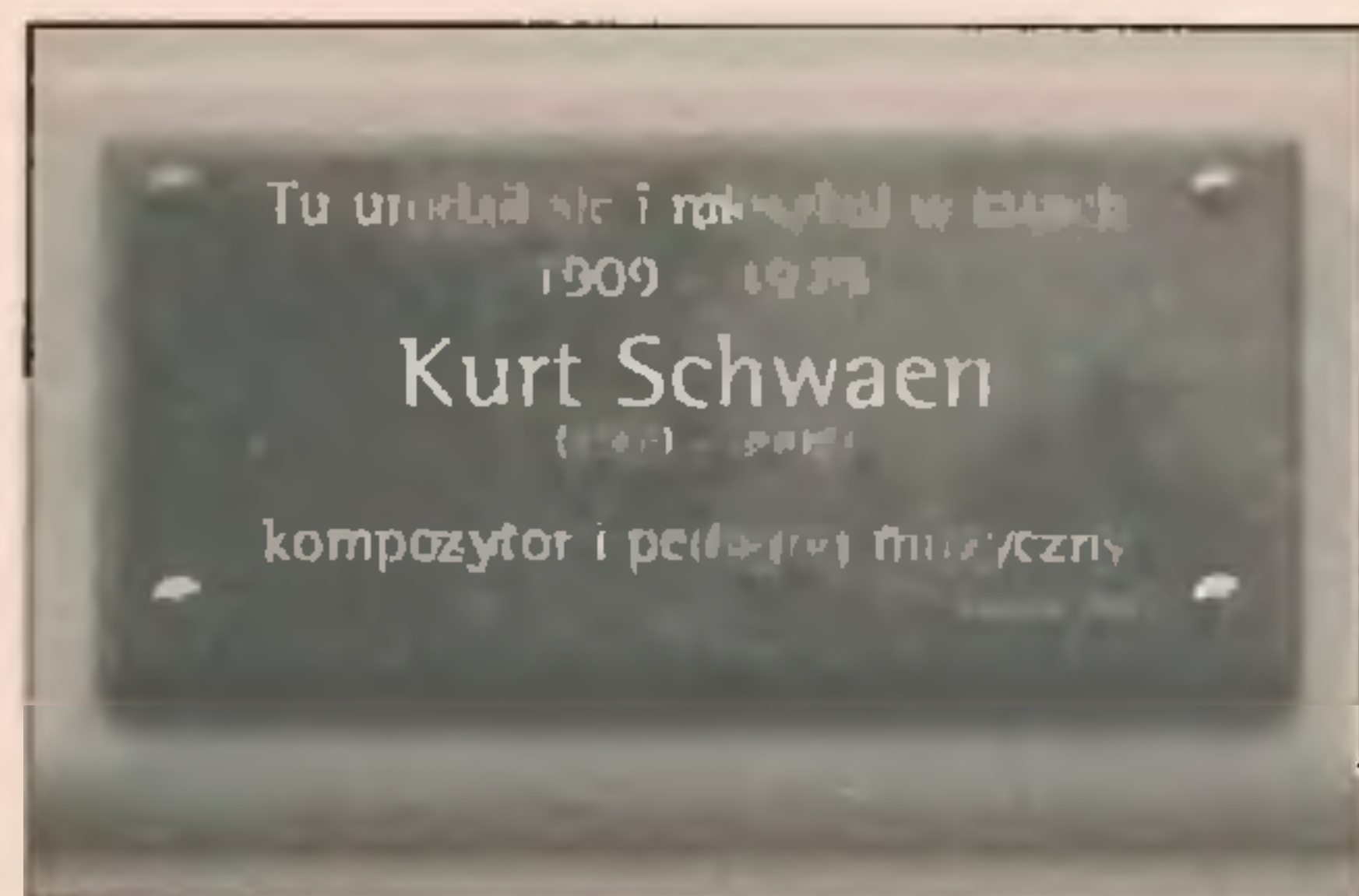


Foto. Zbigniew Sawicz

Tablica na kamienicy przy placu Wolności 7.

kompozycje pozostawały pod wpływem Mozarta, Bartoka, Strawińskiego i Hindemitha. Jest autorem muzyki m. in. do filmu „Der Fall Gleiwitz” dokumentującego napad na niemiecką radiostację w Gliwicach (film z 1961 r.). W Lipsku założył Dziecięcy Teatr Muzyczny.

Dorobek Kurta Schoena obejmuje 650 różnorodnych dzieł, w tym muzykę fortepianową, choralną, orkiestrową, operową i baletową. Zmarł w Berlinie w 2007 r.

Z okazji odsłonięcia pamiątkowej tablicy Muzeum Historii Katowic zorganizowało 30 września koncert muzyki Schwaena, którego wykonawcą był Kwartet Śląski.

Dni Luksemburga

Dni Luksemburga na Śląsku, które odbywały się od 27 do 29 października 2009 miały podkreślić podobieństwa między przemysłowym charakterem Luksemburga i Górnego Śląska. Prezentowany był sposób rewitalizacji obiektów przemysłowych, działalność Fundacji Belval, luksemburską, publiczną instytucję, która powstała w 2002 roku, w celu utworzenia Miasta Nauki, Badań i Innowacji, na terenie dawnego kompleksu hutniczego w Esch-Belval, i która stworzyła nowoczesne miasto na terenach opuszczonych fabryk. Zajmowano się kwe-

Jednym zdaniem

■ Od 10 do 25 października trwał XIX Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych organizowany przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach.

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu gościła Martę Fox – poetkę, powieściopisarkę i esetkę, która promowała swoją najnowszą książkę pt. „Kobieta zaklęta w kamień”.

■ Na VI Katowickie Prezentacje Biblioteczne tym razem odbywające się pod tytułem „Strach ma wielkie oczy” z udziałem zaproszonych gości: prof. Joanny Papużyńskiej, prof. Jana Malickiego, Bohdana Butelki, Danuty Świerczyńskiej-Jelonki i Jacka Santorskiego oraz aktorów zapraszała Biblioteka Śląska.

■ Miejskie Centrum Kultury w Tychach w galerii „Pod dachem” przygotowało projekt artystyczny „Akcja sztuki: kobiety” z udziałem m. in. Hele-

ny Goldy-Blahut, Elżbiety Kuraj, Beaty Wąsowskiej.

■ Towarzystwo Kultury Teatralnej ZO w Katowicach w Kawiarni Artystycznej gościło laureatkę „Złotych Masek” Martę Kotowską – aktorkę Teatru Rozrywki w Chorzowie.

■ Na spotkanie Piotrem Schmitke zapraszał do Centrum Sztuki Filmowej Klub Filmowy „Silesia”.

■ Przedpremierowy pokaz filmu dokumentalnego Dagmary Drzazgi pt. „Lech Majewski. Świat według Breugla” odbył się w Centrum Sztuki Filmowej.

■ Instytut Mikołowski był organizatorem sesji naukowej poświęconej książce „Polaku kim jesteś?” Witolda Wirpszy.

■ Justyna Matysiak prezentuje w Galerii Sztuki Pogranicza Muzeum Śląskiego wystawę rysunków pt. „Vivat insita”.

stia przystosowania mieszkańców do zmieniającego się środowiska miejskiego, przedstawiając fotografie życia mieszkańców luksemburskiego zagłębia. Zaprezentowano również portret emigracji polskiej w Luksemburgu.

Obok kwestii ekonomicznych i społecznych przedstawiono rozwój luksemburskiego przemysłu kinematograficznego. Retrospektywny przegląd filmów w katowickim Centrum Sztuki Filmowej był też okazją do uhonorowania Kazimierza Kutza za jego artystyczne i polityczne zaangażowanie w sprawy społeczne. *Officier de l'Ordre du Mérite* otrzymał 27 października podczas uroczystej gali minifestiwalu filmów luksemburskich. Filmy pod tytułem „W Biegu” oraz „Black Dju” inaugurujące festiwal wyświetlone zostały w obecności scenarzysty Franka Feitlera.

W Bibliotece Śląskiej otwarto wystawę fotograficzną o polskiej emigracji w Luksemburgu. Wystawa była owocem współpracy fotografa Steven'a James'a Scott'a i badacza Mikołaja Kowalskiego, który zgromadził nagrania będące świadectwem losów dwudziestu osób polskiego pochodzenia, mieszkających w Luksemburgu. Z kolei w Galerii Szyb Wilson gościła fotografia współczesna „Deep South” przedstawiająca mieszkańców zagłębia górniczego.

Celem Dni Luksemburga było podkreślenie podobieństw między przemysłową historią Luksemburga oraz Górnego Śląska, przez porównywanie doświadczeń w dziedzinie rewitalizacji obiektów przemysłowych oraz przystosowywania mieszkańców do środowiska miejskiego w okresie ciągłych zmian.

Skarb Babuchy Burczymuchy

Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” przygotował dla najmłodszych widzów premierę Stefana Kurhanka pt. *Skarb Babuchy Burczymuchy*.



Sztuka pt. *Skarb Babuchy Burczymuchy* zrealizowana została w formie teatru w teatrze. Do pracy nad przedstawieniem zaproszony został międzynarodowy zespół realizato-

rów. Stefan Kulhanek – reżyser i autor tekstu (opartego na czeskiej baśni Ladislava Dvorský'ego) – mieszka w Wiedniu, gdzie prowadzi Mobiles Theater für Kinder

MOKI. Scenografię zaprojektowała znana doskonale bywalcom katowickiego teatru Eva Farkašová ze Słowacji, zaś muzykę skomponował Austriak, Robert Altmann, który wraz ze Stefanem Kulhankiem napisał również teksty piosenek. Całość przetłumaczyła z języka słowackiego Renata Chudecka.

We wszystkie role (a jest ich niemało) wcielili się Katarzyna Prudło, Piotr Gabriel i Bartosz Socha.

Malarstwo Franciszka Kafla w MDK „Południe”

Galeria Miejskiego Domu Kultury „MDK-Katowice Południe” gościła malarstwo Franciszka Kafla. To kolejna interesująca propozycja tej placówki kultury.

Franciszek Kafel urodził się w 1954 roku w Piaskach-Drużkowie. Studia ukończył w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Grafiki w Katowicach: malarstwo w pracowni prof. Andrzeja Kowalskiego oraz plakat w pracowni prof. Tadeusza Grabowskiego. Zajmuje się malarstwem sztalugowym, rysunkiem i projektowaniem



graficznym. Był trzykrotnym stypendystą Ministra Kultury i Sztuki. Otrzymywał nagrody na wielu wystawach konkursowych. Mieszka i tworzy w Katowicach. Przy okazji jego wystawy w galerii Polskiego Radia Katowice prowadzący galerię Maciej M. Szczawiński pisał o twórczości Franciszka Kafla: „...Franciszek Kafel właściwie od początku szuka w swojej twórczości znaku spraw nienazwanych. A skoro tak, to potrzebna jest metafora i wizja. Noc i ciemność tylko naiwnym kojarzą się z czernią. To świat nieoczywistości, luźnych związków z widzialnym.

Koncertował prof. Andrzej Jasiński

Wybitny polski pianista i pedagog wystąpił z recitalem w Miejskim Domu Kultury „Koszutka” w Katowicach. W programie

koncertu znalazły się Fantazja d-moll i Sonata c-moll W. A. Mozarta oraz kompozycje Fryderyka Chopina.

Wykształcony u prof. Władysławy Markiewiczówny w uczelni katowickiej, studia



kontynuował w Paryżu pod kierunkiem Magdy Tagliaferro. Jest laureatem Grand Prix na Konkursie im. Marii Casals w Barcelonie. Koncertował w wielu krajach Europy, w Ameryce Południowej, Japonii.

Przez szereg kadencji był kierownikiem Katedry Fortepianu Akademii Muzycznej w Katowicach, był profesorem w Hochschule für Musik w Stuttgarcie. Dzięki swej charyzmie artystyczno-pedagogicznej ma dziś Profesor Jasiński ogromny zastęp renomowanych pianistów takich jak m.in. Krystian Zimerman, Krzysztof Jabłoński, Magdalena Lisak, Beata Bilińska, Anna Górecka, Robert Marat.

Jako autorytet muzyczny zasiada w wielu gremiach jurorskich m.in. w Warszawie, Moskwie, Paryżu, Brukseli, Tokio, Dublinie, Leeds, Monachium, Pekinie, Seulu, Tel Awiwie, Vercelli; prowadzi kursy mistrzowskie m.in. w Mozartem w Salzburgu i słynnej szkole pianistycznej „Incontri con maestro” w Imoli, prowadzi wykłady na kongresach muzykologicznych.

O pisarzach Zagłębia

Ósma już Sesja Zagłębiowska Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu poświęcona była pisarzom z Zagłębia. W dniach 22 i 23 października wiele uwagi poświęcono współczesnej literaturze wychodzącej spod piór średniego i młodego pokolenia twórców. Nie zabrakło więc wystąpień poświęconych prozie Jacka Durskiego i Romualda Pawlaka i poezji Jerzego Suchanka, Sławomira Matusza, Marka K. E. Baczewskiego, Barbary Gruszki-Zych, Pawła Sarny, Wojciecha Brzoski czy Pawła Barańskiego. Swoje punkty widzenia na ich dokonania przedstawili m.in. dr Agnieszka Nęcka, dr Dariusz Nowacki, prof. Włodzimierz Wójcik, dr Krzysztof Uniłowski, dr Anna Kałuża.

Sesję przygotowano przy współpracy z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego Pracownią Życia Literackiego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowski Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. I. Opackiego UŚ w Katowicach.

■ Muzeum w Gliwicach było organizatorem konferencji popularno-naukowej pt. „Gliwice 1938-1939”.

■ „Myśleć oczami” to tytuł wystawy Jerzego Moskale i Danuty Knosaly z okazji 40. rocznicy współpracy z Teatrem Śląskim.

■ Na wystawę z cyklu „W moim świecie barw i kształtów” zaprasza do „Małej galerii” Biblioteka Śląska oraz Warsztaty Terapii Zajęciowej w Jaworznie i Polskie Stowarzyszenie na rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym.

■ Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz Polskie Radio Katowice w Galerii „Na żywo” pokazali wystawę malarstwa Maugi Houby-Hausherr.

■ W Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze odbył się premierowy pokaz najnowszego filmu Józefa Kłyka amatora filmowca z Bojszów, pt. „Nie wszystko mi wojna zabrała”.

■ Na terenie budowy nowej siedziby Muzeum Śląskiego, dawniej kopalni „Katowice”, otwarta została po-

plenerowa wystawa fotograficzna pt. „Muzeum kopalni znaczeń”, a także odbył się pokaz fotografii trójwymiarowej Macieja Samulskiego.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Czeladzi odbyło się spotkanie autorskie z Markiem Krajewskim – autorem bestsellerowych kryminałów.

■ Koncert – „Stworzenie świata” Józefa Haydna – dedykowany Miastu Katowice w wykonaniu Akademickiej Orkiestry Symfonicznej im. Karola Szymanowskiego pod dyktando Didiera Talpaina odbył się 10 listopada w kościele Mariackim.

■ Muzeum Historii Katowic zaprasza na wystawę fotografii „Kamienne głowy” Aleksandry Różyckiej.

■ Polskie Towarzystwo Ewangelickie Oddział w Katowicach oraz Parafia Ewangelicko-Augsburska w Katowicach zaprasza na spotkanie wspomnieniowe pt. „Ślązak, który zdobył świat – życie i twórczość Karola Strzyji”.

■ Promocja książki Aleksandry Namysło pt. „Zanim nadeszła Zagłada. Położenie ludności żydowskiej Zagłębia Dąbrowskiego w okresie okupacji niemieckiej” odbyła się w Bibliotece Śląskiej.

■ Galeria Sztuki „Inny Śląsk” w Tarnowskich Górach zaprasza na wystawę grafiki i malarstwa Franza Pulitzera pt. „Austria”.

■ W cyklu „Spotkanie z fotografią” organizowanym przez Muzeum Śląskie można było oglądać wystawę „Realizm w fotografii, prace Zbigniewa Podsiadły” oraz „Zamysł czy dzieło przypadku. Fotografia prasowa – Arkadiusz Gola”.

■ Janusz Musiał swoje fotograficzne „Tajemnice ogrodu” prezentował w Miejskiej Galerii Domu Kultury Batory w Chorzowie.

■ „Oknem kamery. Wieczór filmowy z Adamem Sikorą” – to tytuł kolejnego spotkania w cyklu „Górny Śląsk – świat najmniejszy” przygotowanego przez Teatr Rozrywki Chorzowie.

Drugi „Podwieczorek”

Pierwszy tom „Podwieczorku z metaforą” – niewielkiej antologii wierszy poetów Śląska Cieszyńskiego – skoczowscy animatorzy kultury z tamtejszego MDK opublikowali przed trzema laty. W listopadzie ukazał się drugi tom (z 42 tekstami 17 autorów), który miałem przyjemność redagować. Nie sądziłem początkowo, że znajdzie się w nim sporo dobrych wierszy. Właśnych tekstów do antologii nie przesłali bowiem tak znani cieszyńscy twórcy jak Jerzy Kronhold czy Zbigniew Machej.

Na szczęście są jeszcze inni artyści pióra, których ścieżki poetyckie również wiodą czytelników do estetycznych satysfakcji. Co ciekawe – niektórzy z nich z równą swobodą kroczą zarówno po cieszyńskich szlakach, jak i szerokich drogach świata, a zwłaszcza Europy.

Dla młodego jeszcze skoczowskiego autora Szymona Brody źródła inspiracji biją na krańcach kręgu kultury dawnej Cekanii. Poszukuje ich bowiem od Polski przez Słowenię, Czarnogórę aż po Italię. Zapuszcza się w rejony mitologii rzymskiej, chrześcijańskiej i słowiańskiej. Jest filozofem, więc poezja służy mu do ujawnienia metafizycznych skrótów myślowych, takich jak ten o ciele, które jest „skurczonym w sobie/ splotem schronienia/ jak węze filigranu”. Umiejętnością poetyckiego skrótu zaskakuje również cieszyńszczyznianin Jerzy Oszelda, który bez skrępowania sięga do doświadczeń filozofii i literatury Dalekiego Wschodu, swobodnie przekształcając siedemnastozgłoskowe formy haiku. Do motywów znanych z historii sztuki i literatury europejskiej sięgają cieszyńszczyznianka Jolanta Skóra i pogórzanka Urszula Stefania Korzonek (laureatka tegorocznej Srebrnej Cieszyńszczyznianki).

Antologia cieszyńskich autorów ukazuje, że nasze korzenie kulturowe tkwią nie tylko w naszej ukochanej prowincji, lecz również w wielkich centrach świata, nad brzegami Tybru, Renu, Nilu czy nawet Gangesu.

Otwarta na świat jest również inna cieszyńszczyznianka Beata Kalińska. W przeciwieństwie jednak do swych kolegów po piórze nie sięga do historii. Interesuje się raczej cywilizacyjną współczesnością globalnej wioski, wobec której stoimy bezradni jak ślepy: „wciąż/ uzbrojeni w białe laski/ dotykamy niepewnie jutra// rozgarzamy na boki powietrze/ stojąc w miejscu”. Mijają bowiem wieki, a nadal pozostajemy w tym samym – nieznanym – miejscu ludzkiej egzystencji.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Dzida z Cieszyńszczyznianką

Niezwykły honor spotkał Franciszka Dzidę. Znany chybski filmowiec otrzymał 11 listopada w Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszyńszczyźnie Złotą Honorową Cieszyńszczyzniankę. Specjalna kapituła przyznała mu to wyróżnienie w imieniu samorządów Śląska Cieszyńskiego. Złotą Cieszyńszczyzniankę przyznają samorządowcy od trzynastu lat. W przeszłości uhonorowano tą prestiżową nagrodą m.in. polityków Jerzego Buzka i Jana Olbrychta oraz pisarza Jerzego Pilcha.

Dzida otrzymał Złotą Cieszyńszczyzniankę m.in. „za dokonania przynoszące chlubę regionowi w kraju i za granicą, za propagowanie sztuki filmowej, reżyserii, scenografii, animacji kultury, a także fotografii”. Franciszek Dzida współtworzył AKF „Klaps” w Chybiu, który w tym roku obchodził 40-lecie istnienia. Był pierwowzorem postaci Filipa Mosza, głównego bohatera filmu „Amator” Krzysztofa Kieślowskiego, którego prapremiera odbyła się w Chybiu 29 września 1979 r. W ciągu 40 lat zrealizował ponad 80 filmów krótko- i pełnometrażowych. W rolach głównych filmów Franciszka Dzidy występowali m.in. Cezariusz Chrapkiewicz, Anna Guzik, Katarzyna Litwin, Tomasz Lorek, Piotr Machalica, Jan Nowicki czy Grzegorz Sikora. W kwietniu br. Franciszek Dzida ukończył zdjęcia do kolejnego filmu z Piotrem Machalicą w roli głównej – „Piętnaście fotografii”.

Artystyczny jubileusz

W piątek 13 listopada trzydziestolecie działalności obchodziła cieszyńska kapela góralska „Torka”. Z tej okazji jej twórca Kazimierz Urbaś zapewnił, że jeśli „Stonsi” występują już prawie od półwiecza, to dlaczego „Torka” nie miałyby dożyć takiego wieku? Zespół

powstał 30 lat temu w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszyńszczyźnie jako Studencka Grupa Folklorystyczna „Torka” (tarcina po góralsku).

Do dziś muzycy „Torki” grają na autentycznych instrumentach ludowych – fujarkach, okarynie, gajdach czy cymbałach. Dlatego już w latach 80. minionego wieku brzmiali autentycznie i oryginalnie. „Torka” była m.in. reprezentantem Cieszyńszczyzny w turnieju miast (z Puckiem) oraz na wystawie EXPO w niemieckim Hanoverze. Kilka lat temu muzycy wzmocnili m.in. zespół Golec uOrkiestra.

Banialuka nad Sekwaną

W drugiej dekadzie listopada artyści Teatru Lalek Banialuka wybrali się do Francji. 13 listopada na scenie Teatru Rutebeuf w Clichy nie opodal Paryża bielszczanie wystawili spektakl pt. „Król umiera” Eugene’a Ionesco. Przedstawienie wyreżyserował francuski twórca Francois Lazaro, znany już od lat 80. w Polsce z realizacji z zespołem Banialuki „Samotności” wedle Brunona Schulza. Scenografię zaprojektowała Joanna Braun, a muzykę napisał Krzysztof Maciejowski.

Widzom znad Sekwany zaprezentowano spektakl we francuskiej wersji językowej. Widowisko zostało nagrodzone m.in. Dyplomem Honorowym Polskiego Ośrodka Lalkarskiego POLUNIMA za kultywowanie najlepszych tradycji sztuki lalkarskiej na XXIV Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu. Nagrody za kreacje aktorskie na tym festiwalu otrzymali natomiast Ryszard Sypniewski i Małgorzata Bulska.



TL Banialuka. Król umiera E. Ionesco w reż. F. Lazaro. Na pierwszym planie Ryszard Sypniewski.

Fot. Archiwum Banialuki

Jednym zdaniem

■ 14 listopada na deskach Teatru Polskiego w Bielsku-Białej odbyła się premiera spektaklu pt. „Popcorn” Bena Eltona w reż. Roberta Talarczyka.

■ W drugiej dekadzie listopada w Cieszyńszczyźnie i Czeskim Cieszyńszczyźnie odbył się Cieszyński Festiwal Jazzowy.

■ „Pokonując mury – sztuka wolności” to tytuł wystawy prac plastycznych więźniów Zakładu Karnego w Cieszyńszczyźnie zrealizowanej w listopadzie w Muzeum Śląska Cieszyńskiego.

■ 24 października w bielskim klubie RUDEBOY odbył się koncert z okazji 20-lecia istnienia Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.

■ 12 listopada w Galerii Bielskiej BWA odbył się IV Festiwal Filmów i Form Jednominutowych „The One Minutes 2009”.

■ W listopadzie w Bielsku-Białej i Żywcu odbył się Festiwal Kultury Irlandzkiej.

■ Leszek Mazan był jednym z głównych gości Bielskiego Festiwalu Kultury Czeskiej, który odbył się 16 i 17 listopada w Książnicy Beskidzkiej.

■ Od 13 do 19 listopada w kinie Świt w Czechowicach-Dziedzicach odbyły się XVIII Czechowickie Prezentacje Filmowe.

■ W listopadzie w Bielsku-Białej odbyły się VIII Starobielskie Spotkania Kabaretowe.

14 listopada naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki UM w Bielsku-Białej Jerzy Pieszka otrzymał od organizatorów Starobielskich Spotkań Kabaretowych laur honorowy „Złoty Ferment” za wpływ na rozwój kultury w Starym Bielsku.

Festiwal gwiazd

Mało kto przypuszczał, iż Festiwal Wio-
linistyczny im. Bronisława Hubermana,
który odbywa się w Częstochowie od 1997
roku – co dwa lata – zaledwie po sześciu
swoich edycjach stanie się tak prestiżo-
wym i ważnym wydarzeniem kulturalnym
o ogólnopolskim znaczeniu. Byli nawet ta-
cy, którzy wytykali Filharmonii Często-
chowskiej – organizatorowi Festiwalu
– prowincjonalną naiwność, i przekonywa-
li, iż obecnie, poza wiodącymi ośrodkami
kulturalnymi, nie uda się w naszym kraju
stworzyć na gruncie muzyki poważnej jesz-
cze jednego liczącego się festiwalu. A jed-
nak udało się. Co to znaczy dobry pomysł,
klarowna wizja działania, świadomość ce-
lów, jakie pragnie się osiągnąć oraz
– a może przede wszystkim – organizacyj-
na konsekwencja.

VII Festiwalu Wio-
linistycznego im. Bronisława Hubermana – odbywał się od 11
do 20 października – nie powstydziłaby
się żadna duża metropolia, a melomani
z Krakowa, Warszawy, Wrocławia czy Po-
znania mogli pozazdrościć częstochowia-
nom wielkich atrakcji muzycznych.
Na szczęście Polskie Radio – a właściwie
niezastąpiony II Program PR! – transmito-
wał najciekawsze koncerty. Zaproszenie
do Częstochowy przyjął jeden z najbar-
dziej obecnie znanych muzyków świato-
wych Amerykanin Joshua Bell. Jest artystą
wyjątkowo wszechstronnym, dobrze czują-
cym się w repertuarze klasycznym, jak
i rozrywkowym. Jego umiejętności znane
są także miłośnikom kina, wykonał główne
tematy muzyczne (skomponowane przez J.
Corigliano) do filmu „Purpurowe skrzyp-
ce” (reż. F. Girard – 1998). A na dodatek
– co często podkreślają krytycy – uwielbia
bezpośredni kontakt ze słuchaczami. Jest
jednym z nielicznych wirtuozów skrzypiec,
który posiada skrzypce wykonane przez
Stradivariusa. Artysta kupił je (lepiej nie
wiedzieć za ile) i okazało się, iż przed laty
należały do Bronisława Hubermana. Za-
tem nie mógł odmówić przyjazdu do mia-
sta, w którym urodził się Mistrz Huber-
man. Artystę towarzyszyła Orkiestra
Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej
pod batutą Jerzego Salwarowskiego.
Równie gwiazdorski był koncert Cellonet
& Moździerz, który był realizacją projektu
warszawskiej grupy muzycznej pod kie-
runkiem Andrzeja Bauera. Muzyczna ener-
gia oktetu wio-
lonczel oraz pianisty jazzo-
wego zaowocowały rewelacyjnym efektem
artystycznym. W programie koncertu zna-
lazły się utwory skomponowane między in-
nymi przez L. Moździera, L. Sydorenko, C.
Duchnowskiego. Na Festiwalu oczywiście
nie mogło zabraknąć klasyki; rozbrzmie-
wała ona na koncercie inauguracyjnym
– w programie znalazł się A. Vivaldi, B.
Britten G. Holst – w wykonaniu Śląskiej
Orkiestry Kameralnej pod batutą Miro-
sława Błaszczyka. W roli solistki wystąpi-
ła znakomita artystka – Katarzyna Duda
m.in. laureatka Międzynarodowego Kon-
kursu Skrzypcowego Tibora Vargi w Sian
w Szwajcarii. Zresztą wybitnych i młodych
wirtuozów skrzypiec w trakcie Festiwalu
nie brakowało. Na scenie Filharmonii Czę-
stochowskiej wystąpili m. in.: Janusz Waw-
rowski, Krzysztof Bzówka, Mariusz Patyra,
Malwina Sosnowski (Szwajcaria), Samuli
Peltonen (Finlandia).

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Opowieść o mieście

W październiku rozstrzygnięto 10.
edycję konkursu na amatorski film vi-
deo „Częstochowa w kadrze”. Jego or-
ganizatorem niezmiennie od dziesię-
ciu lat jest Ośrodek Kultury Filmowej
– Kino Studyjne „Iluzja”. Zgodnie
z regulaminem, czas projekcji przesła-
nego na konkurs filmu nie powinien
przekraczać 10 minut i może zostać
zrealizowany w dowolnej konwencji
artystycznej od fabuły poprzez rekla-
mę, wywiad, reportaż po pastisz. W la-
tach ubiegłych w pracach jury uczest-
niczyli m.in.: Michał Rosa, Marek
Piwowarski, Janusz Zaorski, Dariusz
Gajewski, Cezary Harasymowicz, Xa-
wery Żuławski. W tegorocznej jubile-
uszowej edycji jury obradowało
pod przewodnictwem Jerzego Kapu-
ścińskiego – dyrektora Kina Studyjne-
go Kadr i producenta filmowego (m.in.
„Rewersu”, reż. Borys Lankosz), zdo-
bywcy „Złotych Lwów” – głównej na-
grody Polskich Filmów Fabularnych
w Gdańsku. Obok Kapuścińskiego
w jury częstochowskiego konkursu za-
siadali także artysta fotografik Janusz
Mielczarek oraz dziennikarz i krytyk
sztuki Tadeusz Piersiak. Na konkurs
wpłynęło 19 filmów. Pierwszą nagrodę
zdobyl Mariusz Jaśkiewicz i Jacek
Duś za film „Kantor”. Drugą nagrodę
otrzymał Adam Żurawiecki za w pełni
profesjonalny teledysk częstochow-
skiego zespołu reggae Nefre. Trzecią
nagrodą wyróżniono Michała Błasz-
czyka i Krzysztofa Kamińskiego
za film „Rycerz Papaja i jego zgraja”.

Dwóch panów H...

Taki właśnie tytuł miał koncert chóru
Collegium Cantorum Czestochoviensis,
który odbył się w Pałacu Ślubów 25 paź-
dziernika. Śpiewacy częstochowscy
pod niezmiennym od 1987 roku kierow-
nictwem Janusza Siadlaka są znani bar-
dzo dobrze nie tylko mieszkańcom Czę-
stochowy. Chór jest zdobywcą cennych
nagród i wyróżnień na festiwalach muzy-
ki choralnej, koncertował w wielu mia-

stach polskich, a także m.in. w Austrii,
Norwegii, na Węgrzech, w Urugwaju,
Wielkiej Brytanii, Chinach i USA.

Koncert poświęcony został twórczo-
ści Fryderyka Haendla i Józefa Haydna.
W programie znalazły się utwory za-
równo oratoryjne, jak i instrumentalne,
stąd razem z chórem wystąpił pianista
Andrzej Kłóś. W partiach solowych
można było usłyszeć m.in. Magdalенę
Kanię, Rafała Kozaka, Małgorzatę Sia-
dlak. Wykonano słynne oratorium „Al-
leluja” z „Mesjasza” Haendla i „Quis
est hommo” z „Stabat Mater” Haydna
oraz inne utwory panów H...

Żydzi częstochowianie

W dniach od 18 do 20 października
odbył się III Światowy Kongres Ży-
dów Częstochowian. W spotkaniu
uczestniczyli wywodzący się z Często-
chowy Żydzi i ich potomkowie, obecnie
mieszkający w wielu krajach. Gośćmi
Kongresu było przeszło dwieście osób.
W przedwojennej Częstochowie miesz-
kało 28 tys. Żydów. Środowisko Ży-
dów wywodzących się z Częstochowy
spotyka się od 2006 roku.

W 2006 roku założono Światowy
Związek Żydów Częstochowian i Ich
Potomków, na czele którego stoi Zyg-
munt Rolat. To między innymi jemu
zawdzięczają częstochowianie przyjazd
Joshua Bella na Festiwal Hubermana.
Najważniejszym wydarzeniem III Kon-
gresu było odsłonięcie pomnika upa-
miętniającego Żydów częstochowian,
którzy zostali zamordowani w cza-
sie II wojny światowej. Warto przypo-
mnąć, iż getto w Częstochowie utwo-
rzono 9 kwietnia 1941 roku na mocy
rozporządzenia stadthauptmanna Ri-
charda Wendlera. Wydzielone zostało
ze wschodniego obszaru miasta, pokry-
wającego się z przedwojenną dzielnicą
żydowską. Oprócz mieszkańców Czę-
stochowy do getta wysiedlono Ży-
dów z okolicznych miejscowości, m.in.
z Krzepic, Olsztyna, Janowa, Przyrowa,
a także z Płocka i Łodzi. Jak podają
źródła, dokładna liczba mieszkań-
ców getta jest trudna do ustalenia, ale
tuż przed likwidacją znajdowało się tam
około 40 tys. osób.

Pomnik stanął na dawnym
Umschlagplatzu (obecnie ul. Strażacka
w Częstochowie). Autorem pomnika
jest izraelski rzeźbiarz – pochodzący
z Częstochowy Samuel Willenberg,
twórcą aranżacji przestrzeni wokół po-
mnika jest częstochowski rzeźbiarz Je-
rzy Kędziora.

Jednym zdaniem

■ W Galerii Teatru from Poland odbył się
koncert heavymetalowego zespołu Hunter.
■ W Konduktorowni odbyła się IV edycja wy-
stawy „Młodzi w Architekturze”, którą zorgani-
zowało Stowarzyszenie Architektów Polskich SARP.
■ Na scenie Filharmonii Częstochowskiej
można było podziwiać muzyczne i zarazem saty-
ryczne zdolności Grupy MoCarta.
■ W klubie Zero wystąpił długo oczekiwany
w Częstochowie zespół Lao Che.

■ W klubie jazzowym Paradoks odbył się
kolejny koncert z cyklu „Gwiazdy Jazzu”;
tym razem zaproszenie do Częstochowy przy-
jął Special Quartet w składzie: Adam Mika
(gitara), Leszek Szerba (saksofon), Tomasz
Kupiec (saksofon), Wiesław Jamiol (per-
kusja).
■ W klubie Carpe Diem koncertował zespół
Habakuk zaliczany do najlepszych grup upra-
wiających muzykę reggae.

XX Najazd Poetów

Kiedy 8 grudnia 1990 roku śląski Wawel pierwszy raz gościł poetów opolskich i dolnośląskich, chyba nikt nie spodziewał się, że to spotkanie da początek festiwalowi artystycznemu o zasięgu międzynarodowym. Wspomnianego wieczoru prawie do północy przy blasku świec czytano wiersze w tej sali Zamku Piastów Śląskich, gdzie niegdyś recytowano strofy Miścisza Jana za sprawą Scherferusa, barokowego poety, polonofila i pierwszego tłumacza frazsek Kochanowskiego na język niemiecki. Brzeski Zamek ponad trzysta lat czekał na powrót poetów. Zapewne jedne z ostatnich strof zapisał niegdyś i deklamował tutaj nadworny poeta Kaspar von Lohenstein, oplakując przedwczesną śmierć ostatniego Piasta, księcia Jerzego IV Wilhelma w 1675 roku: „Płyńcie łyczule, płyńcie na lica i papier! / Piastów galeń ostatnia, książę szlachetny tu leży. / Za nim w grób zapada cedru wysokie drzewo, / co przez dziewięć wieków cień dawało krajowi”. Czarę goryczy przełamywały słowa Juliana Ursyna Niemcewicza spoglądającego na wspaniałą portal bramy z reliefami piastowskich władców na tle zniszczonego zamku: „Piasty Niemców nie obchodzą, i owszem radzi by oni wszystkich przekonać, iż od stworzenia świata Śląsk do Prusaków należał (Podróże historyczne, 1821r)”. Śląski Wawel nadal czekał w ponurzeniu i zapomnieniu.

Poeci wbrew wyrokowi czasu powrócili, po czwartej od II Najazdu Poetów z coraz bardziej odległych stron – Czech, Słowacji, Litwy, Estonii, Białorusi, Ukrainy, Niemiec, Węgier, Grecji, Macedonii, Jugosławii, Anglii, Izraela, Rosji, USA, Tunezji, Iraku... Oprócz literatów przybywali także plastycy, muzycy, naukowcy i dziennikarze. Wiersze burzyły mury i ponad granicami otwierały przestrzeń dialogu, wzajemnego poznania i przyjaźni pomiędzy twórcami z kręgów różnych narodowości, kultur i religii. Podczas Najazdów serdecznie goszczono na Śląsku Opolskim wielu przedstawicieli Polonii i Polaków zamieszkujących poza granicami kraju – m.in. z Wileńszczyzny, Zaolzia i Lwowa. Przyznawano Nagrodę Literacką im. Marka Jodłowskiego, którą honorowano zarówno uznanych, jak i młodych utalentowanych autorów, którzy po latach w sposób znaczący wpisali się do polskiego życia literackiego i naukowego (m. in. Z. Bednorz, H. Duda, prof. A. Mazur, prof. M. Kisiel, R. Putzlacher, K. Maliszewski, T. Soroczyński, R. Wiśniewski). Pomiedzy kolejnymi Najazdami Poetów powstawały nowe wiersze, tłumaczenia, publikacje, zainspirowane wzajemnymi kontaktami i współpracą pomiędzy twórcami i animatorami kultury. Powstało Stowarzyszenie Żywych Poetów, grupa młodych twórców, obecnie zarówno autorów, wydawców (pismo „Red”), jak i organizatorów ogólnopolskich imprez literackich.

Z obowiązku kronikarza warto wspomnieć, że podczas 20 edycji Najazdu Poetów, uczestniczyło w nich kilkuset twórców i ponad 5 tysięcy uczestników po stronie publiczności lekcji poetyckich, spotkań autorskich, wystaw, koncertów. Poeci byli obecni na salonach, ale także w schroniskach dla bezdomnych, domach dziecka, ośrodkach wychowawczych. Nie sposób wszystkich wymienić, wielu już odeszło, pozostali we wspomnieniach i wierszach. Gustaw Sajdok, Wilhelm Przeczek, Jan Pysko – Zaolziacy, Marianna Bocian, Lothar Herbst – wrocławianie, Jerzy Kozarzewski z rodu Cypriana Kamila Norwida i Marek Jodłowski, autor „Wirydarza poetyckiego”, który przypominał czytelnikom: „Poezja bierze się ze zdziwienia... uczucia, że doznajemy działania sił Kosmosu, Losu, Historii”.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Krzyżowa wczoraj i dziś

Podczas konferencji „Pamięć o pojednaniu w Krzyżowej w 1989 r. – jako wspólne wyzwanie Polaków i Niemców” zorganizowanej przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej podjęto próbę oceny wydarzeń sprzed lat a także spojrzenia na przyszłość relacji polsko-niemieckich. Dwa główne wystąpienia ks. prof. Alfonsa Nossola (Arcybiskup Ordynariusz Diecezji Opolskiej 1977-2009) oraz prof. Georga Milbradta (premier Saksonii 2002-2008) poprzedziły debatę prowadzoną przez red. Adama Krzemińskiego z tygodnika „Polityka”. Wspominano kulisy oraz konsekwencje spotkania Kohla i Mazowieckiego w Krzyżowej, na podstawie różnych doświadczeń polsko-niemieckich uczestników tego wydarzenia.

Prof. Milbradt mówił o nowych wyzwaniach stojących przed Polakami i Niemcami na styku regionów przygranicznych, ale także w ujęciu globalnym, wynikającym z konieczności rozwiązywania problemów współczesnej Europy. Natomiast ks. prof. Nossol wskazał, że proces pojednania rozpoczął się od kościołów (m.in. List Polskich Biskupów – wybaczymy, prosimy o wybaczenie) i był możliwy jedynie w duchu miłości, na gruncie chrześcijaństwa. Zalecił także słuchaczom, aby dla pomyślnej przyszłości relacji polsko-niemieckich, porównywanej do osiągnięć francusko-niemieckich, postępować z odwagą, pokorą i cierpliwością.

Wspominali Jana Skalę

Święto Poezji Serbołużycy poświęcone Janowi Skali (1889-1945) zostało zainaugurowane wieczorami artystycznymi w Muzeum Śląska Opolskiego i na Zamku w Kamieniu Śląskim z udziałem gości z Łużyc, przedstawicieli najmniejszego narodu słowiańskiego Europy. Postać Jana Skali, poety, dziennikarza, serbołużycy działacza narodowego, wspominał Alfons Wicz, redaktor „Serbskich Nowin” i przedstawiciel Zarządu Związku Artystów Serbołużycy w Budziszynie. Poeci

Beno Budar. Werner i Jan Meskankowie czytali wiersze Skali i utwory własne w języku górnołużycy, dolnołużycy i przekłady na język polski. Istvan Kobiela (syn łużyckiego kompozytora Detlefa Kobieli) zagrał własne kompozycje na instrumenty klawiszowe. Można było także obejrzeć zdjęcia z uroczystości na cmentarzu we Włochach, z okazji odsłonięcia nowego pomnika na grobie Jana Skali, który tragicznie zginął w sąsiedniej wsi Dziedzice (powiat Namysłów) w 1945 roku.

Kolejnego dnia goście z Łużyc uświetnili Biesiadę Literacką na Zamku w Kamieniu Śląskim z okazji 60-lecia Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej w Gogolinie. Wstrząsający wiersz „Pijana śmierć” opowiadający o śmierci Jana Skali, który zginął zastrzelony przez pijanego żołnierza radzieckiego, przeczytał autor Beno Budar. Wśród licznej publiczności wspomnianych spotkań obecni byli m.in. nauczyciele akademicy, literaci oraz członkowie opolskiego Stowarzyszenia Przyjaźni Polsko-Serbołużycy „Pro Lusatia” a wśród nich znakomity znawca kultury Sebołużyczan, muzykolog Zbigniew Kościół.

Pocztą podziemną

Opolska delegatura Instytutu Pamięci Narodowej przygotowała wystawę „Pocztą podziemną PRL”, którą zaprezentowano publiczności w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu. Bogaty zbiór kart i znaczków pocztowych z lat 1981-1989 przedstawiał wybitne osobowości polskiej historii związane z nurtem niepodległościowym. Najczęściej eksponowany był Józef Piłsudski, a także liderzy NSZZ „Solidarność” z czasów internowania i podziemnej działalności – Lech Wałęsa, Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak i inni. Ulubionym motywem podziemnej poczty były również wizerunki Jana Pawła II. Wiele kartek okolicznościowych, satyrycznych, zawierających życzenia świąteczne z okazji Wielkiej Nocy, Bożego Narodzenia, Święta Niepodległości, niosło otuchę i radość zmęczonym Polakom z czasów stanu wojennego i schyłku PRL.

Jak powiedział na otwarciu wystawy kierujący opolską Delegaturą prof. Krzysztof Kawalec – wystawa ta oprócz walorów edukacyjnych szczególnie istotnych dla młodego widza, ukazuje jednocześnie, jak diametralnie różnią się od siebie współczesne realia naszego życia od tych, których doświadczyliśmy w czasach PRL, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego.

Jednym zdaniem

■ Nie tylko Kresowianie bawili się podczas tradycyjnej Biesiady Kresowej zorganizowanej przez Dom Kultury w Lewinie Brzeskim, goście słuchali i śpiewali piosenki kresowe wraz z kapelą a na zakończenie byli częstowani potrawami kuchni kresowej.

■ Podczas obchodów Święta Niepodległości odbywały się uroczyste koncerty, imprezy okolicznościowe w wielu miejscowościach województwa opolskiego, podczas uroczystej sesji Rady Miasta Opola – Andrzej Wajda przyjął honorowe obywatelstwo miasta, laudację na cześć reżysera wygłosił opolski literat Harry Duda.

■ Podczas kolejnego spotkania w Muzeum Piastów Śląskich z cyklu muzealne wtorki naukowe, pod patronatem Wyższej Szkoły Humanistyczno-Ekonomicznej w Brzegu, wykład „Życie małżeńskie królów polskich” wygłosił profesor nauk medycznych Janusz Kubicki.

■ Znaczący sukces odniósł Opolski Teatr Lalki i Aktora, któremu Jury XXIV Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalek przyznało Grand Prix za spektakl „Iwona księżniczka Burgunda”, przedstawienie wyróżniono również za kreacje aktorskie, muzykę, scenografię i reżyserię.

■ Anna Konik, artystka pochodząca z Dobrodzienia, otrzymała nominację do Paszportów Polityki, w kategorii Sztuki Wizualne, nominowana tworzy fotografie, filmy oraz instalacje wideo, jurorzy docenili jej umiejętność wnikliwego rejestrowania tego, co jest trudne w ludzkim doświadczeniu.

■ Uroczystość wręczenia Nagród Karola Miarki z udziałem Marszałków Województwa Opolskiego i Śląskiego odbyła się na Zamku Piastów Śląskich w Brzegu; laureatami z Opolszczyzny zostali profesor Celina Hellero-wa, zasłużony pedagog PSM w Opolu oraz ks. biskup prof. Jan Kopiec, badacz i popularyzator dziejów Kościoła katolickiego na Śląsku.

Polska kultura podbiła Ostrawę

Polsko-czesko-niemiecki koncert w nowej auli Wyższej Szkoły Górniczej – Uniwersytetu Technicznego, na którym zagrało 7 listopada trzech bardów: Antoni „Tolek” Muracki, Jaromír Nohavica i Frank Viehweg, był zwieńczeniem Dni Polskich w Ostrawie. Te zorganizowały już po raz drugi w stolicy województwa morawo-śląskiego Konsulat Generalny RP w Ostrawie i Matiční gymnázium.

Dni Polskie rozpoczęły się oficjalnie w środę 4 listopada, już jednak we wtorek w galerii Fiducia odbyło się otwarcie wystawy „Dekada „Solidarności” (Zaolziacy mogli ją obejrzeć w czerwcu w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie-Frysztacie). W ramach wystawy odbyło się też spotkanie z konsulem generalnym RP Jerzym Kronholdem i znaną czeską dziennikarką i byłą dysydemtą, Petrušką Šustrovą. Bohaterowie wieczoru wspominali, jak trudna była droga Polski i Czech do niepodległości. Podkreślali też, jak ogromną rolę grała tu właśnie „Solidarność”, pierwszy niezależny związek zawodowy w ówczesnych „demoludach”.

Spotkania z polską kulturą zainaugurowano oficjalnie w środę w ośrodku Minikino, przed seansem filmu Jerzego Skolimowskiego „Cztery nice z Anną”. Wcześniej zaś w Domu Książki Librex odbyło się spotkanie z znaną polską poetką, laureatką Nagrody Nike, Ewą Lipską. Prowadził je poeta i tłumacz literatury polskiej z Opawy, Libor Martinek, wiersze poetki czytała ostrawska aktorka Veronika Forejtová.

W czwartek organizatorzy zaproponowali mieszkańcom Ostrawy wystawę „50 lat Teatru Laboratorium”, a wernisażowi towarzyszył pokaz filmu o twórczości Jerzego Grotowskiego. Wieczorem zaś wyświetlono w Minikinie film Macieja Pieprzycy „Drzazgi”. Trzydniowy minifestiwal polskiego kina współczesnego zakończył w piątek film Małgorzaty Szumowskiej „33 sceny z życia”.

Jak powiedziała wicekonsul ds. Polonii i kultury, Agnieszka Fedorów-Skupień, Dni Polskie zakończył wprawdzie koncert trzech bardów, niemniej 16 listopada w Domu Książki Librex miało się odbyć jeszcze spotkanie z wybitnym polskim poetą Ryszardem Krynickim.

– Co nas bardzo cieszy, to ogromne zainteresowanie ze strony zwłaszcza młodych ostrawian. Wszystkie imprezy cieszą się wielkim powodzeniem, bilety były dawno wyprzedane, i to nie tylko na sobotni koncert. Dni Polskie śledzą też uważnie regionalne media. W porównaniu z pierwszą edycją to ogromny postęp – dodała wicekonsul.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Odznaczenia prezydenta dla Zaolziaków

Siedem osób zasłużonych dla krzewienia kultury polskiej na Zaolziu otrzymało polskie odznaczenia państwowe. 19 listopada podczas spotkania w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie z okazji Święta Niepodległości wręczyli je wicekonsul ds. Polonii i kultury, Agnieszka Fedorów-Skupień, oraz konsul ds. paszportowo-wizowych i administracyjnych, Piotr Wardak.

Złoty Krzyż Zasługi otrzymały: Aniela Kupiec – poetka ludowa, Odonia Charvát – była kierowniczką zespołów „Skotnica” i „Skotniczka”, Janina Ferfecka – była kierowniczką zespołu „Olza” oraz Halina Molin, dyrektorka Biblioteki Regionalnej w Karwinie. Srebrny Krzyż Zasługi otrzymali: Krystyna Mruzek – kierowniczką kapel „Lipka” i „Torka” oraz František Staněk, dyrektor spółki Těšínské papírny, która od kilkudziesięciu lat wspiera Miejskowe Koło PZKO w Jablonkowie. Krzyż Zasługi to odznaczenie nadawane przez prezydenta RP. Medal Komisji Edukacji Narodowej przyznano Irenie Rajskej, nauczycielce Polskiej Szkoły Podstawowej w Wędryni.

Odznaczeni mają jedną cechę wspólną – wykonują pracę, która przynosi im satysfakcję. – Jestem niespokojnym duchem, nie lubię monotonii. Dlatego ciągle wymyślam nowe możliwości, jak włączyć dzieci do różnych projektów, jak urozmaicać lekcje i działalność pozalekcyjną – powiedziała Irena Rajska. Halina Molin, która całe swe życie zawodowe poświęciła bibliotekoznawstwu, z zapałem mówiła o nowościach w Bibliotece Regionalnej. – Cieszy mnie wyposażanie nowych oddziałów. Teraz będziemy otwierali po przebudowie nowo wyposażone centrum informacji we Frysztacie. A już w przyszłym roku rozpoczną się prace przy budowie nowego gmachu biblioteki w Raju. Powstanie przez połączenie obecnej siedziby z dawną szkołą podstawową. W nowej bibliotece będzie wspinała czytelnia z kawiarnią.

Teatralne nagrody

Spektaklem „Poskromienie złoŹnicy” Williama Szekspira w wykonaniu Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach zakończył się 7 listopada w Teatrze Cieszyńskim 9. Festiwal Teatrów Moraw i Ślą-

ska. Tuż po przedstawieniu swój werdykt ogłosiło też festiwalowe jury.

Główną nagrodę przyznano Scenie Kameralnej Arena z Ostrawy za spektakl „Brenpartija” Tomáša Vůjtky. Spektakl ostrawskiego zespołu, który wyreżyserował Janusz Klimsza (w swoim czasie był reżyserem Sceny Polskiej TC), doceniony został przez jury za dramatyczną odkrywczość oraz nowoczesne ujęcie tematu czerpiącego z tematyki tożsamości regionalnej.

Jury, którego członkami byli Marie Boková, Jana Machalická, Jan Hyvňar, Kazimierz Kaszper, Jiří P. Kříž i Emil Orzechowski, honorowym przewodniczącym zaś burmistrz Cieszyńskiego Cieszyna, Vít Slovák, przyznało jednak więcej nagród. Jedną z nich otrzymał Teatr Lalek Bajka: Józef Czernecki za wyreżyserowanie przedstawienia „Na jagody”, Wanda Michałek została zaś uhonorowana za poetyckie prowadzenie lalki Janka.

Kateřinę Krejčí z ostrawskiego Teatru im. Petra Bezruča wyróżniono za „dowcip, lekkość i temperament” w roli Frozyny w przedstawieniu „Skąpiec”. Nagrody przyznano też aktorom Sceny Polskiej – Małgorzacie Pikus i Mariuszowi Osmelakowi – za wykreowanie przekonujących postaci w sztuce „Zaklinacz deszczu”. Nagrodzono ponadto spektakl ostrawskiego Teatru Lalek „Piękna i bestia” za poszerzenie możliwości gatunków dla dzieci. Studenckie jury przyznało swoją nagrodę ostrawskiemu aktorowi Norbertowi Lichemu za rolę Skąpca w spektaklu o tym samym tytule. Dyrektor TC i festiwalu, Karol Suszka, wyróżnił nagrodą dla młodego aktora Macieja Cymorka.

Zastrzyk z ministerstwa

Czeskiemu resortowi kultury udało się z puli przeznaczonej na działalność kulturalną mniejszości narodowych wygospodarować dodatkowe 430 tys. koron. Kwota ta została rozdzielona między poszczególne mniejszości, z tego 90 tys. koron między trzy polskie stowarzyszenia obywatelskie. Kongres Polaków wykorzysta je na działalność swojego Ośrodka Dokumentacyjnego. Polski Związek Kulturalno-Oświatowy dofinansuje z dotacji działalność kulturalno-oświatową, Polskie Towarzystwo Artystyczne „Ars Musica” wykorzysta je na popularyzację śpiewu chóralnego.

Jak poinformował nas członek Rady Kongresu, Dariusz Branny, który reprezentuje mniejszość polską w Komisji ds. Działalności Kulturalnej Mniejszości Narodowych przy Ministerstwie Kultury RC, projekty do konkursu o dotacje na przyszły rok należało złożyć do piątku 27 listopada. – Pula do podziału powinna być mniej więcej tej samej wysokości, co w poprzednich latach. Konkretne kwoty będzie jednak znana dopiero po uchwaleniu przez czeski parlament budżetu państwa na rok 2010 – powiedział Branny. Dodał, że komisja będzie o projektach dyskutować na przełomie stycznia i lutego przyszłego roku.

Jednym zdaniem

■ Zaolziacy przypomnieli sobie 17 listopada 20. rocznicę rewolucji aksamitnej, która zapoczątkowała proces przemian politycznych i społecznych w Republice Czeskiej.

■ Jubileusz 60-lecia obchodziło Gimnazjum Polskie w Czeskim Cieszynie. Na koncercie galowym z tej okazji wystąpili m.in. sławni absolwenci: Renata Worek-Drössler, Roman Lasota i Przemysław Branny.

■ Scena Polska zaprosiła 26 listopada na premierę „Hamleta” w reż. Michaela Taranta. W roli duńskiego księcia wystąpił Tomasz Klapotocz.

■ W Domn PZKO w Błędowicach odbywał się w dniach 8 i 9 listopada VI Konkurs Gwar Cieszyńskich. Puchar Górnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” dla szkoły wyjątkowo dbającej o pielęgnację gwary przyznano polskiej podstawówce z Hawierzowa-Błędowic.

■ W dniach 4-15 listopada wędrowała po Zaolziu Wystawa Polskiej Książki. Zawitała do Cieszyńskiego Cieszyna, Karwiny, Trzyńca i Jablonkowa. Wystawie towarzyszyła tradycyjnie impreza „Z książką na wazikach”, podczas której z zaolziańskimi dziećmi spotkały się pisarka Agnieszka Frączek i ilustratorka Małgorzata Flis.

■ Wystawa w Domu Kultury w Karwinie była dla malarza Oskara Pawlusa prezentem na jego 85. urodziny.

■ „Głos Ludu” – gazeta Polaków w RC, ogłosił konkurs dziennikarski dla młodzieży.

■ Najpóźniej pod koniec roku 2010 powinno się ukazać nowe wydanie używanej w zaolziańskich kościołach katolickich książeczki do nabożeństw „Chwalmy Pana”. Przygotowuje ją grupa pod kierownictwem ks. Romana Czudka.

■ Jubileusz 15-lecia obchodzi dziecięcy teatrzyk „Gapa” z Nieborów.

Pewna symboliczna zmiana jakby mimochodem dokonała się minionego lata: Ruch „Wirek” połączonej KWK „Wirek-Halemba” przestał fedrować z początkiem sierpnia. Kopalnia, która towarzyszyła losom Kochłowic i Bykowiny bez mała dwa stulecia, przestaje być czynnym zakładem, a staje się stacją szkoleniową.

Zamknięcie jej to emblematyczne zamknięcie rozdziału lokalnych – kochłowickich – i śląskich dziejów w ogóle. W miejscu, gdzie od 1786 r. bez przerwy szukano „czarnego złota” i gdzie – jak mówią stare mapy – pełno jest śladów po dawnych szybach czy polach górniczych, górnictwo przechodzi do przeszłości.

Właściwie przechodzi po raz drugi w dziejach: już raz w 1933 r. przy wielkim kryzysie ekonomicznym tamtych czasów zamknięto ówczesną „Wirek” Kopalnię S.A. – wyłączono pompy a ludzi zwolniono. Jak grzyby po deszczu na łąkach między Kochłowicami, Hajdukami i Świętochłowicami wyrosły wtedy biedaszyby. Kochłowice lat 30. trapiły przez dwie choroby: szkody górnicze (już wtedy!) z powodu wydobywania węgla i bezrobocie z powodu niewydobywania węgla. Dopiero, jak na ironię, okupacyjne władze niemieckie wznowiły fedrunek pod *Hugobergiem*. O ile jednak ta pierwsza śmierć kopalni w międzywojniu okazała się „kliniczna”, o tyle teraz, po 185 latach, to już naprawdę koniec.

To miejsce zdążyło w swoich dziejach mieć wiele nazw. Jeszcze w XVIII wieku hrabia Łazarz Henckel tworzył wokół Kochłowic i Radoszowej pierwsze szyby górnicze. W 1824 i 1828 r. powstały te dwa, które stały się rdzeniem całej późniejszej kopalni: połączone w 1849 r. szyby „Hugo” (na cześć siemianowickiego *grofa* Hugo Henckel von Donnersmarcka) i „Zwang”, które razem z rozlicznymi polami górniczymi („Arthur”, „Heilige Drei Könige”, „Conrad”) stały się „Hugo-Zwang Grube”. Ta po 1928 stała się „Wirkiem”, na czas wojny nazwanym „Godullagrube”, a po 1945 r., gdy wydążano nowe szyby: „Nowym Wirkiem”. Wreszcie przyszły lata „Polski-Wirku” – po połączeniu ze świętochłowicką KWK „Polska” (vel „Deutschland”, vel – *po naszymu* – „Gyfela”), która wcześniej połączyła chorzowski „Prezydenta” („Königa”). Na koniec zaś była jeszcze „Halemba-Wirek”. Jednak dla *Mietlorzy* (czyli kochłowian) zawsze by-

ły to po prostu Gliniki. Jedna z XIX-wiecznych rymowanek oceniających *geltagi* na różnych *grubach* i *werkach* głosiła, że:

*Na Glinikach – po fenikach,
Na Królewskim – tam po ceskim.
Na Bismarcku – po talarku.*

Stara kopalnia przestała właśnie funkcjonować. Gliniki przechodzą do historii, a nocny widok bijącej blaskiem światła wieży „sepery” będzie z czasem jedynie wspomnieniem utrwalonym na zdjęciach. Po-

Ocalić od zapomnienia

Requiem dla kopalni

winno mi być żal, że kawałek mojego świata przechodzi do historii. A jednak nie odczuwam zasmucenia. Gdy pomyślę o dziesiątkach domów, które zniknęły z powierzchni ziemi (i nadal znikają) przez barbarzyńskie wydobywanie węgla spod ich fundamentów; gdy zwrócę oko na rzeki i potoki, które zniszczono wysypując ich koryta kopalnianym kamieniem lub wpuszczając do nich przemysłowe ścieki, czy wreszcie na dawne łąki, na których wyrastały nie kwiaty, lecz hałdy, wtedy naprawdę mogę nawet cieszyć się z zatrymanego wydobywania.

Górnictwo – szczególnie w tym kształcie, w jakim funkcjonuje od mniej więcej półwiecza – wywarło piętno na całej śląskiej kulturze, życiu, słowem: śląskiej duszy. Schamienie górnoskańskiej mowy i myśli, ograniczenie horyzontów umysłowych, nieuczciwe i nierzetelne podejście do biznesu to także „szkody górnicze” (znajomy pracujący na jednej z kopalń mówi, że tam cały system zarządzania oparty jest o „brecha i k... mać”). To cena, jaką Górny Śląsk płaci za swój amerykański rozwój wieku XIX i jego smutną parodię czasów PRL. Niedysiejsza autentyczna górnicza dumna i *wyszkrobiona* plebejskość dziś jest już raczej roszczeniowym prostactwem.

To wszystko oczywiście trochę czcze narzekania. Wszak z drugiej strony górnictwo przyniosło na Śląsk i dobrobyt, i cywilizację techniczną, społeczną, układ przestrzenny naszych miast, stabilizację i społeczny ład. Trudno. Słodko-gorzkie to zespolenie śląskości i górnictwa, którego część odchodzi już w świat wspomnień. Możemy się z tego cieszyć, możemy szczerze żałować, ale prądu rzeki kijem nie zmienimy, nawet jeśli to prąd Kochłowki czy Kłodnicy.

Na kompleks KWK „Wirek” składa się ogółem kilkanaście budynków położonych na rozległym wzgórzu, dobrze widocznym z autostrady A4, będących punktem orientacyjnym w tym miejscu na ziemi. Większość z tych budynków jest we wcale dobrym – jak na kopalnię – stanie; część ma przeszło 100 lat. Szyb „Maciej” („Mentzel”), hale maszyn wyciągowych, *Wasserturm*, imponujący pylon sortowni itp. Co z nimi się stanie, gdy zakończy się obecna „edukacyjna” misja Gliników? Zostaną zburzone, sprzedane, oddane, opuszczone? Martwi to, że nikt nie podjął jeszcze na ten temat poważnej debaty. Nikt nie pomyślał, że społeczność, która żyła dwa stulecia w niełatwej symbiozie z kopalnią, mogłaby wreszcie mieć swój głos. Tymczasem aż prosi się, by choćby niektóre z obiektów po Glinikach wykorzystać na rzecz funkcji kulturalnych, rekreacyjnych, przestrzeni publicznej, przestrzeni dla organizacji pozarządowych, szkół, wreszcie – dla przedsiębiorców. Tuż obok kopalni od jakiegoś czasu uczą się studenci Akademii Górniczo-Hutniczej, a to przecież też potencjał wart wykorzystania. Pomysły i śmiałe marzenia można by mnożyć. Jak na razie, zrobiliśmy zdjęcia i ufamy, że te potrafią przemówić.

To wszystko to tylko mała lokalna sprawa jednej z wielu kopalń, jakich jeszcze parę będzie tu opisanych. Lecz w jakimś sensie ten kochłowicki problem z Glinikami ma wymiar uniwersalny. Potrzeba oto odwagi i chęci do mądrego zmierzania się z problemem niełatwego dziedzictwa, do umiejętnej selekcji i wyraźnego przewartościowania. Wierzę, że może istnieć Górny Śląsk bez dominującego górnictwa, ale wierzę też, że warto dobrze wykorzystać to z przemysłowego dziedzictwa, co my – jako „diedzice” – dostajemy dziś od przeszłości, a co może mieć dla przyszłości nieprzeciętną wartość.

MARCIN JARZĄBEK
(*Genius Loci*)



KWK Nowy Wirek



KWK Nowy Wirek – Wieża wodna

Zdjęcia: Leszek Chrobok



Zrąb szybu Maciej



Św. Barbara w cechowni

KWK Nowy Wirek



Szyb Wirek

35 16 66 III

11 a x

PRACOWNIA ŚLĄSKA

GDY CELUJESZ WYSOKO

TY WYBIERASZ CEL
BIZNESOWY, A MY POMAGAMY
GO ZREALIZOWAĆ.

Limit Kredytowy **Wielocelowy** zapewni elastyczne
finansowanie każdego projektu. Teraz możesz
spokojnie zrealizować wszystkie biznesowe plany.



PKO BANK POLSKI

Blisko Biznesu

www.pkobp.pl | infolinia 0 801 302 302*

opłata jak za połączenie lokalne